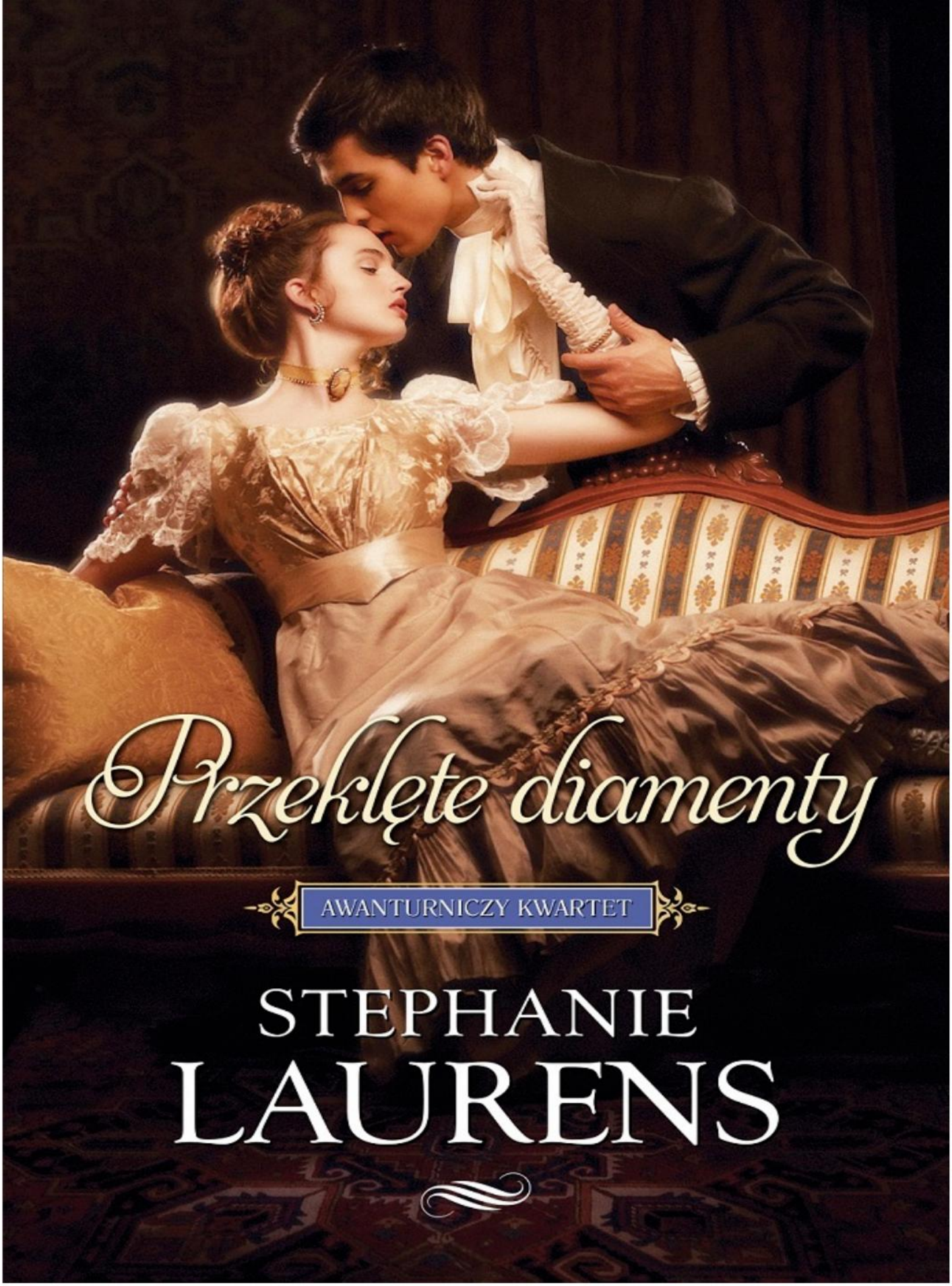
Przeklęte diamenty
AWANTURNICZY KWARTET
STEPHANIE
LAURENS

Stephanie Laurens

Przeklęte diamenty

Tłumaczenie:
Katarzyna Makaruk

Jeden

Dżungla na wschód od Freetown,
Brytyjska Afryka Zachodnia,
14 lipca 1824

Caleb Frobisher niestrudzenie przedzierał się przez mroczną dżunglę. Za nim gęsiego podążało dwudziestu czterech towarzyszy. Nikt się nie odzywał – upiorna cisza sprawiała, że wędrowcy mieli nerwy napięte do granic. Pod gęstym baldachimem drzew panowała tak wielka wilgoć, że wydawało się, jakby maszerowali pod wodą, jakby ciężkie powietrze wręcz oblepiało ich ciała.

– Do diaska! – wydyszał Phillipe Lascelle idący tuż za Calebem. – To musi być już niedaleko.

– Do południa jeszcze mnóstwo czasu – mruknął Caleb. – Nie powiesz mi chyba, że usychasz z pragnienia.

Phillipe prychnął.

Caleb i jego drużyna podążali szlakiem niewiele lepszym od ścieżki wydeptanej przez zwierzęta – wciąż musieli nurkować pod liśćmi palm i uchylać się przed niskimi, oplecionymi przez pnącza gałęziami.

Gdzieś przed nimi znajdował się obóz handlarzy niewolników i Caleb miał nadzieję, że wkrótce go odnajdą. Lecz choć solennie obiecywał sobie, że podczas tej misji będzie postępował zgodnie z planem – chciał bowiem

udowodnić wszystkim bez wyjątku, a zwłaszcza swojej rodzinie, że można mu powierzyć tak poważne zadanie – skłonność do podejmowania ryzyka okazała się silniejsza. Zgodnie z mapą sporządzoną przez jego brata Roberta powinni byli wybrać drogę od zachodu, Caleb jednak, przestudiowawszy położenie obozu – Siedliska Kale'a – uznał, że lepiej będzie, jeśli nadejdą od północy. Z notatek Roberta wywnioskował, że handlarze mogą się spodziewać gości z zachodu i prawie na pewno od tej strony wystawią czujki. Nie była to więc najlepsza droga dla kogoś, kto zamierzał ich zaatakować.

A taki był – co chyba oczywiste – ich cel. W końcu co innego dwudziestu pięciu silnych i uzbrojonych po zęby mężczyzn mogłoby robić w tym zapomnianym przez Boga i ludzi miejscu?

Trzy dni temu Caleb na swoim „Księciu" i Phillipe na „Kruku", korzystając z nocnego przypływu, wślizgnęli się do estuarium. Trzymając się północnego brzegu, z dala od szlaków prowadzących do Freetown, pożeglowali w głąb zatoki Tagrin, by uniknąć wykrycia. Według informacji Roberta Eskadra Zachodnioafrykańska powinna akurat znajdować się w porcie, toteż Caleb wolał uniknąć konieczności tłumaczenia się ze swoich poczynań wiceadmirałowi Deckerowi.

Wyrzucili kotwicę na południowym krańcu zatoki, w miejscu, które zdaniem Caleba znajdowało się dokładnie na północ od Siedliska Kale'a. Według mapy Roberta od obozu dzieliło ich wiele kilometrów przez dżunglę. Caleb

nie miał pojęcia, czy w tym miejscu da się ją przebyć, jednak informacje, które zdobył od tubylców zamieszkujących pobliską wioskę, napawały optymizmem. Phillipe miał talent do języków – kolejny znakomity powód, by mieć go u swego boku – szybko więc nawiązał przyjazne stosunki z miejscową starszyzną. Tubylcy słyszeli, że w głębi dżungli znajduje się obóz handlarzy niewolników, i z radością wskazali drużynie Caleba ścieżkę, która – jak twierdzili – wiodła w pobliże owego obozu. Niestety, nic nie wiedzieli na temat kopalni ani żadnego podobnego przedsięwzięcia w okolicy. Mieszkańcy wioski nie mieli też pojęcia, jak się nazywa przywódca handlarzy, Caleb mógł więc tylko mieć nadzieję, że nie natrafią na jakieś inne obozowisko. Wyruszyli w drogę poprzedniego dnia rano – Frobisher zostawił na żaglowcach szczątkową załogę, ze sobą zaś zabrał najsilniejszych i najbardziej doświadczonych ludzi. Zajęcie obozu nie będzie łatwe, zwłaszcza jeśli handlarze niedawno kogoś schwytali.

Obracając tę myśl w głowie, zastanawiał się, co zrobi, jeżeli okaże się, że w obozie oprócz handlarzy są też jeńcy.

Wtem, niemal nie wierząc własnym oczom, dostrzegł wśród gęstwiny jasny blask – prześwit, przez który wdzierało się światło dnia, rozpraszając wszechobecny mrok.

Wąska ścieżka, którą szli, urwała się nagle, wychodząc na szerszy, lepiej utrzymany i najwyraźniej uczęszczany szlak.

Caleb zatrzymał się i uniósł dłoń, a idący za nim mężczyźni zastygli w bezruchu. Nasłuchiwał przez chwilę.

Pomruk ludzkich głosów był bardzo słaby, ale jednak słyszalny.

Phillipe nachylił się i szepnął:

– Jesteśmy jakieś dwadzieścia, dwadzieścia pięć metrów od obozu.

Caleb pokiwał głową.

– Ta droga prowadzi pewnie do kopalni.

Szybko rozważył wszystkie możliwości. Choć Phillipe był bardziej doświadczonym dowódcą, czekał w milczeniu na decyzję Caleba – to była misja przyjaciela. Jeszcze jeden powód, dla którego Caleb lubił mieć go u boku.

– Powiedz reszcie – wyszeptał – że zakradniemy się bliżej pod osłoną drzew i zobaczymy, co się uda wywęszyć. Nikt nie może wiedzieć, że tu jesteśmy.

Phillipe odwrócił się i przekazał rozkaz. W skład oddziału wchodziło trzynastu ludzi Caleba i dziesięciu członków załogi „Kruka”. A ponieważ Caleb i Phillipe współpracowali ze sobą już wcześniej, ich ludzie się znali. Nie było powodu, by wątpić, że będą działać jak zgrana drużyna.

Rozejrzawszy się po raz ostatni, Caleb zaryzykował i ostrożnie wyszedł na drogę. Ruszył przed siebie i zatrzymał się tuż przed zakrętem. Zamiast iść dalej dobrze wydeptanym szlakiem, bezszelestnie wślizgnął się w zarośla. Po cichu dotarł w pobliże prześwitu i bardzo powoli ruszył na zachód. A gdy dostrzegł kępę palm o rozłożystych liściach tuż na skraju polany, ukucnął i pod ich osłoną podkradł się bliżej. Zerknął za siebie i zobaczył,

że Phillipe podąża za nim. Reszta oddziału przykucnęła w cieniu drzew.

Caleb zaczął przyglądać się osadzie. Znał jej rozkład z opisu Roberta: budynki były ustawione w kształcie podkowy z dużym, przypominającym koszary barakiem pośrodku i czterema mniejszymi po bokach. On sam i jego ludzie znajdowali się na wprost koszar, co oznaczało, że drogę prowadzącą do Freetown powinni mieć po prawej. Szlak, który przed chwilą opuścili, znajdował się po lewej od głównego budynku. Była też jeszcze jedna ścieżka, według Roberta nieużywana – zaczynała się na prawo od koszar i biegła w głąb dżungli.

Stwierdziwszy zgodność rozkładu obozowiska z mapą, którą miał w głowie, Caleb skupił się na ludziach kręcących się po terenie i zgromadzonych przy głównym palenisku.

Phillipe usadowił się obok i obaj zaczęli nasłuchiwać przytłumionych rozmów.

Po chwili Francuz szepnął:

– Ten tam, olbrzym, zachowuje się jak przywódca, ale nie pasuje do opisu.

Caleb spojrzał na potężnie zbudowanego wysokiego mężczyznę.

– To pewnie ten, który dowodził ludźmi Kale’a w kolonii – stwierdził. Po chwili dodał zamyślony: – Ciekawe, że tu jest.

– Chciałeś powiedzieć, że dobrze się składa – poprawił go Phillipe. – Jeśli zlikwidujemy wszystkich, jest szansa, że nikt nie zastąpi Kale’a.

Caleb pokiwał głową.

– To prawda. Nie wydaje się, żeby mieli jakichś jeńców. Drzwi do mniejszych chat są otwarte, a nie zauważyłem, żeby ktoś był w środku.

– Ja też nie.

Caleb się skrzywił.

– Kale’a tam nie ma. Ciekawe, czy siedzi w koszarach. A jeśli tak, to ilu ludzi ma ze sobą.

Phillipe wzruszył ramionami.

I właśnie wtedy jeden z mężczyzn kręcących się koło wielkiego kotła, który wisiał nad paleniskiem, podniósł głowę, spojrzał w stronę koszar i zawołał:

– Gulasz gotowy!

Chwilę później drzwi koszar się otworzyły i Caleb wyszczerzył zęby w uśmiechu na widok żylastego, niezbyt wysokiego mężczyzny z twarzą oszpeconą szramą, który wyłonił się w towarzystwie trzech innych.

– Co za szczęśliwy zbieg okoliczności – mruknął Phillipe.

Nadszedł jeszcze jeden człowiek – od strony szlaku wiodącego do Freetown. Caleb trącił przyjaciela i kiwnął głową w stronę nowo przybyłego.

– Widzisz? Mieli czujkę.

Phillipe obrzucił mężczyznę badawczym spojrzeniem.

– Chyba był sam. Wygląda na to, że niezbyt poważnie traktują możliwość zjawienia się nieproszonych gości.

– Ja też tak myślę.

– Co w sumie daje trzynastu.

Caleb pokiwał głową, nie odrywając wzroku od sceny przy palenisku. Kale z cynowym talerzem pełnym gulaszu usiadł

na kłodzie i zaczął jeść. Po chwili już wszyscy mężczyźni siedzieli na balach otaczających palenisko.

Ledwie zdążyli przełknąć pierwszy kęs, gdy ich uwagę – a także uwagę Caleba, Phillipe'a i ich drużyny – przyciągnął głuchy odgłos kroków na ścieżce wiodącej z północy. Tej, o której Caleb sądził, że prowadzi do kopalni. Tej samej, którą opuścił ze swoją drużyną raptem kwadrans temu.

Po chwili w obozie zjawiło się czterech mężczyzn – sądząc po ubiorze, handlarzy niewolników, najwyraźniej członków kompanii Kale'a. Pozdrowili przywódcę i przywitali się z resztą.

– A więc udało się wam bez przeszkód odprowadzić naszych gości? – Słowa te zostały wypowiedziane charakterystycznym zgrzytliwym głosem, który potwierdzał tożsamość Kale'a.

Przywódca czwórki uśmiechnął się szeroko.

– Tak jest! Dubois przesyła podziękowania. Mówił, że potrzebuje więcej ludzi. Koniecznie mężczyzn. Co najmniej piętnastu.

Kale zaklął szpetnie.

– Z rozkoszą bym mu ich dostarczył, gdyby tylko te łajdaki z kolonii pozwoliły nam robić to, co umiemy najlepiej. – Odchrząknął, pokręcił głową i zajął się jedzeniem. – Jego wysokość Dubois będzie musiał jakoś sobie radzić z tymi ludźmi, których możemy mu dać. – Machnął ręką, zapraszając nowo przybyłych. – Siadajcie i jedzcie. Zasłużyliście.

Czterech mężczyzn z wdzięcznością usłuchało.

Handlarze jedli w milczeniu. Gdyby nie to, że Caleb uparł się, aby jego drużyna zjadła solidne śniadanie, zanim opuścili tymczasowe obozowisko, z pewnością poczułby się teraz głodny. Nie lubił jednak walczyć o pustym żołądku, a był przekonany, że dziś odnajdą Siedlisko Kale'a.

– No to mamy siedemnastu – mruknął Phillipe. – Nie będzie łatwo. – Sprawiał wrażenie zadowolonego.

Caleb zerknął na marynarzy z „Kruka" i po raz kolejny pogratulował sobie, że przezornie poprosił Phillipe'a, by do niego dołączył. Dzień drogi od Southampton okazało się, że jeden z głównych zbiorników na wodę pitną na „Księciu" przecieka. Caleb, zdecydowany za wszelką cenę unikać niepotrzebnego ryzyka, wybrał nieco okrężną trasę przez Wyspy Kanaryjskie. Jeszcze zanim zacumował w porcie Las Palmas, dostrzegł charakterystyczny czarny kadłub „Kruka". W czasie gdy zbiornik reperowano i ponownie napełniano, a załoga „Księcia" organizowała dodatkowe zaopatrzenie, Caleb spędził wieczór w towarzystwie starego przyjaciela. Dowiedziawszy się zaś, że kapitan „Kruka" siedzi w porcie bezczynnie, zaproponował, by do niego dołączył. Nie ukrywał, że misja nie przyniesie żadnych łupów ani zapłaty, ale Phillipe, tak jak Caleb, był uzależniony od przygód. Ten samotny korsarz niegdyś pływał pod banderą francuską – dla Napoleona. Wojna z Francją jednak już od dawna należała do przeszłości, na morzu zaś polityka znaczy mniej niż wieloletnia przyjaźń, zwłaszcza że ta opierała się na typowej dla obu niefrasobliwości i brawurze.

W opinii Caleba dwudziestu pięciu ludzi było właśnie tym, czego potrzebował, by zlikwidować Kale’a, a wraz z nim jego proceder. Handlarze niewolników będą walczyć na śmierć i życie, a on nie chciał stracić żadnego ze swoich ludzi. Dwudziestu pięciu przeciwko siedemnastu… Powinno się udać.

W drodze do Las Palmas Frobisher zarzucił pomysł, by zostawić Kale’a w spokoju i tylko przemknąć się północnym szlakiem z Siedliska do kopalni. Wprawdzie jego zadanie polegało na tym, by zlokalizować kopalnię, dowiedzieć się jak najwięcej na jej temat i przekazać informacje do Londynu, ale myśl, że cały czas miałby Kale’a za plecami, wydawała się mało kusząca. Co więcej, gdyby Caleb wrócił do Londynu, nie likwidując obozowiska, musiałby to zrobić ktoś inny, komu rozkazano by dokończyć misję. Żaden dowódca z prawdziwego zdarzenia nie zaatakowałby kopalni, gdyby Kale wciąż tkwił w swoim obozie i w każdej chwili mógł nadciągnąć z posiłkami.

Handlarzy niewolników trzeba było jednak pozbyć się w taki sposób, by nie wzbudzić podejrzeń ludzi, którzy za tym stali – owych „łajdaków”, o których wspomniał Kale – i nie zaalarmować Dubois ani nikogo innego w kopalni.

– Wszyscy razem zajęci jedzeniem – mruknął Phillipe. – Gdybyśmy przybyli wcześniej, to byłby dobry moment, żeby zaatakować.

Caleb wzruszył ramionami. Jeszcze nie tak dawno pewnie by się zdecydował na pochopny atak, teraz jednak – i w najbliższej przyszłości – zamierzał postąpić tak jak

każdy odpowiedzialny dowódca. Niemal słyszał głosy trzech starszych braci pouczających go, by się nie spieszył, tylko obmyślił plan dający jego ludziom przewagę w walce, która z pewnością zamieni się w krwawą łaźnię.

Caleb, Phillipe i wszyscy w ich drużynie doskonale wiedzieli, że będą musieli wybić całą bandę. I łatwo było im na to przystać, jako że mieli do czynienia z handlarzami żywym towarem, z niegodziwcami, którzy sprzedawali w niewolę mężczyzn, kobiety i dzieci. Ludzie zgromadzeni wokół paleniska zaliczali się do najgorszych szumowin.

Kale przełknął ostatnią łyżkę gulaszu i spojrzał na olbrzyma, na którego wcześniej zwrócił uwagę Phillipe.

– Rogers, ty i twoi ludzie możecie teraz odpocząć. Po południu wyruszycie do kolonii. Jeśli się okaże, że nie ma żadnych wieści od Muldoona, żadnych wskazówek, na kogo możemy zapolować, użyj własnego rozumu. Rozejrzyj się, czy nie ma jakichś zabłąkanych marynarzy. Przynajmniej Dubois się ucieszy.

Rogers wyszczerzył zęby i zasalutował.

– Zobaczymy, co się uda znaleźć.

Phillipe przysunął się do Caleba i wyszeptał mu do ucha:

– Musimy zaatakować, zanim Rogers opuści obóz.

– Właśnie zjedli główny posiłek – odpowiedział przyjaciel. – Gulasz. Ciężkostrawny. W tym upale za godzinę będą półprzytomni.

Phillipe zamrugał i na jego twarzy pojawił się przebiegły uśmiech.

Kilka minut później, gdy Kale wraz z trzema podkomendnymi wrócił do koszar, a reszta handlarzy podzieliła się na grupki i cicho gawędziła, Caleb klepnął Phillipe’a w ramię i ostrożnie przekradł się w miejsce, gdzie czekała reszta drużyny.

Phillipe podążył jego śladem. Na znak dowódcy wycofali się głębiej w dżunglę.

Szczęśliwie napotkali naturalny prześwit, gdzie wszyscy mogli się pomieścić. Większość oddziału taszczyła ze sobą worki marynarskie i plecaki, w których znajdowały się namioty i zapasy. Caleb zaczekał, aż je zrzucą, po czym dał znak i wszyscy przykucnęli w kręgu. Spojrzał na twarze swoich ludzi i dostrzegł na nich oczekiwanie. Ich spokojny wzrok zdradzał zaufanie – do niego i jego zdolności przywódczych. Wszyscy mieli okazję walczyć pod jego komendą, a marynarze z „Księcia” pływali razem z nim od lat.

– Oto, w jaki sposób się do tego zabierzemy.

Żadnej brawury. Odpowiedzialnie. Ze stosowną dbałością o bezpieczeństwo drużyny i powodzenie przedsięwzięcia.

Jasno i zwięźle wyłożył im swój zamysł, który w gruncie rzeczy opierał się na zasadzie „dziel i rządź”. Chętnie skorzystał z pewnych sugestii Phillipe’a. Wystarczyło mniej niż pół godziny, by udało im się stworzyć plan, który wszyscy powitali z entuzjazmem.

– No dobra. – Caleb rozejrzał się, patrząc każdemu w oczy. – Do dzieła. Wszyscy na miejsca i czekajcie na mój znak.

Drużyna podzieliła się na dwójki i trójki. Część ruszyła na zachód, część na wschód, by okrążyć cały obóz.

Gdy zostali tylko we dwóch, Phillipe pochylił głowę w geście uznania i rzucił:

– Dobra robota.

Caleb wiedział, że przyjacielowi nie chodzi o plan, tylko o sposób, w jaki rozdzielił mniej doświadczonych ludzi. Spośród dwudziestu pięciu tylko pięciu marynarzy z „Księcia” i pięciu z „Kruka”, tak samo jak on i Phillipe, zawsze potrafiło wybrnąć z tarapatów. Wzruszył ramionami.

– Po prostu chcę, żebyśmy wszyscy uszli z życiem i zważywszy na klimat, jak najmniej poranieni.

Mieli wprawdzie ze sobą rozmaite medykamenty, jednakże w tropikach zawsze istniało niebezpieczeństwo infekcji.

– Lepiej chodźmy na miejsce.

Ze względu na dystans pistolety będą bezużyteczne – kula mogłaby trafić kogoś z ich drużyny – dlatego musieli walczyć wręcz. Obaj z Phillipe’em sięgnęli do boku, żeby poluzować broń w pochwie. Sprawdzili też przytwierdzone do ciała noże.

Zadowolony Caleb wskazał miejsce, z którego wcześniej obserwowali obóz. Razem z Phillipe’em mieli oczywiście zająć najniebezpieczniejszą pozycję. Zamierzali poprowadzić natarcie, wdzierając się do obozu od otwartej strony podkowy i zadając przy tym przeciwnikowi jak najdotkliwsze straty.

Dwóch kolejnych członków drużyny miało zaatakować od ich prawej i lewej strony. Inni wypadną z gęstwiny otaczającej koszary i spomiędzy mniejszych budynków.

Zadaniem obu bosmanów: Cartera z „Księcia” i Reynauda z „Kruka” – którzy z powodu masywnej budowy byli zbyt powolni w walce na pałasze, za to siłą dorównywali zapaśnikom – było powstrzymanie Kale’a i jego towarzyszy, by nie włączyli się zbyt szybko do walki.

– Jakie to szczęście, że Kale zabrał ze sobą trzech ludzi – mruknął Phillipe, gdy pędzili na pozycję ukrytą wśród ogromnych liści palm.

– Byle tylko został tam jeszcze przez kilka minut. – Caleb zerknął na drugi koniec obozu i się uśmiechnął. – Carter jest już na miejscu.

– Reynaud też. – Phillipe spojrzał przyjacielowi w oczy. – Kiedy tylko będziesz gotów.

Caleb poczuł, że na twarz wypływa mu szelmowski uśmiech.

– Teraz!

Zerwali się na równe nogi i pędem ruszyli do obozu. Skoczyli na dwóch ludzi wylegujących się na kłodach i załatwili ich, zanim tamci zdążyli się podnieść. Bez litości, bez zmiłowania. Łotry nie zasłużyły na honorową walkę.

Tymczasem reszta handlarzy zdążyła się poderwać z pniaków. Nie zdołali jednak doskoczyć do obu kapitanów, bo musieli się bronić przed pozostałymi członkami drużyny.

Caleb wyprostował się i zerknął ponad głowami walczących, aby upewnić się, że wszystko idzie zgodnie

z planem.

Na długo przedtem, zanim zabrzmiał pierwszy okrzyk ostrzegający Kale’a, co się dzieje, Carter i Reynaud zdążyli wdrapać się na galerię biegnącą wzdłuż koszar i rzucić przed drzwi naręcze grubych polan. Dołączyło do nich jeszcze dwóch innych ludzi Caleba, gotowych zaatakować, gdy tylko Kale i jego towarzysze wybiegną – i wywrócą się na polanach.

Caleb zaklął, gdy jeden z handlarzy ruszył w jego kierunku, wywijając kordem. Nie mógł obserwować sceny na galerii.

Brzdęk!

Ostrza korda i pałasza się spotkały. Caleb odepchnął napastnika i natychmiast na niego natarł. Handlarz był niższy od mierzącego ponad metr osiemdziesiąt Frobishera i wychudzony, toteż siła i większy zasięg rąk szybko przyniosły Calebowi zwycięstwo. Napastnik upadł, oczy uciekły mu w głąb czaszki. Caleb wyszarpnął pałasz z jego piersi i odwrócił się.

W obozie trwała zażarta walka. Zgodnie z przewidywaniami handlarze bili się zaciekle. Na ziemi leżało wiele ciał, jednak z tego, co Caleb mógł się zorientować, byli to bandyci. Jego ludzie zdobyli już galerię i to dawało im znaczącą przewagę.

Nigdzie jednak nie było widać Kale’a.

Kolejny handlarz rzucił się na Caleba, znów musiał więc zająć się napastnikiem. Trwało to dłużej, niż się spodziewał – wróg był doświadczony, a także wyższy i silniejszy niż

większość jego kom panów. Udało mu się nawet skaleczyć Frobishera w przedramię. Caleb oprzytomniał w jednej chwili: nie walczył z dżentelmenem. Wymierzył przeciwnikowi kopniaka, zbijając go tym z pantałyku, i wbił mu obcas w brzuch. Handlarz zgiął się wpół i po chwili już nie żył.

Caleb okręcił się na pięcie i gorączkowo zaczął rozglądać się za swoimi ludźmi. Instynktownie wyczuwał, że coś jest nie tak.

Jego wzrok spoczął na Phillipie, który wściekle walczył z handlarzem nazwiskiem Rogers. Phillipe był wysoki i miał ciało szermierza – gibkie i żylaste. Był też zabójczo szybki, bez względu na rodzaj broni. W tej chwili walczył tradycyjnym pałaszem, który tak ceniła większość kapitanów.

Rogers natomiast był silniejszy, cięższy i jego ramiona miały większy zasięg. W dodatku dzierżył w dłoni potężną, zdradziecko zakrzywioną szablę. Po jego minie znać było, że uważa Phillipe’a za pokonanego. Francuz faktycznie miał twardy orzech do zgryzienia, wciąż jednak płynnie parował ciosy, krzywiąc przy tym przystojną twarz.

W pewnej chwili Phillipe dał Rogersowi sposobność do ataku.

Z rykiem triumfu handlarz zamachnął się, uderzył...

I trafił w pustkę. Francuza wcale nie było tam, gdzie się go spodziewał.

Wyrósł za to nagle za Rogersem. Uderzył go rękojeścią pałasza w kark, a nóż, który nie wiadomo skąd pojawił się

w jego dłoni, wbił handlarzowi w plecy.

Rogers zacharczał i upadł. Phillipe okręcił się na pięcie, zobaczył Caleba i z posępną miną zasalutował.

Jak na komendę obaj rzucili się na pomoc swoim ludziom, którzy walczyli dzielnie na galerii, siejąc śmierć wśród handlarzy niewolników.

Caleb poklepał dwóch po ramieniu i gestem nakazał im, żeby sprawdzili, czy żadnemu łajdakowi nie udało się uciec. Wieść o tym, co spotkało Kale’a i jego ludzi, pod żadnym pozorem nie mogła dotrzeć do Freetown.

Śmierć Rogersa stanowiła punkt zwrotny, jednak Caleb i jego towarzysze byli zbyt zaprawieni w boju, by stracić czujność. Gdy obaj kapitanowie ruszyli naprzód, ich ludzie, ustawieni w szeregu obok, wsparli ich i razem szybko rozprawili się z resztą handlarzy.

Zginęli wszyscy oprócz Kale’a.

Przywódca handlarzy stał tyłem do galerii i wirując niczym derwisz, dzięki parze błyszczących ostrzy trzymał przeciwników na dystans.

Caleb, pamiętając o ostrzeżeniu Roberta, że to niebezpieczny przeciwnik, ostrzegł zawczasu swoich ludzi, by nie zbliżali się do Kale’a, o ile nie będą mieć pewności, że uda im się zadać śmiertelny cios.

Razem z Phillipe’em podeszli bliżej. Ustawieni w półokrąg ludzie cofnęli się, zostawiając na placu boju obu dowódców.

Ci zatrzymali się w stosownej odległości. Ostrza Kale’a znieruchomiały, przeciwnik szacował siły. Przywódca handlarzy, choć niższy od Caleba i Phillipe’a, był istnym

wulkanem energii. Ciężar ciała lekko przeniósł na palce i stał tak, opanowany i czujny, w jednej chwili gotów skoczyć do walki. Był zabójczo szybki.

Jego obojętny wzrok zdradzał, że zadawał już śmierć tyle razy, że zabijanie stało się częścią jego natury.

Kątem oka Caleb zauważył, że Phillipe zacisnął zęby i wyciągnął rękę do Reynauda. Ten natychmiast zrozumiał rozkaz i podał dowódcy naładowany pistolet.

Kale pojął, co się święci, i uśmiechnął się szyderczo.

– Całkiem bez honoru ta wasza sprawiedliwość – powiedział, wypluwając ostatnie słowo. Ale nie w stronę Phillipe’a. Utkwił wzrok w Calebie.

Caleb spojrzał mu w oczy. Wiedział, że to prowokacja i że handlarz chce z nim walczyć. Kale sądził, że wygra i jakimś cudem uda mu się wymknąć. Albo, jeśli zejdzie z tego świata, zabierze ze sobą jeszcze kilka osób – w ramach czegoś na kształt zemsty.

W zwykłych okolicznościach Caleb przyjąłby wyzwanie i natychmiast stanął do pojedynku, nigdy bowiem nie wykręcał się od walki. Tym razem jednak... nie wydawało mu się to właściwe.

Przykazał przecież swoim ludziom, by unikali niepotrzebnego ryzyka. Czyż nie powinien zastosować się do własnych zaleceń?

W grę wchodziła jednak kwestia przywództwa. Sposób, w jaki wybrnie z tej sytuacji, wpłynie na to, jak będą go postrzegać jego ludzie i Phillipe.

Co więcej, Kale zakwestionował, wręcz przekreślił ideę, której służyli. Sprawiedliwość, w której imię tu przybyli.

Czy to nie domagało się odpowiedzi? Nie ze względu na Frobishera, lecz całą jego drużynę.

Stojący obok Phillipe poruszył się i zerknął na przyjaciela.

– Caleb, to my jesteśmy tutaj sędziami. Parszywce takie jak ten nie mają prawa domagać się honorowej walki.

Kto powiedział, że zamierzam walczyć honorowo? Kale na pewno nie będzie bił się czysto.

Handlarz nie spuszczał oczu z Caleba. Zachowywał się tak, jakby Phillipe'a w ogóle tu nie było. Nie potrafiąc jednak znieść niewzruszonego spojrzenia Frobishera, uśmiechnął się krzywo.

– I co, synu, odjęło ci mowę?

Caleb odpowiedział mu uśmiechem.

– Nie. Rozmyślam nad tym, czy warto walczyć z taką gnidą jak ty, by dowieść znaczenia sprawiedliwości.

Wymachując bronią, Kale rzucił się na Caleba.

Phillipe zaklął i cofnął się, mierząc z pistoletu. Zdezorientowani ludzie odskoczyli w tył.

Caleb jednak widział, jak mięśnie napastnika się napinają. W mgnieniu oka uniósł pałasz i drugie ostrze i odepchnął szable Kale'a.

A więc walka. Caleb nie mógł – nie śmiał – spuścić wzroku z Kale'a. O tym, gdzie uderzą wirujące ostrza, wnioskował na podstawie ledwo dostrzegalnych zmian w mimice twarzy przeciwnika. Nie minęła minuta, a już żałował, że nie pozwolił Phillipe'owi zastrzelić drania. Caleb

był śmiertelnie niebezpieczny, a w dodatku lepiej władał białą bronią. Frobisher wprawdzie nie należał do ostatnich, Kale jednak był klasą sam dla siebie.

Niestety, chwila, gdy można było wymierzyć sprawiedliwość za pomocą pistoletu, minęła. Obaj z Kale’em poruszali się za szybko nawet dla tak wytrawnego strzelca jak Phillipe.

Mimo to handlarz niewolników wiedział równie dobrze jak Caleb, że Francuz nie pozwoli mu ujść z życiem. Ta świadomość malowała się na jego twarzy, wypełniała jego ciało straceńczą odwagą, dziką, zwierzęcą furią, co w połączeniu z precyzją i płynnością ruchów sprawiało, że trudno było przewidzieć jego atak, a tym bardziej go odeprzeć.

Obrona nie była najmocniejszą stroną Caleba, zamierzał jednak pozwolić, by przeciwnik ponawiał wciąż ataki, i skoncentrować się na tym, żeby unikać jego ostrzy.

W końcu był wyższy, silniejszy, miał większy zasięg ramion. Co najważniejsze zaś, był młodszy od handlarza niewolników.

Caleb czekał, aż ta prawda dotrze do świadomości przeciwnika. A gdy wreszcie to się stało, Kale zamachnął się nogą, celując w krocze Frobishera.

Tylko że Caleb zdążył uskoczyć.

Miał dłuższe nogi, dlatego zanim Kale odzyskał równowagę, zdołał dosięgnąć butem jego kolana.

Kale wrzasnął i zachwiał się.

Z gracją tancerza Caleb obrócił się i bez litości ciął najpierw przez jeden, a potem drugi nadgarstek. Handlarz znowu wrzasnął i upuścił obie szable.

Frobisher wyciągnął rękę, żeby pchnąć go na kolana…

– Z drogi!

Rzucił się w bok akurat w chwili, gdy pistolet Phillipe’a wypalił.

Kale zgiął się wpół i upadł.

– Myślę – powiedział Caleb, podnosząc się i chowając broń do pochwy – że sprawiedliwości stało się zadość.

Phillipe wręczył pistolet Reynaudowi, następnie schylił się, podniósł szable Kale’a i uroczyście wręczył je Calebowi rękojeścią do przodu.

– Łupy dla zwycięzcy.

Caleb uśmiechnął się szeroko. Ujął rękojeść jednej szabli i ruchem brody wskazał, by Phillipe wziął drugą.

– Obaj na nie zasłużyliśmy. Dziękuję za pomoc.

Phillipe chwycił szablę i świsnął nią w powietrzu, żeby sprawdzić jej wyważenie.

– Był już najwyższy czas, by położyć kres tej twojej zabawie.

Caleb roześmiał się, zaraz jednak spoważniał i rozejrzał się po swoich ludziach.

– Jakieś rany?

Zgodnie z przewidywaniami skaleczeń było całkiem sporo – zresztą ani Calebowi, ani Phillipe’owi nie udało się ich uniknąć. Tylko trzy rany okazały się na tyle poważne, by trzeba je było zabandażować. Na szczęście nie stracili

żadnego człowieka. Wspólnie pozbierali trupy, rozpalili ognisko, zagotowali wodę i opatrzyli wszystkie zranienia.

Na koniec Caleb wdrapał się na galerię przed koszarami, powiódł wzrokiem po siedlisku i się skrzywił.

– Z przykrością muszę was poinformować, że trzeba tu posprzątać.

Phillipe też podczas rejsu zapoznał się z dziennikami Roberta, wiedział więc, o co chodzi przyjacielowi. Westchnął.

– Z przykrością muszę się z tobą zgodzić. To miejsce ma wyglądać tak, jakby Kale i jego ludzie... rozpłynęli się w powietrzu.

– Nie możemy zostawić żadnych śladów walki. – Caleb spojrzał z góry na swoją drużynę. Skutki stoczonej bitwy odczują później, teraz wciąż rozpierała ich energia. – Siedlisko musi wyglądać tak, jakby Kale i jego ludzie po prostu stąd odeszli.

Zajęło im to cztery godziny, ale gdy skończyli, w obozowisku było czysto i schludnie. Panowała tu cisza i przedziwny spokój, jakby miejsce tylko czekało, aż zjawią się mieszkańcy. Ciała zabitych wywieźli na wózkach w głąb dżungli nieuczęszczanym szlakiem wschodnim i pochowali we wspólnym grobie na polanie. Caleb zabrał ze sobą dziennik Roberta ze szkicami przedstawiającymi twarze części handlarzy. Sporządziła je Aileen Hopkins, która dołączyła do jego brata podczas poprzedniej misji. Dzięki jej portretom mieli pewność, że pozbyli się nie tylko Kale’a i Rogersa, lecz także człowieka nazwanego przez Aileen

szczurołapem, który swym wyjątkowo melodyjnym głosem wywabiał dzieci z domów, kusząc je obietnicą zarobku. Kiedy ostatnie ciało trafiło do grobu, Caleb zamknął dziennik i powiedział:

– I tak przy odrobinie szczęścia udało nam się zlikwidować jedno gniazdo robactwa.

– Odwaliliśmy dziś kawał porządnej roboty – dodał Phillipe.

– Tak, Kale tajemniczo zniknął i raczej nikt się nie domyśli, gdzie ani dlaczego.

Rzuciwszy po raz ostatni okiem na siedlisko, Caleb odwrócił się i ruszył za Phillipe’em w głąb dżungli. Nikt nawet nie zasugerował, że mogliby tu spędzić noc. Wszyscy woleli rozbić prowizoryczny obóz na polanie, gdzie zostawili swoje rzeczy.

Gdy dotarli na miejsce, prymitywne namioty już stały, a pod kociołkiem wesoło płonął ogień. Wszyscy rozsiedli się, a raczej osunęli wyczerpani wokół ogniska. Obejrzeli rany. A gdy posiłek był gotowy, zjedli.

Potem siedzieli przy ogniu w milczeniu. Nikt nie śpiewał, nie było żadnych opowieści. Dzisiejszego dnia każdy z nich zadał śmierć. Choć zdążyli już przywyknąć do tego, że nić życia nazbyt często gwałtownie się urywa, teraz, gdy emocje związane z walką opadły, ich miejsce zajęły ponure myśli. Trzeba było zatroszczyć się o własne sumienie i je uspokoić.

Ogień nieco przygasł. Dały się słyszeć ciche życzenia dobrej nocy. Owinięci w koce wyglądali nadejścia snu.

Jutro czeka ich kolejny etap misji.
Ruszą do kopalni.

Dwa

– John powiedział mi przy śniadaniu, że nie wie, jak długo jeszcze uda mu się opóźniać otwarcie drugiego korytarza.

Katherine Fortescue zerknęła na swoją towarzyszkę, Harriet Frazier. Obie korzystały z okazji, by rozprostować nogi, okrążając teren kopalni podczas porannej przerwy w pracy.

Rzecz jasna, w czasie spaceru mogły mówić otwarcie, bez obawy, że ktoś podsłucha ich rozmowę.

John, o którym wspomniała Harriet – to znaczy kapitan John Dixon, dawniej inżynier wojskowy, pierwszy uprowadzony z Freetown – był jej ukochanym. Gdy nie zgodził się opracować dla nieznanych mocodawców planu wydobycia diamentów z nowo odkrytego złoża, Dubois, przywódca najemników, tylko uśmiechnął się zimno. I Dixon ani się spostrzegł, jak Harriet dołączyła do niego w niewoli.

Gróźb, do jakich Dubois się uciekł, by zmusić Dixona, aby ten spełnił jego żądania, nie sposób opisać. Przypominała o nich blizna na policzku Harriet, na którą kapitan wciąż spoglądał ze smutkiem i zgrozą. Jego ukochana była jednak z niej dumna. Zdaniem Harriet, tak samo zresztą jak pozostałych więźniów, Dixon po prostu zrobił to, co musiał, by ocalić im obojgu życie.

Dlatego nadal postępowali w ten sam sposób – mimo pozorów rezygnacji wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci

w kopalni zjednoczyli się, oddani bez reszty jednej sprawie: ucieczce.

Najpierw wolność. Odwet musiał zaczekać.

Katherine już dawno nauczyła się zachowywać kamienną twarz. Razem z Harriet sprawiały wrażenie obojętnych, gdy po woli kroczyły wydeptaną ścieżką z oczyszczalni, gdzie odłupywały kawałki rudy, by wyłuskać diamenty wydobyte w kopalni, i dalej obok wschodniego końca długich koszar. To tu Dubois i jego ludzie pracowali i spali – o ile nie stali na warcie przy bramie, nie patrolowali granic obozu, nie eskortowali jeńców w drodze po wodę z pobliskiego jeziora albo nie obserwowali terenu z wysokiej wieży. Osłaniając oczy, Katherine zerknęła w górę na dwóch najemników pełniących służbę na wieży.

– Zważywszy na to, że produkcja w oczyszczalni spada – mruknęła – z przykrością muszę stwierdzić, że rozumiem Johna. – Spojrzała na Harriet. – Spotkajmy się dziś wieczorem i wybadajmy, co myślą inni. Tylko przez pewien czas możemy sabotować działania Dubois, nie narażając się na ryzyko.

Mówiąc „inni”, miała na myśli faktycznych przywódców ich maleńkiej społeczności – porwanych oficerów. Katherine została uprowadzona, bo jako guwernantka umiała zajmować się dziećmi, a ponadto znakomicie haftowała – Dubois szybko zorientował się, że jej bystry wzrok może się przydać w oczyszczalni. W rezultacie uczynił z niej rzeczniczkę i przywódczynię kobiet i dzieci.

Harriet zaś była jej zastępczynią wybraną spośród sześciu kobiet, które uprowadzono ze względu na ich zdolności manualne.

– Szkoda, że nie ma jakiegoś prostszego i mniej stresującego sposobu.

Harriet skrzywiła się, lecz zaraz znów przywołała na twarz wyraz obojętności.

– To nieustanne balansowanie na linie. Wiem, że Johnowi bardzo to ciąży.

– Świetnie sobie radzi. Gdyby nie on, całkowicie stracilibyśmy nadzieję. – Katherine położyła dłoń na ręce Harriet i leciutko ją ścisnęła. – Wszyscy rozumiemy jego rozterki. Musimy dostarczyć Dubois dość diamentów, żeby zadowolić jego zleceniodawców – kimkolwiek są – a jednocześnie na tyle spowolnić pracę, by złoże nie wyczerpało się zbyt szybko.

Żaden z więźniów nie miał złudzeń, co się stanie, gdy zapadnie decyzja o zamknięciu kopalni. Wszyscy zginą. Ustawią ich w szeregu i rozstrzelają. Albo zrobią coś jeszcze gorszego.

Zważywszy na to, jakich potworności Dubois i jego ludzie dopuścili się wobec pewnej młodej dziewczyny w początkach działalności kopalni i jakie groźby rzucali pod adresem kobiet i dzieci, by zmusić mężczyzn do posłuszeństwa i uległości, coś gorszego w tym wypadku oznaczało prawdziwy horror. Coś tak przerażającego, że lepiej było o tym nie myśleć. Zwłaszcza że Dubois był zimny,

bezlitosny i zdawało się, że w jego potężnym ciele nie ma miejsca na żadne skrupuły ani uczucia wyższe.

Ponieważ kopalnia znajdowała się na ziemi należącej do jednego z tubylczych wodzów, Dubois i jego mocodawcy nigdy nie odważyli się porwać nikogo z miejscowego plemienia. Wodza nie interesował jednak los Europejczyków – dlatego wybór padł na Anglików z Freetown. W dodatku wszyscy oni posiadali umiejętności potrzebne do pracy w kopalni.

Kapitan John Dixon był doświadczonym saperem, specjalistą od budowy tuneli. Kilku uprowadzonych mężczyzn znało się na stolarce, pozostali nawykli do kilofa. Kobiety również miały przydatne kwalifikacje. Tylko dzieci nie musiały nic umieć – wystarczyło, że były zdrowe, miały zwinne ręce i bystry wzrok.

Wśród jeńców znalazło się nawet kilka osób z doświadczeniem medycznym, co okazało się niezwykle użyteczne. W kopalni od czasu do czasu zdarzały się wypadki, dlatego też na terenie obozu znajdował się całkiem przyzwoicie wyposażony barak medyczny.

Katherine musiała przyznać jedno: fakt, że Dubois z wielką determinacją skupiał się na efektywności i wydajności ich pracy, okazał się bardzo pomocny. W końcu utrzymanie siły roboczej w możliwie dobrej kondycji i zdrowiu leżało w interesie zarówno jego samego, jak i jego mocodawców.

Dlatego mimo gróźb – a żaden z jeńców nie wątpił, że gdyby go do tego zmusili, Dubois spełniłby je bez

mrugnięcia okiem – starał się zaspokajać wszystkie ich potrzeby. W zamian mieli tylko pracować i dostarczać mu surowych diamentów.

Za to mu płacono, i to bardzo sowicie – by kopalnia działała bez zakłóceń i potajemnie wysyłała kamienie do Amsterdamu, przynosząc zyski swoim właścicielom.

Tożsamości owych właścicieli nikomu na razie nie udało się odkryć. Choć sam Dubois był Francuzem, a jego podkomendni pochodzili z różnych stron świata, wśród więźniów panowała zgoda co do tego, że łajdakami pociągającymi za sznurki musieli być Anglicy.

Katherine razem z Harriet okrążyły wieżę, minęły magazyn i ogromną otwartą kuchnię pod zadaszeniem z liści palmy, gdzie nad trzema paleniskami wisiały kociołki, których doglądał potężny kucharz. Katherine nigdy wcześniej nie spotkała nikogo równie gburowatego – kucharz spoglądał spode łba na wszystkich, nawet na Dubois.

Szły dalej wzdłuż koszar, zostawiając po lewej długi barak, w którym spały kobiety i dzieci, a za nim jak zwykle szeroko otwartą bramę prowadzącą na teren obozu. Po obu jej stronach stali strażnicy.

Granicę obozu wyznaczało prymitywne ogrodzenie z desek powiązanych grubymi pnączami i drutem. Miejscami wydawało się nieco chwiejne i pewnie można by je sforsować, ale nawet gdyby udało im się wydostać, dokąd mieliby iść?

Fakt, że nikt nie wiedział, gdzie się znajdują i jak daleko musieliby szukać schronienia – w połączeniu ze świadomością okrutnej kary, jaką Dubois bez wątpienia wymierzyłby pozostałym – wystarczył, by potulnie trzymali się swego więzienia.

Ale tak naprawdę wcale nie byli potulni, po prostu okoliczności zmuszały ich do pragmatyzmu.

Mogli uciec tylko wszyscy razem, i to dopiero wtedy, gdy będą wiedzieli, w którą stronę się udać i jak daleka droga ich czeka.

Okrążywszy miejsce, gdzie więźniowie spędzali czas razem – ogromne palenisko otoczone drewnianymi balami – Katherine i Harriet minęły barak mężczyzn i otwartą gardziel kopalni. Wszyscy mężczyźni, którym nie przydzielono innych zadań, pracowali w korytarzu, teraz długim już na prawie pięćdziesiąt metrów, wyrąbanym centymetr po centymetrze w zboczu stromego wzgórza, które wyrastało z dżungli nagle, jakby wypchnęła je w górę jakaś pierwotna siła. Mijając wejście, obie zajrzały do środka. Światło latarni odbijało się od nierównych, grubo ciosanych ścian, lecz w korytarzu nikogo nie było widać. Wszyscy mężczyźni znajdowali się głębiej: pracowali przy resztkach pierwszego złoża albo razem z Dixonem badali drugie, które dzięki Bogu udało mu się odkryć.

Nowe złoże pozwoliło im złapać oddech – dzięki niemu może zdołają przetrwać dość długo, by wymyślić sposób ucieczki.

Z tym, że sami muszą zapewnić sobie ocalenie, pogodzili się już wszyscy. Początkowo czekali, skupiając się tylko na tym, by przeżyć. Mieli nadzieję, że w końcu nadejdzie pomoc, że ktoś z kolonii przyjdzie im na ratunek.

Trudno bowiem było uwierzyć, że tylu dorosłych – zarówno kobiet, jak i mężczyzn, wielu z koneksjami, zajmujących wysoką pozycję – a do tego całą gromadę dzieciaków można uprowadzić z jednego miejsca ot tak, bez rozgłosu.

Mijały jednak tygodnie, a potem miesiące i żaden ratunek nie nadchodził. A kiedy prysła wszelka nadzieja, na moment pogrążyli się w rozpaczy.

Byli jednak Anglikami. Zmobilizowali się więc i postanowili, że przeżyją. A potem w końcu uciekną.

Na razie nie wiedzieli, jak to zrobić, ale prędzej czy później tego dokonają.

Katherine nigdy w to nie wątpiła, bo inaczej oznaczałoby to, że nie ma nadziei ani dla niej, ani dla tej gromady rozwydrzonych dzieciaków, za które czuła się odpowiedzialna.

Część tej gromady właśnie teraz pracowała. Starsze dziewczynki kucały w cieniu prymitywnej przenośnej markizy – Katherine wystarała się o nią u Dubois – przed stertą odłamków skalnych, które chłopcy razem z młodszymi dziewczynkami wynosili z kopalni. Do tego właśnie były potrzebne dzieci. Kręciły się wokół mężczyzn pracujących w korytarzu, zbierały urobek i ładowały go do plecionych koszy. Załadowane kosze taszczyły na zewnątrz

i opróżniały na stertę, którą przeglądały starsze dziewczynki.

Diamenty opuszczały kopalnię ukryte w rudzie, dlatego każdą grudkę trzeba było obejrzeć w poszukiwaniu śladów świadczących o tym, że w środku kryje się skarb. Bryłki, w których mogły znajdować się diamenty, dziewczynki przekazywały kobietom, a te za pomocą niewielkich młoteczków i dłut oczyszczały znalezisko, wydobywając surowy kamień.

Oczyszczone diamenty wysyłano ponoć do Amsterdamu na statkach przepływających przez Freetown.

Grudki, które dziewczynki uznały za niewarte uwagi, wyrzucały na drugą stertę. Gigantyczna góra takich odpadów, wznosząca się nieopodal granicy obozu, stanowiła wymowne świadectwo tego, ile skały mężczyźni zdołali już wydrzeć ziemi, a dzieci posortować.

Katherine i Harriet zatrzymały się obok dziewczynek i uśmiechnęły pokrzepiająco, gdy te podniosły wzrok.

Jedna z nich, blada i jasnowłosa, spytała Katherine:

– Przyjdzie pani później? – Wskazała na stertę odrzutów. – Dziś będzie tego całkiem sporo.

Katherine pokiwała głową. Do jej obowiązków należało kontrolowanie pracy dziewczynek – musiała sprawdzić, czy nie przeoczyły jakiejś wartościowej bryłki.

– Przyjdę po południu.

Słysząc odgłos kroków, Katherine i Harriet się odwróciły. Od strony baraku medycznego nadchodził wysoki, zgrabny szatyn nazwiskiem Hillsythe w towarzystwie Jeda

Mathersa, jednego ze stolarzy. Hillsythe był dżentelmenem i mimo że tak jak wszyscy nosił robocze ubranie, w ich niewielkiej społeczności odgrywał ważną rolę. Miał poza tym pewne doświadczenie medyczne – Jed wracał do kopalni z zabandażowanym nadgarstkiem.

Gdy obaj mężczyźni zrównali się z Katherine i Harriet, Hillsythe zwolnił, a następnie przystanął i kiwnął głową Jedowi.

– Staraj się nie używać tej ręki do końca dnia. Poproś o pomoc któregoś z chłopców.

– Tak jest. – Jed skłonił się z szacunkiem kobietom i wszedł do tunelu.

Spoglądając za stolarzem, Hillsythe powiedział:

– Niedługo będziemy musieli zacząć eksploatować drugie złoże. Z pierwszego niewiele już zostało.

– Tak słyszałam – odparła Katherine. – Podejrzewam, że pytanie brzmi, jak uda nam się utrzymać wydajność, gdy Dixon otworzy drugi korytarz.

Hillsythe pochylił głowę na znak potwierdzenia i zarazem eleganckiego pożegnania.

– Zatem do wieczora. Jak zwykle po kolacji.

Katherine i Harriet patrzyły, jak w ślad za Jedem znika w kopalni. Dubois i jego mocodawcy w osadzie zamierzali pojmać tylko jednego oficera – Dixona. Ze względu na swoje umiejętności był im niezbędny. Nie przewidzieli jednak, że tropem zaginionego nadciągną inni. Pierwszy przybył porucznik William Hopkins, za nim zaś porucznik Thomas Fanshawe, obaj z marynarki. Wreszcie zjawił się Hillsythe,

który wprawdzie nie służył w wojsku, ale miał jakieś powiązania z armią.

Obecność oficerów początkowo bardzo zaniepokoiła Dubois – nie był wszak głupcem i potrafił zwęszyć niebezpieczeństwo. Mimo to szybko okazało się, że przybycie Hopkinsa miało też dobre strony. Jeńcy, którzy w większości rekrutowali się spośród marynarzy uprowadzonych z doków i tworzyli nieskładną dotąd zbieraninę, uznali autorytet Willa Hopkinsa. Mimo że nie miał jeszcze trzydziestki, wrodzone zdolności przywódcze sprawiły, że natychmiast zdobył posłuch.

Will był dość sprytny, by spostrzec, że upodobanie Dubois do skutecznej i bezproblemowej pracy więźniowie mogą obrócić na własną korzyść.

I tak zaczęli odgrywać komedię na użytek przywódcy najemników. Wprawdzie Katherine, tak jak i reszta, wolałaby się nie zakładać, do jakiego stopnia Dubois wierzył w ich potulność i uległość, jednak wyglądało na to, że dopóki więźniowie nie sprawiali mu kłopotów, a mocodawcy byli zadowoleni, nie zamierzał w nic ingerować.

Według Hillsythe’a Dubois był uosobieniem idealnego najemnika. Nie dożyłby swojego wieku ani nie zdobyłby tak absolutnego posłuchu wśród swoich ludzi, gdyby nie wiedział, jak należy prowadzić podobne przedsięwzięcia. Jego dewizą była skuteczność i wydajność, dlatego dopóki praca szła zgodnie z oczekiwaniami, reszta go nie obchodziła.

Pod przewodnictwem Dixona, Hopkinsa i Fanshawe’a porwani mężczyźni stworzyli zgraną drużynę, podzieloną na cztery oddziały, którymi dowodzili trzej oficerowie i Hillsythe. Ten ostatni ponadto pełnił funkcję stratega. To on po rozpracowaniu sposobu działania Dubois wszczął alarm, gdy pierwsze złoże zaczęło się wyczerpywać, i zasugerował, by Dixon kopał w poszukiwaniu kolejnego.

Gdyby nie dalekowzroczność Hillsythe’a, ich sytuacja byłaby teraz nie do pozazdroszczenia.

Kiedy Dixonowi udało się znaleźć drugie złoże i wszyscy odetchnęli z ulgą, Hillsythe zasugerował, by inżynier zaczął spontanicznie „pomagać” Dubois, oczywiście za wiedzą pozostałych jeńców. Przejście na stronę wroga kogoś takiego jak Dixon, entuzjasty pracy, człowieka podnieconego możliwością eksploatacji nowych, być może jeszcze bogatszych pokładów diamentów, mogło zdaniem Hillsythe’a wypaść wiarygodnie.

Dixon niechętnie odniósł się do tego pomysłu, reszta jednak, dostrzegając związane z tym korzyści, nakłoniła go do zmiany zdania.

Stosując się do rad Hillsythe’a, inżynier zaczął więc „być pomocny” tam, gdzie nie miało to wpływu na los jeńców.

W rezultacie Dubois uwierzył w jego przemianę i w sprawach dotyczących kopalni zaczął darzyć go rosnącym zaufaniem. Dzięki temu udało się odwlec moment otwarcia drugiego korytarza. Ponieważ Dixon nie potrafił stwierdzić, jak bogate są nowe pokłady, postanowili eksploatować pierwotne złoże jak najdłużej – dopóki urobek

będzie wystarczający, by zaspokoić apetyty mocodawców Dubois – zanim zaczną wydobywać kamienie z drugiego.

Dixon zręcznie grał na zwłokę. Utrzymywał, że przed otwarciem drugiego korytarza trzeba przeprowadzić zakrojone na szeroką skalę badania, żeby ograniczyć ryzyko zniszczenia nowych pokładów lub zawalenia się im wzgórza na głowę. Dubois przyznał mu rację i zgodził się na opóźnienie.

Teraz jednak, gdy pierwsze złoże niemal się wyczerpało, musieli zacząć eksploatować drugie. Mocodawcy Dubois mogliby źle zareagować na spadek wydajności kopalni, a przecież nikt nie chciał, by rozkazali pozbyć się nadmiarowych górników.

Żaden z więźniów nie miał wątpliwości, że Dubois nie zawahałby się przed odstrzałem zbędnych jeńców.

Ciekawe, że kiedy wszyscy inni stracili nadzieję na ratunek, Hillsythe wciąż zdawał się czekać, aż ktoś przyjdzie im z pomocą. Wprawdzie ostatnio nie wspominał o tym ani słowem, ale Katherine wyczuwała w nim cichą, milczącą pewność.

To zaś przypomniało jej, że Hillsythe nigdy nie wyjaśnił im, kto wysłał go tropem Fanshawe’a.

Gdy Hillsythe zniknął w kopalni, uwagę Katherine przykuł tupot kroków. Od strony kuchni pędził do niej mały chłopiec. Odwróciła się do niego z uśmiechem.

– Diccon. – Gdy poślizgnął się, hamując gwałtownie, wyciągnęła rękę i odgarnęła mu z czoła jasnozłote włosy. – Idziesz już?

– Tak, proszę pani. – Uniósł w górę koszyk, który miał ze sobą. – I na pewno wrócę przed zachodem słońca.

Katherine dostrzegła cień w jego błękitnych oczach.

– Wiem, że wrócisz. Idź więc, nie zwlekaj.

Razem z Harriet patrzyły, jak Diccon gna do bramy. Choć był wysoki, miał zaledwie siedem lat. Trafił do obozu razem z grupą dzieci uprowadzonych z ubogich przedmieść Freetown. Nie mógł jednak znieść pyłu w kopalni – męczyły go napady kaszlu i szybko podupadł na zdrowiu.

Dubois zastanawiał się, czy nie pozbyć się chłopca, Katherine jednak przekonała go, że Diccon wcale nie jest ciężarem, po prostu nie nadaje się do kopalni. Jeśli Dubois chce, żeby więźniowie pracowali wydajnie i nie chorowali, to zarówno dorośli, jak i dzieci powinni jeść więcej owoców, których przecież tyle rośnie w okolicy – Diccon mógłby je zbierać. Dubois przemyślał sprawę i zgodził się, by chłopiec codziennie chodził do lasu, pod warunkiem że wróci przed zapadnięciem zmroku. Jeśli tak się nie stanie, zabije dwoje dzieci – jego najbliższych przyjaciół. Stąd właśnie wziął się cień w oczach chłopca.

Diccon polubił wycieczki do lasu i szybko stał się mistrzem w zbieraniu owoców i orzechów. Cały czas jednak martwił się, że jeśli coś przeszkodzi mu wrócić na czas, będzie winien śmierci przyjaciół.

Ten miecz Damoklesa wiszący nad głową chłopca był niepotrzebny. Nikt przy zdrowych zmysłach nie pomyślałby, że Diccon będzie próbował uciec. Dokąd miałby pójść?

Gdyby nie wrócił do obozu, w dżungli czekałaby go pewna śmierć.

Spoglądając na znikającą postać chłopca, Harriet westchnęła.

– Wiele bym dała, żeby raz na jakiś czas wybrać się do lasu.

Katherine uniosła brwi.

– Dlaczegóż by nie poprosić o to jego wysokości?

Harriet zerknęła na nią niepewnie.

– Myślisz, że się zgodzi?

– Mógłby, gdyby mu to odpowiednio przedstawić. Zauważyłam, że bardzo lubi te duże orzechy, które przynosi Diccon. Wszystkie zatrzymuje dla siebie.

Zawróciły w stronę oczyszczalni. Najwyższa pora wracać do pracy. Na schodkach przed drzwiami Katherine powzięła decyzję.

– Nie widzę powodu, żeby nie poprosić Dubois, by jedna z nas mogła towarzyszyć Dicconowi. Powiem mu, że w zamian wszystkie jesteśmy gotowe pracować codziennie pół godziny dłużej.

Twarz Harriet pojaśniała.

– Znakomity pomysł. Na Boga, przecież Dubois wie, że żadna z nas nie jest na tyle głupia, żeby próbować ucieczki.

– Nie wiemy nawet, w którą stronę miałybyśmy się skierować – dodała Katherine.

Otworzyła drzwi i weszła do środka. Harriet podążyła za nią i po chwili obie już siedziały na swoich stołkach przy długim stole pośrodku baraku.

Mary Wilson uniosła wzrok znad diamentu, z którego odłupywała właśnie kawałki rudy, uśmiechnęła się do nich i zaraz wróciła do pracy. W obozie było w sumie sześć kobiet – wszystkie znajdowały się teraz w oczyszczalni. Tworzyły zżytą, zaprzyjaźnioną grupę. Katherine była z nich najbardziej pewna siebie i najlepiej potrafiła radzić sobie z Dubois, reszta jednak nieraz wspierała jej działania. Mimo że pochodziły z różnych środowisk – Katherine była guwernantką, Harriet młodą dziewczyną z dobrej rodziny, która, podążając za Dixonem, przybyła do Freetown w poszukiwaniu posady, Mary pomocnicą w sklepie i jego współwłaścicielką, Ellen Mackenzie kolejną młodą kobietą szukającą uczciwej pracy, Annie Mellows i Gemma Halliday zaś wykwalifikowanymi hafciarkami z ubogich przedmieść – dobrze się czuły w swoim towarzystwie.

Nauczyły się wzajemnie sobie ufać.

Strażnik, który zjawił się w oczyszczalni na kwadrans przed wyjściem Katherine i Harriet – pozostałe kobiety wybrały się na przechadzkę już wcześniej – wciąż tu był. Opierał się leniwie o ścianę i znudzonym wzrokiem przyglądał się ich pracy.

Dziesięć minut później ogromny mężczyzna się poruszył.

– Bywajcie, drogie panie – powiedział, przeciągając samogłoski, i wyszedł.

Drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem.

Wszystkie kobiety przy stole podniosły wzrok na Katherine. Ta zaś, odczekawszy chwilę, pokiwała głową.

Wówczas Mary ześlizgnęła się ze stołka, podeszła do drzwi, ostrożnie je uchyliła i wyjrzała na zewnątrz.

– Poszedł do koszar – powiedziała z uśmiechem.

Nigdy nie wiedziały, kiedy może do nich zajrzeć strażnik. Nigdy też nie były pewne, czy któryś nie został i nie kręci się w pobliżu, aby podsłuchać ich rozmowę i potem o tym donieść. Ten jednak – tak samo zresztą jak większość – postanowił zrobić sobie wolne.

Mary zamknęła drzwi i wróciła na swoje miejsce przy stole. Spojrzała na Katherine.

– Jakieś wieści?

– Postanowiłam poprosić Dubois, żebyśmy mogły wychodzić z Dicconem do lasu.

– Och! – rozpromieniła się Gemma. – Znakomity pomysł.

Zaczęły dyskutować z ożywieniem, jak najlepiej przedstawić tę sprawę komendantowi obozu. Katherine zerknęła na Harriet, ale ta lekko pokręciła głową, zdecydowana nie wspominać o otwarciu drugiego tunelu.

Będzie czas, żeby o tym porozmawiać. Najpierw jednak muszą poznać fakty.

* * *

Charles Babington stał ukryty w cieniu sterty bel bawełny wyładowanych z któregoś żaglowca i przyglądał się, jak inspektor Kompanii Handlowej Macauley i Babington razem z oficerem służby celnej zaglądają pod pokład „Holenderskiej Księżniczki”, frachtowca zmierzającego do Amsterdamu.

Charles płonął z niecierpliwości podsycanej rozpaczą. Mary Wilson, jego wybranka, zaginęła wiele tygodni temu, a jemu nic w tej sprawie nie udało się zrobić. Razem z przybyciem Roberta Frobishera pojawiła się wprawdzie nadzieja, ale Frobisher też zniknął – do tej pory już pewnie wrócił do Anglii. Czy doprowadził do końca swą misję – dzięki której udałoby się odnaleźć Mary – Charles nie wiedział. Gdyby mógł napisać do Frobishera, może uzyskałby jakieś informacje.

Nie miał jednak pojęcia, gdzie Robert czy jego brat Declan mieszkają. Niewykluczone, że jeśli wysłałby list na adres Kompanii Transportowej Frobisher i Synowie w Londynie lub Aberdeen, ten w końcu dotarłby do Roberta. Być może.

Charles jednak sam zgodził się nic nie robić, byle tylko diamenty – albo złoto, choć obaj z Frobisherem obstawiali, że diamenty – nie opuściły Freetown w ładowni któregoś z cumujących tu statków.

To w jego mocy leżało zlecanie kontroli wszystkich żaglowców odpływających do Anglii lub któregoś z pobliskich portów na kontynencie. Amsterdam, światowa stolica handlu diamentami, był jednym z nich, toteż „Holenderska Księżniczka”, wraz z innymi statkami zmierzającymi w tamtym kierunku, została poddana szczegółowej inspekcji celnej.

Obecność Charlesa nie była konieczna – w rzeczywistości nie miał żadnego powodu, by towarzyszyć kontrolerom – ale

przywiodło go tu poczucie bezradności, które nie opuszczało go ani na chwilę.

Wolał być na miejscu na wypadek gdyby inspektorzy natknęli się na nielegalny ładunek nieoszlifowanych diamentów.

Kapitan statku, przysadzisty mężczyzna, który z wyglądu przypominał raczej Anglika niż Holendra, stał obok otwartego luku z rękami skrzyżowanymi na szerokiej piersi. Nagle, jakby czując na sobie wzrok Charlesa, zerknął na niego.

Powiedział coś do inspektora, po czym wszedł na trap, zeskoczył na nabrzeże i pomaszerował w stronę Babingtona.

Charles nie ruszył się z miejsca.

Kapitan zatrzymał się na wprost niego.

– Babington, prawda?

Charles lekko pochylił głowę.

– Ma pan nade mną przewagę. Nie sądzę, by nas sobie przedstawiono.

Mężczyzna odsłonił zęby w uśmiechu.

– Jestem kapitanem żaglowca, który pan wstrzymuje. – Obejrzał się za siebie, a potem spojrzał na port. – Nie wiadomo, czy uda nam się wypłynąć na czas. – Przeniósł wzrok z powrotem na Babingtona. – O co chodzi z tą inspekcją?

Charles uśmiechnął się słabo. Ze znudzeniem spojrzał w oczy kapitana.

– Rutynowa kontrola. Macauleyowi czasami odbija i wtedy nie ma wyjścia, trzeba szukać nieszczęśnika, który narusza naszą licencję. – Kompania Macauley i Babington miała wyłączność na transport towarów z Freetown do Anglii.

Kapitan chrząknął.

– Cholerne utrapienie. – Spojrzał na swój żaglowiec.

Charles skierował wzrok w tę samą stronę i zobaczył, że inspektor razem z oficerem służby celnej wchodzą na trap. Tuż za nimi maszerowała reszta celników.

– Nareszcie! – Kapitan zerknął na Babingtona. – Pan wybaczy.

Charles kiwnął głową, krzywiąc się niezauważalnie.

– Pomyślnych wiatrów.

Kapitan zasalutował mu szyderczo i ciężkim krokiem ruszył w stronę statku.

Charles patrzył za nim, zastanawiając się – nie po raz pierwszy w ciągu ostatniego miesiąca – czy informacje Frobishera aby na pewno były prawdziwe. Czy faktycznie gdzieś w okolicy działa nielegalna kopalnia diamentów? I czy rzeczywiście transporty odchodzą z Freetown? Jak dotąd nie udało mu się wpaść na żaden ślad przemytu.

Tymczasem na pokładzie „Holenderskiej Księżniczki” kapitan zaczął wydawać rozkazy. Marynarze zeskoczyli na nabrzeże, żeby odwiązać cumy. Charles nie miał tu już nic więcej do roboty. Wbijając wzrok w sfatygowane deski kei, które przesłaniał mu obraz słodkiej twarzy Mary, ruszył za inspektorem w stronę swojego biura.

Na żaglowcu panowało ożywienie, szykowano się do postawienia żagli. Kapitan zerknął przez ramię, a gdy zobaczył, że Babington odchodzi, odwrócił się z prychnięciem.

– O co chodziło? Mamy się czym martwić? – zapytał pierwszy oficer.

Kapitan zawahał się, po czym powiedział:

– Babington twierdził, że to rutynowa kontrola, ale ja wcale nie jestem tego taki pewien. Gdyby chodziło o zwykłą inspekcję, po co sam by tu przychodził?

Pierwszy oficer zakołysał się na obcasach.

– Myśli pan, że wiedzą?

– Nie. Gdyby wiedzieli, mielibyśmy prawdziwe kłopoty. – Rozejrzał się, nikt jednak na nich nie patrzył. – Nietrudno byłoby posłać za nami kuter, ale nie sądzę, żeby to zrobili. Na wszelki wypadek miej oczy szeroko otwarte.

– Tak jest. – Pierwszy oficer milczał przez chwilę, po czym spytał: – A więc wciąż płyniemy po przesyłkę?

– Ma się rozumieć. Zabieramy się stąd i ruszamy w stronę północnego wybrzeża. Zaczekamy kilka godzin, aż prąd się zmieni, upewnimy się, że nikt nas nie śledzi, i wpłyniemy do estuarium.

Pierwszy oficer kiwnął głową.

– Zawsze się zastanawiałem, dlaczego odbieramy przesyłkę dopiero po opuszczeniu portu, skoro musimy po nią wracać. – Wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Teraz już rozumiem.

Kapitan odburknął coś i ruszył w stronę steru.

Kilka minut później „Holenderska Księżniczka” opuściła nabrzeże portu we Freetown.

Trzy

Caleb zatrzymał się, żeby ściągnąć apaszkę z szyi i otrzeć nią pot z czoła. Już drugi dzień wędrowali szlakiem wiodącym – przynajmniej początkowo – na północ od obozu Kale'a. Wczoraj jednak dobrze wydeptana ścieżka zakręciła i przez kilka ostatnich godzin maszerowali na wschód.

Dziś szlak zaczął się wspinać w górę, jeszcze bardziej zbaczając na wschód. Zaczęli też napotykać prymitywne pułapki. Gdy natknęli się na pierwszą, na czele pochodu szedł Phillipe. To był zwykły dół, który Francuz zauważył zawczasu, okrążyli go więc, nie naruszając maskujących go gałęzi. Potem znaleźli jeszcze trzy następne, które najwyraźniej miały tylko odstraszać nieproszonych gości, łatwo bowiem było ich uniknąć.

Obecność pułapek potwierdzała, że idą właściwym tropem, jednak od kilku kilometrów nie natknęli się na żadną nową zasadzkę.

Caleb rozejrzał się wokół. Wszędzie dżungla. Zbliżało się południe. Nie widział nieba – cholerna roślinność była zbyt gęsta. Zamknięta przestrzeń mocno dawała się we znaki komuś nawykłemu do otwartego morza. Calebowi brakowało też światła. I świeżego powietrza.

Phillipe, który razem z Reynaudem zamykał pochód, podszedł i zatrzymał się obok przyjaciela.

– Czas na postój. – Wskazał na prześwit między drzewami. – Tam jest polana.

Przeszli jeszcze jakieś dziesięć metrów dobrze wydeptanym szlakiem. Polana, którą wypatrzył Phillipe, znajdowała się na lewo. Powlekli się w jej stronę, zrzucili worki, plecaki i broń, po czym rozłożyli się na liściach lub rozsiedli na zwalonych kłodach i sięgnęli po skórzane bukłaki.

Na szczęście wody w dżungli było pod dostatkiem. Znaleźli też jadalne owoce i orzechy. Nieśli zresztą ze sobą zapasy suszonego mięsa, które wystarczyłyby na ponad tydzień. Gdyby nie duchota, byłaby to całkiem miła wędrówka.

Phillipe usiadł obok Caleba na zwalonym drzewie.

– Wspinamy się już godzinę. Szlak wciąż idzie w górę. Sądząc z tego, co wiemy od nieocenionej panny Hopkins, kopalnia jest pewnie niedaleko. Dzieci, zwłaszcza te najmłodsze, musiały się tu straszliwie męczyć.

Caleb przełknął wodę i pokiwał głową.

– Wciąż się zastanawiam, czy nie ominęliśmy jakiegoś ukrytego przejścia, ale ścieżka wygląda na uczęszczaną i cały czas prowadzi w tym samym kierunku.

Phillipe rozejrzał się i mruknął:

– Myślę, że kiedy ruszymy, powinniśmy ograniczyć rozmowy do minimum.

Caleb zakorkował bukłak.

– W każdym razie dopóki nie znajdziemy kopalni. Las jest tutaj bardziej zwarty i moglibyśmy podejść za blisko. Nie

wolno nam zdradzić się ze swoją obecnością, a już na pewno nie możemy dopuścić do konfrontacji.

Phillipe uśmiechnął się cierpko.

– Choćbyśmy nie wiem jak chcieli.

Caleb chrząknął i wstał. Trzy minuty później cała drużyna wyruszyła w dalszą drogę.

Wystarczył kwadrans, by ich podejrzenia się potwierdziły. Na polanie, którą Caleb dostrzegł z przodu po prawej, mignęło mu coś jasnego. Złapał Phillipe'a za ramię. Reszta drużyny zastygła w oczekiwaniu.

Phillipe przysunął się bliżej i wytężył wzrok. Pnie i olbrzymie liście palm nie pozwalały mu dostrzec tego, co widział przyjaciel.

Wreszcie jasny promień poruszył się i Frobisher wyraźnie go zobaczył.

– To chłopiec – wyszeptał. – Ma złote włosy, jasną skórę i zniszczone ubranie.

– Zrywa owoce – dodał Phillipe. – Co chcesz zrobić?

Caleb uważnie rozejrzał się po okolicy.

– Wygląda na to, że jest sam. Nie widzę nikogo więcej, a ty?

– Ja też nie. Ani nie słyszę.

– Jeśli zjawimy się tam wszyscy, przestraszy się i ucieknie. – Caleb zdjął plecak i podał go Phillipe'owi. – Czekajcie tu na mój sygnał.

Francuz pokiwał głową.

Caleb ruszył w stronę chłopca, starając się go nie spłoszyć. Mały wyglądał na jakieś osiem lat i był straszliwie

chudy – sama skóra i kości. Miał na sobie podarte bure spodenki i luźną bluzę z tej samej szorstkiej tkaniny. To jasne włosy chłopca, lśniące w promieniach słońca, któremu udało się przedrzeć przez baldachim liści, przykuły uwagę Caleba.

Chłopiec okrążał właśnie pnącze, którego okrągłe ciemnoczerwone owoce były – co drużyna Caleba zdążyła już odkryć – słodkie i jadalne. Uwagę chłopca całkowicie pochłaniała praca – zrywał owoce i wrzucał je do plecionego koszyka.

Koszyk świadczył o tym, że dziecko musiało się odłączyć od jakiejś grupy. Rysy twarzy pozwalały przypuszczać, że jest Anglikiem.

Chłopak musiał być z kopalni.

Frobisher dotarł na skraj polany i powiedział cicho:

– Nie bój się, proszę. I nie uciekaj.

Chłopiec drgnął i odskoczył. Złapał koszyk i ścisnął rączkę, aż pobielały mu kłykcie.

Szeroko otwartymi błękitnymi oczami wpatrywał się w nieznajomego mężczyznę.

Caleb nie ruszył się, tylko powoli rozłożył ręce, pokazując puste dłonie.

Chłopiec był gotów w każdej chwili rzucić się do ucieczki.

Gdyby to zrobił, Frobisherowi pewnie nie udałoby się go złapać. Nie w tym lesie.

– Wysłano mnie, żebym odszukał pewnych ludzi, Anglików uprowadzonych z Freetown – powiedział powoli i wyraźnie spokojnym głosem. – Podejrzewamy, że są wykorzystywani

do pracy w kopalni. Chcemy ją odnaleźć. Wiesz, gdzie może być?

Dzieciak milczał.

– Wiesz, gdzie mogą być ci ludzie?

Chłopiec zwilżył językiem wargi.

– Kim pan jest?

Nie zamierzał uciekać, w każdym razie nie w tej chwili. Caleb zwykle dobrze czuł się w towarzystwie dzieci i chętnie się z nimi bawił. Wiedział więc, że jeśli chce się je do czegoś przekonać, dobrze jest mówić prawdę, potrafią bowiem rozpoznać każde kłamstwo.

– Przypłynąłem z Londynu. Jest tam grupa ludzi, która stara się odnaleźć porwanych. Ale musimy działać powoli i ostrożnie, żeby źli ludzie, którzy ich uprowadzili, niczego się nie domyślili.

I nie zabili więźniów. Tego jednak nie powiedział na głos.

Chłopiec jeszcze chwilę wpatrywał się w jego twarz, a potem przeniósł wzrok na ubranie, broń i buty.

– Teraz ukucnę – zapowiedział Caleb.

Z bliska znacznie górowałby nad chłopcem, co mogłoby go wystraszyć. Poza tym z tej pozycji dużo trudniej byłoby mu go zaatakować, więc mały mógł się czuć bezpiecznie.

Chłopiec wyraźnie się rozluźnił, choć nadal spoglądał na niego czujnie. Po chwili zaczął zerkać też w kierunku dżungli za jego plecami.

– Nie jest pan sam, prawda?

– Prawda. Kazałem reszcie zostać z tyłu, żebyś się nie wystraszył. Na ścieżce jest jeszcze dwudziestu czterech

ludzi.

Chłopiec zamrugał.

– Czyli razem dwudziestu pięciu. Macie broń.

Caleb przytaknął.

Chłopiec zmarszczył brwi. Wyglądało na to, że przestał się bać. Rachował coś w myślach przez dłuższą chwilę, po czym pokręcił głową.

– To za mało. – Spojrzał Calebowi w oczy. – Strażników w kopalni jest więcej i okrutnie dobrze się biją.

A więc kopalnia istnieje. I jest niedaleko.

– Nie przybyliśmy na ratunek, tylko na zwiady. Mamy odszukać kopalnię i przekazać informacje do Londynu – powiedział, niemal słysząc jęk Roberta oburzonego tym, że zdradza małemu dziecku, o którym nic nie wie, takie szczegóły. – Dopiero wtedy wyruszy ekspedycja ratunkowa i zjawi się dość ludzi, żeby rozprawić się ze strażnikami.

Chłopiec uśmiechnął się radośnie.

– Rany! Nigdy mi nie uwierzą, jak im o tym powiem! Będą skakać ze szczęścia! Tyle czasu czekaliśmy, aż się ktoś zjawi.

Caleb uciszył go gestem ręki.

– Zanim komukolwiek o tym powiesz, chcę, żebyś wiedział, że naszą misję musimy utrzymać w tajemnicy. Strażnicy nie mogą się dowiedzieć, że tu jesteśmy. – Z powagą spojrzał w oczy chłopca. – Gdyby się zorientowali, że nadchodzi pomoc, twoim ludziom mogłoby grozić niebezpieczeństwo.

Radość chłopca w jednej chwili przygasła. Pokiwał głową na znak, że zrozumiał.

– W porządku. – Znów zerknął na dżunglę. – To co teraz zrobicie, jak już nas znaleźliście?

– Chciałbym, żebyś nas zaprowadził bliżej kopalni. W jakieś miejsce, skąd moglibyśmy się przyjrzeć, ale tak, żeby nikt nas nie widział. Możesz to zrobić?

– Pewnie!

– Najpierw jednak chętnie bym posłuchał, co mógłbyś nam powiedzieć o kopalni. – Caleb zerknął za siebie. – Jak masz na imię?

– Diccon.

– Ja się nazywam Caleb. A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym zawołać swoich ludzi, żebyśmy wszyscy mogli usłyszeć, co masz do powiedzenia.

Diccon pokiwał głową na znak zgody.

Caleb podniósł się i gestem przywołał drużynę. Nadeszli jego tropem, starając się nie zostawiać śladów. Po przywitaniu Diccona kilku z nich, łącznie z Phillipe’em, przykucnęło.

Caleb również ukucnął. Chciał, by jego twarz znalazła się na wysokości twarzy chłopca.

– No dobrze. Powiedz nam, czy wokół kopalni jest jakieś ogrodzenie?

Chłopak niezwykle jasno i szczegółowo zaczął im opisywać, jak wygląda cały teren – a właściwie obóz – wokół kopalni, otoczony prymitywnym, rozpadającym się

parkanem. Gdy wspomniał o baraku medycznym, Caleb i Phillipe spojrzeli po sobie zaskoczeni.

– To bardzo przydatny opis – powiedział zgodnie z prawdą Frobisher. – A ilu strażników pilnuje terenu?

– Hm. – Diccon zmarszczył brwi. Odstawił koszyk i zaczął liczyć na palcach. Wreszcie czoło mu się wygładziło. – W tej chwili dwudziestu czterech plus Dubois. Sześciu poszło na wybrzeże, żeby zanieść diamenty.

Caleb zamrugał.

– Czyli wydobywacie diamenty.

– Tak – odparł Diccon. – Myślałem, że pan wie.

– Podejrzewaliśmy, że tak jest, ale aż do tej pory nie mieliśmy pewności. – Caleb przechylił głowę. – Mówisz, że strażnicy zabrali diamenty na wybrzeże. Nie do Freetown?

– Uhm. To znaczy tak uważają wszyscy w obozie. Niosą skrzynię w stronę miasta, ale przekazują ją gdzieś na wybrzeżu. W ten sposób w kolonii nikt o niczym nie wie.

– Tych sześciu, którzy poszli na wybrzeże, wraca tą drogą? – Phillipe wskazał na ścieżkę, którą przyszli.

Dobre pytanie. Caleb poczuł ulgę, widząc, że chłopiec przecząco kręci głową.

– Ta droga prowadzi do obozu Kale’a. – Oczy Diccona zmatowiały, a twarz spochmurniała. – Nie chcielibyście tam iść.

– Kale’a już nie ma – powiedział Caleb. – Odszedł razem ze swoimi ludźmi.

– Naprawdę? – Diccon przez chwilę wpatrywał się w twarz Frobishera, a gdy dotarło do niego, co to znaczy,

oczy zrobiły mu się okrągłe jak spodki.

Zanim jednak zdołał wypowiedzieć pytanie, które najwyraźniej cisnęło mu się na usta, odezwał się Phillipe:

– To którędy strażnicy chodzą na wybrzeże?

– Jest inna droga, właściwie to nawet kilka. Jedna nad jezioro, skąd bierzemy wodę. Jest też ta, którą nas przyprowadzili. I jeszcze jedna, która rozwidla się niedaleko bramy. Ci, którzy zabierają diamenty, skręcają na północny zachód. Myślimy, że to droga do Freetown. Można się tam dostać też przez obóz Kale'a, ale Dubois – to komendant obozu – zwykle każe ludziom, których wysyła z diamentami, załatwiać też sprawunki. Przynoszą żywność i inne rzeczy, które można dostać tylko w mieście.

Caleb pokiwał głową. Mapa, którą stworzył w myślach, zaczęła nabierać kształtów.

– Powiedziałeś, że ta ścieżka się rozwidla. Dokąd prowadzi druga odnoga?

– Z tego, co wiem, prosto na północ. Pewnie na wybrzeże, a po drodze jest tylko dżungla. – Diccon zamilkł na chwilę. – I może jacyś tubylcy. Widzi pan, ta ziemia należy do jednego wodza i Dubois mu płaci, żeby kopalnia mogła działać. Myślimy, że ten wódz mieszka właśnie gdzieś tam. Stąd ta ścieżka. Ale nikt z kopalni nią nie chodzi.

Phillipe zerknął na Caleba, a ten leciutko kiwnął głową. Oto droga, którą mogliby się wycofać.

– Opowiedz nam jeszcze o strażnikach.

– Razem z kucharzem i jego pomocnikiem, którzy są tak samo okropni jak reszta, jest ich trzydziestu. No i jest

jeszcze Dubois, ich dowódca. Wszyscy go słuchają. Ma dwóch… przybocznych, tak się chyba mówi. Arsene'a, zastępcę, i Crippsa. Strażnicy są wielcy i silni, mają pałasze, moc noży, a kilku też pistolety. Ci na wieży i przy bramie mają muszkiety.

Caleb powoli pokiwał głową. Najlepiej byłoby zobaczyć to wszystko na własne oczy. Najpierw jednak…

– Jak to możliwe, że pozwalają ci się tu kręcić samemu? Bo jesteś sam, prawda?

Chłopiec zmarkotniał.

– Tak. Nie nadaję się do kopalni. Cały czas tylko kaszlę i kaszlę. Dubois chciał mnie zabić, powiedział, że jestem bezużyteczny i że nie będzie karmił darmozjada. Ale panna Katherine się za mną wstawiła. – Wyprostował się. – Powiedziała, że mógłbym zbierać owoce i orzechy, żeby kucharz odpowiednio karmił wszystkie dzieci. I dorosłych też. Powiedziała, że dzięki temu wszyscy będziemy mogli lepiej pracować. I Dubois się zgodził.

– Panna Katherine to znaczy panna Fortescue?

– Tak jest. Właśnie ona. Ale wszystkie dzieci nazywają ją panną Katherine. To ona za nas odpowiada.

I walczy o dzieci jak lwica, skoro wstawiła się za chłopcem.

Diccon westchnął.

– Bardzo chciałbym uciec, ale Dubois powiedział, że jeśli nie wrócę przed zmrokiem, zabije moich kolegów. – Jego twarz nagle pobladła. – Dlatego jeszcze nigdy się nie spóźniłem. Ten Dubois to prawdziwy diabeł.

– Wierzysz w jego groźby? – spytał łagodnie Phillipe.

Diccon spojrzał mu w oczy.

– Wszyscy wierzą. Nawet pan Hillsythe. Według pana Hillsythe'a Dubois to taki łajdak, który lubi zabijać, i nie ma wątpliwości, że zrobi dokładnie to, co mówi.

Caleb zerknął na Phillipe'a. Hillsythe był człowiekiem Wolverstone'a, jego opinia zasługiwała na uwagę.

– W porządku – powiedział. – Myślę, że już czas, żebyśmy rzucili okiem na kopalnię. Najpierw jednak... – wstał i popatrzył na zgromadzonych mężczyzn – musimy znaleźć miejsce na obóz. Na tyle blisko kopalni, żeby móc ją obserwować, i dość daleko, żeby nikt się na nas nie natknął. Pomyślałem, że może warto poszukać czegoś wzdłuż tej ścieżki na północ, którą nikt nie chodzi.

Diccon pokiwał głową.

– Znam takie jedno miejsce. Właśnie przy tej ścieżce. To całkiem spora polana.

Caleb położył rękę na ramieniu chłopca.

– Możemy się tam dostać, nie zbliżając się do kopalni?

– Pewnie. Zaraz panów zaprowadzę. – Na jego twarz powrócił radosny uśmiech. Chwycił swój koszyk. – Znam całą okolicę. Mogę chodzić, gdzie chcę. Owoce i orzechy rosną przecież wszędzie.

– Czy ktoś z obozu mógł nas usłyszeć? – spytał Phillipe.

– Nie, skąd. Jesteśmy dość daleko, a poza tym drzewa i krzaki nie przepuszczają dźwięków. Często słychać kogoś dopiero, jak już jest tuż obok.

Caleb dał znać swoim ludziom, że mają iść za nim, i razem z Phillipe’em podążył za chłopcem.

Gdy dotarli do ścieżki, którą przyszli z obozu Kale’a, Diccon wskazał głową, że mają ją minąć i iść dalej.

– Pójdziemy dookoła, przez las, aż dotrzemy do drugiej ścieżki.

Okazało się, że chłopiec rzeczywiście dobrze zna okolicę. Bezbłędnie odnajdował drogę wśród drzew i gęstego poszycia. Gdy zbliżyli się do szlaku, gestem nakazał im ostrożność. Caleb położył mu rękę na ramieniu i pochyliwszy się, spytał szeptem:

– Co takiego?

– To droga na północny zachód, ta, którą noszą diamenty. Nie sądzę, żeby już wracali, ale…

– Dobry chłopak. – Caleb poklepał go po ramieniu. – Zawsze lepiej mieć się na baczności.

Na skraju ścieżki przystanęli i nadstawili uszu, nic jednak nie było słychać. Szybko minęli wydeptany szlak i znów zanurzyli się w dżunglę. Dziesięć metrów dalej Caleb obejrzał się – nie dostrzegł nic prócz zieleni. Co za szczęście, że udało im się znaleźć przewodnika. Bez Diccona krążyliby po okolicy jak ślepcy i całkiem możliwe, że wpadliby na najemników.

– Ta polana, o której mówiłem, jest kawałek dalej – powiedział Diccon, prowadząc ich wyraźnie mniej uczęszczanym szlakiem. Ścieżkę zaczęły już porastać małe drzewka i pnącza, wśród których chłopak śmigał lekko niczym duch.

W pewnej chwili skręcił na wąską dróżkę wydeptaną przez zwierzęta. Niecałe piętnaście metrów dalej opadała w stronę polany, która zgodnie z obietnicą okazała się idealnym miejscem na obóz. Była dość duża, by pomieścić całą drużynę, a w dodatku na jej skraju leniwie płynął maleńki strumień.

– Jesteśmy. – Diccon okręcił się na pięcie, rozpościerając ręce.

– Dziękuję, właśnie czegoś takiego było nam trzeba – odpowiedział Caleb z uśmiechem.

Phillipe poklepał zadowolonego chłopca po ramieniu.

– Znakomity z ciebie zwiadowca, kolego.

Reszta drużyny tymczasem zaczęła się rozlokowywać.

Caleb wspólnie z Phillipe’em szybko ustalili rozkład obozu, po czym zawezwali swoich kwatermistrzów, Quilleya i Ducasse’a.

– A teraz powiedz, chłopcze – rzekł Caleb – czy masz dość owoców, żeby kucharz był zadowolony?

Diccon zajrzał do koszyka.

– Prawie. – Rozejrzał się i wskazał nieduże drzewo obwieszone żółtymi owocami. – Przyda mi się jeszcze trochę tego.

Obaj kapitanowie razem z kwatermistrzami zaczęli zrywać dojrzałe owoce.

Uśmiechnięty Diccon patrzył, jak wsypują pełne garście do jego koszyka. Wreszcie powiedział:

– Tyle na pewno wystarczy.

– Znakomicie. – Teraz chcielibyśmy, żebyś zaprowadził nas w takie miejsce, skąd moglibyśmy po kryjomu przyjrzeć się kopalni. Masz jakiś pomysł?

Chłopiec zasalutował.

– Znam idealne miejsce, panie kapitanie. – Słyszał, że ludzie Caleba tytułują go w ten sposób.

– W takim razie prowadź.

Wrócili na ścieżkę, którą przyszli, a po jakimś czasie odbili gwałtownie w lewo, w głąb dżungli.

– Tak będzie najbezpieczniej – szepnął chłopiec, oglądając się na Caleba. – Teraz idziemy w stronę jeziora. Strażnicy prowadzą tędy ludzi po wodę, ale rano. O tej porze nie powinno tam być nikogo.

Zatrzymali się za kępą palm. Chłopiec dał im ręką znać, żeby ukucnęli i przekradli się za nim do następnej kępy. Prześlizgując się niczym wąż, ruszył przed siebie.

Caleb natychmiast zrozumiał, dlaczego Diccon nakazał im zachować wyjątkową ostrożność. Dziesięć metrów dalej stał drewniany parkan, oddzielony od dżungli pasem wolnej przestrzeni, zostawionym po to, by nikt niezauważony nie mógł podkraść się pod ogrodzenie. Brama wiodąca na teren obozu znajdowała się jakieś pięć metrów na prawo od nich. Była szeroko otwarta – pilnowało jej dwóch uzbrojonych strażników. Wprawdzie uwaga obu skupiała się na tym, co się działo w środku, ale jeden nieostrożny ruch by wystarczył, żeby ich zaalarmować.

Zważywszy że brama była otwarta, Caleb uznał, że prawdziwym zadaniem strażników – także tych na wieży

obserwacyjnej pośrodku obozu – było pilnowanie więźniów. Bandyci najwyraźniej całkowicie lekceważyli niebezpieczeństwo, które mogło nadciągnąć od strony dżungli.

I bardzo dobrze.

Obserwowali obóz przez ponad pół godziny. Caleb zauważył, że teren patrolują uzbrojeni wartownicy, którzy co jakiś czas pojawiali się w różnych miejscach. Wyraźnie było widać, że są straszliwie znudzeni. Udało im się także zobaczyć kilku jeńców – zarówno mężczyzn, jak i kobiety – swobodnie poruszających się po terenie obozu. Co więcej, niektórzy przystawali, żeby ze sobą porozmawiać, nie budząc bynajmniej zainteresowania strażników.

Ciekawe.

Wreszcie Caleb zauważył, że Diccon spogląda na niebo. Słońce chyliło się ku zachodowi. Pamiętając, co chłopiec mówił o czasie swojego powrotu, odszukał wzrokiem Phillipe’a i wskazał głową, że czas się wycofać.

Diccon ruszył pierwszy, a oni podążyli za nim.

Zatrzymali się w miejscu, gdzie nie mogli ich usłyszeć strażnicy przy bramie. Caleb położył rękę na ramieniu chłopca i spojrzał mu w oczy.

– Dziękuję za pomoc. Komu w obozie najbardziej ufasz?

– Pannie Katherine.

Caleb spodziewał się, że chłopiec wskaże któregoś z mężczyzn, ale odpowiedź padła tak szybko i była tak zdecydowana, że nie było sensu się spierać.

– Dobrze. Chcę, żebyś powtórzył pannie Katherine wszystko, czego się od nas dowiedziałeś. Pamiętasz, co mówiłem?

– Pamiętam wszystko. Mam bardzo dobrą pamięć.

Caleb nie potrafił powstrzymać uśmiechu.

– Znakomicie. Zatem powtórz to pannie Katherine, ale nikomu więcej. Zobaczymy, co na to powie. Jutro idź po owoce w stronę jeziora. Zachowuj się zwyczajnie. Znajdziemy cię. Będziemy chcieli usłyszeć, co ma nam do powiedzenia.

Twarz Diccona pojaśniała.

– To znaczy, że jestem… kurierem?

– Właśnie tak. – Phillipe uśmiechnął się do chłopca. – Tylko pamiętaj, że dobry kurier przekazuje wiadomości jedynie tym, do których są adresowane. Nikomu więcej ani słowa, zrozumiano?

Chłopiec pokiwał głową.

– Nie puszczę pary z ust. Powiem tylko pannie Katherine.

– Bardzo dobrze. – Caleb poklepał chłopaka po ramieniu. – Myślę, że powinieneś trochę pokręcić się po okolicy i nadejść z innej strony.

– Wrócę ścieżką znad jeziora. W ten sposób będzie pan wiedział, którędy się tam idzie.

Caleb uśmiechnął się z aprobatą.

– Urodzony z ciebie zwiadowca. – Kiwnął głową na pożegnanie. – A teraz zmykaj.

Diccon, szczerząc zęby w uśmiechu, zasalutował i dziarsko ruszył w głąb dżungli. Po chwili stracili go z oczu.

– Bystry dzieciak – zauważył Phillipe. – Ale wolałbym, żeby był już w środku.

Pięć minut później Diccon wyłonił się z dżungli po lewej. Wymachując koszykiem, minął miejsce, w którym czekali w ukryciu, i nawet nie zerknąwszy w ich stronę, od razu śmignął przez bramę. Skręcił w prawo i zniknął im z oczu.

– Pewnie poszedł zanieść owoce kucharzowi. Mówił, że kuchnia jest z tamtej strony.

Jakieś dziesięć minut później Diccon pojawił się znowu, tym razem bez koszyka. Minął bramę i ruszył w drugi koniec obozu. Wydawało się, że czegoś szuka. Nagle obrócił się gwałtownie, jakby go ktoś zawołał.

Nawet z tej odległości widzieli, że jego twarz pojaśniała. W ich polu widzenia pojawiła się młoda kobieta. Miała brązowe włosy i jasną karnację. Poruszała się z wdziękiem, który zdradzał dobre urodzenie. Uśmiechając się, podeszła do chłopca i wyciągnęła ręce. Diccon ujął jej dłonie.

Ze wzrokiem utkwionym w twarzy chłopca kobieta przykucnęła i nachyliła się w jego stronę. Diccon natychmiast zaczął jej coś opowiadać.

– Najwyraźniej to panna Katherine.

Kobieta była o wiele młodsza, niż się Caleb spodziewał – prawdę mówiąc, nie miał pojęcia, że guwernantki mogą być tak młode. Na pewno uwierzyła w to, co Diccon jej powiedział – świadczył o tym rzut oka w stronę ich kryjówki.

Zaraz jednak zreflektowała się i z powrotem utkwiła wzrok w twarzy chłopca. Caleb zdążył dostrzec jej nieme

wołanie o pomoc, przez które przebijało się coś niezwykle cennego: nadzieja.

Diccon skończył opowieść. Panna Katherine wyprostowała się, pociągnęła go za rękę i zdecydowanym krokiem ruszyła w kierunku kopalni. Po chwili oboje zniknęli z pola widzenia.

Caleb i jego ludzie jeszcze przez kilka minut obserwowali teren obozu, nikt jednak nie podniósł alarmu. Nie działo się nic ciekawego.

Frobisher nachylił się do Phillipe’a i szepnął:

– Musimy zajrzeć za bramę. Potrzebujemy szerszej perspektywy.

– Myślałem o tym samym i zobacz, co wypatrzyłem. – Ruchem głowy wskazał w górę. – Obóz leży w kotlince i jeśli się przyjrzysz uważnie…

Caleb spojrzał. A ponieważ wzrok miał przywykły do odczytywania flag żaglowców na morzu, szybko dostrzegł miejsce, które wypatrzył przyjaciel.

– Jest idealne. – Obejrzał się na Quilleya i Ducasse’a. – Mamy dość czasu, żeby dostać się na tę półkę przed zachodem słońca.

Miejsce okazało się doskonałe do obserwacji całego obozu. Półka była na tyle szeroka, że wszyscy czterej mogli na niej wygodnie usiąść, a liście drzew ukryły ich przed wzrokiem ludzi na dole. Kolejne pół godziny przyglądali się strażnikom i więźniom, udało im się także zidentyfikować budynki, o których opowiadał Diccon. Niestety, większość

uprowadzonych mężczyzn była akurat w kopalni, nie mogli ich więc zobaczyć.

Pomiędzy wejściem do tunelu, budynkiem, który według opisu Diccona służył jeńcom za sypialnię, i koszarami, gdzie spali strażnicy, znajdowało się ogromne palenisko otoczone kłodami, na których można było usiąść. Wokół niewielkiego ognia – płonął raczej po to, by zapewnić światło niż grzać – zgromadziły się teraz kobiety. Panna Katherine dołączyła do nich, ale sądząc po ich spokojnych twarzach, najwyraźniej jeszcze nie podzieliła się z nimi wieściami, które przyniósł jej Diccon. Spoglądała za to często w stronę wejścia do kopalni.

– Czeka, aż zjawią się mężczyźni – powiedział Phillipe. – Chce najpierw powiedzieć wszystko przywódcy.

Caleb pokiwał głową.

– Dobrze byłoby zostać i zobaczyć, kto to, ale powinniśmy już iść, żeby zdążyć do naszego obozu przed zmrokiem.

Schodzenie w ciemności ze wzgórza wznoszącego się nad obozowiskiem pełnym uzbrojonych wrogów oznaczałoby absolutny brak odpowiedzialności.

Phillipe skrzywił się, ale kiwnął głową. Wstali więc i ścieżką wydeptaną przez zwierzęta ruszyli w dół, omijając szerokim łukiem obozowisko wokół kopalni. Wkrótce zagłębili się w mroku dżungli.

Cztery

Następnego ranka Caleb i Phillipe w towarzystwie Ellisa i Nortona, dwóch ludzi z „Księcia”, wrócili na skalną półkę.

A gdy już rozlokowali się na granitowym występie, Caleb powiedział:

– Zobaczmy, czy uda się nam ustalić rozkład zajęć w obozie. – Wyciągnął z kieszeni spodni ołówek i mały notes.

Phillipe, który nie należał do rannych ptaszków, mruknął niechętnie. Usiadł jednak obok przyjaciela, podciągnął wysoko kolana, oparł na nich podbródek i choć powieki mu ciążyły, wbił wzrok w obozowisko na dole.

Straże zmieniły się o szóstej. Niedługo potem z baraków zaczęli wychodzić więźniowie – szli umyć się do przybudówek wzniesionych po bokach budynków. Na rozpiętych z tyłu sznurkach wisiało jakieś pranie. Wreszcie wszyscy ruszyli w kierunku zadaszonej kuchni. Wziąwszy stamtąd talerze i kubki, wrócili do paleniska i rozsiedli się na kłodach, żeby zjeść.

Strażnicy zebrali się na śniadanie pod zadaszeniem z liści palm wzniesionym nieopodal kuchni. Ze skały, na której siedzieli, Caleb i jego ludzie nie widzieli ich wyraźnie.

– Chętnie bym się przyjrzał temu Dubois i jego przybocznym – mruknął Frobisher.

Wśród najemników, których do tej pory widzieli, żaden nie wyglądał na komendanta.

– Ten, który właśnie dołączył do tamtej trójki, to Hopkins. – Caleb wskazał na czterech mężczyzn siedzących razem przy palenisku. – W Southampton poznałem jego siostrę. Oboje mają nietypowy kolor włosów.

– Założę się – powiedział Phillipe, mrużąc oczy – że ten szczupły szatyn to Hillsythe. Wygląda dokładnie tak, jak powinien wyglądać człowiek Wolverstone'a. Co znaczy, że dwaj pozostali to Fanshawe i Dixon.

– To by pasowało. Obaj wyglądają na wojskowych.

Więcej nikogo nie udało im się rozpoznać. Caleb zapisał liczbę jeńców w notesie.

– W sumie dwudziestu trzech mężczyzn, sześć kobiet i dwadzieścia czworo dzieci.

Phillipe poruszył się niespokojnie.

– Większość dzieci to malcy, mają góra dziesięć lat. Tylko pięcioro – czterech chłopców i ta jasnowłosa dziewczynka – sprawia wrażenie starszych.

– To pewnie ci – powiedział Caleb, przyglądając się dziewczynce – których pozwolili uprowadzić Robert i Aileen.

Phillipe z ponurą miną pokiwał głową.

– Tak, pamiętam, jak Robert o tym pisał.

Po śniadaniu więźniowie rozeszli się do swoich zajęć. Mężczyźni grupkami ruszyli w stronę kopalni. W ślad za nimi podążyła większość dzieci. Kilka dziewczynek rozsiadło się pod markizą u podnóża góry. Małymi

młoteczkami zaczęły opukiwać odłamki skał, które leżały na stercie obok, a następnie odkładały je na jedną z dwóch kupek.

– Pewnie oddzielają bryłki, w których mogą być diamenty – zauważył Phillipe.

Kobiety odniosły cynowe naczynia do kuchni i stamtąd poszły do baraku znajdującego się dokładnie za koszarami. Teren przed wejściem patrolował uzbrojony strażnik, ale tak samo jak reszta wartowników, łącznie z dwoma, którzy wdrapali się na wieżę, i dwoma, którzy zajęli miejsce przy otwartej niedawno bramie, sprawiał wrażenie przekonanego, że nie grozi im żadne niebezpieczeństwo.

– Jakby tu byli tylko na pokaz – mruknął Norton.

Panna Fortescue jako ostatnia weszła do baraku – tego, który Diccon nazywał oczyszczalnią. Coś w sposobie, w jaki trzymała głowę, wyraźnie wskazywało, że traktuje strażników z lekceważeniem. Nie była to wprawdzie jawna pogarda, niemniej subtelny znak oporu.

Chociaż Calebowi bardzo zależało na tym, by zanotować wszystkie szczegóły dotyczące obozu, przez kilka minut z upodobaniem przyglądał się pannie Fortescue. Miała lśniące brązowe włosy i twarz w kształcie serca; pomimo nędznych warunków panujących w niewoli wyglądała – na ile mógł stwierdzić z tej odległości – czarująco. W dodatku nawet bura bezkształtna suknia, którą nosiły wszystkie kobiety w obozie, nie była w stanie ukryć jej ponętnych kształtów.

Zupełnie nie potrafił wyjaśnić, dlaczego dziewczyna, której nigdy wcześniej nie widział na oczy, tak przykuła jego uwagę i pobudziła zmysły.

– Wciąż nie udało mi się doliczyć wszystkich strażników – wyrwał go z zamyślenia Phillipe – ale Diccon mówił, że teraz jest w obozie dwudziestu czterech plus Dubois.

Caleb zanotował tę informację i znów zerknął w dół.

Czterech mężczyzn – ale nie oficerów, którzy tymczasem zniknęli w kopalni – czekało na coś obok wejścia do tunelu. Wtem z koszar pośrodku obozu wyszło dwóch najemników uzbrojonych w pistolety i ruszyło w ich kierunku.

Gdy byli już całkiem blisko, jeden ze strażników wskazał stojący nieopodal wózek z dwiema ogromnymi beczkami na wodę i czterema dużymi baniakami służącymi do ich napełniania. Mężczyźni ustawili się gęsiego, złapali za dyszel i ruszyli w stronę bramy.

Caleb patrzył, jak przechodzą z wózkiem przez bramę i kierują się w stronę jeziora.

Gdyby poszli ścieżką, którą wspięli się na półkę, w drugą stronę, dotarliby nad jezioro. Wczoraj wprawdzie go nie zauważyli, ale dziś rano połyskująca między drzewami tafla wody przyciągnęła ich wzrok. Nadłożyli więc drogi, żeby tam zajrzeć. Zasilane strumieniem spływającym ze zbocza jezioro było małe, ale sądząc po intensywnym kolorze wody, stosunkowo głębokie. Z jednej strony zbudowano coś na kształt krótkiego nabrzeża, by łatwiej było czerpać wodę. Reszta linii brzegowej ginęła wśród gęstej zieleni.

Caleb i jego ludzie wciąż obserwowali teren obozu, ale wyglądało na to, że zarówno więźniowie, jak i strażnicy rozeszli się do swoich zajęć. Jedynie dzieci co jakiś czas pojawiały się w zasięgu wzroku, taszcząc koszyki pełne urobku z kopalni. Wysypywały ich zawartość na stertę, obok której pracowały dziewczynki, i wracały do tunelu.

Caleb zajął się więc sporządzaniem szczegółowej mapy terenu. Oznaczył wszystkie budynki i konstrukcje, opisał ścieżki – łącznie z tą, która prowadziła na skalną półkę – zaznaczył nawet położenie ich własnego obozu. Wreszcie naniósł na mapę jezioro – pokusił się przy tym o prymitywny szkic z pamięci. Przyglądał się przez chwilę mapie, po czym zerknął na Phillipe'a.

– Ta broń, którą zabraliśmy ludziom Kale'a... – Zanim pogrzebali handlarzy niewolników, przeszukali wszystkie zabudowania i na wszelki wypadek zabrali ze sobą całą znalezioną broń. – Nie potrzebujemy jej aż tyle. Może schowalibyśmy ją gdzieś w pobliżu, żeby więźniowie mogli z niej skorzystać, gdy trzeba będzie uciekać?

Phillipe wzruszył ramionami.

– Dlaczego nie? Lepsze to, niżbyśmy mieli ją wyrzucić. Gdzie chciałbyś ją ukryć?

– Nad jeziorem. Na końcu nabrzeża jest niewielki wzgórek. – Phillipe, Norton i Ellis pochylili się nad szkicem. – Jeśli zakopiemy broń tutaj, więźniowie będą mogli ją wydobyć. Po wodę przychodzi czterech jeńców i tylko dwóch strażników, więc może im się udać.

Phillipe pokiwał głową.

– Poza tym łatwo będzie opisać to miejsce.

– A skoro ekspedycja ratunkowa ma przybyć za miesiąc, góra dwa, prowizoryczne zabezpieczenie powinno wystarczyć, żeby proch wciąż nadawał się do użytku.

– Wracają z wodą – powiedział nagle Norton.

Czterej więźniowie z załadowanym wózkiem mijali właśnie bramę.

– Strażnicy też wrócili – zauważył Phillipe. – Z tego, co mówił Diccon, nad jeziorem już do końca dnia nie będzie nikogo.

– Znakomicie się składa. – Caleb spojrzał na Ellisa. – Idź do obozu i powiedz Quilleyowi, żeby wziął trzech ludzi, zapakował zbędną broń i amunicję, zaniósł ją nad wodę i zakopał na końcu nabrzeża. Idź z nim i dopilnuj, żeby trafił w odpowiednie miejsce.

– Powiedz Ducasse'owi, żeby wziął dwóch moich ludzi do pomocy – dodał Phillipe. – Im więcej rąk do pracy, tym szybciej się z tym uporają.

Ellis zasalutował i ruszył w dół zbocza.

Caleb, Phillipe i Norton wrócili do obserwowania terenu. Po jakimś czasie Phillipe zauważył:

– Zdaje się, że Diccon powinien niedługo wyruszyć po owoce. Spotkaliśmy go koło południa, a koszyk miał prawie pełny, więc najwyższy czas.

– Widziałem, jak szedł do kuchni – powiedział Norton. – Pomógł kobietom odnieść naczynia i więcej się nie pojawił.

– Właśnie idzie.

Caleb patrzył, jak szczupła postać, którą łatwo było poznać po jasnej czuprynie, wyskakuje spod zadaszenia kryjącego kuchnię. Chłopiec niósł ze sobą dwa koszyki, jednak zamiast ruszyć ku bramie, okrążył wieżę. Caleb zmarszczył brwi.

– Dlaczego dwa koszyki? Dokąd on idzie?

Odpowiedź nadeszła niebawem. Diccon podszedł do oczyszczalni, wszedł po schodkach i zapukał. Kiedy drzwi się otworzyły, zaczekał i po chwili zszedł na dół w towarzystwie Katherine Fortescue.

Panna Fortescue wzięła od chłopca jeden koszyk i razem ruszyli w stronę bramy. Na ich widok strażnicy nie wykonali najmniejszego ruchu – patrzyli, jak oboje wychodzą i znikają w lesie.

– Aż nie chce się wierzyć, że to prawda – mruknął Caleb, marszcząc czoło.

Phillipe zachmurzył się nieco.

– Chłopak nie mówił, że ktoś z nim przyjdzie.

To, co widzieli, mogło oznaczać, że panna Fortescue powtórzyła Dubois to, czego się dowiedziała od Diccona. Frobisherowi wprawdzie nie chciało się w to wierzyć, ale…

– Zobaczymy, czy ktoś za nimi pójdzie.

Nikt ich jednak nie śledził. Nikt nie zainteresował się parą jeńców, którzy najwyraźniej wybrali się po owoce.

Pół godziny później Caleb spojrzał pytająco na Phillipe’a. Przyjaciel tylko wzruszył ramionami.

– Wprawdzie kobiety to zdrajczynie, ale… kto wie?

Caleb schował notes do kieszeni i wstał.

– Nie sądzę, żeby panna Fortescue była zdrajczynią, ale tylko w jeden sposób możemy się o tym przekonać.

* * *

Katherine, która zdążyła tymczasem zebrać siedemnaście wielkich orzechów, miała nerwy napięte jak postronki. Odkąd usłyszała opowieść Diccona, targały nią sprzeczne emocje – sceptycyzm i niedowierzanie, ale także nadzieja. I ta huśtawka uczuć niosła ją raz w górę, a raz w dół, niemal w rytmie oddechu.

Chociaż więźniowie w obozie byli zdecydowani uciec, wszyscy dorośli dawno już porzucili nadzieję, że ktoś z zewnątrz przybędzie i ich ocali. Mijały dni, potem tygodnie i nikt się nie zjawiał.

Diccon jednak mówił, że ludzie, których spotkał – tajemniczy kapitan i jego drużyna – przybyli prosto z Londynu. Jeśli chłopiec dobrze zrozumiał, już od jakiegoś czasu trwała misja, której celem było uratowanie wszystkich jeńców.

Kolejny orzech powędrował do koszyka i Katherine ukradkiem się rozejrzała. Nie zobaczyła jednak ani nie usłyszała nikogo. Diccon twierdził, że jego nowi znajomi mają przyjść właśnie w to miejsce – między jeziorem a szlakiem na północ – oni zaś powinni zbierać owoce i orzechy, jak gdyby nigdy nic. Tamci ich znajdą.

Wczoraj, gdy tylko Diccon opowiedział jej o wszystkim, a ona kazała mu przyrzec, że nikomu tego nie powtórzy, odkryła, że tajemniczy kapitan Caleb już chłopca do tego zobowiązał. Nie była pewna, czy martwić się tym, czy

cieszyć. Czy ów nieznajomy kieruje się takimi samymi pobudkami jak ona, czy może ma jakiś ukryty motyw?

Mimo że bardzo chciała natychmiast poinformować o wszystkim Dixona i Hillsythe'a, faktycznych przywódców ich społeczności, nie mogła wysłać chłopca do kopalni. Musiała zaczekać aż do kolacji, zanim udało jej się porozmawiać na osobności z inżynierem, nie budząc niczyich podejrzeń.

Dixon i Hillsythe wysłuchali jej opowieści, po czym posłali ją po chłopca, aby wypytać go o szczegóły. Hillsythe'a – Katherine wciąż nie wiedziała, jaką funkcję pełnił na wolności – interesował zwłaszcza kapitan Caleb. Gdy chłopiec go opisał, w Hillsycie zaszła gwałtowna zmiana. Zawołał Willa Hopkinsa i Fanshawe'a i kazał chłopcu powtórzyć wszystko obu oficerom.

– Frobisher – wyszeptał Will i zerknął na Fanshawe'a. – Człowiek, który przybył tu z tajną misją... To musi być Caleb Frobisher.

Fanshawe z pałającym wzrokiem pokiwał głową.

– A jeśli to on... Cholera, to się dzieje naprawdę. – Spojrzał na Hillsythe'a, potem na Dixona. – Naprawdę organizują misję ratunkową.

– Musimy zachować tę informację dla siebie – odpowiedział szybko Hillsythe. – W każdym razie dopóki nie dowiemy się czegoś więcej. – Odwrócił się do Diccona. – To dotyczy również ciebie, chłopcze. W tej sytuacji spada na ciebie ogromnie ważne zadanie. Jesteś naszym jedynym łącznikiem z kapitanem Calebem.

– Prawdę mówiąc, poprosiłam dziś rano Dubois, żeby pozwolił kobietom chodzić po owoce razem z Dicconem – wtrąciła się Katherine. – Jak zwykle trzeba się było targować, ale w końcu zgodził się, żebym to ja poszła na próbę i nazbierała orzechów, które tak lubi.

Dixon uśmiechnął się szeroko.

– Wygląda na to, że los się wreszcie odmienił i choć raz wszystko układa się po naszej myśli.

Hillsythe pokiwał głową.

– Znakomicie się składa. Ale to wcale nie znaczy, chłopcze, że twoja rola jest mniej ważna. Panna Fortescue będzie naszą rzeczniczką i powie kapitanowi wszystko, co będzie chciał wiedzieć, ale to ty będziesz jej przewodnikiem. Nikt nawet w połowie nie zna okolicy tak dobrze jak ty.

Uszczęśliwiony Diccon wrócił do kolegów, a mężczyźni jeszcze chwilę zostali przy ogniu.

– Frobisher – zauważył Dixon – powiedział, że jego drużyna jest tylko oddziałem zwiadowczym. Katherine, moja droga, musi się pani dowiedzieć, jak faktycznie wygląda sytuacja, zanim pozwolimy sobie na nadzieję.

Pokiwała głową.

– Oczywiście. Pójdę jutro z Dicconem, spotkam się z... kapitanem Frobisherem i postaram się dowiedzieć jak najwięcej.

I tak oto znalazła się w lesie, zbierając orzechy, ale...

– Gdzie się, u diabła, podziewa ten Frobisher – mruknęła.

Schyliła się i nagle poczuła, że włosy zjeżyły się jej na karku. Wyprostowała się gwałtownie i rozejrzała, próbując przebić wzrokiem gęste listowie.

Zjawił się nagle, wyszedł z mroku. Pewny siebie krok, szczupła, zgrabna sylwetka, kwadratowy podbródek, gęste ciemne włosy opadające na szerokie czoło. Miał co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu, a poza tym same mięśnie i mnóstwo uroku. Przeniosła wzrok na jego twarz – dostrzegła typową dla marynarzy siatkę zmarszczek w kącikach oczu, zgrabny nos... Zatrzymała spojrzenie na wargach.

Wyglądały, jakby tylko czekały...

Z wysiłkiem oderwała od nich wzrok i popatrzyła przybyszowi w oczy. Zmarszczki w kącikach oczu pogłębiły się, kiedy się do niej uśmiechnął.

Miała wrażenie, że temperatura nagle wzrosła o kilka stopni, i przestraszyła się, że mężczyzna pozna to po jej policzkach. Na Boga, taki uśmiech powinien być prawnie zakazany!

– Dzień dobry. Panna Fortescue, jak sądzę.

Jego głos był głęboki i donośny.

– Och... tak – udało jej się wykrztusić.

Spojrzała w bok, żeby odszukać Diccona, który oddalił się gdzieś w poszukiwaniu owoców. Teraz jednak, słysząc głos Frobishera, przybiegł w te pędy.

Przyciągnęła chłopca do siebie i otoczyła go ramionami.

– Diccon powiedział nam, że chcecie dowiedzieć się jak najwięcej na temat kopalni, żeby można było zorganizować

ekspedycję ratunkową. – Spojrzała mu w oczy. – Czy to prawda?

Oderwał wzrok od jej twarzy i badawczo się rozejrzał. Gdy ponownie spojrzał jej w oczy, był śmiertelnie poważny.

– Proszę mi wybaczyć, panno Fortescue, ale muszę o to zapytać. – Ściszył głos. – Czy jest pani zupełnie pewna, że to, co powiem, trafi wyłącznie do pani towarzyszy w kopalni, a nie do Dubois? Czy mogę pani zaufać?

– Tak. – Dziwne. Jej samej rzadko z taką łatwością przychodziło zaufać komukolwiek. Dostała od losu gorzką nauczkę i nigdy nie miała tego zapomnieć. Jednak w tym człowieku, który wbrew wszelkiej nadziei pojawił się znikąd, było coś, co do niej przemawiało. Pokiwała głową i powtórzyła: – Tak. Może pan zaufać nam wszystkim. Od miesięcy pracujemy razem. Gdyby ktokolwiek trzymał z Dubois, dawno byśmy o tym wiedzieli.

Zerknęła na Diccona i nagle ją olśniło.

– Ale jeśli to fakt, że zjawiłam się tutaj z Dicconem, tak pana zaniepokoił, to musi pan wiedzieć, że po prostu poprosiłam Dubois, żeby pozwolił kobietom wychodzić na zmianę do lasu. Zgodził się na próbę, ale tylko ja mogłam skorzystać z tego przywileju, w dodatku jedynie przez godzinę, żeby nazbierać dla niego orzechów. – Wskazała na zawartość koszyka. – Bardzo je lubi. Ma nadzieję, że faworyzując mnie, uda mu się nas poróżnić. – Uśmiechnęła się kpiąco. – Niestety, ma pecha. Ktoś inny wpadł na pomysł spaceru, a ja tylko zaoferowałam, że przekażę prośbę komendantowi.

Caleb zmarszczył brwi.

– Proszę mi powiedzieć coś więcej o tym Dubois. W jaki sposób sprawuje kontrolę nad obozem?

Katherine się zawahała. Wbijając wzrok w jego przystojną twarz, powiedziała:

– Najpierw jednak... może zechciałby się pan przedstawić.

Cofnął się o krok i złożył przed nią zamaszysty ukłon.

– Kapitan Caleb Frobisher z Kompanii Frobisher i Synowie. Przypłynąłem tu z Aberdeen.

– Hopkins i Fanshawe tak właśnie pomyśleli.

– I słusznie. Nie znam ich wprawdzie osobiście, ale oni znają moich starszych braci.

Katherine zerknęła na las za jego plecami.

– Diccon mówił, że ma pan ze sobą dwudziestu czterech ludzi. Caleb uśmiechnął się szeroko do chłopca, który stał obok Katherine i wpatrywał się w niego jak urzeczony.

– To prawda, ale część poszła zakopać broń nad jeziorem, część obserwuje teren kopalni, a jeszcze inni pilnują naszego obozu. Przyprowadziłem ze sobą tylko jednego człowieka. To mój przyjaciel, kapitan, który zechciał się przyłączyć do misji. Pozwoli pani?

Kiedy kiwnęła głową, przywołał Phillipe’a i dokonał prezentacji. Musiał przyznać, że wcale nie podobał mu się widok przyjaciela kłaniającego się pannie Fortescue i całującego jej dłoń. Wiedział wprawdzie, że Francuz zawsze się tak zachowuje, ale...

Na szczęście panna Fortescue, zaszczyciwszy Phillipe’a ledwie grzecznym uśmiechem, zabrała dłoń i natychmiast

przeniosła spojrzenie orzechowych oczu na twarz Caleba.

– Broń?

– Broń. – Spojrzał na Diccona. – Może lepiej idź nazbierać owoców, żebyś mógł wrócić razem z panną Fortescue. Zostało jej najwyżej dwadzieścia minut.

Chłopiec uśmiechnął się do niego promiennie.

– Dobra! Będzie tu pan jeszcze?

– Tak. – Caleb wskazał leżące nieopodal zwalone drzewo. – Będziemy tam.

– Taa jest! Widziałem wczoraj kawałek stąd, w stronę jeziora, krzak z takimi wielkimi owocami – zwrócił się do panny Fortescue. – Pobiegnę tam i zaraz będę z powrotem.

– Zaczekam. – Katherine patrzyła, jak chłopiec znika w zaroślach. – Żadna opieka nie jest mu potrzebna. Mówił, że zabiliście Kale'a i jego ludzi. Czy to prawda?

– Nie tylko ich zabiliśmy, ale też usunęliśmy wszelkie ślady. – Spojrzał w jej śliczne orzechowe oczy, nie próbując się usprawiedliwiać. – Stąd ta broń.

– Gdy ludzie z kopalni się o tym dowiedzą, będą pana traktować jak bohatera. To Kale stał za porwaniami.

– Nawet jeśli faktycznie zorganizował porwania, pomysłodawców całego przedsięwzięcia trzeba szukać bliżej domu. – Widział jej pytający wzrok, ale go zignorował. – Nie ma pani zbyt wiele czasu, a my potrzebujemy informacji.

Kiwnęła głową. Ujął jej drobną dłoń i zaprowadził do drzewa. Katherine uniosła suknię i usiadła z wdziękiem, który przyniósłby jej uznanie w każdym wytwornym salonie.

Zamiast zająć miejsce obok, Caleb usiadł na ziemi, a przyjaciel do niego dołączył.

Gdy tylko się usadowili, Katherine zapytała:

– Co panowie chcieliby wiedzieć?

– W jaki sposób Dubois kontroluje ludzi w obozie?

Nie odwróciła wzroku.

– Przez zastraszenie.

Phillipe zmarszczył brwi.

– Jak to? Nie widzieliśmy ani śladu przemocy.

– Bo jej już nie potrzebuje. – Panna Fortescue splotła szczupłe palce. – Opowiem panom historię zasłyszaną od osób, które zjawiły się tu jako pierwsze.

I beznamiętnym tonem opowiedziała im o przemocy tak brutalnej, że obaj aż pobledli. Calebowi zrobiło się niedobrze.

– Tylko ona zginęła, nikt więcej – zakończyła Katherine. – W owym czasie byli tu Dixon, Harriet Frazier, Hopkins i Fanshawe, a oprócz nich tylko paru mężczyzn i kilkoro dzieci. Od tamtej pory wystarczy choćby ślad oporu, żeby Dubois upatrzył sobie kozła ofiarnego i zaczął grozić – cicho, spokojnie, z zimną krwią. I wszyscy wiemy, że jeśli tylko damy mu pretekst, zrealizuje swoje groźby. Bo pod maską opanowania kryje się bestia. – Twarz jej spochmurniała. Spojrzała Calebowi w oczy. – W ten sposób sprawuje nad nami kontrolę. Nigdy nie grozi temu, kogo chce zastraszyć, tylko jego bliskim.

– Dicconowi zagroził, że zabije jego kolegów – potwierdził Caleb.

– Otóż to. Dlatego robimy wszystko, co nam każe. – Katherine wyprostowała się i uniosła brodę. – Co nie znaczy, że panowie w obozie z nim nie walczą, choć innymi metodami.

– To znaczy?

– Pozwalamy Dubois wierzyć, że to on kieruje kopalnią i ma nas w garści, choć tak naprawdę to my kierujemy nim. To bystry człowiek, inteligentny, przyzwyczajony do sukcesów, ale zbyt pewny siebie.

Spojrzała na Phillipe’a i zaraz z powrotem przeniosła wzrok na Caleba.

– Dubois nie wie, jak naprawdę działa kopalnia. Ma bardzo ograniczone pojęcie na ten temat. Gdy zjawił się Hillsythe, wyjaśnił nam, jak można wykorzystać tę jego niewiedzę i tym samym kontrolować prędkość wydobywania diamentów. – Głęboko odetchnęła. – Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że kiedy złoże się wyczerpie, kopalnię zamkną, a nas zabiją. Wiedzą to nawet dzieci. Może i są małe, ale pochodzą z przedmieść i szybko się orientują, co i jak, gdy w grę wchodzi kwestia przeżycia. Tak więc staramy się oszczędnie eksploatować zasoby, żeby wystarczyły, dopóki nie będziemy mogli stąd uciec.

– Bardzo dobrze się składa – powiedział Caleb – bo my przybyliśmy tu, żeby odnaleźć kopalnię i przekazać do Londynu informacje, gdzie się dokładnie znajduje. Każda dodatkowa wiadomość będzie niezmiernie przydatna dla ekspedycji ratunkowej, która, z tego, co wiem, stanowi kolejny etap operacji.

Katherine zmarszczyła brwi.

– To znaczy, że czekamy na pomoc z Londynu? – A kiedy Caleb pokiwał głową, spytała: – Dlaczego? Dlaczego nie odnalazł nas tutaj nikt z kolonii? Czy żołnierze stacjonujący w forcie albo marynarka nie mogą nas uwolnić?

Caleb się skrzywił.

– To właśnie miałem na myśli, kiedy mówiłem, że pomysłodawcy tego przedsięwzięcia są bliżej domu. Wiemy, że jest w to zamieszanych kilka osób z Freetown, prawdopodobnie więcej niż dwie, i to w dodatku na stanowiskach. – Spojrzał jej w oczy. – Jedną z nich była lady Holbrook. Uciekła z kolonii, ale wiemy, że pozostali wciąż tu są. Ważną rolę odgrywa Muldoon, attaché morski, wciąż jednak nie znamy jego wspólników. Dlatego nie możemy wezwać pomocy z miasta. Zanimby tu dotarła... prawdopodobnie wszystkich jeńców by zgładzono, ślady działalności kopalni zatarto, a Dubois zniknąłby razem ze swoimi ludźmi.

Katherine zbladła leciutko.

– Rozumiem. To tłumaczyłoby dotychczasową ciszę.

– Co nie znaczy, że o porwanych nikt nie pamięta – pośpieszył z wyjaśnieniami Caleb. – Po prostu ze względu na działalność łajdaków, którzy za tym stoją, wasi przyjaciele z kolonii nie byli w stanie nic zrobić. Sherbrookowie na przykład wcale o pani nie zapomnieli, ale ich prośby nie dotarły do gubernatora Holbrooka, już jego żona o to zadbała. – Pokrótce opowiedział jej o misji Declana, a potem Roberta i w kilku słowach podsumował

ich odkrycia. – Widzi więc pani, że najważniejsze jest, by zgromadzić jak najwięcej informacji na temat poczynań Dubois i przekazać je do Londynu.

Kiwnęła głową.

– Nie ma pan pojęcia, jakie to... krzepiące, że są ludzie, którzy się o nas troszczą i chcą nas uratować. Że ktoś wie, co się tu dzieje, i stara się wydostać nas stąd żywych. – Zawahała się i ściszyła głos. – Niemal straciliśmy nadzieję. Ale te wieści tchną wiarę we wszystkich w obozie.

– Bardzo mnie to cieszy – powiedział Caleb – proszę jednak, żebyście zrozumieli, że nawet jeśli popłyniemy do Londynu najszybciej, jak się da, miną tygodnie, zanim ekspedycja ratunkowa tu dotrze.

– Ile dokładnie?

Zmarszczył brwi.

– Podejrzewam, że co najmniej miesiąc.

– Nawet jeśli to będą statki twojej rodziny, prędzej jakieś sześć tygodni – prychnął Phillipe.

– Myśli pani, że uda się do tego czasu utrzymać pracę w kopalni?

– Najwyraźniej będzie trzeba. Skoro pomoc ma nadejść, jestem pewna, że jakoś damy radę.

– Powinieneś sprawdzić listę zaginionych – wtrącił Phillipe.

– A tak. – Caleb wyciągnął z kieszeni notatnik. – Oto ludzie, którzy zniknęli z Freetown. Pewnie nie mamy wszystkich nazwisk, nie wiemy też, czy zostali uprowadzeni do kopalni. – Odczytał listę.

Katherine potwierdziła, że wszyscy, których wymienił, znajdują się w obozie.

– Wciąż żyją. Tak jak mówiłam, zginęła tylko ta młoda dziewczyna. Miała na imię Daisy. Nikt nie znał jej nazwiska. Oczy wiście zdarzają się wypadki, ale Dubois zależy na tym, żeby zachować nas przy życiu i w dobrym zdrowiu. A fakt, że ostatnio ma kłopoty z pozyskaniem nowych jeńców, oznacza, że nadal będzie nas traktował względnie przyzwoicie.

– Stąd barak medyczny – zauważył Phillipe.

Gdy pokiwała potwierdzająco głową, Caleb powiedział:

– Diccon powinien wrócić lada chwila. Czy wie pani coś jeszcze, co mogłoby nam pomóc lepiej zrozumieć funkcjonowanie obozu?

Wahała się tylko ułamek sekundy.

– W pewnym sensie znaleźliśmy się właśnie w impasie. Mocodawcy Dubois naciskają, żebyśmy wydobywali coraz więcej i coraz szybciej. Podejrzewamy, że chodzi o to, by możliwie prędko zamknąć kopalnię, a nas się pozbyć, tak by pomysłodawcy całego przedsięwzięcia mogli czuć się bezpieczni.

– Z pewnością ma pani rację – skrzywił się Caleb.

– Dubois jednak – a musi pan wiedzieć, że zupełnie go nie obchodzi, czy słyszymy, o czym rozmawia ze swoimi ludźmi – ma problem, bo brakuje mu rąk do pracy. Od tygodni domaga się nowych jeńców, ale Kale nie dostarcza tylu, ilu potrzeba. – Uśmiechnęła się z satysfakcją. – A teraz w ogóle nie będzie ich dostarczał.

– To się dopiero okaże. – Phillipe wydął usta. – Dubois nie wygląda na kogoś, kogo zniknięcie Kale’a będzie zbyt długo martwić.

– To prawda – zgodziła się Katherine – ale opóźni sprawę, więc nam wyjdzie tylko na dobre. Dubois nie ośmieli się zbytnio obciążać robotników, których ma, z obawy przed wypadkami. A to oznacza, że znalazł się w potrzasku. Musi poczekać na nowych jeńców. Dzięki temu możemy utrzymać wydobycie na dość bezpiecznym poziomie.

Spomiędzy palm wyłonił się Diccon.

Wstali. Caleb poczuł gwałtowną chęć, by ująć Katherine Fortescue za rękę, wepchnął więc obie dłonie do kieszeni.

– Jeszcze ostatnie pytanie. Zakładam, że wybraliście sobie przywódcę?

– Właściwie dwóch, Dixona i Hillsythe’a. Dixon kieruje kopalnią, a Hillsythe planuje, co dalej. Poza tym są jeszcze ich przyboczni, porucznicy Hopkins i Fanshawe. I ja, czyli rzeczniczka kobiet i dzieci.

– Jeśli to możliwe, chciałbym dostać raporty od Dixona i Hillsythe’a. Będą wiedzieli, co się powinno w nich znaleźć, a to byłaby nieoceniona pomoc.

– Przekażę im pańską prośbę. Pojutrze znów będę mogła wyjść z obozu. Jeśli do tego czasu zdążą przygotować raporty, to je przyniosę.

– Bardzo pani dziękuję. – Caleb schylił się i podniósł jej koszyk. – I jeszcze jedno. Proszę, żebyście nie robili nic, co mogłoby wzbudzić jakiekolwiek podejrzenia.

Skinęła głową i wzięła Diccona za rękę.

– Dziękuję – powiedziała, obrzucając wzrokiem obu mężczyzn. – Do zobaczenia za dwa dni.

Odwróciła się i razem z chłopcem ruszyli w stronę kopalni.

Caleb i Phillipe spoglądali chwilę za nimi, a kiedy już dostatecznie się oddalili, ruszyli ich śladem.

Zatrzymali się w cieniu drzew, dobrze ukryci przed wzrokiem strażników, i patrzyli, jak Katherine Fortescue razem z chłopcem spokojnie mijają bramę.

Chwilę później Phillipe powiedział:

– Sporo się od niej dowiedzieliśmy. Ten Dubois wydaje się… niebezpieczny.

– Uhm. W dodatku znalazł się w patowej sytuacji. Każą mu wydobywać więcej, a nie ma jak tego zrobić. Mimo to nie wpada w szał.

– Co tylko dowodzi tego, że jest groźny. Łajdakiem może być każdy, ale sadystyczna świnia, która potrafi się kontrolować… to całkiem inna para butów.

– Wracajmy do obozu – powiedział Caleb. – Lepiej, żebym sam zaczął pisać raport, bo ci ludzie tutaj naprawdę potrzebują pomocy.

* * *

Patrząc na Diccona, który zmierzał do kuchni z koszykiem pełnym owoców, Katherine próbowała zapanować nad myślami kłębiącymi się jej w głowie. Wreszcie wzięła koszyk i weszła po schodkach do koszar, w których kwaterowali strażnicy.

Drzwi po lewej stronie długiego budynku były otwarte na oścież. „Biuro” Dubois znajdowało się na końcu wielkiej sali, oddzielone od piętrowych łóżek stołkami i niskimi stołami. Siedzieli przy nich najemnicy, którzy akurat nie pełnili służby, i grali w karty. Katherine zapukała we framugę, zaczekała chwilę i weszła do środka. Leniuchujących strażników nie zaszczyciła nawet spojrzeniem; wbiła wzrok w mężczyznę, który siedział rozparty na krześle za biurkiem i spoglądał przez okno na wejście do kopalni.

Był potężnie zbudowany, miał gęste ciemne włosy, nieruchomą twarz i niesamowite orzechowe oczy, w których Katherine często widziała błysk stali.

– Panna Fortescue. – Nie uśmiechnął się, ale Katherine wyczuła w jego głosie rozbawienie. Jego wzrok padł na koszyk. – Rozumiem, że poszukiwania okazały się owocne.

– W rzeczy samej. – Postawiła koszyk na biurku. – Proszę, oto pańskie orzechy. Spacer wprawdzie był dość miły, ale nie spodziewałam się, że okaże się aż tak męczący. Myślę, że lepiej będzie, jeśli zrobię sobie małą przerwę. – Zmusiła się, by spojrzeć mu w oczy. – Może ktoś inny poszedłby jutro po orzechy?

Dubois sięgnął po koszyk i przysunął go bliżej.

– Nie sądzę, żeby to było konieczne. Wystarczy, jeśli będę dostawał orzechy co drugi dzień. – Spojrzał na nią. – Od pani. – Po chwili dodał: – Dziękuję, panno Fortescue. To wszystko.

Katherine miała ochotę pogardliwie prychnąć, ale tylko dumnie uniosła głowę, odwróciła się i wyszła.

Ten człowiek przyprawiał ją o dreszcze. Miał w zwyczaju drażnić się z nią – a także z innymi dobrze urodzonymi więźniami – okazując im swoją wyższość. Dawno temu postanowili na to nie reagować i nie grać w jego grę. A ponieważ uwielbiał bawić się z nimi w kotka i myszkę, na ogół im odpuszczał i czekał do następnego razu.

Gdy znów znalazła się na zakurzonym placu, odetchnęła z ulgą; wreszcie mogła zastanowić się nad tym, czego dowiedziała się dziś w lesie.

Przybędzie pomoc. Nie zapomnieli o nich.

Poczuła przypływ nadziei – tego zdumiewającego, niespodziewanego uczucia, o którym myślała, że całkowicie ją opuściło. Stała nieruchomo, zastanawiając się, z kim powinna porozmawiać najpierw i jak to zrobić.

Bez względu jednak na to, co zdecydują, doszła do wniosku, że sprawą największej wagi jest, by pod żadnym pozorem nie narażać bezpieczeństwa kapitana Caleba Frobishera i jego ludzi – dla ich wspólnego dobra.

Pięć

Katherine postanowiła porozmawiać z Hillsythe’em wieczorem przy kolacji. Sądząc po spojrzeniach, jakie rzucał im Dixon, inżynier miał wielką ochotę do nich dołączyć, ale akurat Harriet usadowiła się obok niego. Poza tym obaj mężczyźni doszli do wniosku, iż ich trójka nie powinna zbyt często dzielić się nowinami. Pozostali więźniowie mogliby to zauważyć i zacząć się dopytywać.

Gdy Hillsythe usłyszał, co Katherine ma do powiedzenia, trudno mu było ukryć ekscytację.

– Właśnie na coś takiego liczyłem! A teraz pani to potwierdziła. To faktycznie Frobisher!

– Muszę przyznać, że nie bardzo rozumiem, skąd ta radość – odpowiedziała. – Czyżby nazwisko Frobisher aż tyle znaczyło?

Hillsythe uśmiechnął się promiennie i natychmiast ubyło mu dobre kilka lat. Ze wszystkich więźniów to właśnie na jego twarzy niewola – odpowiedzialność za los całej grupy – odbiła się najmocniej.

– Frobisherowie są bardzo dobrze znani w pewnych kręgach. Ich kompania transportowa to wprawdzie prywatna spółka, ale z tego, co wiem, wręcz od pokoleń ma powiązania z Koroną i jej nieoficjalnymi instytucjami. Właśnie dlatego Fanshawe i Hopkins, oficerowie marynarki,

od razu wiedzieli, o kogo chodzi, a Dixon dopiero ode mnie dowiedział się, kto to taki.

– Pan też rozpoznał to nazwisko.

Hillsythe opuścił głowę.

– Nigdy wcześniej nie miałem do czynienia z Frobisherami, ale wiele słyszałem o wyczynach członków tej rodziny.

Hillsythe nigdy nie zająknął się ani słowem na temat swoich powiązań, choć wszyscy byli przekonani, że jego zwierzchników należałoby szukać gdzieś w Whitehall.

– Fakt, że Frobisher się tu zjawił – ciągnął – świadczy o tym, że w akcję została zaangażowana jego rodzina. A to oznacza, że wieści o naszej niewoli dotarły do ludzi na najwyższych szczeblach władzy. Skoro kapitan potwierdził, że przybył tu z misją zwiadowczą, władze na pewno zorganizują akcję ratunkową. – Westchnął. – W końcu możemy mieć nadzieję na pomoc.

W jego głosie słychać było niezachwianą pewność. Katherine jednak, kiedy przestała spoglądać w niebieskie oczy Caleba Frobishera, zaczęła się zastanawiać, czy bezkrytyczna wiara w możliwości kapitana i tych, którzy go przysłali, nie jest nieco naiwna.

Jakby wyczuwając jej wątpliwości, Hillsythe dodał:

– Sam fakt, że Caleb bierze udział w misji zwiadowczej, jest wielce krzepiący. Bo oznacza, że ci, którzy będą organizowali ekspedycję ratunkową, zdają sobie sprawę z niebezpieczeństw. Wiedzą, że – tak jak podejrzewaliśmy – za całym tym procederem stoją ludzie z Freetown, ludzie na

stanowiskach, którzy natychmiast zamknęliby kopalnię i pozbyli się nas, gdyby tylko się dowiedzieli, że ratunek jest w drodze. Nasi wybawcy powinni działać z wielką ostrożnością, a nazwisko Frobisher gwarantuje, że ekspedycja zostanie zorganizowana przez osoby kompetentne i dysponujące odpowiednimi środkami.

Hillsythe wbił wzrok w niewielki ogień, który wesoło płonął pośrodku paleniska.

– Proszę mi wierzyć, w tej chwili mamy podstawy, by przypuszczać, że zostaniemy ocaleni. Dlatego musimy dostarczyć Frobisherowi i jego mocodawcom wszelkich informacji, które mogą się okazać pomocne, a ponadto przetrwać, dopóki nie nadejdzie ratunek. – Hillsythe podniósł wzrok i spojrzał na inżyniera siedzącego po drugiej stronie paleniska. – Poinformuję o wszystkim Dixona, Fanshawe'a i Hopkinsa. Powinniśmy też powiedzieć Harriet. Zrobi to pani?

– Oczywiście. – Po chwili wahania Katherine zapytała: – A co z resztą?

– Zachowajmy to na razie dla siebie. Przynajmniej dopóki nie będziemy wiedzieć, że informacje na temat kopalni są już w drodze do Londynu i nikt nie może ich zatrzymać. I dopóki nie będziemy potrafili powiedzieć, ile czasu zajmie ekspedycji ratunkowej dotarcie na miejsce. Rzeczywiście sześć tygodni czy więcej? Tylko Frobisher może to stwierdzić. Będziemy też musieli przez ten czas utrzymywać wydobycie na odpowiednim poziomie.

– Udało mi się tak zamącić w głowie Dubois, że teraz mogę chodzić do lasu co drugi dzień. Pomyślałam, że jeśli będę to robiła codziennie, po tygodniu zorientuje się, że pomysł skłócenia mnie z resztą kobiet spalił na panewce, i w ogóle mi tego zabroni. Bylibyśmy wówczas zdani tylko na Diccona, co mogłoby się okazać nie najlepszym rozwiązaniem, gdyby trzeba było przekazać informacje o decydującym znaczeniu.

Hillsythe pokiwał głową z aprobatą.

– Sprytnie. W razie potrzeby w te dni, kiedy nie będzie mogła pani wyjść, skorzystamy z pomocy Diccona jako kuriera. – Zamyślił się, po czym dodał: – Te raporty, o które prosił Frobisher... Przygotujemy je z Dixonem, żeby mogła je pani zabrać ze sobą następnym razem. Tymczasem wszyscy zastanówmy się, o co należałoby Frobishera zapytać. Bo kiedy już dostanie od nas to, czego potrzebuje, powinien jak najszybciej poinformować o wszystkim Londyn. – Powiódł wzrokiem po jeńcach siedzących wokół ognia. – Nie wiemy, co się może wydarzyć w kopalni, dlatego im szybciej przybędzie ratunek, tym lepiej.

Katherine mogła tylko pokiwać głową. Nie było nic więcej do dodania. Pomoc i tak musiała dotrzeć, zanim wyczerpią się złoża diamentów.

– Zastanawiam się... – Wzrok Hillsythe’a wydawał się niemal rozmarzony. – Caleb mówił, że jego bracia, Declan i Robert, brali udział we wcześniejszych etapach misji. Ciekawe, czy na czele ekspedycji ratunkowej postawią Royda, najstarszego z Frobisherów.

Katherine przyglądała mu się z uwagą.

– A czy to byłaby dobra wiadomość?

Na twarzy Hillsythe’a pojawił się rzadko widziany uśmiech.

– Myślę, że znakomita. Nigdy nie poznałem Royda Frobishera osobiście, ale w moich kręgach krążą legendy o jego wyczynach. Zobaczyć, jak rozprawia się z Dubois… to byłoby coś.

Zrobiło się późno. Dzieci odesłano do baraku, który dzieliły z kobietami, one same zaś zaczęły zbierać naczynia pozostawione wokół paleniska. Katherine wstała i strzepnęła suknię. Czuła się… odmieniona. Pełna życia, zdecydowana – unosiła ją wzbierająca fala nadziei.

Hillsythe również się podniósł. Zatrzymał się jeszcze, żeby szepnąć:

– Proszę pamiętać, nikomu prócz Harriet ani słowa. – Zerknął na więźniów rozchodzących się do baraków i jego twarz złagodniała. – To radosne wieści i chętnie podzieliłbym się nimi z całym obozem, ale nie możemy ryzykować. Podejrzewam, że właśnie na podejmowaniu takich decyzji polega bycie przywódcą. – Spojrzał Katherine w oczy. – Gdy tylko będziemy wiedzieć, że informacje są w drodze do Anglii, przekażemy reszcie dobrą nowinę.

Uśmiechnęła się, chcąc dodać mu otuchy, i pokiwała głową. Życzyła Hillsythe’owi dobrej nocy i podeszła do Harriet.

* * *

Tymczasem Caleb i Phillipe siedzieli z resztą drużyny na kłodach pośrodku tymczasowego obozu. Maleńka lampa z mocno przykręconym płomieniem stała na płaskim kamieniu w miejscu, gdzie w innych okolicznościach płonęłoby ognisko. Kopalnia była jednak zbyt blisko – nawet najlżejszy powiew mógłby zanieść tam zapach dymu, a wtedy strażnicy na pewno wyszliby na zwiady.

– A więc – Phillipe rzucił łupinę orzecha na kupkę wokół lampy – jutro będziemy obserwować teren kopalni, ja napiszę raport o tym, z której strony powinna nadciągnąć ekspedycja ratunkowa, ty zaś sporządzisz opis terenu, ludzi i wszystkiego, co może być istotne podczas ataku. A potem – zerknął na przyjaciela – wrócimy na statki i „Książę" popłynie z informacjami do Londynu.

Caleb wciąż spoglądał na lampę, próbując ukryć niechęć, jaką budziło w nim takie zakończenie misji, której się podjął.

Ale odpowiedzialni dowódcy trzymają się zasad – przestrzegają reguł, których wymaga ich zadanie.

Odpowiedzialni dowódcy nie modyfikują owego zadania wedle własnego widzimisię.

Ale…

Uniósł wzrok i spojrzał na twarze ludzi wokół. Światło było przyćmione, a mimo to wyraźnie widział ich niezadowolenie. Nie podobało im się, że mają zrobić tylko tyle.

Podczas gdy mogliby zrobić o wiele więcej.

Caleb nie musiał patrzeć na Phillipe’a, żeby wiedzieć, co na to jego przyjaciel. W tych okolicznościach mógł mieć pewność, że myśli to samo, co on. Czuje to samo, co on.

I zrobi to samo, co on.

Zarówno Phillipe, jak i jego ludzie zrobią to, co postanowi Caleb.

To jego misja i na nim spoczywa odpowiedzialność.

Zamknął oczy w nadziei, że może podpowiedź przyjdzie z wnętrza. Przypomniał sobie historie, które słyszał o wyczynach swojego najstarszego brata.

Co Royd zrobiłby na jego miejscu? Jak postąpiłby w tej sytuacji?

Na tak zadane pytanie odpowiedź zjawiła się natychmiast.

Caleb poczuł, że się rozluźnia. Otworzył oczy, rozejrzał się po swoich ludziach, a na koniec popatrzył na Phillipe’a.

– Nasze zadanie polega na tym, by dostarczyć informacji do Londynu. Ale do tego nie potrzeba całej drużyny.

Phillipe uniósł lekko brwi, zachęcając przyjaciela, by kontynuował.

– Gdy już zdobędziemy wszystkie potrzebne dane, to – przy założeniu, że jesteśmy w miejscu, o którym myślimy – powrót na „Księcia” zajmie nam co najmniej dwa dni. Potem trzeba liczyć trzy tygodnie na podróż do Londynu. Ekspedycja ratunkowa, realnie rzecz biorąc, będzie potrzebowała co najmniej tyle samo czasu, żeby tu dotrzeć, i to o ile tylko czekają na wieści, żeby móc wypłynąć. – Przyjrzał się twarzom towarzyszy. – To oznacza, że ludzie

w kopalni muszą wytrzymać ponad sześć tygodni, a prawdopodobnie nawet więcej niż siedem.

Przez chwilę rozważał w myślach rozmaite scenariusze i argumenty.

– Nie widzę żadnego powodu, żebyśmy wszyscy musieli płynąć z informacjami do Londynu. – Zerknął na Phillipe'a. – „Książę" jest szybszy, więc to on powinien zabrać raporty, ale „Kruk" przecież wcale nie musi mu towarzyszyć.

– To prawda. – Ciemne oczy Phillipe'a błyszczały z radości.

– W dodatku – ciągnął Caleb – nie wiemy, co w ciągu tych siedmiu tygodni może się wydarzyć w kopalni. Panna Fortescue powiedziała, że mocodawcy naciskają na Dubois, żeby zwiększył wydobycie diamentów, bo prawdopodobnie chcą jak najszybciej zamknąć całe przedsięwzięcie, zlikwidować jeńców i zatrzeć ślady, które mogłyby do nich doprowadzić. Zważywszy, że ostatecznym celem misji jest wyswobodzenie więźniów, uważam, że w tych okolicznościach wystarczy, jeśli wyślemy do Londynu tylko tylu ludzi, ilu koniecznie trzeba, a reszta zostanie tutaj, na wypadek gdyby sprawy w kopalni przybrały zły obrót. Jeżeli zaś do niczego nie dojdzie, to po prostu dołączymy do ekspedycji ratunkowej.

Wokół rozległy się pomruki aprobaty.

Caleb uniósł pytająco brew i spojrzał na Phillipe'a.

Francuz uśmiechnął się promiennie i pokiwał głową.

– Znakomite podsumowanie. Wszyscy wiemy, że przetrwać mogą ci, którym uda się dostosować do

zmieniających się okoliczności.

Ducasse, kwatermistrz Phillipe’a, który prowadził właśnie ożywioną dyskusję z Carterem, bosmanem Caleba, odwrócił się do nich i powiedział:

– Chłopak mówił, że na terenie kopalni są dwadzieścia cztery canaille. Nas jest dwudziestu pięciu. Dlaczego nie możemy sami uwolnić jeńców?

– Naprawdę musimy czekać na ekspedycję ratunkową? – zapytał Carter.

Caleb w mgnieniu oka otrzeźwiał.

– Tak. Musimy. Gdyby chodziło tylko to, żeby rozprawić się z tymi canaille – określenie Ducasse’a wydało mu się wyjątkowo trafne – nie wahałbym się ani chwili. Ale sądząc po tym, co słyszeliśmy, Dubois natychmiast pojmałby kobiety i dzieci i wykorzystał jako zakładników, a nas zmusił do kapitulacji. – Pokręcił głową. – Nie możemy do tego dopuścić.

– Zgadzam się z Calebem. – Phillipe spojrzał na Ducasse’a, a następnie powiódł wzrokiem po kręgu. – Nie powinniśmy ruszać Dubois.

Frobisher pokiwał głową.

– Choć to wielce kuszące, nie zaatakujemy nawet tych sześciu, którzy poszli z diamentami na wybrzeże. Gdyby zniknęli, Dubois mógłby zacząć podejrzewać, że ktoś wie o kopalni. A jeśliby powiedział o tym swoim mocodawcom, ci mogliby uznać, że natychmiast należy ją zamknąć. Tymczasem tego właśnie nie chcemy.

Ducasse zmarszczył brwi.

– Ale czy po przybyciu ekspedycji ratunkowej nie będzie tak samo?

– Będziemy mieli więcej ludzi i środków, a więc także więcej możliwości. Ale masz rację. Żeby zająć teren kopalni, trzeba będzie przeprowadzić akcję dywersyjną, która odciągnie Dubois od jeńców. – Caleb się skrzywił. – Nie mam pojęcia jaką, ale do tego czasu obmyślimy jakiś plan.

– W tej chwili naszym celem jest jak najdłużej utrzymać sytuację bez zmian – stwierdził Phillipe. – Dopóki nie dotrą posiłki.

– Dlatego będziemy czekać i obserwować. – Słowa Caleba zabrzmiały jak rozkaz. – Wkroczymy tylko wtedy, gdy coś zagrozi jeńcom. Doprowadzimy do końca nasze pierwotne zadanie, ale pozostawimy na miejscu możliwie liczną grupę. Jej zadaniem będzie z jednej strony zbierać informacje i przygotowywać się do końcowego ataku, a z drugiej chronić więźniów.

* * *

Następnego ranka Caleb wraz z Phillipe’em i dwójką ludzi z drużyny znów wdrapali się na swój punkt obserwacyjny na skale, zanim obóz wokół kopalni obudził się do życia.

Rozkład dnia był taki sam, Caleb zanotował więc tylko ważniejsze szczegóły – zmiany warty i ruchy mężczyzn – a następnie zajął się wykańczaniem planu.

Upłynęła przeszło godzina, zanim Phillipe trącił go w ramię.

– Chłopiec wychodzi, ale jest sam.

Obserwowali obóz jeszcze dziesięć minut, nikt jednak – żaden strażnik ani jeniec – nie ruszył śladem Diccona.

Phillipe spojrzał Calebowi w oczy.

– Idziemy?

Ten schował notatnik i wstał.

– Może ma dla nas jakieś nowiny.

Znaleźli Diccona w lesie nieopodal obozowiska drużyny. Stał właśnie obok krzewu porośniętego olbrzymimi owocami i sprawnie je zrywał. Na ich widok twarz mu pojaśniała.

– Miałem nadzieję, że panowie przyjdą. Wolałem nie iść do waszego obozu, na wypadek gdybyście wystawili straże.

Caleb uśmiechnął się i zmierzwił chłopcu włosy.

– Wszyscy cię znają. – Przykucnął i spojrzał Dicconowi w oczy. – Masz dla nas jakąś wiadomość?

Chłopiec pokiwał głową.

– Od kapitana Dixona i panny Katherine. Kapitan Dixon powiedział, że on i pan Hillsythe potrzebują czasu i że raporty będą gotowe jutro. Muszą zdobyć papier, ale dadzą sobie radę.

– To dobrze. A panna Fortescue?

– Powiedziała, że sama je panom przyniesie. Jutro będzie mogła pójść ze mną do lasu. Dubois pozwolił jej znów iść po orzechy, ale nie zgodził się, żeby ktoś inny zastąpił ją dzisiaj. Taki właśnie jest.

Caleb położył Dicconowi rękę na ramieniu i wstał.

– Już prawie południe. Może pójdziesz z nami coś przekąsić? – Diccon był chudy jak szczapa, a oni mieli

całkiem spory zapas suszonego mięsa.

Chłopak uśmiechnął się szeroko i energicznie pokiwał głową.

Gdy dotarli na miejsce, Caleb z Phillipe’em zajęli się sporządzaniem raportów, Diccon zaś zaczął kręcić się po obozie, gawędząc z pozostałymi członkami drużyny. Mężczyźni siedzieli w grupkach, czyszcząc broń albo przygotowując posiłek, na który składały się owoce i suszone mięso.

Po jakimś czasie Phillipe uniósł głowę znad papieru i mruknął:

– Gdy ludzie Dubois wrócą z wybrzeża, powinniśmy zbadać tamtą ścieżkę. Jeśli faktycznie prowadzi do miasta, moglibyśmy wybrać się po zaopatrzenie.

– Masz rację. Jeśli zamierzamy tu zostać sześć czy siedem tygodni, będziemy potrzebowali żywności. Zwłaszcza że nie możemy palić ognia ani polować.

Przyrządzaniem posiłków zajmował się Hornby, steward z „Księcia”, który właśnie zawołał wszystkich na obiad. Były owoce, orzechy i suszona baranina.

– Przynajmniej nie ma robaków – powiedział Caleb z ustami pełnymi żylastego mięsa.

Phillipe się skrzywił, ale za to Diccon uśmiechnął się promiennie i sięgnął po jeszcze jeden pasek.

Dwie godziny później chłopiec pożegnał się ze wszystkimi i wyruszył w drogę powrotną.

Caleb i Phillipe wymienili się raportami. Gdy Caleb dotarł do końca sporządzonego przez przyjaciela precyzyjnego

opisu dróg prowadzących do kopalni, powiedział:

– Znakomite. Niczego nie pominąłeś. – Włożył raport Phillipe’a do torby, w której trzymał dokumenty mające trafić do Londynu. – Wszystko zależy od tego, jakimi siłami będą dysponować. I czy zamierzają współpracować z Deckerem.

Phillipe pokiwał głową i oddał przyjacielowi jego raport dotyczący terenu kopalni.

– Bardzo gruntowny, ale ktoś, kto będzie dowodził atakiem, chciałby pewnie wiedzieć coś więcej na temat konstrukcji ogrodzenia i wytrzymałości bramy.

Caleb się skrzywił.

– Myślałem o tym, ale niewiele pamiętam. A ty?

Phillipe pokręcił głową.

– Mamy jeszcze czas, żeby się przyjrzeć. – Podniósł się. – Dość już tego siedzenia. Chodźmy zobaczyć, co się da, teraz, a kiedy zacznie się ściemniać, spróbujemy zakraść się bliżej.

Wzięli ze sobą dwóch ludzi Caleba i wrócili w to samo miejsce nieopodal bramy, które Diccon wskazał im poprzedniego dnia. Niestety, z tej odległości nie potrafili określić, jak wygląda konstrukcja ogrodzenia.

– Musimy zakraść się bliżej, gdy się ściemni – szepnął Caleb.

Wreszcie zapadł zmierzch i wartownicy zamknęli oba skrzydła bramy.

Caleb odczekał minutę, po czym szybko przekradł się przez pas otwartej przestrzeni wokół ogrodzenia. Od bramy

dzieliło go jakieś pięć metrów. Uważnie przyjrzał się deskom w parkanie. Tak jak podejrzewali, były powiązane grubymi i mocnymi linami splecionymi z lian. Żadnych gwoździ czy metalowych mocowań, jedynie tu i ówdzie kawałek drutu. Gdyby spróbować rozciąć wiązania maczetą, zajęłoby to trochę czasu i narobiło hałasu. Gdyby chcieć je rozciąć po cichu jakimś mniejszym narzędziem, trwałoby to całą wieczność.

Phillipe wślizgnął się w głęboki cień obok przyjaciela. Spojrzał na mocowania, które wskazał mu Caleb, skrzywił się wymownie, a następnie kiwnął głową w stronę bramy.

Podkradli się wzdłuż ogrodzenia, starając się poruszać bezszelestnie. Dotarli do słupa i przykucnęli. Sprawdzili, w jaki sposób zamocowano skrzydła bramy. Funkcję zawiasu pełnił długi kawałek bambusa, i to solidnego, o średnicy kilkunastu centymetrów, ciasno owinięty lianami.

Zamknięta i na przykład zablokowana skrzyżowanymi belkami brama była nie do sforsowania bez materiałów wybuchowych.

Nagle usłyszeli po drugiej stronie ogrodzenia kroki, stęknięcia, a potem głuchy stuk. Brama zatrzęsła się, po czym znieruchomiała.

– Gotowe – powiedział strażnik, klepiąc ręką drewno.

Phillipe zerknął w górę i bezdźwięcznie wyszeptał:

– Dwie belki.

Caleb kiwnął głową. Nocą trudno będzie się dostać na teren kopalni – chyba że on i jego ludzie wcześniej utorują

drogę. Na szczęście mieli czas.

Już zamierzali wracać, gdy dobiegł ich głos niezadowolonego strażnika.

– Że też wszystko musi być tak, jak chce Dubois.

Dwóch strażników najwyraźniej wciąż stało na warcie. Teraz, gdy brama była zamknięta, mogli gawędzić, obserwując obozowisko.

– No. Służę u tego czorta już tyle czasu, że wiem, że nie ma przebacz. Albo będzie tak, jak on chce, albo do widzenia. – Drugi wartownik sprawiał wrażenie starszego i bardziej doświadczonego.

– Nie rozumiem go. Dlaczego jest taki zasadniczy? Przecież ani kobiety, ani dziewczynki nie pracują w nocy. Dlaczego nie moglibyśmy sobie pożywać?

– Nawet o tym nie myśl. Ostatni, który próbował… Dzikie zwierzęta pewnie już zdążyły obgryźć jego kości do czysta.

– Ale dlaczego? To bez sensu.

– Patrz i ucz się. Kobiety i dzieci są tutaj nie tylko po to, żeby pracować. Dzięki nim mamy mniej kłopotów z mężczyznami. Gdybyśmy wykorzystali choć jedną, mężczyźni by się zbuntowali. I gdybyś to ty był temu winien, to nawet jeśli oni nie poderżnęliby ci gardła, zrobiłby to Dubois. Ale najpierw obdarłby cię ze skóry. Tylko raz widziałem, jak stracił nad sobą panowanie, i nie chciałbym oglądać tego więcej. – Zamilkł na chwilę. – Nie warto zadzierać z komendantem, możesz mi wierzyć. Byłem z nim na robocie pewnie więcej niż dziesięć razy i to zawsze była bułka z masłem. Łatwy pieniądz. Kiedy będziesz robił

w tym fachu tyle lat co ja, docenisz dowódcę, który załatwia takie zlecenia. Nudne jak piorun, ale proste jak drut. Poza tym dobrze płaci. A na koniec… zawsze można się zabawić. Kiedy Dubois nie będzie miał po co dłużej trzymać więźniów przy życiu, pozwoli nam z nimi zrobić, co zechcemy.

– Naprawdę?

– O, tak. Jak myślisz, dlaczego tylu z nas wciąż z nim jest?

Młodszy mężczyzna zarechotał.

– Nie wiedziałem. Znaczy, że jest na co czekać.

Caleb i Phillipe popatrzyli po siebie ponuro. Frobisher wskazał głową w kierunku lasu. Cicho jak duchy oderwali się od ogrodzenia i wślizgnęli pomiędzy drzewa.

Zgarnęli swoich ludzi i nie mówiąc ani słowa, ruszyli do obozu. Dopiero gdy byli już niemal na miejscu, Caleb obejrzał się na Phillipe’a, który szedł za nim wąską ścieżką, i powiedział przez ramię:

– Będę musiał zamieścić w raporcie nie tylko opis ogrodzenia i bramy, ale też kilka słów na temat tego, dlaczego za wszelką cenę musimy zachować Dubois przy życiu do chwili ataku.

– Z przykrością muszę się z tobą zgodzić – mruknął Phillipe. – I lepiej będzie poinformować naszych ludzi, żeby bez względu na okoliczności nie ważyli się zabić Dubois.

– Na razie.

Phillipe wyczuł niezadowolenie przyjaciela i spojrzał na niego pytająco.

– Naprawdę wolałbym wkroczyć do obozu z bronią w ręku i po prostu pozbyć się tego łajdaka, tymczasem musimy

mieć na względzie życie jeńców. – Caleb skrzywił się i wypuścił gwałtownie powietrze. – Ta misja jest sto razy bardziej skomplikowana, niż się spodziewałem.

* * *

Następnego dnia Katherine wybrała się do lasu razem z Dicconem. Przechodząc przez bramę, bała się, że Dubois albo jego ludzie znajdą raporty, które ukryła w kieszonce naprędce doszytej do sukni, strach jednak zniknął, gdy tylko otoczył ją chłodny cień dżungli.

Ogarnęło ją podniecenie.

Chciała jak najszybciej znaleźć Frobishera i jego przyjaciół i oddać im papiery, z którymi będą mogli odpłynąć do Londynu, żeby wreszcie wyruszyła stamtąd ekspedycja ratunkowa.

A mimo to…

Miała wrażenie, jakby traciła jakąś szansę. Jakby coś, czego nie potrafiła nawet nazwać, przeciekało jej przez palce.

Co za głupota. Przecież poznała go zaledwie dwa dni temu. Spędziła w jego towarzystwie raptem pół godziny.

Tylko że to jemu właśnie zawdzięczała nadzieję. Dzięki niemu uwierzyła, że przetrwa, a gdy opuści więzienie, czeka na nią – na nich wszystkich – życie. Ta wiara w przyszłość – bez względu na to, co owa przyszłość przyniesie – była bezcennym darem.

Diccon szedł pierwszy, przystając to tu, to tam, by nazrywać owoców. Katherine podążała za nim. A kiedy zauważyła leżące pod drzewem orzechy, które tak lubił

Dubois, zatrzymała się, żeby je zebrać. Wrzuciła je do koszyka i się wyprostowała.

Szelest sprawił, że obróciła się gwałtownie.

Z lasu wyłonił się Frobisher w towarzystwie Lascelle’a.

Na widok Caleba Katherine się uśmiechnęła.

– Mam dla pana raporty. – Sięgnęła do kieszonki ukrytej w szwie sukienki i ostrożnie wyciągnęła papiery.

Na widok zdumienia w jego oczach pośpieszyła z wyjaśnieniami:

– Nigdy dotąd nas nie rewidowali, ale nie chcieliśmy ryzykować.

Uśmiechnął się szeroko.

– Pomysłowe.

Gdy rozłożył papiery, żeby rzucić na nie okiem, podeszła bliżej.

– Dixon mówił, że zamieścił wszystkie istotne informacje na temat kopalni. Hillsythe sporządził raport sytuacyjny – to eleganckie pismo jest właśnie jego. Twierdził, że pan będzie wiedział, co to znaczy.

Caleb przejrzał papiery, podał je Lascelle’owi i spojrzał jej w oczy.

– Bardzo dziękuję pani, Dixonowi i Hillsythe’owi. Dołączymy je do naszych raportów i w ten sposób Londyn dostanie wszystko, czego potrzebuje. – Zawahał się. – Mamy jeszcze jedno pytanie, które poprzednim razem nam umknęło. Czy ktokolwiek z więźniów wie, gdzie dokładnie ludzie Dubois przekazują diamenty?

– Wyruszają zawsze na zachód – odparła Katherine. – Hillsythe raz ich podsłuchał. Podobno statek czeka w miejscu, gdzie rzeka, która płynie na zachód od nas, wpada do estuarium.

– Pisze o tym w raporcie – wtrącił Lascelle. – To musi być ta rzeka, którą dotarli do estuarium Robert i jego dama. Co oznacza, że statek, który przypłynął po diamenty, nie mógł widzieć naszych żaglowców.

– To dobrze. Nasze statki czekają w ukryciu mniej więcej na północ stąd – wyjaśnił Frobisher.

Katherine uśmiechnęła się, ale na jej twarzy dostrzegł cień smutku.

– Panowie już pewnie nie mogą się doczekać powrotu do Londynu – powiedziała.

Caleb się zawahał. Nie dlatego, że jej nie ufał, po prostu coś mu kazało chronić ją przed wszelkim złem. Zerknął na Phillipe’a, który niemal niedostrzegalnie skinął głową.

– Chcemy wysłać wszystkie raporty razem z mapami jednym żaglowcem. Tym szybszym.

– To znaczy jego – dodał Phillipe, wręczając złożone papiery Calebowi.

– To prawda. Ale razem z Phillipe’em i częścią ludzi postanowiliśmy zostać.

Oczy Katherine rozszerzyły się ze zdumienia.

– Zostajecie?

Pokiwał głową.

– Gdy tylko mój statek wyruszy w drogę, nasze zadanie właściwie zostanie wykonane, my zaś będziemy mieć wolną

rękę. Dlatego postanowiliśmy zostać tutaj, w dżungli, żeby w razie czego pomóc wam, zanim nadejdzie odsiecz. – Wzruszył ramionami. – Jeśli nic się nie wydarzy, to po prostu dołączymy do ekspedycji ratunkowej. Jej dowódca na pewno się ucieszy z posiłków, zwłaszcza dobrze obeznanych z terenem.

Sądząc po wyrazie twarzy, Katherine najwyraźniej zastanawiała się, czy nie rzucić mu się na szyję i go nie pocałować...

Miał nadzieję, że tak właśnie zrobi, jej jednak udało się zapanować nad euforią.

– Panowie, jesteście pewni, że chcecie tak wiele ryzykować? Przecież nie musicie.

– Owszem – odparł Phillipe i uśmiechnął się zawadiacko. – Lubimy żyć na krawędzi.

Trudno byłoby o prawdziwsze słowa.

Katherine Fortescue przez chwilę uważnie przyglądała się Francuzowi, po czym przeniosła badawczy wzrok na Frobishera – jej przenikliwe spojrzenie przypomniało Calebowi, że przed porwaniem była guwernantką. Wreszcie odezwała się poważnym tonem:

– Nie będę próbowała odwodzić panów od tego pomysłu, bo żadne słowa nie opiszą tego, jak ważna dla ludzi w obozie będzie świadomość, że zdecydowaliście się zostać i w pewnym sensie mieć na nas baczenie. Wiemy, ile dla naszych towarzyszy znaczy nadzieja. Już sama wieść o tym, że zjawił się ktoś, by zebrać informacje, które pozwolą wyruszyć ekspedycji ratunkowej, bardzo by ich uradowała.

Ale fakt, że zdecydowaliście się zostać, żeby nam pomagać? Niewyobrażalnie podniesie ich na duchu. Wreszcie poczują, że nie są sami. – Jej twarz spochmurniała. – Zwłaszcza teraz, kiedy los kopalni jest bardzo niepewny.

Caleb zmarszczył brwi.

– Coś się zmieniło od czasu naszej ostatniej rozmowy?

– I tak, i nie. Pierwsze złoże się kończy, ale Dubois coraz bardziej nalega, żeby zwiększyć wydobycie, co oznacza konieczność otwarcia nowego tunelu i eksploatowania drugiego złoża. Dotąd udawało nam się tego uniknąć. Ale naciski na wzrost produkcji pochodzą z zewnątrz, od ludzi, których Dubois nazywa swoimi zleceniodawcami. Sądząc po tym, co mówi, wcale niekoniecznie chodzi o ludzi z kolonii. Niewykluczone, że są też inni.

Caleb spojrzał pytająco na Phillipe’a.

Przyjaciel przytaknął.

– Hillsythe pisze o tym w swoim raporcie. Podejrzewa, że ludzie z Freetown wcale nie są zleceniodawcami. I że za całym tym przedsięwzięciem stoi zupełnie inna grupa osób.

Caleb uniósł brwi.

– Ludzie z pieniędzmi. To miałoby sens, zważywszy, ile musi kosztować wynajęcie kogoś takiego jak Dubois.

– I to w dodatku na wiele miesięcy – dodał Phillipe.

Caleb spojrzał na Katherine.

– Co się zaś tyczy tego, że zostajemy, żeby w razie czego wam pomóc, to oczywiście proszę poinformować o tym oficerów, Hillsythe’a i wszystkie panie, którym można zaufać.

Przyglądała mu się przez chwilę, po czym powiedziała:

– Wszyscy więźniowie w kopalni bardzo się ze sobą zżyli. Jesteśmy jak jedna wielka rodzina. Musimy być, żeby przetrwać. A zaufanie jest ważnym elementem tego, co nas łączy. Dlatego owszem, przekażę tę informację ludziom, których pan wymienił, a potem razem zdecydujemy, czy podzielić się nią z resztą grupy. Tak jak już mówiłam, pan i pańscy ludzie symbolizujecie nadzieję. Ktoś, kto nie zaznał niewoli, nie zrozumie, co to znaczy. Odmówić tej nadziei więźniom… – Powoli pokręciła głową. – Nie mogę się na to zgodzić. Jeśli Hillsythe, Dixon i inni uznają, że powinniśmy zatrzymać tę informację dla siebie, nie będę się przeciwstawiać. Ale – jej twarz się rozpogodziła – nie sądzę, żeby tak się stało. Nauczyliśmy się nikogo nie wykluczać i dzięki temu nikt nie sprzymierzył się z porywaczami.

– Dobrze, decyzja należy zatem do pani i pozostałych – odparł Caleb, schylając głowę. – Jak słusznie pani zauważyła, to nasza wspólna sprawa.

– A co z dziećmi? – spytał Phillipe. – Część jest z pewnością za mała, żeby to zrozumieć.

Diccon, który przez cały ten czas zbierał owoce, obejrzał się i spojrzał Francuzowi w oczy.

– Żadne dziecko nikomu nic nie powie. Nawet najmłodsze. Wszystkie wiedzą, że strażnicy są źli, zepsuci do szpiku kości. Nic im nie powiemy. Zresztą oni i tak myślą, że my nic nie wiemy, więc nie będą pytali.

– Prawdę mówiąc – oznajmił Phillipe – właśnie zmieniłem zdanie. Wszyscy powinni się o nas dowiedzieć, łącznie

z dziećmi. Trzeba im też powiedzieć, gdzie jest nasz obóz.

Caleb przez chwilę zastanawiał się nad słowami przyjaciela.

– Żeby nas wezwać, gdyby coś się stało?

– Albo gdyby musieli uciekać.

– Właśnie – wtrąciła się Katherine. – Gdyby coś się stało i komuś udałoby się zbiec, powinien o was wiedzieć.

Caleb westchnął.

– W porządku. Przekonaliście mnie. – Spojrzał na Katherine. – Proszę powiedzieć wszystkim.

Uśmiechnęła się do niego.

– Nie będzie pan żałował. Ludzie w obozie wiedzą, że nasze życie zależy od tego, jak długo kopalnia będzie działała. Pańska drużyna daje nadzieję, że jeśli coś pójdzie nie tak, może komuś uda się ujść z życiem. Nikt nie zechce stracić takiej szansy.

Musiał się z nią zgodzić.

Pomógł jej napełnić koszyk wielkimi włochatymi orzechami – przysmakiem Dubois – Phillipe zaś, gawędząc z Dicconem, nazrywał owoców, których chłopiec nie mógł dosięgnąć. Na koniec odprowadzili Katherine i Diccona w pobliże obozu.

* * *

Katherine zaniosła koszyk pełen orzechów do biura Dubois. Wciąż myślała o Calebie Frobisherze i Lascelle'u, o tym, że mimo spartańskich warunków postanowili razem ze swoimi ludźmi pozostać w dżungli, by z ukrycia czuwać

nad bezpieczeństwem grupki więźniów, których nawet osobiście nie znali.

Niektórzy mężczyźni są honorowi. Odważni. Gotowi bronić kobiet, dzieci, osób od siebie słabszych. Ludzi w niebezpieczeństwie.

Dubois stał obok biurka, pogrążony w rozmowie z Crippsem, swoim drugim przybocznym. Katherine nie miała ochoty wdawać się w pogawędkę, wykorzystując więc fakt, że był zajęty, postawiła koszyk na blacie, lekko skinęła głową i ruszyła w stronę drzwi.

Gdy wychodziła, poczuła na plecach wzrok komendanta. Jak zwykle włosy zjeżyły jej się na karku.

Dubois wprawdzie wciąż słuchał tego, co mówił Cripps, ale równocześnie uważnie przyglądał się Katherine Fortescue.

– Obserwowałem ludzi w kopalni, tak jak pan prosił, i rzeczywiście wygląda na to, że bez dodatkowych rąk do pracy nie uda się zwiększyć wydobycia. – Cripps chrząknął. – Dorosłych rąk. Starsi chłopcy, których przysłał nam Kale, nie są w stanie posługiwać się kilofem tak jak mężczyźni.

Dubois mruknął coś pod nosem. Jego mocną stroną była spostrzegawczość, dlatego od razu zauważył, że panna Fortescue zachowuje się inaczej niż zwykle. Co mogło być tego przyczyną? Nic nie przychodziło mu do głowy. Pewnie coś mu się przywidziało. Może akurat miała comiesięczną kobiecą przypadłość.

Cripps tymczasem dotarł do końca swoich wywodów.

– Skoro musimy zwiększyć wydobycie, potrzebujemy nowych mężczyzn. Skąd ich wziąć?

Dubois uniósł brwi.

– Rozumiem, że ma pan pomysł?

– Od ostatniej dostawy Kale’a minął tydzień. Pójdę do niego i sprawdzę, czy nie ma dla nas czegoś nowego. – Walnął pięścią w otwartą dłoń. – I trochę go przycisnę, żeby wreszcie ruszył leniwe dupsko.

Dubois zastanawiał się przez chwilę.

– „Leniwy” to nie jest stosowne określenie – powiedział. – Pewnie coś go zatrzymuje. Dlatego… dobrze, idź. Ale dopiero, kiedy wróci Arsene.

Nie chciał zostawać w kopalni sam, bez żadnego przybocznego. Arsene wyruszył na wybrzeże z diamentami, a potem miał się wybrać do Freetown, żeby załatwić różne drobne sprawunki.

– Powinien tu być lada chwila – zauważył Cripps.

Dubois kiwnął głową. Oparł łokcie na blacie i splótł dłonie. Zaczął rozmyślać o Kale’u. Co też wykombinował ten chytry skurczybyk? Czyżby prowadził jakąś pokrętną grę? A może chodzi o coś zupełnie innego, co pozostaje poza kontrolą handlarza?

– Gdy tylko wróci Arsene, weź trzech ludzi i złóż wizytę Kale’o wi. – Rozparł się na krześle i spojrzał na Crippsa. – Chcę, żebyś zapytał, tylko grzecznie, w czym tkwi problem.

– Grzecznie? – upewnił się skrzywiony Cripps.

Dubois uśmiechnął się blado.

– Tak. Przynajmniej na początku. Całkiem możliwe, że to wcale nie Kale odpowiada za opóźnienia w dostawach nowej siły roboczej. W końcu przecież musi zapewnić zajęcie swoim ludziom. Wątpię, żeby chciał siedzieć w dżungli i zbijać bąki. Niewykluczone, że winę ponoszą ludzie w kolonii. Jeśli tak, chcę o tym wiedzieć.

Cripps przyglądał mu się przez chwilę.

– A gdyby tak było?

– To wówczas może należałoby wywrzeć nacisk na kogoś zupełnie innego.

Sześć

Tego samego dnia wczesnym popołudniem…

– Uważaj na siebie, staruszku – powiedział Caleb, klepiąc Hornby’ego, swojego stewarda, w potężne ramię. – I powiedz Fitzowi, że na niego liczę. Ma dostarczyć ciebie i te informacje do Anglii tak szybko, jak tylko pozwolą wiatry.

Frederick Fitzpatrick był zastępcą Caleba i miał dowodzić „Księciem” podczas rejsu do Southampton.

– Wedle rozkazu. – Hornby zrobił krok w tył i zasalutował. – Może pan być pewien, że te papiery trafią do rąk pańskich braci w Londynie. A co do uważania na siebie, to chyba raczej dotyczy to pana kapitana i całej tej zgrai. – Kiwnął siwą głową w stronę mężczyzn, którzy zgromadzili się za plecami Caleba i Phillipe’a. Wszyscy zgłosili się na ochotnika, by zostać z nimi i mieć baczenie na jeńców.

Na statek oprócz Hornby’ego wracali Carter, bosman, i Johnson, jeden z midszypmenów. Byli potrzebni na pokładzie, żeby żaglowiec mógł rozwinąć maksymalną prędkość.

Na „Kruka” zaś wracał Reynaud, bosman Phillipe’a, razem z czterema innymi marynarzami. Żaglowiec Francuza miał mniejszą załogę, uznali więc, że jeśli ma pozostać w estuarium jako ostatnia deska ratunku, będzie

potrzebował liczniejszej obsady, gdyby doszło do niespodziewanego ataku.

Cała drużyna odprowadziła ich półtora kilometra na północ. Pożegnali się w miejscu, gdzie ścieżka gwałtownie opadała w dół.

– Nie martwcie się. – Uśmiechnięty szeroko Phillipe poklepał Reynauda po plecach. Zerknął na Caleba. – Będziemy na siebie uważać. Jak zawsze.

Hornby prychnął i ruszył ścieżką w dół.

– Tego się właśnie obawiam.

– Bywajcie!

– Adieu!

– Z Bogiem!

Ze wszystkich stron rozległy się okrzyki pożegnania.

Niedługo potem Quilley, kwatermistrz Caleba, i siedmiu innych marynarzy z „Księcia”, a także Ducasse i czterech ludzi z „Kruka” zaczęli po dwóch, trzech wracać do obozu.

Gdy kapitanowie zostali sami, Caleb mruknął:

– Papiery wyruszyły do Londynu i misja w zasadzie skończona. Okazało się to dużo prostsze, niż się spodziewałem. A mimo to sytuacja jest znacznie bardziej skomplikowana.

– I daleko do jej rozwiązania. – Phillipe odwrócił się i ruszył ścieżką do obozu.

Caleb dołączył do przyjaciela. Mimo że wyznaczyli warty – w ciągu dnia teren wokół kopalni stale obserwowało dwóch ludzi – trącił Phillipe’a w ramię i zaproponował:

– Chodźmy popatrzeć. Może uda się coś zobaczyć.

Tak też zrobili. Usiedli na półce obok wartowników, którzy zdążyli już wrócić, i razem z nimi obserwowali obóz.

– Dzięki raportom Dixona i Hillsythe’a rozumiem już, co robią – stwierdził Caleb.

Phillipe, nie odrywając wzroku od obozu, pokiwał głową.

– Starają się pracować w równym tempie, a przy tym na tyle szybko, żeby nie drażnić Dubois.

– A zarazem nie za szybko, by wciąż móc się tłumaczyć brakiem rąk do pracy. – Zamilkł na chwilę. – Muszą godzić tyle sprzecznych interesów.

– Co przez to rozumiesz?

– Weźmy choćby to, że Dubois tak się o nich troszczy. Barak medyczny, brak przymusu fizycznego. Nikt więźniów nie bije, żeby ciężej pracowali.

– Bo wmówili mu, że pracują tak ciężko, jak się da.

– Nie, wcale nie ciężko, tylko wydajnie. Dubois o to chodzi. Jemu są potrzebni robotnicy, którzy będą pracować dzień po dniu. Nie może ich przeciążać, bo padną, a nie ma kto ich zastąpić. – Zamilkł. – Widać, że to sprytny drań. Pewnie wolałby zupełnie inaczej obchodzić się z jeńcami, ale musi wywiązać się z umowy, jaką zawarł ze swoimi mocodawcami.

– A w dodatku jest dość silny, żeby narzucić swoją wolę reszcie tych łajdaków. Z tego, co wczoraj słyszeliśmy, oni też woleliby zupełnie inaczej traktować jeńców.

Po dwóch godzinach, kiedy nic się nie działo, uznali, że mają już pewien obraz stosunków panujących w obozie i mogą opuścić punkt obserwacyjny na skale. Szlakiem

zwierząt dotarli nad jezioro, wykąpali się w chłodnej wodzie i odświeżeni ruszyli do obozowiska, szerokim łukiem omijając kopalnię.

– Przyszło mi do głowy – powiedział Caleb – że powinniśmy wymyślić jakąś historię, na wypadek gdyby któryś z nas wpadł na strażników. Taką, która nadawałaby się dla wszystkich. – Spojrzał na Phillipe'a. – To jedyne niebezpieczeństwo, jakie nam tutaj grozi: że Dubois złapie któregoś z naszych i domyśli się, dlaczego tu jesteśmy.

Uchylając się przed lianami, Phillipe pokiwał głową.

– Że nie trafiliśmy tu przez przypadek, tylko wysłano nas celowo.

– Nie możemy pozwolić, żeby ten sukinsyn dowiedział się, że ktokolwiek w Londynie wie coś na temat kopalni.

– Pełna zgoda.

Po dotarciu do obozowiska Caleb zauważył, że brakuje kilku osób. Spojrzał na Quilleya.

– Gdzie reszta?

Quilley uśmiechnął się szeroko.

– Martin wziął kuszę. Ustrzelił kozła. Razem z Ducasse'em i trzema innymi zaniósł go w tamto miejsce, gdzieśmy się rozstali z Hornbym i resztą. Pomyśleliśmy, że tak daleko mogą rozpalić ogień. Poćwiartują mięso, ugotują i przyniosą tutaj. – Twarz Quilleya pojaśniała. – Powinni być z powrotem w porze kolacji.

– Znakomicie! – Phillipe zatarł ręce. – Świeże mięso zawsze w cenie.

Caleb usiadł i wyciągnął przed siebie nogi.

– Wobec tak wspaniałych widoków na przyszłość możemy teraz zająć się wymyślaniem wiarygodnego alibi.

Phillipe zajął miejsce obok przyjaciela.

– Masz rację, w takiej sytuacji mądry dowódca nie powinien zdawać się na przypadek.

* * *

Tego samego dnia późnym popołudniem w tawernie we Freetown trzech mężczyzn usiadło przy stole w końcu sali. Ostatnimi czasy spotykali się tu tak często, że uchodzili wręcz za stałych bywalców. Barman nalał im ulubionego piwa, gdy tylko zobaczył ich w drzwiach.

Muldoon jak zwykle ostatni zajął miejsce przy stole. Postawił blaszany kufel na zniszczonym blacie i spojrzał na siedzącego naprzeciwko mężczyznę, który zawsze zjawiał się pierwszy.

– Jakieś wieści od Kale’a?

Mężczyzna się skrzywił.

– Nie. Dlaczego pytasz?

Muldoon spojrzał badawczo na trzeciego towarzysza, ale Winton pokręcił głową.

– Bo próbowałem się z nim skontaktować. A właściwie z jego człowiekiem w mieście.

– Z Rogersem? Nigdy się stąd nie rusza. Chyba że ma dla Kale’a nowych ludzi.

– A wiemy, że nie ma, bo nikogo mu nie narailiśmy. – Muldoon sapnął ciężko. – A teraz, kiedy mamy kilka osób na oku, nie mogę go złapać. Wczoraj przybił do portu statek

handlowy i kapitan wysadził co najmniej czterech ludzi, młodych i silnych, idealnych dla Dubois.

– Nie możesz przesłać Kale’owi wiadomości? – spytał Winton.

– Próbowałem, ale w tym domu na przedmieściach nikogo nie ma. Chłopak, którego tam posłałem, powiedział, że stoi pusty.

– Dziwne. – Pierwszy mężczyzna podniósł kufel do ust i pociągnął łyk.

– Bardzo dziwne – zgodził się Muldoon. – Cholerny pech. Dubois potrzebuje rąk do pracy, my mamy ludzi, a tymczasem nie ma się tym kto zająć.

Zapadła długa cisza. Wreszcie pierwszy mężczyzna stwierdził:

– Nie damy rady zrobić tego bez Kale’a. W każdym razie nie będzie łatwo.

– Wiem. – Muldoon przez kilka chwil wpatrywał się w kufel. – Jeden z nas musi iść do obozu i sprawdzić, co się dzieje.

Pierwszy mężczyzna odstawił kufel.

– Ja nie mogę. Holbrook wpadłby w szał.

– Ja też nie – odparł Muldoon. – Na pewno nie teraz, kiedy wrócił Decker.

Obaj popatrzyli na trzeciego mężczyznę. Czując na sobie ich wzrok, uniósł oczy. Na jego twarzy pojawił się przestrach. Zamachał rękami.

– Nie patrzcie na mnie. Mój wuj dałby mi popalić, a przypominam wam, że na pewno byście tego nie chcieli,

jeśli wciąż mamy dostarczać Dubois niezbędny sprzęt.

Muldoon się skrzywił.

– To prawda. – Wbił wzrok w jedną z wielu szpecących blat stołu rys. – To co zrobimy?

– Undoto mógłby wiedzieć coś na temat tego, gdzie się podziewa Kale i ile czasu go nie będzie – odezwał się pierwszy mężczyzna.

Muldoon spojrzał mu w oczy.

– Spytasz go?

Mężczyzna uśmiechnął się blado.

– Spytam. – Osuszył kufel, odstawił go i popatrzył na Muldoona. – A ty miej na oku tych czterech młodzików. Wybiorę się do Undoto i zobaczę, czego uda mi się dowiedzieć. – Zerknął na Wintona. – Spotkajmy się tu jutro. Musimy wiedzieć, na czym stoimy.

* * *

Wieczorem Katherine razem z obozową starszyzną usiadła przy palenisku, żeby omówić nowiny i postanowić, co dalej. Reszta więźniów również zgromadziła się wokół ognia – pełgające płomienie oświetlały ich ożywione, rozradowane twarze.

Wieści o naciągającym ratunku i obozującej nieopodal drużynie zdążyły już się rozejść. Efekt był dokładnie taki, jak panna Fortescue się spodziewała: po tak długim okresie przygnębienia w więźniach zaczęła się budzić nadzieja.

Żeby ich jawna radość i podniecenie nie wzbudziły podejrzeń, zaproponowała, by za pretekst do świętowania posłużyły im zaręczyny Annie Mellows i Jeda Mathersa.

Oboje faktycznie zamierzali się pobrać, choć nie mogli tego zrobić od razu. Zgodzili się jednak, by ta nowina posłużyła za wymówkę dla nagłej poprawy nastroju więźniów.

Hopkins, który wykorzystując swój chłopięcy urok, zdołał się zaprzyjaźnić z kilkoma najemnikami, puścił tę historyjkę w obieg. Sądząc po ironicznych parsknięciach, które dobiegały z cienia, strażnicy uwierzyli w jego opowieść. Wyglądało na to, że dzisiejsze ożywienie więźniów nie wzbudziło podejrzeń Dubois ani jego ludzi, a w każdym razie nie próbowali drążyć tej kwestii.

– Pozwólmy im dzisiaj się radować. Jutro będzie dość czasu, żeby to ukrócić – powiedział Hillsythe.

Fanshawe, Hopkins i Harriet zgodnie przytaknęli.

– Ale my – zauważył Dixon – musimy dziś zdecydować, czy otwieramy drugi korytarz, czy próbujemy dalej grać na zwłokę.

– Proszę nam jeszcze raz przedstawić wszystkie argumenty – zaproponował Fanshawe. – Sytuacja zmienia się tak szybko, że ja na przykład trochę się pogubiłem.

– W tej chwili wygląda to tak, że pierwsze złoże się wyczerpuje. Wciąż pozyskujemy z niego diamenty, ale tylko tyle, żeby utrzymać produkcję na stałym poziomie. Tymczasem zleceniodawcy Dubois naciskają na zwiększenie dostaw, a to zaś będzie możliwe tylko wtedy, gdy zaczniemy eksploatować drugie złoże. Zarazem jeśli chcemy utrzymać wydobycie na bezpiecznym poziomie, powinniśmy opóźniać otwarcie drugiego korytarza tak długo, jak damy radę.

– O ile dobrze zrozumiałem – odezwał się Hillsythe – wciąż będziemy mieć dość diamentów, żeby zapewnić stałą produkcję w trakcie otwierania drugiego korytarza. W ten sposób nie dojdzie do spadku wydobycia, nie zirytujemy Dubois i nie ściągniemy na siebie uwagi jego mocodawców.

– I tak, i nie. Może się okazać, że pierwsze złoże wystarczy nam na styk. Na szczęście powinniśmy mieć dość kamieni ukrytych na czarną godzinę, żeby zaspokoić apetyt Dubois, gdy będziemy się przenosić do drugiego korytarza.

Fanshawe nie wyglądał na zachwyconego, ale pokiwał głową.

– Wystarczy, żeby pokryć kilka dni produkcji – wtrącił Hopkins.

– Dla przypomnienia – powiedziała Harriet. – Jeśli otworzymy drugi korytarz za wcześnie, produkcja gwałtownie wzrośnie. Dlatego wciąż to odwlekamy, aż wydobycie w pierwszym zacznie się zmniejszać.

Dixon pokiwał głową.

– Wprawdzie zwiększenie wydobycia bardzo by uszczęśliwiło mocodawców Dubois, ale trwałoby zaledwie kilka tygodni. Potem z pewnością nastąpiłby spadek, być może na tyle gwałtowny, że spowodowałby zamknięcie kopalni. Naszym głównym celem jest uniknięcie takiego rozwoju wypadków, a jedynym sposobem, żeby to osiągnąć, jest utrzymanie produkcji na stałym i możliwie niskim poziomie.

– W rzeczy samej. – Hillsythe znów spojrzał na więźniów gawędzących wokół ogniska. – Zwłaszcza teraz, gdy wiemy,

że pomoc nadciąga, utrzymanie działalności kopalni musi być naszym najważniejszym zadaniem. Przybycie Frobishera dało nam potężny, wręcz decydujący impuls.

– Co Dubois wie na temat drugiego złoża? – spytał Hopkins.

– Na razie tylko tyle, że istnieje – odparł Dixon. – Nie powiedziałem mu, że jest bardziej zwarte, gęściej napakowane kamieniami. Chciałem zyskać na czasie, więc wciąż wynajdywałem nowe przeszkody, żeby go nie badać. – Wzruszył ramionami. – Część jest prawdziwa, większość zmyślona, odniosły jednak skutek.

Pierwszy korytarz biegł w głąb wzgórza i tylko ocierał się o górną krawędź złoża, musieli więc mocno kuć z jednej strony. Drugi chodnik powinien pójść prostopadle do pierwszego, jakieś dziesięć metrów w prawo od wejścia do kopalni.

– Jak dotąd – ciągnął Dixon – ograniczyłem się do niewielkiej sztolni poszukiwawczej. Udało mi się przekonać Dubois, że jeśli tym razem wydrążymy kilka mniejszych otworów, żeby korytarz mógł biec wzdłuż złoża, eksploatacja pójdzie dużo szybciej.

Fanshawe pokiwał głową.

– Uznał, że warto poczekać, żeby potem załatwić sprawę błyskawicznie.

– Skoro jednak pierwsze złoże się wyczerpuje – zauważył Hillsythe – czas zamienić sztolnię w korytarz, żeby nasi ludzie mogli sprawnie się do niego przenieść, nie zmniejszając wydobycia.

Katherine spojrzała na Fanshawe’a i Hopkinsa. To oni stali na czele dwóch sześcioosobowych brygad, które wykonywały najcięższą pracę. Hillsythe dowodził czterema drobnymi mężczyznami, którzy pilnowali dzieci i kontrolowali ilość urobku. Nadzorował też trzech krzepkich stolarzy z drużyny Dixona, gdy ci nie pomagali inżynierowi. Stolarze doglądali szalunku, by nie doszło do wypadku.

– Wyraźnie widać, że nadszedł czas. – Gdy wszyscy zgodnie pokiwali głowami, Hillsythe spojrzał na Dixona. – Czego pan potrzebuje, żeby otworzyć drugi tunel?

– Tu właśnie pojawia się problem – odpowiedział Dixon, rozglądając się po zgromadzonych. – Potrzebuję ludzi i materiałów: drewna, gwoździ i tego typu rzeczy. Dubois pewnie jest w stanie zdobyć materiały, ale ludzi?

Wszyscy wiedzieli, że komendant od tygodni stara się o nowych jeńców. Katherine rozejrzała się, żeby sprawdzić, czy w pobliżu nie ma strażników, po czym powiedziała:

– Teraz, kiedy Kale zniknął, nie ma na to szansy.

Hillsythe spojrzał jej w oczy.

– Zniknięcie Kale’a oznacza brak dopływu nowych rąk do pracy, dopóki Dubois nie znajdzie innego źródła. A to zajmie mu trochę czasu.

– Właśnie o to mi chodzi – odparł ponuro Dixon. – Skoro pierwsze złoże się wyczerpuje, a Dubois nie ma dość ludzi, żeby otworzyć drugie, może się okazać, że zabraknie nam czasu.

– Ach! – Do Hillsythe’a wreszcie dotarło. – Już rozumiem, co miał pan na myśli, mówiąc o problemie.

Wszyscy zrozumieli. Dubois pewnie zdawał sobie sprawę, że jeżeli zechcą otworzyć drugi korytarz, brak ludzi nie pozwoli utrzymać wydobycia na dotychczasowym poziomie, nie miał jednak gwarancji, że jego mocodawcy przyjmą to do wiadomości. A jeśli zaczną się upierać, że w takiej sytuacji lepiej zamknąć kopalnię? I zabić jeńców? Dubois pewnie wzruszy ramionami i wykona rozkaz – na nic się zda apelowanie do jego rozsądku.

– Nawet jeśli ma pan rację – odezwał się w końcu Hillsythe – dziś wieczorem musimy zdecydować, co robimy w sprawie drugiego tunelu. Może się okazać, że to decyzja o zasadniczym znaczeniu i że od niej zależy nasze życie, ale musimy ją podjąć. – Spojrzał na Dixona. – Głosuję za tym, żeby powiedział pan Dubois, że pora otworzyć drugi korytarz. Moim zdaniem dalsza zwłoka może tylko pogorszyć naszą sytuację, a w dodatku wzbudzić jego podejrzliwość, którą z takim trudem staraliśmy się uśpić.

Katherine zacisnęła usta.

– Zgadzam się z panem Hillsythe’em. Z tego, co rozumiem – zerknęła na Hopkinsa i Fanshawe’a – mamy dość urobku, żeby nie dopuścić do przestoju w produkcji podczas budowy. Przynajmniej przez jakiś czas.

Fanshawe pokiwał głową.

– Przez jakiś czas. Robiliśmy zapasy po to, żeby zyskać kilka dni, kiedy złoże całkowicie się wyczerpie. To miał być taki margines bezpieczeństwa, który pozwoli nam

zorganizować ucieczkę. Potem jednak Dixon odkrył nowe pokłady diamentów, a teraz w dodatku zjawił się Frobisher. I choć drugie złoże też się kiedyś wyczerpie, musimy podjąć decyzję. Dlatego ja też głosuję za otwarciem drugiego korytarza, choć w ten sposób zużyjemy zapasy i dopóki ich nie uzupełnimy, pozostanie nam tylko modlić się, żeby pomoc dotarła, zanim drugie złoże się wyczerpie.

Hopkins skrzywił się, ale on też kiwnął głową.

– Zgadzam się. Musimy zaryzykować i otworzyć drugi korytarz tak szybko, jak się da.

Harriet i Dixon poparli pozostałych i tym samym decyzja została podjęta jednomyślnie.

– W dodatku – powiedział Dixon – dzięki temu posunięciu, które będzie wyglądało na chęć współpracy z naszej strony, za opóźnienie spowodowane brakiem ludzi czy materiału Dubois będzie obwiniał nie nas, tylko dostawców.

Fanshawe chrząknął.

– Mimo wszystkich swoich wad nigdy nie obarczał nas odpowiedzialnością za rzeczy, na które nie mamy wpływu.

– A więc zgoda. – Hillsythe wyprostował się i spojrzał na Dixona. – Panu pozostawiamy zadanie poinformowania Dubois.

Inżynier sapnął.

– Zrobię to jutro z samego rana i dam wam znać, czy się nie pojawi jakaś niespodzianka.

– Prawdę mówiąc – Hillsythe zerknął na Katherine – w związku z tym, co powiedzieliśmy, rodzą się dwa pytania. Pierwsze: ile czasu zdaniem Frobishera zajmie ekspedycji

ratunkowej dotarcie na miejsce? Czy będzie w stanie podać dokładny termin?

– Powiedział, że co najmniej sześć tygodni, ale myślę, że zgadywał. Następnym razem poproszę, żeby był bardziej precyzyjny.

– Proszę tak zrobić. Drugie pytanie – Hillsythe spojrzał na Dixona – dotyczy nowego złoża. Czy jest dość zasobne, żebyśmy mogli zadowolić mocodawców Dubois i jednocześnie doczekać pomocy?

– Nie będę w stanie na nie odpowiedzieć, dopóki nie otworzymy drugiego korytarza. Musimy pociągnąć go na całą długość złoża i pewnie zejść nieco w dół, żeby ocenić, jak daleko sięgają pokłady.

Niewielkie ognisko pośrodku paleniska przygasało. Większość więźniów rozeszła się już na spoczynek.

– A więc rozpoczynamy nowy rozdział – mruknął Hillsythe i wstał. Skinął głową paniom i ruszył w stronę swojego baraku.

Katherine rozejrzała się, a widząc, że Harriet rozmawia z Dixonem, także się oddaliła. Idąc przez teren obozu, obracała w myślach dwa niby niezwiązane ze sobą fakty. Dubois potrzebuje rąk do pracy. Caleb, Lascelle i ich drużyna obozują zaledwie kawałek dalej.

Gdyby tak…

Natychmiast odepchnęła od siebie te myśli, jakby samo to, że się pojawiły, wystarczyło, by sprowokować los.

* * *

Undoto, niezwykły kaznodzieja i raczej oporny wspólnik handlarzy niewolników, spodziewał się tej wizyty. Prawdę mówiąc, myślał, że nastąpi wcześniej. Słysząc pukanie, z wystudiowanym uśmiechem na twarzy otworzył szeroko drzwi.

Na ganku stał tylko jeden człowiek odziany w czerń.

Wzrost i postawa wydały się kaznodziei znajome. W słabym świetle dostrzegł pistolet, który mężczyzna trzymał wymierzony w jego pierś.

– Dobry wieczór, wielebny Undoto. – Głos należał do kulturalnego Anglika. – Jeśli pan pozwoli, zajmę panu minutkę. Chciałbym omówić pewną sprawę.

Ze wzrokiem wbitym w pistolet, boleśnie świadom tego, że we frontowym pokoju śpią jego synowie i córki, Undoto wciągnął powietrze i zachowując pozory spokoju, wyszedł na ganek. Spoconą dłonią złapał za klamkę i zatrzasnął za sobą drzwi.

– Znakomicie – powiedział mężczyzna, odsuwając się nieco.

W półmroku kaznodzieja zobaczył, że nieznajomy ma luźno owiniętą dolną część twarzy czarną chustą. Ciemny kapelusz z szerokim rondem był opuszczony nisko, by ukryć oczy.

– Przykro mi z powodu pistoletu. – Mężczyzna skierował lufę do góry i wsunął broń do kieszeni. – Był mi potrzebny, żebym mógł z panem porozmawiać na osobności.

Po tych słowach Undoto wcale nie poczuł się lepiej.

– Proszę mówić.

– Mamy wspólnego znajomego, niejakiego Kale’a, choć podejrzewam, że zazwyczaj kontaktuje się pan raczej z Rogersem, jego prawą ręką w mieście.

Undoto przytaknął niechętnie.

– Owszem, znam ich.

Mężczyzna parsknął śmiechem.

– Dajmy sobie spokój z tymi gierkami. Pracuje pan dla nich jako naganiacz. Wybiera pan cele. I bardzo dobrze. Wszyscy pracujemy dla tych samych ludzi. Niestety, ostatnio nie udało nam się z Kale’em skontaktować. Wie pan, gdzie go możemy znaleźć?

– Nie. – Z trudem udało mu się nie skrzywić. Po chwili wahania dodał: – Rogers miał się dziś do mnie zgłosić. Myślałem, że to właśnie on. Wygłaszałem dzisiaj kazanie, a on zwykle zjawia się potem, żeby sprawdzić, czy kogoś nie wypatrzyłem.

– A wypatrzył pan?

– Dwóch marynarzy ze statku handlowego. Szukają pracy.

Mężczyzna pokiwał głową.

– Pewnie z tej samej grupy, którą i myśmy zauważyli. Próbowaliśmy przesłać wiadomość do bazy Kale’a na przedmieściach, ale nikogo tam nie ma. Wie pan, jak można się z nim skontaktować?

– Nie. To zawsze on, a raczej Rogers, przychodzi do mnie.

– Wie pan, gdzie ma obóz?

Undoto się zawahał. Wiedział, ale…

– Gdzieś na wschodzie. – Schował ręce do kieszeni i wzruszył ramionami.

Nieznajomy przez chwilę analizował jego słowa, po czym wyjrzał na ulicę i powiedział:

– Wygląda na to, że obaj mamy interes w tym, żeby odnaleźć Kale’a. Sugeruję, by postarał się pan z nim skontaktować. Gdyby go pan zobaczył, proszę mu powiedzieć, żeby odezwał się do tych, którzy mu ostatnio płacili. Wrócę tu za dwa dni, żeby się przekonać, czego udało się panu dowiedzieć. Sądzę, że obu nam zależy na tym, by utrzymać nasze stosunki w tajemnicy.

– Być może – odparł Undoto. – Pan jednak ma nade mną przewagę. Zna pan moje nazwisko. Wie pan, jak wyglądam. Ja nie mogę powiedzieć tego samego.

Mężczyzna spojrzał mu prosto w oczy, po czym odparł spokojnym tonem:

– I dla dobra nas wszystkich lepiej niech tak zostanie. – Owinął się płaszczem i zbiegł po schodach. – Dobranoc, panie Undoto.

Kaznodzieja patrzył, jak nieznajomy szybkim krokiem przechodzi przez ulicę i znika.

Poza incydentem z pistoletem mężczyzna w żaden sposób nie próbował go straszyć. A mimo to w wilgotnym powietrzu nocy zawisła niewypowiedziana groźba.

Wreszcie Undoto odwrócił się, otworzył drzwi i wszedł do domu.

* * *

Następnego dnia późnym popołudniem Muldoon, Winton i ich wspólnik znów spotkali się w tawernie.

Gdy tylko wszyscy trzej usadowili się przy stoliku z kuflem w ręce, mężczyzna, który jak zwykle pierwszy pojawił się na miejscu spotkania, zrelacjonował swoją wizytę u kaznodziei.

– Jestem przekonany, że Undoto wie, gdzie jest obóz Kale’a – powiedział na zakończenie. – Pójdzie tam. Dla własnego dobra musi się dowiedzieć, co się dzieje. – Pociągnął łyk piwa. – Jutro wieczorem znów go odwiedzę i zobaczę, czego się wywiedział.

Muldoon i Winton spojrzeli po sobie.

Muldoon obrócił kufel w dłoniach.

– A zatem Undoto stracił kontakt z Rogersem. Miałem nadzieję, że ten dom na przedmieściach jest pusty dlatego, że zna leźli sobie jakieś inne miejsce i jeszcze nie zdążyli rozpuścić wici. Ale skoro Rogers i jego ludzie nie zjawili się wczoraj u kaznodziei, to znaczy, że się myliłem.

Winton przełknął ślinę. Zwilżył usta i mruknął:

– Co zrobimy, jeśli Kale zniknął i zabrał ze sobą swoich ludzi?

Żaden z nich nie odważył się odpowiedzieć.

Wreszcie pierwszy mężczyzna osuszył kufel i powiedział:

– Nie ma sensu się nad tym zastanawiać, dopóki się nie dowiemy, co się stało z Kale’em. Na razie dajmy sobie spokój.

Siedem

Dwa dni później Katherine opuściła teren obozu i pomaszerowała do lasu. Diccon pobiegł przodem. Wyglądało na to, że jemu lepiej szło ukrywanie podniecenia niż jej – z trudem powstrzymywała się, by nie rozglądać się za Frobisherem, dopóki nie zniknie strażnikom z oczu.

Nie miała pojęcia, dlaczego Frobisher w ten sposób na nią działa. Żaden mężczyzna dotąd nie zajmował tak jej myśli. W dodatku trudno jej było zachować w jego towarzystwie zimną krew.

Diccon zatrzymał się przy kępie pnączy porośniętych owocami. Powinna brać z niego przykład – z takim opanowaniem i cierpliwością zrywał owoce. Nieopodal zauważyła orzech, podeszła więc bliżej.

Rozgarniając poszycie w poszukiwaniu nieuszkodzonych łupin, zajęła się problemem, z którym zmagała się cały poprzedni dzień. W początkach działalności kopalni mężczyźni zorientowali się, że niektóre dzieci potrafią rozpoznać kawałki skały kryjące diamenty. Korzystając z ich pomocy, gromadzili takie odłamki i zostawiali w kopalni. A ponieważ strażnicy szybko uznali, że nie ma po co wchodzić do tunelu, i tylko od czasu do czasu obrzucali wyrobisko znudzonym wzrokiem, więźniom udało się wykopać skrytkę, w której ukryli łup.

To były zapasy, które miały im pomóc przetrwać w sytuacji nieoczekiwanego niedoboru – rezerwa, z której teraz zamierzali skorzystać, by móc otworzyć drugi korytarz, nie doprowadzając przy tym do spadku produkcji.

Katherine przyszło do głowy, że gdy drugi tunel zacznie działać, więźniowie z czasem będą mogli stworzyć skrytkę poza terenem kopalni. Wprawdzie sortowanie odbywało się na widoku i strażnicy, którzy patrolowali teren, obserwowali dziewczynki, ale przed wzrokiem tych z wieży zasłaniała je przenośna markiza.

Inaczej rzecz się miała z oczyszczalnią. Tu wartownicy zaglądali od czasu do czasu, ale ponieważ kobiety niezmiennie ich ignorowały, rzadko zostawali na dłużej. Katherine była przekonana, że jej towarzyszki chętnie zgodzą się gromadzić własne zapasy. Oczyszczone z rudy surowe diamenty wciąż wyglądały jak zwykłe kamyki, a ponieważ były maleńkie, łatwo było je ukryć... Gdyby tylko udało jej się wymyślić jakieś dobre miejsce.

Oczyszczalnia niczym nie różniła się od pozostałych budynków. Ściany i podłoga z desek, dach kryty liśćmi palmy. Długi stół biegnący przez środek baraku, stołki, na których siedziały kobiety, i ławka na końcu stanowiły jedyne umeblowanie.

Katherine sprawdziła podłogę, ale ta znajdowała się powyżej poziomu gruntu i przestrzeń pod nią była widoczna jak na dłoni. W ścianach, które miały grubość zaledwie jednej deski, nie było żadnych odpowiednio dużych szczelin.

Dach jednak stwarzał pewne możliwości. Będzie musiała przyjrzeć mu się bliżej.

Usłyszała głos Diccona. Podniosła wzrok i zobaczyła, że ją przywołuje. Wyprostowała się, wzięła częściowo wypełniony koszyk i podążyła za chłopcem w głąb lasu.

Gdzie się podziewa Frobisher? Diccon upierał się, że powinni po prostu robić swoje, dopóki tamci się nie zjawią. Słusznie, tylko że ona musiała wrócić do obozu w południe, a przecież miała przekazać wieści od Dixona i Hillsythe'a i zapytać, kiedy przybędzie ekspedycja ratunkowa.

Caleb z Phillipe'em stali nieopodal w cieniu drzew. Byli w obozie, gdy jeden z wartowników przybiegł, żeby powiedzieć, że Katherine razem z chłopcem opuścili teren kopalni i kierują się w stronę jeziora.

A ponieważ wartownik nie poczekał, żeby się przekonać, czy nikt ich nie śledzi, Phillipe uparł się, że powinni zachować ostrożność, a Caleb przyznał mu rację.

Przez kwadrans obserwowali Katherine i Diccona z oddali, rozglądając się za ewentualnym ogonem, ale nikogo nie zauważyli.

– Są sami – szepnął rozluźniony Caleb.

Phillipe pokiwał głową.

– Ten Dubois prowadzi bardzo dziwną grę.

Frobisher chrząknął i wyszedł z cienia. Panna Fortescue – Katherine – usłyszała go. Odwróciła się i na jej twarzy pojawił się uśmiech.

Caleb podszedł bliżej, odpowiadając promiennym wyrazem twarzy.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry. – Wpatrywała się w niego przez chwilę, po czym zamrugała i odwróciła wzrok. – Mam… dla pana kilka wiadomości. Dixon i Hillsythe prosili, żebym przekazała, jak wygląda sytuacja w kopalni. Mamy nadzieję, że dzięki temu zrozumie pan, jak ważna jest odpowiedź na nasze pytanie. – Skinęła głową Phillipe’owi. – Jest też kilka rzeczy, o których być może powinni panowie wiedzieć.

– Oczywiście, ale najpierw pomyśleliśmy, że zabierzemy panią do naszego obozu. Diccon zna drogę, bo właśnie on znalazł nam to miejsce. – Schylił się i wziął jej koszyk. – Im więcej osób będzie wiedziało, gdzie nas szukać, tym lepiej.

– Słusznie – zgodziła się.

Gdy ruszyli w ślad za Dicconem i Lascelle’em, Caleb zaczął wyjaśniać:

– Idziemy teraz po łuku, ale polana, na której rozbiliśmy obóz, znajduje się tuż obok ścieżki prowadzącej na północ, tej, z której właściwie nikt nie korzysta. Koło naszego obozu rosną orzechy, więc będziemy mogli napełnić pani koszyk, żebyście potem wrócili do kopalni właśnie tym szlakiem.

– Bardzo dobrze – odparła, zakładając kosmyk włosów za ucho. – W ten sposób na pewno zapamiętam drogę.

Gdy dotarli na miejsce, Katherine rozejrzała się po obozie i na zaproszenie Frobishera usiadła na kłodzie leżącej w pobliżu pustego paleniska. Z uśmiechem wdzięczności przyjęła kubek wody od Ellisa. Caleb jej koszyk wręczył Fosterowi i Collinsowi, a ci chętnie zgodzili się go napełnić.

– A teraz – powiedział, siadając obok – słucham. Co ma nam pani do powiedzenia?

Katherine zrobiła minę, którą uznała za odpowiednią dla guwernantki – surową i nieco onieśmielającą, choć wątpiła, żeby udało jej się speszyć Frobishera albo Lascelle'a.

– Przede wszystkim chciałam wyjaśnić, że do tej pory to my, więźniowie, regulowaliśmy wydajność kopalni. Już na samym początku zrozumieliśmy, że gdyby wydobycie zanadto spadło, ludzie, którzy za tym stoją, mogliby dojść do wniosku, że całe przedsięwzięcie jest zbyt ryzykowne i dlatego kopalnię należy zamknąć, a nas zabić. Żeby do tego nie dopuścić, ukrywaliśmy część urobku w kopalni. W ten sposób udało nam się zgromadzić pewien zapas diamentów, na wypadek gdyby wydobycie spadło.

– I Dubois nic o tym nie wie? – spytał Lascelle.

– Nie ma pojęcia. Problem w tym, że nie mamy wpływu na dostawy materiałów, takich jak drewno, gwoździe czy narzędzia, a także na to, ile osób pracuje przy wydobyciu. Dubois załatwiał to za pośrednictwem Kale'a i pewnie jeszcze kilku innych osób w mieście. – Spojrzała na Frobishera. – Teraz jednak, kiedy zlikwidowaliście Kale'a, dostawy ustały i Dubois będzie musiał...

– Znaleźć nowe źródła zaopatrzenia? – podpowiedział Caleb.

– Właśnie. Rzecz w tym, że Dixon właśnie rozpoczyna budowę drugiego korytarza. Zwlekaliśmy z tym, licząc, że kiedyś uda nam się uciec. Teraz sytuacja się zmieniła, bo

pierwsze złoże właśnie się wyczerpuje. Brakuje nam jednak materiałów i rąk do pracy.

Lascelle wybuchnął gorzkim śmiechem.

– Czyli tak naprawdę potrzebujecie powrotu Kale’a.

Katherine spojrzała mu w oczy.

– Chyba wszyscy zdajemy sobie sprawę z tego, że żaden z więźniów nie chciałby powrotu Kale’a. – Zerknęła na Frobishera. – Mówiłam, że za to, co zrobiliście z handlarzami niewolników, ludzie w kopalni będą was czcić jak bohaterów, i proszę mi wierzyć, tak właśnie jest. Nikt nie żałuje, że już ich nie ma. – Twarz jej się rozjaśniła. – Dixon uważa, że drugie złoże jest bogatsze niż pierwsze, dlatego mamy nadzieję, że jeszcze przez jakiś czas kopalnia będzie mogła działać. I tu dochodzimy do pytania, na które musimy znać odpowiedź. Jak pan myśli, ile czasu zajmie ekspedycji ratunkowej przybycie na miejsce? Jest pan w stanie podać termin?

Caleb spojrzał jej w oczy i powoli pokiwał głową.

– Obliczyliśmy to z grubsza już wcześniej, ale zobaczmy, czy uda nam się to zrobić z większą dokładnością. – Spojrzał na Phillipe’a. – Nasi ludzie powinni już dotrzeć do estuarium.

– A ponieważ nie zwykli się ociągać, w tych okolicznościach pewnie zdecydują się płynąć nocą – dodał Phillipe.

– Masz rację. A więc „Książę” wypłynie na morze dziś w nocy. – Skrzywił się. – Nie wyobrażam sobie, żeby Fitzowi udało się doprowadzić staruszka do Southampton w mniej

niż dwadzieścia jeden dni, a i to tylko przy sprzyjających wiatrach.

– No to powiedzmy, że droga do Southampton zajmie im dwadzieścia trzy dni. – Phillipe zmarszczył brwi. – Pytanie, jak szybko wieści dotrą do Londynu i kiedy twoim braciom uda się zaalarmować odpowiednie osoby, by wysłały ekspedycję ratunkową.

– Trzeba liczyć najmarniej cztery dni. Zważywszy na odległość i pośpiech, potrzebnych będzie kilka żaglowców.

– Myślisz, że skorzystają ze statków twojej rodziny?

– O ile będą w Southampton, Londynie czy nawet Bristolu. W każdym razie tyle wystarczy. – Twarz Caleba się wypogodziła. – Założę się, o co chcesz, że pierwszy przypłynie statek Royda.

Phillipe prychnął.

– Bez dwóch zdań.

Caleb spojrzał na Katherine.

– Royd to mój najstarszy brat i szef Kompanii Frobisher i Synowie – wyjaśnił.

– A co ważniejsze – dodał Phillipe – jego „Korsarz” jest bez wątpienia najszybszym statkiem tej klasy na morzu.

– Z tego, co się orientuję, Royd może dotrzeć z Southampton do Freetown w ciągu dwunastu dni, niewykluczone, że nawet szybciej.

– A więc dwadzieścia trzy plus cztery i plus dwanaście. – Katherine nie uroniła ani słowa z rozmowy. – Co daje w sumie trzydzieści dziewięć dni, zanim pierwszy statek dotrze do Freetown.

– Myślę, że możemy bezpiecznie założyć – powiedział Caleb – że tych trzydzieści dziewięć dni wystarczy, żeby położyć kres kontaktom między kopalnią a organizatorami całego przedsięwzięcia. – Spojrzał w oczy Phillipe'owi, potem przeniósł wzrok na Katherine. – Mój brat skontaktuje się Deckerem, wiceadmirałem Eskadry Zachodnioafrykańskiej, i przekona go, by zablokował estuarium. Zatrzymają wszystkie jednostki i pozwolą przepłynąć tylko tym, które będą wiozły ekspedycję ratunkową.

– Czyli – Katherine wypuściła powietrze – powiedzmy, że czterdzieści dni. Co najmniej tyle czasu musimy utrzymać produkcję na odpowiednim poziomie.

– Najlepiej nieco dłużej, żeby pomoc miała czas dotrzeć do kopalni – stwierdził Phillipe.

– Do końca miesiąca zostało dziesięć dni – dodał Caleb – dlatego najbezpieczniej będzie, jeśli zaplanujecie pracę do końca sierpnia, a nawet jeszcze na pierwszy tydzień września. Obstawiałbym siódmego.

– Dziękuję. – Katherine energicznie pokiwała głową. – Pomoże nam to nie tylko zaplanować dalsze działania, ale też dobrze wpłynie na morale. A skoro już o tym mowa, przekazaliśmy reszcie więźniów wiadomość o waszym przybyciu i nadciągającym ratunku. Nie umiem opisać, jaką radość wzbudziła i jak podniosła wszystkich na duchu. Wasza obecność ma dla nas ogromne znaczenie. Uwierzyliśmy, że uda nam się przeżyć.

– I o to właśnie chodzi. – Caleb uśmiechnął się pokrzepiająco. – Musimy skupić się na tym, żeby wszyscy dotrwali do końca. Czy jeszcze o czymś powinniśmy wiedzieć? Coś na temat tej grupy, która wczoraj wróciła, i tej drugiej, która opuściła obóz dziś rano?

– Owszem. – Katherine zaczęła relacjonować, czego więźniowie dowiedzieli się, gdy Arsene, prawa ręka Dubois, wrócił do obozu. – Strażnicy rozmawiają ze sobą bez skrępowania, nie przejmują się, że moglibyśmy coś podsłuchać. Po przekazaniu diamentów Arsene wybrał się do Freetown, żeby jak zwykle kupić żywność i załatwić jakieś sprawy. A dziś rano Cripps, drugi przyboczny Dubois, pomaszerował z kilkoma ludźmi do obozu Kale'a. Najwyraźniej Dubois chce wiedzieć, co się dzieje. Ta wyprawa zajmie Crippsowi co najmniej trzy dni. Ale według strażników Dubois już rozmyśla o tym, żeby samemu skontaktować się z ludźmi z kolonii i poprosić ich o potrzebne materiały i robotników.

Frobisher zmrużył oczy.

– To znaczy, że Dubois wie, kto z kolonii jest w to zamieszany.

– Prawdopodobnie tak. Ale nikt z nas nie słyszał żadnych nazwisk. Całkiem możliwe, że strażnicy też ich nie znają. Tylko Dubois, ewentualnie Arsene i Cripps.

Frobisher pokiwał głową.

– Proszę nam powiedzieć coś więcej na temat strażników. Jak często się zmieniają, jak długo zatrzymują w jednym miejscu, czy patrolują cały teren, tego typu rzeczy.

Gdy szczegółowo i jasno naszkicowała rozkład wart i zwyczaje najemników, Lascelle się skrzywił.

– A więc nie mają stałych tras.

– Dlatego trudno będzie zaplanować atak. – Widząc, że zbliża się już południe, Caleb wstał i wyciągnął rękę w stronę Katherine.

Delikatnie oparła szczupłe palce na jego dłoni i także się podniosła.

Wygładziła suknię i uśmiechnęła się do niego.

– Dziękuję. Na mnie już pora.

Phillipe poszedł odszukać jej koszyk.

Caleb wcale nie chciał, żeby odchodziła.

– Tę przymusową bezczynność zamierzamy wykorzystać, żeby zdobyć jak najwięcej informacji na temat funkcjonowania waszego obozu z myślą o planowanym ataku. Chcemy rozważyć różne możliwości i jeśli się uda, poczynić nawet pierwsze przygotowania.

Zamilkł, widząc nadchodzącego przyjaciela z wypełnionym po brzegi koszykiem.

– Przecież panna Fortescue tego nie doniesie.

Uśmiechając się szeroko, Phillipe schylił się i wysypał część orzechów na ziemię.

– Chłopaków trochę poniosło.

– Właśnie, zanim zapomnę – powiedział Caleb. – Tę broń, którą zabraliśmy ludziom Kale’a, ukryliśmy nad jeziorem. Na końcu nabrzeża jest pagórek. Schowaliśmy ją w jamie wykopanej w zboczu.

– Przekażę Hillsythe’owi i reszcie. To prawdziwy skarb.

– Pomyśleliśmy, że jeśli będziecie potrzebować broni, mężczyźni, którzy chodzą po wodę, mogą obezwładnić strażników i ją stamtąd wydobyć.

– Rozumiem. – Odebrała z rąk Phillipe’a lżejszy już koszyk. Caleb zabrał go jej i wskazał wąską ścieżkę dochodzącą do szlaku, który prowadził do obozu.

– Diccon gdzieś się zawieruszył. Odprowadzę panią kawałek – zaproponował, udając, że nie widzi miny Phillipe’a.

Katherine uśmiechnęła się na pożegnanie do wszystkich obecnych i ruszyli w drogę powrotną do kopalni.

– Zważywszy na nasze plany, dobrze by było, gdyby Dixon i Hillsythe potwierdzili, czy uda wam się utrzymać wydobycie do września – zagaił Caleb, gdy zbliżali się już do szlaku. – Dzięki temu odpadłby nam jeden powód do zmartwień. Proszę też zapytać, czy jest coś, w czym moglibyśmy wam pomóc, może na przykład udaremnić dalsze dostawy. Choć z drugiej strony kto wie, może to tylko pogorszyłoby sytuację?

Katherine odwróciła się do niego.

– Sama nie będę nawet próbowała odpowiedzieć na żadne z tych pytań. Ale przekażę je reszcie. – Spojrzała mu w oczy. – Nie odważę się naciskać na Dubois, żeby pozwolił mi wybrać się do lasu wcześniej niż za dwa dni, więc jeśli będzie pan miał dla nas jakąś pilną wiadomość, proszę przekazać ją przez Diccona. – Na jej twarzy znów pojawił się uśmiech. – Bardzo się przejął rolą kuriera.

Caleb również się uśmiechnął.

Kiedy dotarli w miejsce, gdzie strażnicy mogliby go zauważyć, zatrzymał się i podał Katherine koszyk.

Ujęła rączkę z nieśmiałym uśmiechem, muskając przy tym jego dłoń.

Ten dotyk zelektryzował go całego. Szybko skinął jej głową na pożegnanie i czmychnął w poprzecinany plamami słońca cień drzew, skąd patrzył, jak odchodzi.

* * *

Resztę drogi powrotnej Katherine pokonała w roztargnieniu. Jej umysł wciąż wynajdywał przeszkody, które mogli napotkać, próbując przedłużyć działalność kopalni do września. Jeszcze większy niepokój budziła w niej myśl, że Frobisher i jego ludzie zrobią coś, by pomóc więźniom, a Dubois, ten diabeł wcielony, zorientuje się, że są gdzieś w pobliżu, i…

Weszła do jego gabinetu, z całych sił starając się odepchnąć od siebie tę myśl.

Dubois jednak nie było za biurkiem. Rozejrzała się i zobaczyła, że stoi w końcu wspólnej części sali, rozmawiając z Arsene’em. A choć musiał ją zauważyć, najwyraźniej nie miał ochoty na pogawędkę, co bardzo jej odpowiadało.

Podeszła do biurka, postawiła koszyk, życząc w duchu komendantowi, by któregoś dnia zadławił się orzechem, po czym odwróciła się i nie zaszczyciwszy go spojrzeniem, wyszła z baraku.

Jak zwykle poczuła na sobie jego wzrok i tylko z trudem udało jej się nie wzdrygnąć.

Dubois patrzył w ślad za nią i zastanawiał się, dlaczego instynkt podpowiada mu, że coś jest nie tak. Katherine Fortescue nigdy nie wykazywała żadnych oznak uporu ani buntu, choć wytrwale starała się zachować typowo angielską pozę lekkiej wyniosłości. To nigdy mu nie przeszkadzało. Teraz jednak dostrzegł w niej coś nowego… Nie wiedział, co to takiego, czuł jednak, że własnego instynktu nie wolno mu ignorować.

– Więc jeśli Crippsowi nie uda się wydusić z Kale’a nic użytecznego – powiedział Arsene, podsumowując to, co ustalili wcześniej – chce pan, żebym zabrał kilku ludzi, odszukał Wintona i trochę go, by tak rzec, szturchnął.

Ze wzrokiem wciąż wbitym w drzwi Dubois pokiwał głową. Ruszył do biura, wiedząc, że Arsene pójdzie za nim.

– Równie dobrze możemy spróbować u samego Wintona. Intendentura fortu to najlepsze źródło. – Okrążył biurko i podszedł do okna. – Ale jeżeli nie uda ci się dotrzeć do Wintona tak, żeby go nie zdemaskować, spróbuj uderzyć do Muldoona. Jego łatwiej przyłapać samego. – Zatrzymał się w cieniu, niewidoczny z zewnątrz. – Tylko pamiętaj, że nie wolno nam ich narażać. Wciąż są potrzebni.

Katherine Fortescue nie wróciła do oczyszczalni, nie zatrzymała się też koło dziewczynek sortujących odłamki pod markizą. Z lekkim zniecierpliwieniem stwierdził, że czeka u wejścia do kopalni.

Arsene, nieświadomy, że uwagę Dubois zaprząta co innego, spytał:

– A co z tym trzecim? Tym, którego nazwiska nie powinniśmy znać? Spróbować dotrzeć do niego, jeśli nie uda mi się znaleźć Muldoona?

– Nie. – Dubois wiedział, kim jest ów mężczyzna, i zgadzał się, że nie należy się z nim kontaktować. W każdym razie dopóki całe przedsięwzięcie nie zacznie się sypać. – Jest zbyt ważny, żeby ryzykować. Jeśli nie uda ci się dotrzeć do Wintona, zostaniesz we Freetown, dopóki nie znajdziesz Muldoona.

Arsene bąknął coś pod nosem.

– Poza tym to tylko gdybanie. Zaczekamy, aż wróci Cripps i powie, co się dzieje z Kale’em.

Kątem oka Dubois zauważył, że Arsene spuścił głowę. Machnął ręką i olbrzym poczłapał do drzwi.

On sam w dalszym ciągu obserwował Katherine Fortescue.

Dwie minuty później podszedł do niej Dixon, a po chwili zjawił się też Hillsythe.

Katherine zaczęła im coś opowiadać.

Dubois patrzył. Można by pomyśleć, że rozmowa dotyczyła kopalni, na przykład dzieci – przecież panna Fortescue była kimś w rodzaju ich rzeczniczki, i to przede wszystkim z tego powodu została uprowadzona; wiedziała, jak zapanować nad hałastrą i zachęcić ją do pracy.

Można by tak pomyśleć, gdyby nie osobliwe ożywienie i energia, jaka emanowała z jej szczupłej postaci.

Trwało to kilka chwil, zanim wreszcie oczy Dubois dostrzegły i rozpoznały, co takiego w pannie Fortescue

uruchomiło jego wewnętrzny alarm.

To była nadzieja. Jakimś cudem, z nieznanego mu powodu, Katherine Fortescue ożywiała nadzieja.

Wcale mu się to nie podobało.

* * *

Było już dobrze po południu i ciepło uwięzione pod baldachimem drzew zaczęło zamieniać się w duchotę, gdy Undoto wyszedł na polanę, na której znajdowało się Siedlisko Kale'a. Był tu wcześniej tylko raz, żeby się upewnić, że ludzie uprowadzeni przez handlarzy niewolników nie uciekną, by zanieść do kolonii opowieść o jego nikczemności.

Nie chciał tu wracać – nie chciał oglądać dowodów swojej winy, świadectwa tego, jak straszliwy los ściągnął na tych ludzi.

Dziś jednak…

Zaskoczony zatrzymał się obok paleniska i rozejrzał wokół, unosząc brwi. Miejsce wyglądało dokładnie tak, jak je zapamiętał, tylko że było wymarłe.

Ani dźwięku.

Poczuł ciarki na plecach.

Ani żywej duszy.

Nadstawił uszu. Wytężył wzrok w poszukiwaniu jakiegoś śladu, jakiejś wskazówki.

Ale nic nie napotkał – i nic nie tłumaczyło tej pustki.

Coś było nie tak. Bardzo nie w porządku.

Powoli obszedł palenisko i bardzo uważnie stawiając stopy, wdrapał się po schodkach na galerię przed głównym

budynkiem.

Zatrzymał się przed drzwiami i czekał, nasłuchując.

Nic się nie poruszyło.

Nabrał powietrza, wstrzymał oddech, sięgnął po klamkę i otworzył szeroko drzwi...

Choć w środku panował półmrok, widać było, że chata jest pusta. Wymieciona do czysta. Jego zmysły krzyczały, że coś tu nie gra.

Wsunął głowę do środka, zerkając to tu, to tam, wreszcie zdecydował się przestąpić próg.

Wszystko wyglądało tak, jak się spodziewał – poza tym, że było pusto. Żadnych rzeczy osobistych. Gdziekolwiek spojrzał, wszędzie panował idealny porządek.

Gwałtownie cofnął się na galerię. Znów rozejrzał się po obozie, tym razem bardziej krytycznym wzrokiem.

Za czysto. Za schludnie. Za porządnie.

Nikt tu już nie mieszkał.

Żaden żywy człowiek.

Ledwie zdążył zarejestrować tę myśl, a już zmierzał w stronę ścieżki prowadzącej do kolonii.

Ze złością zmiędlił w ustach przekleństwo.

Cokolwiek stało się z Kale’em, to już na pewno nie było jego siedlisko.

* * *

Undoto nie zwolnił kroku, dopóki nie znalazł się z powrotem we Freetown, w otoczeniu jego mieszkańców. Głęboko odetchnął i zmusił się, żeby się uspokoić. Bez

względu na to, z której strony patrzył, wniosek nasuwał się jeden: z przedsięwzięciem Kale’a coś poszło nie tak.

Ale on nie miał z tym nic wspólnego.

Gdy tajemniczy mężczyzna znów się zjawi, powie mu, co widział. Nic więcej nie może zrobić.

Nic więcej nie zamierza robić. Dla niego ta sprawa była skończona.

* * *

Następnego ranka Katherine usiadła na swoim miejscu przy długim stole w oczyszczalni, wzięła ulubiony młotek i maleńkie dłuto, wyjęła bryłkę z koszyka ustawionego pośrodku i zabrała się do pracy.

Była pierwsza. Powoli zaczęły się schodzić pozostałe kobiety. Witały się uśmiechem i skinieniem głowy, a gdy wymieniły najświeższe nowiny, wszystkie zajęły się pracą. Zapadła kojąca cisza.

Katherine starała się koncentrować na tym, by wydobyć z bryłki ukryty diament, kawałek po kawałku odłupując z niego rudę, ale zarazem miała świadomość niecierpliwości targającej jej duszę. Bardzo chciała znów zobaczyć Frobishera – choć wcale nie była pewna, czy ta chęć nie jest oznaką jakiegoś głupiego zauroczenia czy obsesji, której potem będzie się straszliwie wstydzić.

Musiała znaleźć jakiś sposób, by ukryć zainteresowanie jego osobą – zwłaszcza przed nim.

Bo pomijając wszystko inne, to nie był dobry czas na miłość.

Czyż można sobie wyobrazić miejsce mniej sprzyjające rozwijaniu tkliwego uczucia?

Wczoraj, zanim wyszła do lasu po orzechy, przyłapała się na tym, że w myślach utyskuje nad burą suknią i brakiem szpilek do włosów.

Tu nie było miejsca na takie głupoty. Nie w sytuacji, kiedy byli uwięzieni.

Tutaj powinni myśleć wyłącznie o przetrwaniu.

Pomysł, żeby nie chodzić do lasu codziennie, stanowił przejaw roztropności. Wprawdzie Katherine była pewna, że nie zrobiła nic, co mogłoby zaalarmować Dubois, ale wolała nie kusić losu.

W dodatku Dixon, Hillsythe i reszta wciąż obmyślali odpowiedzi, które miała zanieść Frobisherowi.

Calebowi.

Zmarszczyła brwi, z przyjemnością obracając w myślach jego imię, delektując się jego brzmieniem, smakując je na języku.

Ono ciągle tkwiło w jej głowie. A wraz z nim to uczucie, które budziło się za każdym razem, gdy była w towarzystwie Frobishera.

Bezpieczeństwo. Wsparcie. Ochrona.

Poczucie, że otacza ją opieką, jak nigdy wcześniej żaden mężczyzna.

Skończyła oczyszczać pierwszy kamień, odłożyła go i sięgnęła po następną bryłkę.

Gdzieś w głębi duszy czaiła się myśl, że los po tylu latach postanowił przypomnieć sobie o jej istnieniu i wybrał

naprawdę paskudne okoliczności – obóz pracy w sercu afrykańskiej dżungli – by zesłać jej miłość.

Zaciskając usta, przyłożyła dłuto do bryłki i zdecydowanie uderzyła młotkiem.

* * *

Caleb rozsiadł się na półce skalnej ponad kopalnią i markotnie wpatrywał w strażników na wieży. Zachodzące słońce zalewało cały teren złotym światłem, więc stosunkowo łatwo było ich rozpoznać. On sam, Phillipe i reszta zaczęli zapisywać, który wartownik jest czujny, który będzie skutecznie działał w razie ataku, a który najczęściej przysypia.

A choć były to tylko drobiazgi, zaledwie słabostki, niewykluczone, że ekspedycja ratunkowa będzie mogła je wykorzystać.

Zupełnie nieoczekiwanie Dubois okazał się przebiegłym i zastraszająco kompetentnym dowódcą. Nie wyciągnął pochopnych wniosków w sprawie Kale’a. Zapewnił sobie różne drogi dojścia zarówno do Freetown, jak i osób niezwiązanych z handlarzem niewolników. Zadbał o to, by mieć w obozie zawsze dość ludzi, choć z tego, co wiedział, nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo.

Co gorsza, sposób, w jaki sprawował władzę nad jeńcami – za pomocą strachu nie o siebie, tylko o innych – wskazywał, że należał do kategorii ogromnie niebezpiecznych przeciwników.

Był bandytą, jakiego nikt nie chciałby spotkać. A tym bardziej z nim walczyć.

Caleb poruszył się niespokojnie. Zawsze z trudem znosił bezczynność i dawniej już by szukał sposobu, żeby zaczepić Dubois, byle tylko coś się zaczęło dziać. Ale podejmując się tej misji, poprzysiągł sobie, że będzie się kierował innymi zasadami. Stanie się uosobieniem odpowiedzialności i nie podejmie żadnych lekkomyślnych działań.

Niestety, odpowiedzialna nuda okazała się równie nieznośna jak zwykła nuda.

Kilka minut później Phillipe wdrapał się na występ, usiadł obok przyjaciela i tak jak on spojrzał w dół.

– Coś się wydarzyło?

– Tam w dole nic, ale… przyszło mi coś do głowy. Chodzi o tych tajemniczych mocodawców, od których zależy życie jeńców. W swoim raporcie Hillsythe napisał, że sądząc z tego, co słyszał, mocodawcy to zupełnie inna grupa osób niż ci z kolonii.

Phillipe przytaknął.

– Sam mówiłeś, że biorąc pod uwagę koszt zaangażowania najemnika tej klasy co Dubois, w dodatku do takiego przedsięwzięcia – wskazał głową na kopalnię – które trwa miesiącami, to muszą być ludzie z pieniędzmi. Dubois na pewno zażądał sporej zaliczki w gotówce i stałych opłat.

– Otóż to. Żadna z osób w kolonii, o których wiemy, że maczają w tym palce, nie ma dostępu do takich środków: ani Muldoon, attaché morski, ani człowiek nazwiskiem Winton, który zaopatruje kopalnię w sprzęt górniczy, ani nieobecna lady Holbrook, ani ten kaznodzieja Undoto, ani

wreszcie wciąż niezidentyfikowany człowiek z biura gubernatora.

– Tylko co z tego wynika?

– Nie jestem pewien – przyznał Caleb – ale Hillsythe napisał też, że zważywszy na rodzaj presji, jaką wywierają na Dubois, nie znają tutejszych warunków, zatem znajdują się gdzie indziej. – Przyciągnął kolana do piersi. – A skoro już wiemy, że w kopalni wydobywa się diamenty, prawdopodobnie surowe kamienie trafiają do Amsterdamu. Stamtąd zaś pewnie do naszych mocodawców. Albo raczej pieniądze pochodzące z ich sprzedaży, kiedy już zostaną oszlifowane.

– Co oznacza, że owi mocodawcy najprawdopodobniej są w Europie. A skoro Freetown należy do Wielkiej Brytanii…

– To istnieje szansa, że są Anglikami? – Caleb prychnął. – No właśnie. Zastanawiam się, jak możemy ich zdemaskować. Zauważyłem, że wszyscy używają liczby mnogiej. Załóżmy więc, że szukamy grupy bogatych…

– A tym samym pewnie potężnych i wpływowych…

– Anglików. – Poczuł, że twarz mu tężeje. – Trudno mi uwierzyć, żeby nie wiedzieli, co się tu wyprawia. Że w przedsięwzięciu, które opłacają, wykorzystuje się niewolniczą pracę angielskich mężczyzn, kobiet i dzieci. I że kiedy postanowią zamknąć kopalnię, wszyscy ci ludzie zostaną zabici.

– Często się zdarza, że bogaci i potężni mają mniej skrupułów niż przeciętny człowiek – mruknął Phillipe. – Sam nieraz byłem tego świadkiem. A zważywszy na to, jak

majętni i wpływowi muszą być ci mocodawcy, na pewno zadbali, żeby zatrzeć za sobą ślady. Bardzo prawdopodobne, że nawet gdybyśmy podążyli tropem diamentów, donikąd by nas to nie zaprowadziło. – Zamilkł na chwilę. – Na razie, mój przyjacielu, musimy się skoncentrować na tym, żeby zapewnić bezpieczeństwo tej bezbronnej gromadzie – wskazał głową obozowisko w dole – i zrobić wszystko, co w naszej mocy, żeby pomóc ekspedycji ratunkowej. A co się tyczy mocodawców... niech inni się nimi zajmą.

Caleb prychnął. Nie kłócił się – nie mógł – burknął tylko:

– Przynajmniej na razie.

* * *

Muldoon jak zwykle ostatni postawił kufel na stole i usiadł. Gdy tylko to zrobił, pierwszy mężczyzna powiedział:

– Wczoraj w nocy złożyłem wizytę kaznodziei. Był w obozie Kale’a. – Zrelacjonował im, co Undoto widział w siedlisku.

– Nikogo? – spytał z niedowierzaniem Muldoon. – Gdzie się, u diabła, wszyscy podziali?

Mężczyzna pociągnął łyk piwa i odstawił kufel.

– A raczej gdzie jest Kale i co knuje?

– Knuje? – Winton spojrzał na towarzysza. – Co pan przez to rozumie?

– Zastanawiam się, jaką grę prowadzi. Czy po prostu chce więcej pieniędzy, czy ulotnił się z jakiegoś powodu?

– A jeśli tak – powiedział Muldoon – to z jakiego. I czy my mamy się tym martwić?

– Właśnie. Nie słyszałem i nie widziałem niczego, co by wskazywało, że mógłby to być rezultat jego wcześniejszych potknięć – próby uprowadzenia żony Frobishera i tej drugiej, którą mu pan wskazał, panny Hopkins. A pan?

Muldoon pokręcił głową.

– Zupełnie nic. Jeśli coś się stało z Kale'em, jeśli ktoś go wystraszył, nie sądzę, żeby to miało związek z tym, co robił dla nas. Kale pracował dla każdego, kto mu płacił. Może ktoś zaproponował mu robotę w innym miejscu, a on się zgodził i zabrał swoich ludzi.

Pierwszy mężczyzna się skrzywił.

– Niestety, to całkiem prawdopodobne. – Przez chwilę wpatrywał się w stół. – Bez względu na to, czy odszedł, czy coś go wystraszyło, nie możemy więcej na niego liczyć. Co oznacza, że nie mamy jak się skontaktować z Dubois, chyba że wybierzemy się do kopalni. – Spojrzał najpierw na Wintona, a potem na Muldoona. – Na co, zdaje się, żaden z nas nie ma ochoty.

Muldoon prychnął.

– Ma pan rację. Dubois wie o nas i wie, gdzie nas szukać. Myślę, że sam się z nami skontaktuje.

Pierwszy mężczyzna pokiwał głową.

– To prawda, tylko że wciąż pozostanie problem, jak dostarczyć Dubois ludzi, których potrzebuje już teraz do otwarcia drugiego korytarza, i materiały, o które będzie się potem dopominał.

Muldoon zaklął i odstawił z hukiem kufel.

– To takie irytujące! Dubois potrzebuje ludzi, a kiedy w końcu mamy na oku odpowiednich kandydatów, Kale znika i nie ma kto ich dostarczyć.

– Jeszcze bardziej irytujące jest to, że jeśli Dubois nie dostanie tych ludzi, nie będzie mógł otworzyć drugiego korytarza, nie zmniejszając przy tym wydobycia. I to akurat teraz, kiedy obiecaliśmy naszym mocodawcom zwiększenie dostaw.

Muldoon z pochmurną miną pokiwał głową.

– Właśnie kiedy jesteśmy blisko celu i wreszcie możemy dostać ostateczną zapłatę, ni stąd, ni zowąd wyskakuje coś takiego!

Siedzieli w milczeniu, aż wreszcie Winton zaryzykował pytanie:

– Ale chyba nie będziemy musieli sami zorganizować porwania, prawda?

Pierwszy mężczyzna chrząknął.

– Jestem pewien, że Dubois zgodzi się to zrobić, o ile mu dodatkowo zapłacimy. Odmówił na początku, bo w tego typu sprawach Kale miał większe doświadczenie. Ale teraz, kiedy cały projekt upadnie, jeśli nie zdobędzie dodatkowych rąk do pracy, jestem przekonany, że powstrzyma swoją niechęć.

– Z przyjemnością zapłacimy mu też więcej, jeśli będzie przysyłał ludzi po materiały bezpośrednio do Wintona. – Muldoon obrócił kufel w dłoniach. – Nie widzę innego sposobu.

– To prawda, jeśli chcemy zaspokoić żądania naszych piekielnych mocodawców. – Pierwszy mężczyzna dopił piwo i odstawił kufel z głuchym grzmotnięciem. – I jeśli chcemy zobaczyć choćby pensa więcej.

– Przynajmniej kamienie docierają wciąż tam, gdzie trzeba – powiedział Winton. – Na to nie mogą narzekać.

Zapadła cisza. Tym razem trwała dłużej.

W końcu pierwszy mężczyzna powiedział:

– W tej chwili nic nie możemy zrobić. Musimy zaczekać, aż Dubois się z nami skontaktuje, i dopiero wtedy zaczniemy działać.

– Najsprawniej, jak się da. – Muldoon wpatrywał się w kufel. Po chwili dodał: – Nadal chciałbym wiedzieć, gdzie się podział Kale i dlaczego zniknął.

Żaden z jego towarzyszy nie odpowiedział.

Osiem

Gdy Katherine zmierzała do bramy, trzymając w ręku koszyk, który wzięła z kuchni, nagle poczuła ukłucie niepokoju.

Diccon pobiegł przodem. Ustalili, że dziś będzie trzymał się z dala od obozu Frobishera – Katherine miała iść tam sama, by zanieść Calebowi odpowiedź.

Rozejrzała się. Wszyscy wartownicy znajdowali się na swoich miejscach. Żaden nie wykazywał najmniejszego zainteresowania jej poczynaniami – szła, żeby zebrać ulubione orzechy Dubois.

Minęła bramę i wkroczyła w chłodny cień. To głupie, pomyślała. Niemożliwe, by Dubois zaczął coś podejrzewać. Niepokój wziął się pewnie stąd, że martwiła się o Frobishera i jego ludzi – nie chciała, żeby chroniąc więźniów, sami narazili się na niebezpieczeństwo. Nie chciała, aby ona lub ktokolwiek inny ściągnął na nich nieszczęście.

Gdyby nie to, że zgodziła się zanieść Frobisherowi odpowiedź, nie zdecydowałaby się dziś wybrać do lasu, a w każdym razie nie poszłaby w kierunku jego obozu. Ale obiecała, że przyjdzie, i gdyby się nie zjawiła, mógłby się zaniepokoić i zrobić coś pochopnego. Na przykład zanadto zbliżyć się do terenu kopalni i dać się złapać.

Nogi same niosły ją przez mroczną dżunglę. Powtarzała sobie w myślach to, co miała przekazać. Przede wszystkim Dixon uważa, że jeśli poza dostawami materiałów sytuacja nie ulegnie zmianie i nie pojawią się dodatkowe ręce do pracy, uda im się utrzymać działalność kopalni do września. Co zaś się tyczy pomocy więźniom, Katherine z ulgą stwierdziła, że wszyscy zgodzili się, iż żadne działania drużyny Frobishera nie są warte ryzyka, że Dubois ich odkryje.

Uśmiechnęła się i skręciła na nieuczęszczany szlak.

* * *

Caleb i Phillipe zeszli na ścieżkę u podnóża góry i ruszyli w stronę obozu. Cały ranek spędzili na występie skalnym, obserwując strażników i więźniów. Porządek dnia w kopalni prawie się nie zmieniał.

Zobaczyli Diccona wychodzącego do lasu – tym razem jednak u jego boku nie było szczupłej szatynki.

Caleb zmarszczył brwi i posłał Ellisa, żeby spytał chłopca, czy panna Fortescue zamierza się dziś z nimi spotkać. Ellis wrócił po kwadransie z informacją, że Katherine opuści teren kopalni nieco później i pójdzie prosto do ich obozu. Chłopcu kazano trzymać się dziś od nich z dala.

– Bardzo roztropnie – uznał Phillipe. – Nie ma sensu narażać obojga.

Wreszcie Katherine Fortescue wyszła z oczyszczalni. Niespiesznie okrążyła wieżę, koszary i poszła do kuchni.

Caleb uważnie przyjrzał się strażnikom, ale żaden nie wydawał się szczególnie zaniepokojony. Patrzyli za nią

obojętnym wzrokiem, ziewając z nudów.

Po chwili panna Fortescue wyłoniła się spod zadaszenia kuchni i beztrosko ruszyła do bramy. Nie było widać, żeby ktoś za nią podążał.

* * *

Katherine szła niespiesznym krokiem, nadstawiając uszu, czy Frobisher razem z Lascelle'em nie wyłonią się nagle z dżungli, by ją przywitać. Zatrzymała się pod drzewem, żeby zebrać trochę orzechów, na wypadek gdyby strażnicy podążali jej tropem, po czym ruszyła dalej.

Po jakimś czasie zatrzymała się i obejrzała za siebie. Wszędzie panowała cisza, półmrok lasu wydawał się nieruchomy. Uspokojona skręciła w wąską dróżkę prowadzącą do obozu. Nawet jeśli Frobishera i Lascelle'a tam nie ma, na pewno znajdzie ich ludzi i będzie mogła zaczekać.

Dotarła na skraj wzniesienia i zaczęła schodzić cienistym tunelem drzew w stronę polany.

Gdy była już niemal u jego wylotu, usłyszała odgłos kroków zbliżających się z przeciwnej strony.

Wyszła na polanę akurat w chwili, gdy zjawili się na niej Frobisher z Lascelle'em.

Twarz Katherine rozjaśnił uśmiech – radosny, promienny, zbyt wiele zdradzający.

Frobisher odpowiedział jej uśmiechem… i nagle zamarł.

Tak samo jak Lascelle.

– Dziękuję, panno Fortescue.

Te słowa – ten głos! – sprawiły, że przeszedł ją zimny dreszcz.

Zanim zdążyła cokolwiek zrobić – odwrócić się, by spojrzeć potworowi w oczy – stalowe ramię złapało ją w talii i przyciągnęło do twardego jak kamień ciała.

Jej zdumiony wzrok padł na czubek ostrza skierowanego w jej pierś. A więc Dubois śledził ją, a ona o tym nie wiedziała. Caleb też nie.

A teraz ten potwór pochwycił ją i…

Dubois uniósł drugą rękę i wycelował z pistoletu w pierś Caleba. Odgłos odbezpieczania broni rozniósł się echem po polanie.

Z zarośli, z których wyłonili się Caleb i Lascelle, wypadło gwałtownie dwóch mężczyzn.

– Dubois i jego ludzie… – wydyszeli i urwali, widząc, że przybyli za późno. Z trudem łapiąc oddech, tak jak wszyscy wbili wzrok w przywódcę najemników.

Wreszcie ten przemówił – tonem, którego Katherine już dawno nauczyła się nienawidzić:

– Powiem panom, co się stanie, jeśli którykolwiek z was będzie sprawiał kłopot mnie i moim ludziom: potnę pannie Fortescue tę śliczną twarzyczkę.

Przesunął rękę, którą przyciskał Katherine do siebie, i ostrze zalśniło o włos od jej policzka.

Pisnęła przerażona, instynktownie próbując się odsunąć. Czuła w skroniach pulsowanie krwi. Oddychała spazmatycznie. Cała jej świadomość skoncentrowała się na ostrzu sztyletu i straszliwej obietnicy, jaką ze sobą niosło.

Znienawidzony głos Dubois dobiegał jakby z oddali, przenikając przez mgłę przerażenia spowijającą jej umysł.

– Jedno głębokie cięcie za każdą próbę oporu. Pomyślcie tylko, jak będzie wyglądała, jeśli spróbujecie walczyć. A gdyby któryś zechciał uciec, obiecuję, że kiedy go złapiemy, a na pewno nam się uda, przywiążę ją do pala i centymetr po centymetrze będę obdzierał ze skóry...

– Wystarczy! – Caleb podniósł ręce. Spojrzał Dubois w oczy. – Wyraził się pan dostatecznie jasno. Co mamy zrobić?

Przez ułamek sekundy spoglądał na niego prawdziwie wygłodniały potwór, któremu nie pozwolono się pożywić. Wystarczyło jednak mrugnięcie oka, by jego miejsce zajął pragmatyczny dowódca najemników.

– Oddać broń. Wszystką. Do ostatniego ostrza. Za każdą znalezioną sztukę panna Fortescue zarobi cięcie przez piersi.

Caleb zacisnął zęby. Powoli wyciągnął pałasz i położył go na ziemi. Odpiął przytroczone do pasa noże i wyjął te, które miał ukryte w butach, jednocześnie gorączkowo szukając najlepszego rozwiązania.

W tym właśnie celował – i z tego słynął. Potrafił sobie radzić w obliczu niespodziewanego zagrożenia, nawet jeśli sytuacja wydawała się bez wyjścia.

Tylko że tym razem musiał sprawić, by Dubois uwierzył, że zapędził przeciwnika w kozi róg.

Westchnął i spojrzał na Phillipe’a oraz resztę drużyny.

– Róbcie, co kazał.

W tej chwili najlepszym rozwiązaniem było dać łotrowi wszystko, czego żądał.

Caleb naliczył jeszcze sześciu najemników z muszkietami wycelowanymi w drużynę. Dwóch stało wyżej, trzymając broń opartą na ramieniu. Pozostali ustawili się w półkolu, by służyć wsparciem dowódcy.

Zdaniem Caleba Dubois i potwór, który krył się w jego wnętrzu, nie potrzebowali żadnego wsparcia.

Gdy ostatnie ostrze upadło na ziemię, Dubois kiwnął głową jednemu ze swoich podkomendnych.

Mężczyzna odłożył muszkiet, podszedł do zgromadzonego arsenału, rozłożył płócienną płachtę i szybko zebrał całą broń, sprawdzając, czy pistolety nie są nabite. Na koniec związał końce płótna i zarzucił sobie cały ten brzęczący pakunek na ramię.

– Zabierz to do zbrojowni – rozkazał Dubois.

Mężczyzna mruknął i ruszył na przełaj przez las.

Na polanie wciąż pozostało zbyt wielu bandytów, by próbować cokolwiek zrobić, nawet gdyby Calebowi udało się odciągnąć Dubois od Katherine. Poza tym mózg Frobishera, który wciąż pracował na pełnych obrotach, podpowiadał mu, że dołączenie do więźniów może na dłuższą metę okazać się całkiem dobrym rozwiązaniem.

Poczuł na sobie wzrok komendanta.

– Czy to wszyscy pańscy ludzie?

– Tak.

Dubois wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę, mrużąc oczy, jakby w ten sposób chciał sprawdzić, czy nie

kłamie.

Ale Caleb mówił prawdę. To byli wszyscy jego ludzie w tej okolicy.

Niestety, Dubois nie wydawał się przekonany.

– Jeśli się dowiem, że pan kłamał, dopilnuję, żeby był pan świadkiem, jak wszyscy moi ludzie po kolei gwałcą pannę Fortescue. Na koniec zaś wezmę nóż i… – Zrobił pauzę dla lepszego efektu. – Widział pan kiedyś człowieka obdzieranego żywcem ze skóry?

Caleb zacisnął zęby. Już same te groźby były straszne, ale jeszcze potworniejszy był sposób, w jaki Dubois je wypowiadał – jakby się nimi rozkoszował.

– To wszyscy ludzie, których mam ze sobą w dżungli – powtórzył Caleb spokojnie.

– Skąd pan jest i co tu pana sprowadza?

Na to pytanie na szczęście był przygotowany. Wiedział jednak, że lepiej się nie spieszyć.

Zacisnął więc usta i wbił w Dubois może nie wyzywające, ale obojętne spojrzenie, czekając, aż tamten zareaguje. Wiedział, że w kopalni potrzeba silnych mężczyzn, więc Dubois nie zabije żadnego z nich – o ile nie dadzą mu powodu, a tego nie zamierzali robić. Czekał na to, co za chwilę nastąpi. Zdawał sobie sprawę, że to konieczne. Dubois nie czułby się pewnie, mając Caleba na swoim terenie, gdyby nie pokazał, kto tu rządzi.

I rzeczywiście, gdy Caleb wciąż milczał, Dubois zabrał sztylet, który trzymał przy piersi Katherine, chwycił ją za ramię i pchnął w stronę jednego z najemników.

– Trzymaj ją – powiedział, nie odrywając wzroku od Caleba. Oddał także swój sztylet.

Kiedy mężczyzna wziął od niego broń, Dubois powoli podszedł do Frobishera.

Zatrzymał się niecały metr od niego. Był sporo niższy, ale potężniejszej budowy. Przełożył pistolet do lewej ręki i nagle z całej siły uderzył Caleba w twarz – na odlew, grzbietem dłoni.

Caleb musiał zwalczyć chęć, by się uchylić. W ostatniej chwili odwrócił się nieco, osłabiając siłę ciosu. Dubois nosił jednak duży pierścień, którym rozciął mu policzek.

Katherine krzyknęła.

Przez chwilę widział jej pobladłą twarz – bezskutecznie próbowała wyrwać się z uścisku strażnika – i z trudem powstrzymał się, by nie puścić do niej oka.

Nagle pięść twarda niczym skała uderzyła go w brzuch. Dubois, złączywszy dłonie, walnął go w kark – wszystko po to, by Caleb osunął się na kolana. Frobisher zwiesił głowę, zrobił głęboki wdech i pozwolił, by jego ciało runęło naprzód. W ostatniej chwili podparł się jednak lewą ręką, prawą przyciskając – nie całkiem dla wzmocnienia efektu – do obolałego brzucha. Czuł się absurdalnie dumny z siebie. Wielokrotne powtarzanie słowa „odpowiedzialność” przyniosło skutek – przestał ulegać odruchom, które normalnie kazałyby mu blokować ciosy i natychmiast zadawać własne.

Był najmłodszy w rodzinie i trzej starsi bracia – oraz ich koledzy – nauczyli go, jak się bić w sytuacji, kiedy nie ma

szans i nie obowiązują żadne reguły, a także jak pozorować słabość.

Jego ludzie natychmiast się zorientowali, jaką taktykę obrał, nawet jeśli nie rozumieli jego motywów. Phillipe szarpnął się raz, po czym zamarł w bezruchu, powstrzymując się przed interwencją.

Caleb kątem oka widział ciężkie buty Dubois, który okrążał go, nadspodziewanie lekko stawiając stopy, i tylko czekał, aż zdradzi chęć do walki.

Gdy jednak tego nie zrobił, tylko wciąż ciężko oddychał, przywódca najemników zatrzymał się, chwycił go za włosy i szarpnięciem uniósł mu głowę.

Wbił w niego spojrzenie swoich jasnych oczu.

– Zapytam jeszcze raz. Skąd się tu wzięliście?

– Z północnego wybrzeża. Zeszliśmy ze statku we Freetown. Najęliśmy łódź rybacką i popłynęliśmy wzdłuż brzegu estuarium na wschód, żeby zobaczyć, co znajdziemy. – Zamilkł, wziął mistrzowski wdech, po czym ciągnął dalej: – Natknęliśmy się na wioskę tubylców na północ stąd. Powiedzieli, że gdzieś tu znajduje się obóz handlarzy niewolników, więc pomyśleliśmy, że pójdziemy zobaczyć, czy nie da się czegoś uszczknąć.

Przeniósł wzrok na Katherine.

– Spotkaliśmy ją dwa dni temu. Powiedziała, że musi porozmawiać z resztą, ale być może coś nam skapnie, jeśli zaniesiemy od niej wiadomość do kolonii. – Wzruszył ramionami. – Nietrudno się było domyślić, co jej chodzi po

głowie, ale widzieliśmy wasz obóz i nie mieliśmy zamiaru porywać się na żadną szlachetną akcję ratunkową.

Dubois zachichotał – jego śmiech mroził krew w żyłach. Puścił włosy Caleba.

– Jak się nazywał statek, którym przypłynęliście do Freetown?

Caleb już otworzył usta, żeby odpowiedzieć…

– Nie ty. – Dubois przeniósł wzrok na Phillipe'a. – Ty.

– „Róża z Aberdeen" – odparł bez wahania Francuz.

– Jakiej klasy? – Dubois odwrócił się i wskazał na Quilleya.

– Trzymasztowy frachtowiec.

– Ile wioseł miała łódź, którą najęliście? – Dubois wskazał palcem Nortona.

– W ogóle nie miała wioseł. Jeden maszt i kliwer.

Dzięki Bogu, że sobie to przećwiczyli. Dubois był dość sprytny, żeby sprawdzić ich historię, wypytując o szczegóły różne osoby… Co za szczwany lis! Takiego przeciwnika nie można nie doceniać.

Dubois pamiętał nawet, by spytać Ellisa:

– Ile kosztowało wynajęcie łodzi?

Ellis zamrugał i spojrzał na Caleba.

– Nie wiem. Kapitan się tym zajmuje.

Co oczywiście było poprawną – i przekonującą – odpowiedzią.

Dubois odwrócił się i kazał dwóm swoim ludziom przetrząsnąć rzeczy drużyny w poszukiwaniu broni, pieniędzy i prochu. A także dokumentów. Caleb wymienił

szybkie spojrzenie z Phillipe’em. Jak to dobrze, że po długich debatach włożył dziennik Roberta do torby, którą wysłali do Londynu.

Najemnicy nie znaleźli żadnej broni.

Wreszcie usatysfakcjonowany komendant spojrzał na Frobishera i kopnął go w goleń.

– Wstawaj.

Powoli, jakby bolała go każda kostka, Caleb podciągnął się do góry. Phillipe chwycił go za łokieć, żeby mu pomóc.

Gdy wreszcie stanął na nogach, wciąż pochylony tak, żeby jego oczy znajdowały się poniżej oczu Dubois, zapytał niepewnym głosem:

– I co teraz?

Komendant wyszczerzył zęby.

– Los, mój przyjacielu, najwyraźniej się do mnie uśmiechnął. Ty i twoi ludzie jesteście odpowiedzią na moje modlitwy. Właśnie was potrzebowałem, żeby się wywiązać z kontraktu.

Dziewięć

Katherine szła, potykając się, z ręką w żelaznym uścisku Arsene’a. Nie potrafiła pozbierać myśli. Czuła się tak jak wtedy, gdy wpadła w szpony Kale’a – bezsilna, z pustką w głowie.

Za Katherine i Arsene’em podążali ludzie Caleba, taszcząc worki i plecaki. Kolumny pilnowali najemnicy z muszkietami w dłoni.

Caleb i Lascelle szli za swoją drużyną. Za nimi maszerował triumfujący Dubois.

Minęli otwartą bramę. Strażnicy stojący po obu stronach uśmiechali się szeroko, witając kompanów i rzucając niewybredne żarty pod adresem jeńców.

Arsene szarpnięciem nakazał Katherine stanąć przy słupie. Wciąż trzymając ją mocno i wymachując długim sztyletem, kazał najemnikom, by zaprowadzili pojmanych mężczyzn do paleniska.

Kilku jeńców zerknęło na nią, gdy przechodzili obok. Na ich twarzach nie dostrzegła gniewu; uśmiechali się lekko, najwyraźniej starając się ją pocieszyć.

Jak to? To ona zadręczała się, bo ściągnęła Dubois do ich obozu, a oni się do niej uśmiechają?

Wciąż oszołomiona, niezdolna zebrać myśli, spojrzała ponad głowami nowo przybyłych. Dzieciaki przestały kursować tam i z powrotem i zatrzymały się, żeby

popatrzeć. Kilka kobiet wyszło z oczyszczalni i spomiędzy baraków. Paru trzeźwo myślących podrostków pobiegło do kopalni, żeby zanieść wieści, i oto u wejścia zaczęli się gromadzić mężczyźni. Dostrzegła Dixona, po chwili dołączyli do niego Hillsythe i Hopkins.

Na wszystkich twarzach pod maską obojętności – która miała świadczyć o tym, że nikt w obozie nie wiedział o ludziach Caleba – malowało się przygnębienie. Jakby w jednej chwili z więźniów uszła cała nadzieja.

Nie. Nie wolno tak myśleć.

Jeśli poddadzą się zniechęceniu, umrą – tu, w tym przeklętym miejscu. Nie wolno im kapitulować. Nie teraz. Nigdy.

Katherine odetchnęła głęboko, wyprostowała się i uniosła głowę.

Harriet, która stała po drugiej stronie placu zgarbiona, z rękami skrzyżowanymi na brzuchu, jakby próbowała osłonić się przed nagłym ciosem, spostrzegła to i też się wyprostowała – opuściła ręce i podniosła głowę.

Zmiana była subtelna, ale widoczna u wszystkich więźniów. Pojawiło się poczucie niezłomnej jedności.

Wszyscy czekali, co będzie dalej.

Wreszcie piętnastu nowych jeńców minęło bramę i najemnicy zaprowadzili ich do paleniska. Ostatni weszli do obozu Frobisher z Lascelle’em. Caleb poruszał się z mniejszą niż zwykle gracją. Gdy obrzucił Katherine przelotnym spojrzeniem, zesztywniała. W jego oczach zamiast potępienia dostrzegła… przeprosiny?

Zamrugała. Najwyraźniej jej mózg wciąż jeszcze nie odzyskał pełnej sprawności.

Dubois zatrzymał się obok Arsene’a. Spoglądał za jeńcami z wyraźną satysfakcją.

– Siedemnastu silnych ludzi, nawykłych do ciężkiej pracy. – Odwrócił się i spojrzał w oczy Katherine. – Jak mógłbym panią ukarać, panno Fortescue, skoro sama jedna dokonała pani tego, czego nie udało się osiągnąć Kale’owi i reszcie? Właśnie podała mi pani na tacy to, czego potrzebowałem, żeby doprowadzić całe przedsięwzięcie do końca.

Katherine przezornie milczała, zachowując kamienną twarz. Dubois przez chwilę badawczo się jej przyglądał, a potem usta wykrzywił mu uśmiech.

– Ciekawe, jak pani nowi towarzysze, a może przede wszystkim starzy, zareagują na wieść o tym, że to pani zawdzięczam wybawienie. – Uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Z przyjemnością się przekonam. – Przez chwilę patrzył na mężczyzn przy palenisku. – A tymczasem – kiwnięciem głowy nakazał Arsene’owi, żeby ją puścił – proszę za mną.

Ruszył w stronę paleniska. Katherine zwlekała, ile mogła. Oddała koszyk Arsene’owi, poprawiła stanik sukni, wygładziła spódnicę i dopiero wtedy powoli podążyła za Dubois. Komendant uwielbiał takie gierki, a ona razem z pozostałymi robili, co mogli, żeby nie dać się w nie wciągnąć – albo przynajmniej zepsuć mu zabawę.

Drużyna siedziała w półkolu.

Komendant obrzucił mężczyzn zimnym, beznamiętnym wzrokiem, a następnie oznajmił:

– Jesteście tu, żeby pracować. Będziecie pomagać w kopalni. – Władczym gestem nakazał Dixonowi, by podszedł. – Kapitan Dixon was rozlokuje. Myślę, że miejsca jest dość.

Dixon ze stężałą twarzą pokiwał głową.

– Znakomicie. – Dubois założył ręce za plecy i mówił dalej: – Zaczniecie pracę jutro rano razem ze swoimi krajanami. Kapitan Dixon przydzieli was dziś do odpowiednich zespołów. Sugeruję, żebyście wykorzystali czas do zmroku, żeby się zapoznać z nowymi obowiązkami i rozkładem dnia. Ja sam wymagam od was jednego: żebyście pracowali ciężko, bez wytchnienia i wykonywali powierzone wam zadania najlepiej, jak potraficie. Nic więcej mnie nie interesuje, o czym mogą zaświadczyć pozostali. Jestem człowiekiem pobłażliwym, dopóki się spełnia moje oczekiwania.

Zamilkł, a gdy znowu się odezwał, w jego głosie dało się wyczuć zmianę – pod gładkimi słowami czaiła się groźba.

– Słyszeliście, co czeka tych, którzy mi się sprzeciwią. Mieszkańcy obozu na pewno potwierdzą, że dotrzymuję słowa. Radzę, żebyście wzięli moje ostrzeżenia do serca.

Odczekał kilka chwil, by jego słowa zapadły słuchaczom w pamięć, po czym zerknął na Caleba i zaraz przeniósł wzrok na Katherine.

– Panno Fortescue, proszę zaprowadzić mężnego kapitana do baraku medycznego i opatrzyć mu ranę.

Z zimnym uśmiechem komendant zrobił krok w tył i zapraszająco machnął ręką.

– Nie chcielibyśmy przecież, żeby wdała się infekcja. Zależy mi, żeby był pan zdolny do pracy, a to nie będzie możliwe, jeśli trzeba będzie amputować policzek.

Caleb przez kilka chwil spoglądał mu w oczy, po czym odwrócił się i wstał. Przypomniawszy sobie, że nie powinien tego wiedzieć, spojrzał na Katherine i zapytał:

– Dokąd mamy iść?

Panna Fortescue zerknęła na Dubois, po czym wskazała ręką kierunek.

– Tam. – Ruszyła w stronę baraku, okrążając palenisko.

Caleb przestąpił przez kłodę, na której siedział, i całkowicie ignorując komendanta, dogonił ją w trzech susach. Słyszał, jak za ich plecami Dubois nakazuje Phillipe’owi i reszcie drużyny, by poszli z Dixonem. Jak dotąd wszystko przebiegało gładko. Udało im się dostać na teren kopalni i nikomu nie stała się krzywda. Z wyjątkiem jego samego, rzecz jasna. Ale na zraniony policzek, obolały brzuch i kark nie było co narzekać. Napotkał wzrok Katherine. Szli tak blisko, że pozwolił sobie na uspokajający uśmiech.

– Pani przodem.

W jej oczach pojawiło się zdumienie, zaraz jednak odwróciła głowę i pomaszerowała dalej.

Caleb dyskretnie rozejrzał się. Notował w pamięci odległość między budynkami, ich wysokość i inne szczegóły, które mogły się okazać przydatne, aby uzupełnić obraz stworzony podczas wcześniejszych obserwacji.

Przyjrzał się dużemu, położonemu centralnie budynkowi, do którego najemnicy zanieśli ich broń. Prawdopodobnie zbrojownia Dubois znajdowała się – całkiem rozsądnie – w pobliżu miejsca, gdzie spali jego ludzie.

Barak medyczny stał samotnie na tyłach obozu, u podnóża skały, na której wcześniej mieścił się ich punkt obserwacyjny. Podobnie jak resztę baraków, także ten wzniesiono z bali, z grubsza tylko ociosanych, i przykryto liśćmi palmy. Po obu stronach drzwi, do których prowadziły trzy drewniane stopnie, znajdowały się całkiem spore okna. Weszli do środka.

Frobisher rozejrzał się uważnie i zamknął za sobą drzwi wejściowe. W baraku panował półmrok i było chłodniej niż na zewnątrz. Środkiem biegł wąski korytarz zakończony drzwiami; dwoje innych prowadziło do pomieszczeń po obu jego stronach.

Katherine zatrzymała się przed wejściem po prawej. Kiwnęła głową w stronę końca korytarza.

– Tam jest magazyn, a tu mamy dwa gabinety zabiegowe. – Weszła do środka.

Caleb podążył za nią.

– Nie widzę żadnych strażników.

– Rzadko tu zaglądają.

Zerknął w kierunku drzwi wejściowych.

– Przyjdą za nami? A może stoją na zewnątrz, żeby usłyszeć, co mówimy?

Pokręciła głową.

– Brak ścisłego nadzoru to część taktyki Dubois. Możemy rozmawiać ze sobą swobodnie, bo wie, że nic nam z tego nie przyjdzie. Poza rozczarowaniem, rzecz jasna.

– Hm, dziwna taktyka, choć najwidoczniej skuteczna. – Caleb obejrzał wyposażenie gabinetu i aż cicho gwizdnął. – Takiej opieki medycznej w kolonii ze świecą szukać.

– To tylko kolejny przykład gierek Dubois. Jak widać, zapewnił nam wręcz znakomite warunki, byle tylko nic nie pokrzyżowało mu szyków. Chce, żebyśmy byli sprawni i zdrowi i pracowali, ile sił, więc daje nam to. – Katherine wskazała szafki pełne medykamentów i osłonięte siatką łóżko, które sprawiało wrażenie wyjątkowo wygodnego. – Nie możemy narzekać. Problem w tym, że wspaniałomyślność Dubois zawsze ma ukryty cel.

– Będę o tym pamiętał. – Podszedł do niej. – Rozumiem jego taktykę, ale rzadko się zdarza, żeby najemnik postępował w taki sposób.

Katherine otwierała po kolei szuflady, wyciągając maść, gazę i waciki. Położyła wszystko na stole.

– Znajdzie pan wiele podobnych przykładów, kiedy się pan przejdzie po obozie.

Głęboko odetchnęła i odwróciła się do niego. Spojrzała mu w oczy.

– Ogromnie mi przykro, że was złapał. Nie umiem sobie nawet wyobrazić, co pan i pańscy ludzie o mnie myślicie. Nie znajduję słów przeprosin.

Przez chwilę przyglądał się uważnie jej twarzy.

– Nie powiedziała pani o nas Dubois. – To nie było pytanie, tylko stwierdzenie. Nie potrafił uwierzyć, że mogło być inaczej.

Jej oczy zapłonęły.

– Oczywiście, że nie! Nigdy bym was nie zdradziła.

– A więc w porządku. Nie ma sprawy.

– Ależ jest! – Najwyraźniej niczego nie rozumiała. – Przecież to moja wina. To okropne! Przepraszam.

– Jeśli dzięki temu poczuje się pani lepiej, to część winy spada też na nas. Obserwowaliśmy kopalnię z półki skalnej na wzgórzu, ale nie widzieliśmy, żeby Dubois i jego najemnicy opuścili obóz. Moi ludzie zauważyli ich dopiero, gdy była już pani na północnym szlaku. Musieli wyjść bardzo rano, zanim zaczęliśmy wartę.

– To wcale mnie nie usprawiedliwia – powiedziała, nie spuszczając wzroku z jego twarzy. – Nie chcę, żeby panowie myśleli, że w jakikolwiek sposób świadomie przyczyniłam się do waszego pojmania, musiałam jednak zrobić coś, co zaalarmowało Dubois.

Była tak szczera, tak otwarta, jej śliczne oczy spoglądały na niego z takim błaganiem, że Caleb wreszcie się rozluźnił i szeroko uśmiechnął.

– Proszę się nie martwić, nikt nie myśli o pani źle. – Przechylił głowę i nadał głosowi uspokajające brzmienie. – Dubois najwyraźniej ma wyjątkowy instynkt. Pewnie po prostu zgadł. Taki człowiek obserwuje, dodaje dwa do dwóch i wyciąga wnioski.

Nie do końca przekonana przygryzła dolną wargę.

Caleb poczuł przypływ żądzy. Zakołysał się i oparł o krawędź stołu, próbując nad sobą zapanować. Jego twarz znalazła się mniej więcej na poziomie jej wzroku.

– Naprawdę. Proszę skończyć z tym poczuciem winy, bo jest bez sensu, a poza tym znaczyłoby to, że Dubois wygrał. A tego przecież nie chcemy, prawda?

Katherine spoglądała na niego przez chwilę, po czym powiedziała miękko:

– Dlaczego mam wrażenie, że ktoś próbuje mną… manipulować?

Uśmiechnął się szeroko, szczerze zachwycony.

– Bo jeśli o to chodzi, Dubois mógłby u mnie pobierać lekcje, proszę mi wierzyć. Wychowywałem się w dużej rodzinie, jestem najmłodszy. W takich warunkach umiejętność manipulowania ludźmi jest konieczna, jeśli chce się przeżyć.

Omal nie parsknęła śmiechem.

– Zawsze jest pan taki… szczery?

Uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Mniej więcej. Ale teraz musimy się skupić. – Bo jeśli tego nie zrobią, z wielką przyjemnością pokieruje rozmową tak, by ją uwieść. Katherine zbyt silnie oddziaływała na jego zmysły, żeby mógł przebywać z nią na osobności. Przywołał na twarz poważny wyraz. – Wprawdzie niczego takiego nie zauważyłem, ale proszę mi powiedzieć, czy według pani Dubois przypuszcza, że więźniowie o nas wiedzieli?

Katherine odwróciła się i zaczęła szykować rzeczy, które zgromadziła na stole.

– Zważywszy na to, jak pracuje mózg Dubois, trudno mi powiedzieć. Ale dzięki temu, że panów pojmał i udało mu się rozwiązać dwa problemy za jednym zamachem, a także dzięki przedstawieniu, w jakie zamienił wasze przybycie, może teraz w oczach więźniów uchodzić za wszechmocnego. Założę się, że w tej chwili świętuje swoje zwycięstwo. Skoncentruje się raczej na tym i nie będzie się zbytnio martwił o resztę.

– To dobrze.

Mężnie walcząc z głupimi myślami, Katherine sięgnęła pod stół i wyciągnęła stołek. Przesunęła go tak, by stanął między nimi, i poklepała siedzisko.

– Jeśli pan usiądzie, oczyszczę to cięcie na policzku, a potem zobaczymy, co się da zrobić z resztą obrażeń.

Caleb usiadł posłusznie.

Żeby dostać się do twarzy, musiała stanąć między jego nogami. Wstrzymała oddech i nachyliła się, żeby ściereczką zmoczoną w ziołowej tynkturze delikatnie przetrzeć długie cięcie. Syknął, ale zwalczył odruch, żeby uciec przed jej dotykiem.

– Przepraszam, wiem, że szczypie. Ale nauczyliśmy się z tego korzystać, bo w tutejszym klimacie bardzo łatwo o zakażenie.

Mruknął coś i zamilkł.

W tej ciszy myśli Katherine zaczęły błądzić…

Niedobrze.

Zmarszczyła leciutko brwi i odwróciła się, by odstawić miksturę i odłożyć różową od krwi ściereczkę. Wzięła

drugą, czystą, żeby wytrzeć ranę do sucha. Starała się przy tym nie zwracać uwagi na długie, gęste, czarne jak smoła rzęsy Caleba, jego wydatny arystokratyczny nos oraz pełne, stworzone do całowania usta...

– Nie potrafię się dopatrzyć żadnych dobrych stron tej sytuacji. – Odłożyła ściereczkę i wzięła słoiczek z maścią. – Odebrano wam broń i teraz jesteście takimi samymi więźniami jak my. Będziecie musieli pracować w kopalni. Z czego tu się cieszyć?

– Z tego, że udało nam się znaleźć w obozie i teraz możemy wam pomóc.

Delikatnie rozprowadziła maść wzdłuż rany. W opuszkach palców czuła mrowienie. Ignorując to uczucie, pomodliła się w duchu, żeby nie została mu blizna. Na takiej twarzy to byłaby zbrodnia przeciwko piękniejszej połowie ludzkości.

Nieświadom kierunku, w jakim biegną jej myśli – dzięki Bogu! – ciągnął dalej:

– Podejrzewałem, że to będzie poważny problem, kiedy ekspedycja ratunkowa już dotrze na miejsce. Zbyt wielu strażników i tylko nieliczna grupa krzepkich mężczyzn po tej stronie ogrodzenia. Teraz mamy szansę. Właśnie udało nam się powiększyć liczbę zdolnych do walki jeńców o siedemnastu zaprawionych w bojach marynarzy, i to nie zdradzając Dubois naszych zamiarów.

Uniósł kąciki warg w uśmiechu.

– Oczywiście Dubois nie ma pojęcia, że wcale nie jesteśmy grupą wędrownych marynarzy do wynajęcia. Właśnie dlatego pozwoliłem, żeby mnie uderzył.

Katherine zamrugała.

– Pozwolił pan?

– Oczywiście. – Sprawiał wrażenie nieco urażonego, że mogła pomyśleć inaczej. A gdy wciąż nie rozumiała, uznał, że powinien jej to wyjaśnić. – Dubois jest silny, ale przynajmniej w porównaniu z Phillipe'em zbyt powolny. Minęło sporo czasu, odkąd miał szansę sprawdzić się walce, więc nie zdaje sobie z tego sprawy. Ja jednak zdołałem dostrzec każdy nadchodzący cios i miałem mnóstwo czasu, żeby zareagować. W innych okolicznościach trochę bym się z nim zabawił, zanim powaliłbym go na ziemię. Ale tym razem pozwoliłem, żeby mnie pokonał i pokazał, kto tu rządzi. Teraz myśli, że jestem niemrawy, a moi ludzie to ślamazary.

A więc mógł uniknąć ciosów, ale wolał dać się pobić, żeby razem ze swoimi ludźmi dostać się na teren kopalni.

Katherine otworzyła usta, lecz udało jej się tylko wydobyć z siebie:

– Och!

Na jego twarzy znów pojawił się niefrasobliwy uśmiech.

– Widzi więc pani, że w istocie wszystko się bardzo dobrze złożyło.

Mogła tylko pokręcić głową.

– Nie do wiary, że jest pan z tego taki… zadowolony. Kiedy tu pana przyprowadziłam, myślałam, że będzie pan na mnie wściekły.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Cały ja. Nieodmiennie radosny.

– Proszę nie żartować. – Katherine przyłapała się na tym, że mówi do niego tonem guwernantki. – Dlaczego tak chętnie pan na to przystał? Tylko niech mi pan nie wmawia, że mieliście wszystko zaplanowane, na wypadek gdyby Dubois się na was natknął.

Poważniejąc, powiedział:

– A zatem bez żartów. Ludzi pokroju Dubois i sytuacje takie jak ta postrzegam jako wyzwanie. To dla mnie coś w rodzaju sprawdzianu. Godny przeciwnik. A w każdym razie interesujący cel. Człowiek, którego należy usunąć z powierzchni ziemi.

– Nigdy bym go tak nie nazwała. Ale ukrócenie jego poczynań i całego tego procederu na pewno można by nazwać godnym zadaniem.

– Więc skoro mowa o godnych zadaniach, to wszystkie drogi, które prowadzą do celu…

Musiała się uśmiechnąć. Znów pokręciła głową, tym razem ze zdumieniem.

– Jak może pan tak wszystko… racjonalizować? Jakim cudem udaje się panu omijać trudności? Skąd ta umiejętność nieustannej zmiany kierunku? Skąd siła, by niepowstrzymanie przeć naprzód?

Wzruszył ramionami.

– Cóż mogę rzec? Wrodzony talent. – Popatrzył jej w oczy. A choć jego spojrzenie było jasne i szczere, miała wrażenie, że oto ma przed sobą człowieka, który skrywa dwie natury: obok głodnego przygód awanturnika jest jeszcze ktoś poważny, o bystrym umyśle. Obaj są prawdziwi, jak dwie

strony jednej monety, a on traktuje pierwszą osobowość jak zasłonę dymną, która odciąga uwagę od tej drugiej.

Zanim jednak zdążyła dostrzec coś więcej, Caleb mrugnął i chwila prawdy minęła.

– Zamiast wikłać się w pomniejsze potyczki – powiedział – musimy skupić się na nadchodzącej bitwie.

Przyjrzała mu się badawczo.

– Nie ma pan żadnych innych ran ciętych, prawda?

– Nie. – Delikatnie obmacał szczękę i pomasował dolne żebra. – Ale jeśli ma pani coś na stłuczenia, to nie odmówię.

– Proszę zdjąć koszulę. – Odwróciła się w poszukiwaniu odpowiedniej maści.

Gdy jednak ze słoiczkiem w ręce spojrzała znowu, oczy jej się rozszerzyły. Spuściła wzrok i całą uwagę skoncentrowała na podważeniu wieczka. Wreszcie zebrała się na odwagę i z brązowym mazidłem na palcach popatrzyła na wyrzeźbiony brzuch Caleba.

Jego wspaniałą muskulaturę szpeciły wielkie sińce. Zaczęła delikatnie rozsmarowywać maść. Zadrżał – czyżby miał łaskotki? – a ona znów poczuła mrowienie w opuszkach palców. Zwiększyła nacisk, starając się rozprowadzić mazidło równomiernie, po czym łagodnymi ruchami zaczęła wcierać je w skórę.

Caleb zacisnął obolałe szczęki i wbił wzrok w drugi koniec pokoju – byle dalej od apetycznej pielęgniarki, która z taką powagą i troską zajęła się jego obrażeniami. Dlaczego uznał, że to dobry pomysł? Przecież to prawdziwa tortura. Nie spodziewał się jednak, że jego pociąg do

Katherine będzie aż tak silny. Owszem, już wcześniej wzbudziła jego zainteresowanie – zresztą który mężczyzna nie zwróciłby uwagi na tak śliczne stworzenie? – ale to nie był pociąg, tylko wilczy głód!

Wreszcie skończyła i odsunęła się – a on nagle chciał, żeby jej dotyk trwał wiecznie.

Zanim jednak zdążył zrobić z siebie głupca, błagając ją, żeby znowu go dotknęła, stanęła za jego plecami.

– Ten siniec wygląda jeszcze gorzej.

Zaczęła rozprowadzać maść po karku, a potem wcierać ją w skórę. Caleb zamknął oczy. Stłumił jęk. Zacisnął palce na krawędzi stołka i z całych sił walczył, by nie mruczeć z rozkoszy.

Katherine skończyła smarować maścią kark, stanęła z boku i delikatnie rozprowadziła mazidło na posiniaczonej szczęce. Caleb przez cały ten czas nie otworzył oczu.

Wreszcie poklepała go po ramieniu.

– Gotowe. Maść powinna złagodzić ból i sprawić, że sińce szybciej znikną.

Widząc, że podeszła do szafki, chwycił koszulę i szybko włożył na siebie.

– Rozumiem, że Dubois raczej nie wystawia wart przed budynkami. Zwróciliśmy na to uwagę, kiedy obserwowaliśmy obóz, ale nie byliśmy pewni, czy nie trzyma strażników w środku. Rzadko gdzieś wchodzili albo skądś wychodzili. Zwykle zaglądali do oczyszczalni, czasem do kopalni.

Zamknęła szafkę i odwróciła się do niego.

– Owszem, ma pan rację. Tak jak mówiłam, to jeden z elementów jego taktyki.

– Czyli strażnicy w zasadzie są tylko przy bramie, patrolują teren, siedzą na wieży albo nudzą się w koszarach?

Przytaknęła.

– Czasem dwóch bywa gdzie indziej, ale tylko przez godzinę dziennie. Dlaczego pan pyta?

– Dobrze wiedzieć, gdzie się można na nich natknąć. Prawdę mówiąc, fakt, że strażnicy trzymają się z dala od więźniów, stanowi pewną ich słabość. – Wyszczerzył zęby. – Warto o tym pamiętać, gdy przybędzie ekspedycja ratunkowa.

– Ach, rozumiem. – Odetchnęła głęboko i rozchyliła urocze wargi...

Chwycił jej rękę, uniósł do ust i złożył na niej pocałunek.

– Zgoda między nami, Katherine. Mogę tak panią nazywać, prawda?

Gdy nieco sztywno – czyżby była oszołomiona? – kiwnęła głową, uśmiechnął się szeroko.

– Musimy się pogodzić z tym, co się stało, i iść dalej. Koniec z przeprosinami, dobrze?

Katherine zorientowała się, że potakuje... A potem on uwolnił jej rękę i znów mogła swobodnie oddychać. Przez chwilę przyglądała się Calebowi uważnie.

– Zawsze pan dostaje to, czego chce?

Jego twarz ani drgnęła.

– Zazwyczaj.

Powiedział to takim tonem, jakby to było całkiem naturalne.

– Proszę za mną. – Ruszyła do wyjścia. – Zaprowadzę pana do baraku sypialnego. Pańscy przyjaciele pewnie już tam są.

– Prawdę mówiąc – rzekł, gdy znalazł się obok niej – zamierzam dopilnować, żeby Dubois pożałował, że kiedykolwiek nas spotkał i tak bezczelnie przywlókł ze sobą do obozu.

Znów dostrzegła to jego drugie ja, które dawało mu siłę, determinację i stanowczość.

A gdy wyszli z baraku medycznego, Katherine po raz pierwszy od wielu miesięcy poczuła, że jest jej lekko na sercu. To Caleb tak na nią działał. Był prawdziwym optymistą – kimś, kogo wszyscy jeńcy potrzebowali.

Dubois się mylił, to nie on miał szczęście.

Los w końcu uśmiechnął się do więźniów – i zesłał im Caleba Frobishera, żeby natchnął ich nadzieją.

Dziesięć

Wczesnym wieczorem wszyscy więźniowie, łącznie z nowo przybyłymi, zgromadzili się przy palenisku. Katherine była ciekawa, czy ludzie Caleba traktują niewolę z taką samą niefrasobliwością jak ich dowódca, i z tego, co widziała, tak właśnie było. Wydawali się ulepieni z tej samej gliny, sprawiali wrażenie, jakby mało co mogło ich wytrącić z równowagi.

Caleb był jak kot – zawsze spadał na cztery łapy i natychmiast zaczynał się rozglądać, co można by zrobić, żeby poprawić sytuację. Sądząc po tym, z jakim spokojem członkowie drużyny traktowali jego poczynania, najwyraźniej byli do tego przyzwyczajeni – ani fakt, że ich kapitan pozwolił, by Dubois go uderzył, ani to, że tak szybko doszedł do siebie, ani wreszcie jego niebywała odporność psychiczna nie wydawały im się niczym niezwykłym.

Dla więźniów natomiast pojmanie Caleba i jego ludzi oznaczało utratę nadziei, jaką rozbudzili swoim przybyciem. Ale może było tak, jak twierdził Frobisher – może lepiej, że trafili do obozu. Może nadzieja nie umarła, tyko właśnie przeradzała się w coś nowego, silniejszego.

Siedzący między Hillsythe’em a Phillipe’em Caleb pochłaniał gulasz – po dzisiejszych wydarzeniach umierał z głodu. Jedząc, porządkował w głowie to, czego się

dowiedział na temat obozu, odkąd przekroczył jego bramę, i całą tę wiedzę – usytuowanie baraku medycznego i chaty, w której spali mężczyźni, a także obraz wnętrza kopalni – połączył z wcześniejszymi informacjami.

Gdy opróżnił cynowy talerz, postawił go, tak samo jak reszta, na ziemi. Szybko rozejrzał się. Strażników nie było nigdzie w pobliżu – dwóch obchodziło obóz wzdłuż ogrodzenia, dwóch innych wylegiwało się na ganku przed koszarami, trzech siedziało na wieży, żaden jednak nie był na tyle blisko, by móc podsłuchać rozmowę przy ognisku.

– To bardzo niezwykłe, że Dubois pozwala więźniom tak swobodnie się ze sobą kontaktować – zauważył.

Hillsythe uśmiechnął się cierpko.

– Z tego samego powodu, co zawsze: uważa, że to dla niego korzystne. Z obozu nie da się łatwo uciec. Jest ogrodzenie, są patrole, ktoś zawsze pełni wartę na wieży. My nie mamy broni. Kilofami i kilkoma łopatami nie damy sobie rady w starciu z pałaszami i szablami, a zwłaszcza muszkietami. Co więcej, Dubois potrafi nas skłonić, żebyśmy postępowali zgodnie z jego wolą, to znaczy pracowali i nawet nie myśleli o ucieczce, za pomocą nieustannie wiszącej nad nami groźby.

– Opowiadałam im o Daisy – powiedziała cicho Katherine, która wraz z pozostałymi kobietami siedziała nieco z tyłu.

Twarz Hillsythe’a stężała.

– Więc wie pan, co to za groźba. Dzięki temu, że możemy swobodnie się bratać, tworzą się więzi, powstaje wspólnota, ludzie zaczynają się o siebie troszczyć. I w ten sposób

Dubois może nas kontrolować. Jeśli któryś mężczyzna zaczyna stawać okoniem, wystarczy, że zagrozi bliskiej mu kobiecie albo wszystkim paniom. Jeżeli nasze panie sprawiają kłopoty, grozi mężczyznom lub dzieciom. Jeśli wreszcie dzieci robią się niesforne, straszy je, że zrobi krzywdę dorosłym. Im bliższe stosunki nas łączą, tym lepiej dla niego, tym łatwiej nami sterować. Dlatego pozwala nam na swobodne kontakty.

– Ale to oznacza – odezwał się Phillipe – że równie swobodnie możecie – możemy – przeciwko niemu spiskować.

– To prawda i jestem pewien, że Dubois ma tego świadomość. Ale jak dotąd nie udało nam się niczego wielkiego osiągnąć. On wie, że dopóki nie mamy dostępu do broni, nie ośmielimy się nic zrobić. Jest o tym absolutnie przekonany.

– Co więcej – wtrącił Dixon – rozkoszuje się tym, że pozwala nam spiskować do woli, bo w ten sposób daje nam do zrozumienia, że jesteśmy w sytuacji bez wyjścia, a on się zupełnie nas nie boi.

Phillipe pokiwał głową.

– W ogóle nie bierze pod uwagę tego, że moglibyście go pokonać.

– Właśnie. – Fanshawe wychylił się do przodu. – W ten sposób chce nam pokazać, że stąd nie ma ucieczki.

Caleb uniósł brwi.

– Co za arogancja. I pewność siebie.

– Jak dotąd jednak całkiem uzasadnione – odparł Hillsythe.

– Czyli słusznie zakładam, że Dubois dopuszcza możliwość ataku tylko z zewnątrz?

Hillsythe zastanawiał się chwilę.

– Jeżeli będzie nas postrzegał wciąż tak samo jak dotąd, odpowiedź brzmi: tak. – Spojrzał Calebowi w oczy. – Robimy, co w naszej mocy, by nie wzbudzać jego podejrzeń, na wypadek gdybyśmy musieli podjąć próbę ucieczki.

Frobisher zamyślił się nad jego słowami, po czym powiódł wzrokiem po kręgu wokół ogniska i powiedział ściszonym głosem:

– W jedną rzecz wciąż trudno mi uwierzyć. Jest pan pewien, że nie ma wśród was donosicieli? Na miejscu Dubois chciałbym mieć swojego informatora.

Hillsythe uśmiechnął się szeroko.

– Doszliśmy do podobnego wniosku. – Zerknął na Dixona. – I dlatego sami mu jednego podsunęliśmy.

– Nie jestem zbyt dobry w odgrywaniu komedii i to nie jest rola, która by mi odpowiadała – powiedział inżynier – ale to z moją pomocą otwarto kopalnię... – Skrzywił się. – Staram się, jak mogę.

– Ma wyrzuty sumienia – powiedziała cicho kobieta, o której Caleb wiedział, że nazywa się Harriet Frazier i jest ukochaną Dixona. Obrzuciła inżyniera łagodnym, pełnym uczucia spojrzeniem. -Tymczasem jeśli kogoś należałoby winić, to mnie, bo to za moim pośrednictwem Dubois zmusił

Johna, żeby otworzył kopalnię. Ale nie ma sensu się nad sobą użalać, po prostu trzeba przetrwać.

– To prawda, nikt tu niczemu nie jest winien – potwierdził Hillsythe, wpatrując się w Dixona. – A nasz podstęp okazał się skuteczny. – Odwrócił się do Caleba. – Dubois ma na temat górnictwa takie samo pojęcie jak każdy cywil i w dodatku zakłada, że wcale nie ma się na czym znać, bo wszystko jest jasne i oczywiste.

Caleb pokiwał głową.

– Znów ta jego arogancja.

– Otóż to. Dlatego zasugerowałem Dixonowi, żeby odgrywał rolę inżyniera, który dostał obsesji na punkcie kopalni. Pomyślałem, że jeśli dobrze to rozegra, Dubois zacznie coraz bardziej polegać na jego opinii, a z czasem zaufa mu całkowicie. Uzna, że wszystko, co Dixon mówi na temat kopalni, jest prawdą, a jeśli ktoś z nas zechce ją zniszczyć lub sabotować wydobycie, inżynier z pewnością go o tym poinformuje.

– I rzeczywiście tak się stało. – Ton głosu inżyniera wskazywał, że sam był zaskoczony powodzeniem fortelu. – Przy czym ani ja, ani nikt z nas nigdy nie próbował przeciągać struny. Nie zrobiliśmy nic, co mogłoby wzbudzić podejrzenia Dubois.

– Balansowaliśmy na cienkiej linie – wtrącił Fanshawe – więc wiedzieliśmy, że musimy zachować ostrożność. Udało nam się do pewnego stopnia kontrolować prędkość, z jaką uszczuplaliśmy zasoby.

– Mam nadzieję, że przekonaliśmy pana, że możemy bezpiecznie rozmawiać – podsumował Hillsythe – bo nikt z nas się nie wygada, nawet dzieci. Tkwimy w tym razem i wszyscy wiedzą, że razem przyjdzie nam żyć lub umierać.

– Co chce pan wiedzieć? – spytał Caleb.

Mężczyzna tylko czekał, by zadać pytanie.

– Proszę nam opowiedzieć o ekspedycji ratunkowej. Co się do tej pory działo?

Caleb pokrótce zrelacjonował przygody Declana i Edwiny, a potem Roberta i Aileen, przedstawił także wnioski, które wyciągnięto z ich odkryć. Wszyscy, nawet dzieci, słuchali w milczeniu. Gdy wymienił nazwiska osób zamieszanych w całą sprawę – Undoto, lady Holbrook, Muldoona i dostawcy Wintera – wśród zgromadzonych rozległ się głuchy pomruk.

Zakończył swoją opowieść rozprawą z Kale’em, poinformował też zebranych, że jego drużyna ukryła broń nad jeziorem. Wszyscy przy ognisku, nawet dzieci, zrozumieli, dlaczego nikt z kolonii nie przybył z odsieczą. Zdali też sobie sprawę, że aby doczekać pomocy, muszą utrzymać wydobycie diamentów na takim poziomie, by tajemniczy mocodawcy nie kazali zamknąć kopalni co najmniej do początków września.

Siedzieli w ciszy. Caleb dał im chwilę, by przetrawili nowiny, po czym powiedział:

– Wszyscy wiemy teraz, na czym stoimy. Naszym następnym krokiem będzie obmyślenie działań, które pozwolą nam przetrwać i pomogą w ocaleniu. Musimy się

zastanowić, co zrobić, żeby kopalnia wciąż działała, gdy zjawi się tu ekspedycja ratunkowa, a potem jak pomóc jej zdobyć obóz.

Wśród zgromadzonych podniósł się szum – zaczęli myśleć na głos, podsuwać swoje sugestie.

Katherine obserwowała, jak Caleb zachęca nawet dzieci, by się podzieliły pomysłami, i jak subtelnie, niemal niedostrzegalnie kieruje ich rozważaniami, by nie odbiegały zbytnio od tematu.

Nie tylko ona dostrzegła to, co robił – Hillsythe i Lascelle obserwowali go ze zrozumieniem i aprobatą. Zachęcając jeńców, by stawali się aktywnymi uczestnikami dyskusji, Caleb nie tylko pokazywał, że akceptuje i szanuje więź, którą z takim trudem udało im się stworzyć, ale jeszcze ją wzmacniał.

Na koniec bez wysiłku odzyskał kontrolę nad zebranymi.

– Widzę, że wszyscy się zgadzają, że sprawą najważniejszą jest, by kopalnia działała bez zakłóceń do chwili, aż przybędzie ekspedycja ratunkowa. Rozumiem też, że choć fakt, że dołączyliśmy do was, ma swoje dobre strony, oznacza jednak, że będziemy musieli działać bardzo ostrożnie, aby po otwarciu drugiego tunelu za szybko nie uszczuplić złoża. – Spojrzał na Dixona. – Dzięki nam Dubois zyskał to, czego tak bardzo potrzebował: dodatkowe ręce do pracy. Pytanie, co zrobić, żeby obecność siedemnastu nowych robotników miała jak najmniejszy wpływ na działalność kopalni.

Dixon przez chwilę zastanawiał się nad tym, po czym się skrzywił.

– Najlepiej będzie wykorzystać pana i pańskich ludzi do budowy nowego korytarza, bo to trzeba zrobić, zanim zaczniemy wydobywać diamenty z drugiego złoża. W ten sposób wasza siedemnastka, ja i trzech stolarzy będziemy mogli pracować, nie przyczyniając się do zwiększenia produkcji. – Zerknął na Hillsythe'a, a potem przeniósł wzrok na Fanshawe'a i Hopkinsa, którzy siedzieli po drugiej stronie ogniska. – Reszta zaś zgodnie z planem będzie eksploatować pierwsze złoże, uzupełniając urobek z zapasów, które udało nam się zgromadzić.

Odwrócił się i spojrzał na Caleba.

– Nie możemy dopuścić, żeby mocodawcy Dubois wpadli w panikę. Zapasy nie wystarczą na długo, ale dzięki nim będziemy mogli przenieść się do drugiego korytarza. O ile mogę stwierdzić, drugie złoże jest bogatsze, znacznie gęściej napakowane diamentami niż pierwsze. Moja jedyna wątpliwość wynika stąd, że wciąż nie potrafię powiedzieć, jak daleko sięgają te nowe pokłady, jak duże jest całe złoże.

– Bądźmy więc ostrożni i rozważmy najgorszy scenariusz – odparł Caleb. – Opierając się na tym, co pan wie w tej chwili, czy drugie złoże wystarczy, żeby utrzymać produkcję na poziomie zadowalającym mocodawców Dubois do początków września?

Dixon porachował w myślach.

– Biorąc pod uwagę fakt, że mamy dodatkowe ręce do pracy, będzie naprawdę trudno. Jest jednak bardziej

naglący problem. Ci ludzie żądają zwiększenia produkcji, a skoro Dubois zyskał nowych robotników, on też będzie tego oczekiwał.

Caleb kiwnął głową niezrażony.

– W takim razie dopóki nie okaże się, że drugie złoże jest odpowiednio rozległe, powinniśmy pod jakimś wiarygodnym pretekstem utrzymać produkcję na jak najniższym poziomie. Nie nazbyt niskim, żeby nie spowodować zamknięcia kopalni, ale jednak dość niskim, żebyśmy mogli prowadzić eksploatację jak najdłużej. Jednym słowem, musimy utrzymać wydobycie na obecnym poziomie i znaleźć przekonujące wyjaśnienie, dlaczego tak się dzieje mimo otwarcia drugiego korytarza.

– Czyli – odezwał się Lascelle – jeśli chodzi o plany na jutro, jedna grupa będzie pracować przy budowie nowego tunelu, a druga wydobywać diamenty w tempie takim jak dotąd, tak jak Dubois tego oczekuje. Bon. – Podniósł palec. – Ale równocześnie wszyscy obmyślamy wymówki – nieoczekiwany wypadek, osunięcie się skały, cokolwiek – żeby mimo otwarcia drugiego korytarza i pojawienia się nowych robotników produkcja, zamiast wzrosnąć… – Lascelle rozłożył ręce. – Przypadki chodzą po ludziach i najlepsze, co możemy zrobić, to utrzymać wydobycie na obecnym poziomie, dopóki, powiedzmy, uszkodzenia nie zostaną naprawione. – Spojrzał na Caleba. – Taki jest nasz plan, tak?

– Tak. – Caleb pokiwał głową, a za nim Hillsythe i Dixon. – Ktoś ma jakiś pomysł, jak spowolnić pracę w kopalni, żeby

Dubois przyjął to do wiadomości? – spytał, rozglądając się wokół.

Więźniowie zaczęli patrzeć po sobie.

Katherine się zawahała, po czym zabrała głos:

– To nie dotyczy bezpośrednio kopalni, ale skutek mógłby być ten sam. Co powiecie na nasze narzędzia? – Popatrzyła na pozostałe kobiety. – Odkąd się tu zjawiłyśmy, wciąż używamy tych samych. Na pewno niektóre dłuta muszą już być stępione. A młotki? Główki mogły się poluzować.

Caleb uśmiechnął się szeroko.

– Właśnie o takie myślenie nam chodzi. To nie musi być coś związanego z samą kopalnią. Zależy nam na tym, żeby strumień diamentów opuszczających obóz był na poziomie ledwie akceptowalnym.

Kilka dziewcząt pracujących przy sortowaniu odłamków zaproponowało, że będą ukrywać część urobku, zamiast wysyłać go do oczyszczalni. Ktoś inny wpadł na pomysł, żeby zepsuć część lamp oświetlających tunele. Jeszcze inny zauważył, że choć mają teraz więcej rąk do pracy, brakuje kilofów i szpadli – dopóki nie przybędą nowe, nie będzie można zwiększyć produkcji.

– Znakomicie. – Caleb spojrzał na inżyniera. – Kapitan Dixon wie więcej na temat górnictwa niż ktokolwiek z nas. Czy mogę pana prosić, żeby zechciał pan „zarządzać” produkcją tak jak dotąd? A jeśli komuś jeszcze przyjdzie coś do głowy, niech się zgłosi z tym do pana, żeby mógł pan koordynować wszystkie pomysły i, by tak rzec, wcielać je w życie. – Rozejrzał się wokół. – Nie chcemy, żeby

wydarzyło się zbyt wiele wypadków naraz, a zarazem zależy nam, żeby to, co zrobimy, miało jak największy zasięg.

Inżynier sprawiał wrażenie zadowolonego.

– Chętnie się tym zajmę.

Hillsythe obrzucił Caleba uważnym spojrzeniem, w którym kryła się aprobata, po czym mruknął:

– Dobra robota. Mądre posunięcie.

Ten wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– W przeciwieństwie do Royda umiem dzielić się przywództwem.

Hillsythe parsknął, próbując stłumić śmiech.

Frobisher spojrzał na twarze więźniów i spoważniał.

– Jestem pod wrażeniem tego, jak spójną grupę udało się wam stworzyć. W takich warunkach dużo łatwiej o współpracę.

– Wspólny wysiłek i wspólny wróg. To łączy ludzi – zauważył Hillsythe.

Caleb pokiwał głową i nieznacznie podniósł głos, żeby usłyszeli go wszyscy przy ognisku.

– Jest jeszcze jedna rzecz, o której musimy pomyśleć. Zdaliśmy sobie z tego sprawę z Phillipe’em kilka dni temu, kiedy patrzyliśmy na obóz ze skały. Widać stamtąd, że nie ma żadnego miejsca, które w oczywisty sposób nadawałoby się do przeprowadzenia ataku. Brama i ogrodzenie wydają się solidne. Dlatego żeby ekspedycji ratunkowej udało się zdobyć obóz bez znacznych ofiar po naszej stronie, będziemy musieli przeprowadzić akcję dywersyjną. Zrobić coś, co odwróci uwagę Dubois i jego ludzi.

– Przy czym najlepiej byłoby – dodał Phillipe – gdyby nasza akcja przynajmniej na początku nie sprawiała wrażenia związanej z atakiem. Wolelibyśmy, żeby to było coś w rodzaju wypadku.

Twarze więźniów sposępniały. Słowa obu kapitanów podziałały jak zimny prysznic.

Wtem jeden z wartowników na wieży krzyknął coś do tych na galerii. Po chwili dwóch najemników zeszło na plac. Dziarskim krokiem ruszyli w stronę bramy. Zamieniwszy kilka słów z kimś po drugiej stronie, podnieśli rygle i otworzyli szeroko bramę.

Do obozu wmaszerowało czterech ich kompanów.

Hillsythe nachylił się do Caleba.

– Ten na przedzie to Cripps, przyboczny Dubois. Poszedł sprawdzić, co się dzieje z Kale’em.

Strażnicy zamknęli wrota i zaryglowali je z powrotem, po czym ruszyli w ślad za Crippsem i jego ludźmi.

Wszyscy jeńcy obserwowali ich w milczeniu, dopóki nie zniknęli w koszarach. Strażnicy zajęli swoją pozycję na galerii. Caleb zauważył światło lampy w oknie baraku – z tego, co wiedział od Katherine, stała na biurku Dubois.

Tymczasem ognisko zdążyło już niemal całkowicie przygasnąć i tylko żarzyło się czerwonym blaskiem. Sądząc po twarzach, więźniowie wrócili do rozmowy na temat akcji dywersyjnej; przybycie Crippsa i jego ludzi tylko potwierdziło potrzebę jej przeprowadzenia.

Wreszcie Hopkins napotkał wzrok Caleba.

– Mamy miesiąc, żeby coś wymyślić.

– To prawda – odparł. – Musimy jednak mieć wszystko gotowe, zanim przybędzie pomoc.

* * *

Dubois stał w ciemnościach, żeby lepiej widzieć ludzi przy ognisku. Nie żeby coś szczególnego zwróciło jego uwagę. Spodziewał się, że młody kapitan znajdzie się w centrum zainteresowania. Najwyraźniej odpowiadał na pytania i relacjonował, co się dzieje na świecie. Dubois wolałby wprawdzie, żeby nowi jeńcy nie przypominali reszcie o życiu poza obozem, uznał jednak, że to nieuniknione. Zresztą był na tyle pewny swojej władzy, że tylko wzruszył ramionami.

Zwłaszcza że młody kapitan przyprowadził ze sobą szesnastu zdrowych i krzepkich ludzi.

Zobaczył Crippsa zbliżającego się do budynku. Odsunął się od okna i podszedł do lampy stojącej na biurku.

Potrzebował światła, żeby móc z twarzy Crippsa wyczytać wszystko na temat osobliwego zachowania Kale’a. Osunął się na krzesło i wbił wzrok w twarz przybocznego, który tymczasem wszedł do gabinetu i zatrzymał się przy biurku.

– Czego się dowiedziałeś?

Zjawił się też Arsene. Stanął przy biurku, spoglądając na Crippsa.

– Wygląda na to, że Kale i jego ludzie po prostu zwiali. Zniknęli.

Dubois lekko zmarszczył brwi.

– Co to znaczy „zniknęli”?

– W ich obozie nie ma nikogo. Nic nie pozostało. Całe siedlisko jest wysprzątane do czysta. Wygląda, jakby nie było tam nikogo od ładnych kilku dni. Może nawet od tygodnia.

Dubois spojrzał na Arsene’a, po czym przeniósł wzrok z powrotem na Crippsa.

– Opuścili je w pośpiechu?

Cripps pokręcił głową.

– Raczej nie. Wszędzie panuje idealny porządek.

– Żadnych śladów walki? – spytał Arsene.

– Żadnych. To wygląda tak, jakby Kale i jego ludzie po prostu spakowali manatki i odeszli. Najpewniej wrócili do kolonii.

Dubois zastukał w blat biurka.

– Dlaczego mieliby odchodzić? Co mogło sprawić, że człowiek taki jak Kale ot tak porzucił stałe zajęcie?

– Więcej pieniędzy – odparł bez wahania Arsene.

Cripps przytaknął.

– Też tak sądzę.

– Kale zawsze był łajdakiem – prychnął Arsene. – Na kimś takim nie można polegać. A jego ludzie, zwłaszcza ci w kolonii, zaczęli się niecierpliwić. Nie podobało im się, że ktoś inny dyktuje warunki i że ostatnio mieliśmy dla nich tak mało zleceń.

Dubois pokiwał głową.

– Dostawał pieniądze od każdej schwytanej głowy, więc dobrze go rozumiem.

Arsene wzruszył ramionami.

– Dostał lepszą propozycję…

– Albo dowiedział się, gdzie można więcej zarobić – wtrącił Cripps. – I znikł.

Dubois znowu pokiwał głową.

– Zgadzam się, że to najbardziej prawdopodobny scenariusz.

Pytanie tylko, czy prawdziwy. Czy to nie dziwne, że młody kapitan pojawił się raptem tydzień po zniknięciu Kale’a?

Powstrzymał odruch, by spojrzeć przez okno na wciąż siedzących przy ognisku jeńców. To musiał być zbieg okoliczności. Ten młodzik nie mógł przecież spłoszyć Kale’a. Gdyby handlarz niewolników natknął się na niego w dżungli, z pewnością pojmałby go i razem z całą drużyną przyprowadził do kopalni.

Dzieciak był za wolny, żeby dać radę Kale’owi. Ani on, ani tym bardziej jego ludzie nie mieli szansy pokonać go w walce. Nawet Dubois z szacunkiem odnosił się do umiejętności szermierczych handlarza niewolników.

Nie, nie było żadnych podstaw, by powiązać przybycie marynarzy ze zniknięciem Kale’a. Kale odszedł, bo taką podjął decyzję.

Dubois musiał się skupić na tym, co dalej.

– Skoro Kale zniknął – zmrużył oczy – a nam udało się pozyskać dodatkowe ręce do pracy, jego szczególne umiejętności i tak nie będą nam dłużej potrzebne. Jedyny problem stanowią w tej chwili dostawy materiałów do kopalni.

Rozparł się wygodnie na krześle.

– Nie będziemy czekać, aż Kale wróci. Jeśli o mnie chodzi, na własną prośbę wypadł z gry. Będziemy działać tak, jakby miał się więcej nie pojawić. Teraz, gdy mamy dodatkowych ludzi, a Dixon jest gotów otworzyć drugi korytarz, będziemy potrzebowali więcej kilofów, szpadli, gwoździ i co tam jeszcze jest na liście. – Zamilkł. – Kiedy ostatni raz kontaktowaliśmy się z ludźmi z miasta, naciskali, żebyśmy zwiększyli produkcję, bo tego domagają się ich mocodawcy. Odniosłem wrażenie, że to pilna sprawa. – Uśmiechnął się zimno. – Zważywszy na ten pośpiech, muszą nam zapewnić sprzęt i dodatkową zapłatę. I nie wątpię, że to zrobią. – Spojrzał na Arsene'a. – Weź czterech ludzi i idźcie do kolonii zwykłą trasą. Nie ma powodu, żebyś nadkładał drogi, wybierając szlak przez obóz Kale'a.

Arsene stanął na baczność.

– A kiedy już tam dotrę?

Dubois zmrużył oczy i zastanawiał się przez chwilę, po czym rzekł:

– Tak jak mówiliśmy, skontaktujesz się z Wintonem w forcie. Ale tylko jeśli uda ci się to zrobić dyskretnie. Jeśli nie, porozmawiasz z Muldoonem. Wiesz, gdzie go szukać. Bez względu na to, którego złapiesz, każ im zorganizować materiały dla Dixona. – Z kupki papierów na biurku wygrzebał kartkę, zerknął na nią i podał Arsene'owi. – Tu masz ostatnią listę. Powiedz Wintonowi albo Muldoonowi, że jeśli chcą więcej diamentów, muszą dostarczyć wszystko albo tobie, albo w umówione miejsce najszybciej, jak się da.

Będzie ich to dodatkowo kosztowało – drugie tyle za nasz trud. Wrócisz, jak tylko wszystko załatwisz.

Arsene się zawahał.

– Wiem, że już o to pytałem, ale skoro sytuacja się zmieniła, to jeśli nie uda mi się dotrzeć do Muldoona albo Wintona, czy mam się skontaktować z naszym człowiekiem w biurze gubernatora?

Dubois szybko rozważył tę myśl i pokręcił głową.

– Nie. Do niego najtrudniej dotrzeć po cichu i… – Skrzywił się. – Zważywszy na naciski mocodawców i na to, że los zesłał nam potrzebnych ludzi, z mojego doświadczenia wynika, że jeśli coś ma pójść nie tak, stanie się to teraz. A gdyby pojawiło się coś nieoczekiwanego, chcemy, żeby nas o tym poinformował. On jeden może zażegnać ewentualne niebezpieczeństwo albo przynajmniej powstrzymać je na tyle, żebyśmy mogli zatrzeć za sobą ślady. – Dubois spojrzał w oczy Arsene’owi. – Dlatego lepiej nie ryzykujmy.

Przyboczny pokiwał głową.

– Jeśli uda nam się zdobyć odpowiednio szybko materiały i pieniądze, powinniśmy być z powrotem w ciągu pięciu dni.

* * *

Następnego ranka Caleb, Phillipe i cała ich drużyna zebrali się przy palenisku, by razem z resztą jeńców zjeść śniadanie, na które składały się suchary i herbata. Dzieci dostały rzadki kleik, który pochłaniały z nieprzyzwoitym wręcz pośpiechem, koncentrując się bez reszty na tej czynności.

Popijając gorącą herbatę z cynowego kubka, Caleb obserwował Katherine Fortescue i pozostałe kobiety. Siedziały razem, tak jak poprzedniego wieczoru, pogrążone w ożywionej dyskusji. Sądząc po urywkach zdań, które do niego docierały, omawiały pomysły opóźnienia pracy, które zamierzały przekazać Dixonowi.

Spojrzał na mężczyzn – stali w małych grupkach i także cicho rozmawiali – i mruknął do Phillipe'a:

– Wygląda na to, że całkiem sprawnie udało nam się obrócić wczorajszą klęskę w zwycięstwo. Wszyscy są skupieni na tym, co dalej.

Phillipe rozciągnął usta w uśmiechu. Spojrzał przyjacielowi w oczy.

– Nigdy nie wątpiłem, że tak będzie. Masz do tego talent.

Caleb zamrugał.

– Do czego?

Pytał całkiem serio, ale zanim zdążył uzyskać odpowiedź, dołączyli do nich Dixon, Fanshawe, Hopkins i Hillsythe. Usiedli po obu stronach i zaczęli raczyć się śniadaniem. Wreszcie Dixon się odezwał:

– Kilka dni temu mówiłem Dubois, że jesteśmy gotowi rozpocząć prace nad drugim korytarzem. Mam stolarzy, którzy oszalują wejście, ale wkrótce zabraknie nam drewna i gwoździ. Teraz w dodatku, jak zauważył ktoś wczoraj wieczorem, nie mamy dość kilofów i szpadli, żeby wystarczyło dla wszystkich. – Inżynier spojrzał w stronę koszar. – Zwykle co rano konsultuję się z komendantem. I jak wspominałem wczoraj, zamierzam mu powiedzieć, że

chcę wykorzystać pana i pańskich ludzi do budowy nowego chodnika. Dubois nie może się tego doczekać. Ale dopóki nie dostaniemy więcej narzędzi, będzie musiał zdecydować, czy mamy je wykorzystać do wydobywania diamentów, czy do prac nad nowym tunelem.

Caleb pokiwał głową.

– Co oznaczałoby przestój w produkcji. Została jeszcze jedna ważna sprawa, o której wczoraj nie rozmawialiśmy. Wiecie może, w jaki sposób Dubois jest opłacany? Czy leży w jego interesie, żeby kopalnia działała jak najdłużej, czy nie ma to dla niego żadnego znaczenia?

– Wygląda na to, że Dubois dostał sporą sumę na początku i ma szansę na podobną, gdy całe przedsięwzięcie szczęśliwie dobiegnie końca, przez co należy rozumieć śmierć wszystkich jeńców – wyjaśnił Hopkins. – Poza tym on i jego ludzie dostają co tydzień wypłatę.

– Znakomicie. – Caleb spojrzał na Dixona. – A zatem Dubois ma powód, żeby kopalnia działała, dopóki produkuje diamenty. Dlatego postara się zdobyć narzędzia najszybciej, jak się da, żeby jego mocodawcy nie zechcieli jej przedwcześnie zamknąć.

– Też tak sądzę – odparł Dixon. – Dubois wie, czego nam potrzeba. Wczoraj, kiedy was przyprowadził, dostał ode mnie szczegółową listę. Tymczasem zasugeruję mu, że aby nadal wydobywać diamenty i równocześnie rozpocząć prace przy drugim korytarzu, należałoby stworzyć z waszych ludzi odrębną drużynę, a z powodu braku narzędzi pracować na dwie zmiany. Dzięki temu ludzie będą mniej zmęczeni

i bardziej wydajni. Tak w każdym razie zamierzam mu to przedstawić.

– Brzmi sensownie i z naszego punktu widzenia, i z punktu widzenia Dubois… – Hillsythe wbił wzrok w galerię. – A to co? Dokąd Arsene się wybiera?

Spojrzeli w tamtą stronę. Hopkins wstał.

– Pójdę się dowiedzieć.

Z rękami w kieszeniach podszedł do wartowników przy bramie.

Wrócił, zanim Arsene i czterech najemników zdążyli opuścić obóz. Usiadł przy palenisku i oznajmił:

– Najwyraźniej wyruszają do miasta po materiały dla Dixona.

Tymczasem na galerii pojawił się Dubois. Spojrzał w stronę paleniska i władczym gestem skinął na inżyniera.

Dixon wstał.

– Życzcie mi szczęścia – powiedział i poszedł.

Hillsythe wzruszył ramionami.

– Równie dobrze możemy zaczekać, żeby się dowiedzieć, co Dubois zdecydował.

Caleb pokiwał głową i się rozejrzał. Jego wzrok jak zwykle spoczął na Katherine Fortescue. Wstał i do niej podszedł. Siedziała w towarzystwie sześciu kobiet. Wszystkie podniosły oczy, widząc, że nadchodzi.

Uśmiechnął się i przykucnął. Ze zdumieniem zauważył, że dołączył do niego Phillipe.

– Panno Fortescue – rzekł, spoglądając jej w oczy – czy mogłaby nas pani przedstawić?

Tymi słowami zaskarbił sobie – podobnie jak Phillipe, który kucnął obok – życzliwość i uśmiech wszystkich pań.

Katherine przedstawiła po kolei swoje towarzyszki: Harriet Frazier, Ellen Mackenzie, Gemmę Halliday, Annie Mellows i Mary Wilson. Ta ostatnia była młodą dziewczyną o słodkiej twarzyczce i miękkich brązowych włosach.

– To dama Charlesa Babingtona.

Mary się zarumieniła. Przez chwilę nie była w stanie wykrztusić z siebie ani słowa, w końcu jednak ze ściśniętym gardłem powiedziała:

– Dziękuję, że wspomniał pan wczoraj o Charlesie i jego poszukiwaniach. Do tej pory myślałam… – Głos dziewczyny się załamał, zaraz jednak jej oczy rozbłysły i na twarz wypłynął słaby uśmiech. – Myślałam, że o mnie zapomniał.

– Ależ skąd. Robi, co może, żeby pomóc zorganizować ekspedycję ratunkową, a wszystko to z pani powodu.

Zmieniając temat, zwrócił się do całej grupy:

– Co takiego właściwie panie robią w oczyszczalni? Wspomniały panie o dłutach i młotkach.

Katherine pozwoliła, żeby Harriet i pozostałe kobiety wyjaśniły, że przez większą część dnia usuwają minerały nagromadzone wokół diamentów, by uzyskać możliwie czysty, a przez to lżejszy i łatwiejszy do transportu surowiec.

Caleb zauważył jej milczenie i zapytał:

– Pani, jak rozumiem, zajmuje się też dziećmi?

Poczuła się idiotycznie zadowolona z faktu, że o tym pamiętał.

– Kilka razy dziennie sprawdzam, jak sobie radzą. Wiedzą, że jeśli będą miały jakiś kłopot, powinny przyjść z tym do mnie. Większość dzieci wynosi urobek z kopalni. Niewielka grupa dziewcząt ogląda każdą bryłkę i odkłada na bok te, które mogą zawierać diamenty – to właśnie one trafiają później do oczyszczalni. Annie i ja – wskazała głową na jedną z kobiet – zwykle po południu chodzimy sprawdzić, czy czegoś nie przeoczyły.

Kapitan rozejrzał się.

Zaniepokojona zrobiła to samo, ale nigdzie w pobliżu nie dostrzegła wartowników.

– Czy właśnie to miały na myśli dzieci, kiedy mówiły, że mogą odłożyć część urobku? – spytał.

Katherine przytaknęła.

– Nie byłoby to trudne, tylko że wszystko odbywałoby się na widoku i któryś ze strażników mógłby to zobaczyć. – Zawahała się i dodała: – Poza tym dzieci są najbardziej bezbronne, dlatego nie powinniśmy ich angażować w żadne... tajne działania. Chyba że nie będzie innego wyjścia.

W jej orzechowych oczach Caleb dostrzegł zdecydowanie. Pokiwał głową. Spojrzał na jej towarzyszki.

– Czy moglibyśmy razem z Phillipe’em przyjrzeć się waszej pracy? Chcemy dokładnie zrozumieć, na czym polega. Tak samo jak praca dzieci. Obejrzelibyśmy też wasze narzędzia.

Wszystkie kobiety chętnie się zgodziły.

– A czy strażnicy nie zechcą nas zatrzymać? I czy nasza wizyta w oczyszczalni nie wzbudzi niepotrzebnego zainteresowania?

Katherine pokręciła głową.

– Mężczyźni często do nas zaglądają w różnych sprawach. Albo tylko po to, żeby porozmawiać. Nikt panów nie zatrzyma przy wejściu, ale zdarza się niekiedy, że strażnicy patrolują teren przed budynkiem lub zaglądają do środka.

– Rozumiem.

Na odgłos kroków wszyscy się odwrócili. Od strony koszar nadchodził Dixon. Po jego postawie i minie widać było, że jest niezadowolony.

– Proszę nam wybaczyć. – Caleb wstał.

Phillipe grzecznie skinął paniom głową i razem z przyjacielem wrócili do czekających przy palenisku mężczyzn.

– Ten łajdak się uczy – sapnął poirytowany Dixon. – Uparł się, żeby utrzymać produkcję w pierwszym korytarzu na dotychczasowym poziomie. – Spojrzał na Hillsythe’a. – Co oznacza, że będziemy musieli wykorzystać zapasy.

Hillsythe pokiwał głową.

– I?

– Zgodził się, żeby Frobisher ze swoimi ludźmi i stolarzami pracowali przy budowie drugiego korytarza, wykorzystując drewno i gwoździe, które mamy. Powiedział, że rozumie, że potrzebujemy więcej materiałów, ale te powinny nadejść w ciągu pięciu dni.

– Kiedy wróci Arsene – domyślił się Hopkins.

– Właśnie. Na dodatek zamiast skrócić nam zmiany, Dubois chce, żebyśmy wszyscy pracowali bez przerwy od rana do północy.

Fanshawe zaklął cicho.

Hillsythe sposępniał.

– Wydłużenie godzin pracy oznacza, że spodziewa się zwiększenia produkcji.

– I tym samym – stwierdził Dixon – nasze zapasy szybciej się wyczerpią.

– Niekoniecznie – wtrącił Caleb. – Czy Dubois wyraźnie stwierdził, że wszystkie kilofy i szpadle powinny trafić do brygady wydobywającej diamenty, czy też chce, żeby część wykorzystano przy budowie nowego korytarza?

Inżynier przez chwilę próbował sobie przypomnieć szczegóły rozmowy.

– Niczego jasno nie powiedział, mogę więc zinterpretować jego słowa tak, żeby oznaczały to drugie.

Caleb uśmiechnął się szeroko.

– No to jesteśmy w domu. – Spojrzał na Hillsythe’a. – Musimy tylko zapewnić drużynie, która będzie pracowała przy budowie, dość szpadli i kilofów, żeby to tłumaczyło brak wzrostu produkcji. – Rozejrzał się po zgromadzonych. – Mimo to sugeruję, żebyśmy utrzymali wydobycie na stałym poziomie, tak jak zaplanowaliśmy. Nie chcemy, żeby Dubois albo jego mocodawcy mieli powód, żeby się skarżyć. Potrzebujemy tylko wymówki, żeby nie zwiększać wydajności.

Wśród zgromadzonych rozległ się pomruk zgody.

– To rozwiązanie na krótką metę – zauważył Hopkins. – A co będzie, kiedy wróci Arsene i przyniesie narzędzia? Dubois nie skróci nam z powrotem godzin pracy i jak wtedy wyjaśnimy brak wzrostu produkcji?

Zaczęli dołączać do nich inni i wkrótce większość mężczyzn pracujących w kopalni stała wokół w luźnych grupkach. Caleb dostrzegł na twarzach tych, którzy byli tu już od wielu miesięcy, ogromne przygnębienie. Spokojnym głosem oznajmił:

– Wtedy właśnie skorzystamy z pomysłów, o których rozmawialiśmy wczoraj. – Spojrzał w oczy Dixonowi. – Skoro do pracy w kopalni potrzeba sztucznego światła, co się stanie, jeśli zabraknie oleju?

Przez chwilę wszyscy wpatrywali się w niego jak zaczarowani, aż wreszcie Hillsythe parsknął i klepnął go w ramię.

– Ma pan rację. Proszę nam wybaczyć. Wygląda na to, że nauczyliśmy się potulnie znosić wszelkie przeciwności. – Rozejrzał się po ludziach. – Oto, co daje świeże spojrzenie i zmiana nastawienia. Nie pozwolimy, żeby cokolwiek stanęło nam na przeszkodzie. Nie teraz. Znajdziemy sposób, żeby obejść każdą trudność. – Przeniósł wzrok na Caleba. – Jeśli chodzi o odpowiedź na pańskie pytanie, olej do lamp nie należy do zaopatrzenia kopalni, więc mało prawdopodobne, żeby Arsene go przyniósł. Na pewno nie tym razem. A wyprawa po zwyczajne sprawunki, takie jak żywność, olej i tego typu rzeczy, zajmie co najmniej trzy dni.

Caleb przeprowadził w myślach szybkie obliczenia i pokiwał głową.

– Czyli w tej chwili żądania Dubois to dla nas żaden problem. Podzielimy się narzędziami tak, żeby każdy mógł robić swoje i praca w obu korytarzach postępowała. Gdy pojawią się dodatkowe kilofy i szpadle, zabraknie oleju. To całkiem zrozumiałe, zważywszy, że lampy będą się paliły dłużej i w dodatku w dwóch miejscach naraz.

– To prawda. – Dixon już odzyskał spokój. – Ma pan rację. Damy radę.

Caleb wyszczerzył zęby.

– A potem będziemy postępować w zależności od rozwoju sytuacji.

Mężczyźni wrócili do kopalni w dużo pogodniejszych nastrojach. Katherine zaś razem z pozostałymi kobietami i częścią dzieci podążyła do oczyszczalni. Wpływ Caleba Frobishera na morale więźniów był ogromny i miał decydujące znaczenie. Widać było, że Lascelle i cała ich drużyna tego właśnie po nim oczekiwali. Hillsythe również to zrozumiał i był gotów wesprzeć młodego kapitana.

Pozostali – Dixon, Fanshawe, Hopkins i reszta – musieli dopiero się przekonać, że oto pojawił się wśród nich człowiek, dzięki któremu uwierzą we własne siły i możliwości. Z Calebem na czele staną do walki, która zdecyduje o ich losie.

Jedenaście

Późnym popołudniem Caleb i Phillipe, którzy przez większą część dnia pomagali stolarzom mocować belki u wylotu drugiego korytarza, mogli sobie pozwolić na przerwę; stolarze tymczasem mieli przygotować więcej rozpór.

Caleb zatrzymał się w cieniu przy wejściu do kopalni, żeby obetrzeć z twarzy pot i kurz, i kiwnął głową w kierunku oczyszczalni.

– Pójdę zobaczyć, co porabiają panie. Idziesz ze mną?

Phillipe mruknął coś pod nosem i ruszył za nim.

Idąc przez obóz, obserwowali strażników, którzy niespiesznie patrolowali teren.

– Może i wyglądają na znudzonych – powiedział cicho Phillipe – ale to pewnie tylko pozory. Są za dobrze wyszkoleni, żeby ich lekceważyć.

Caleb zerknął na wieżę, skąd wartownik przyglądał się im leniwie z muszkietem w dłoni.

– Dubois należy do dowódców, którzy zatrudniają tylko najlepszych. A wszystko, co do tej pory widzieliśmy, wskazuje, że to doświadczeni zawodowcy. Nie będzie łatwo ich pokonać.

Kilka kroków dalej Phillipe mruknął:

– Ale my przecież uwielbiamy wyzwania.

Caleb się roześmiał.

Dotarli do oczyszczalni. Frobisher pierwszy pokonał trzy schodki i wszedł do środka, Phillipe zamknął drzwi i stanął obok przyjaciela.

Pośrodku długiego pomieszczenia, oświetlonego światłem padającym przez wąskie okna w dachu, stał wysoki stół. Wokół niego na stołkach siedziało sześć kobiet – wszystkie podniosły wzrok, gdy weszli, uśmiechnęły się i wróciły do pracy.

Obaj przyjaciele podeszli do stołu. Phillipe zaczął go powoli okrążać, przyglądając się pracy kobiet, Caleb zatrzymał się obok Katherine.

Podniosła wzrok i zobaczyła, że przygląda się bryłce, którą trzymała w ręku.

– Proszę mi pokazać, jak to się robi.

Powoli obracała kamień, póki światło nie wydobyło linii, gdzie ruda stykała się z diamentem. Trzymając bryłkę pod odpowiednim kątem, umieściła ją w niewielkim przymocowanym do stołu imadle. Z wielką precyzją przyłożyła ostrze dłuta i uderzyła ciężkim młotkiem w trzonek.

Odłamki się rozprysły, odsłaniając fragment ciemnego, dziwnie wyglądającego kamienia.

Usłyszała, jak Caleb z sykiem wypuszcza powietrze.

– To jest surowy diament? – spytał.

Przytaknęła.

Spojrzał na pozostałe kobiety – wszystkie robiły to samo. Przyglądając się, jak Katherine luzuje szczęki imadła i wyjmuje kamień, wskazał ręką na imadło, dłuto i młotek.

– To wszystkie narzędzia, których pani używa?

– Tak.

Podniosła wzrok. Caleb twarz miał pokrytą cienką warstwą pyłu, pot stróżkami ściekał mu z włosów. Mimo to dla niej wciąż wyglądał jak młody bóg. Potargany bóg. Z pełnymi życia niebieskimi oczami. To tej jego energii nie potrafiła się oprzeć.

Widząc, że lekko marszczy brwi, dodała:

– Niczego więcej nam nie trzeba.

– To nieco utrudnia sprawę. – Skrzywił się i wyciągnął rękę. – Proszę mi pokazać dłuto.

U jego boku pojawił się Lascelle – razem przyglądali się delikatnej końcówce.

– Całkiem znośna jakość – powiedział Francuz – ale da się stępić albo uszkodzić. – Popatrzył na leżące na stole bryłki. – Te odłamki wyglądają na dość miękkie i kruche. Zobaczę, czy nie uda mi się znaleźć w kopalni czegoś twardszego. Kawałek granitu powinien stępić dłuto, może nawet wyszczerbić.

– Kilku mężczyzn pracowało w kuźni – odezwała się Gemma. – Może oni wiedzieliby, co zrobić, żeby to wyglądało... eee... naturalnie.

– A nie jak sabotaż. Słuszna uwaga. – Caleb oddał dłuto Katherine i podniósł młotek. Uśmiechnął się zadowolony. – Z tym pójdzie łatwiej. Bez kłopotu powinniśmy poluzować główkę. – Spojrzał na siedzącą po drugiej stronie Harriet. – Mogę pożyczyć pani młotek?

Zaciekawiona Harriet natychmiast podała mu swoje narzędzie. Wszystkie kobiety patrzyły, jak Caleb kuca. Razem z Lascelle'em szeptali coś przez chwilę, po czym Phillipe przytrzymał młotek Harriet główką do góry, a Caleb zamachnął się młotkiem Katherine i mocno uderzył.

Kiedy wstali, Francuz uniósł młotek Harriet wysoko, żeby wszystkie panie mogły zobaczyć, i poruszył główką – była leciutko poluzowana.

– Kilka uderzeń i nie da się go używać.

Frobisher przytaknął.

– Możemy skorzystać z tego sposobu, ale musimy mieć pewność, że to będzie wyglądało tak, jakby narzędzia się po prostu zużyły. Gdzie panie odkładają oczyszczone kamienie?

– Tam. – Katherine wskazała drewnianą skrzynię obitą od środka blachą. Stała otwarta na ławce pod tylną ścianą baraku.

– Nie zamykają jej? – Caleb podszedł, żeby się przyjrzeć.

– Po co? – spytała Harriet. – Co miałybyśmy zrobić z diamentami?

– Może część ukryć? – wtrąciła się Katherine, zerkając na drzwi. – Zastanawiałam się nad jakimś miejscem, które mogłoby posłużyć jako skrytka. W ten sposób my też miałybyśmy swój udział w regulowaniu wielkości produkcji.

Jak na komendę wszystkie kobiety zaczęły się rozglądać – po podłodze, ścianach i suficie.

Caleb razem z Phillipe'em sprawdzili dokładnie ławkę, ale okazało się, że Katherine już jej się przyglądała i niczego nie znalazła.

Frobisher obrócił się gwałtownie i spojrzał na stół. Podszedł do Katherine, chwycił ją w pasie – przez cienką bawełnę sukni czuła jego mocne dłonie – uniósł ze stołka, jakby nic nie ważyła, i delikatnie postawił na ziemi.

– Pani pozwoli?

Zamrugała gwałtownie. Pod wpływem jego gorącego dotyku myśli zaczęły wirować jej w głowie jak szalone.

Nie czekając na odpowiedź – za co była mu nieskończenie wdzięczna, zważywszy na to, że trudno jej było oddychać – Caleb odsunął jej stołek, wpełzł pod stół i zaczął oglądać blat od spodu.

Phillipe przykucnął obok i też zajrzał pod stół.

– Ma za prostą konstrukcję. Nic się tu nie da schować, tak samo jak w ławce.

Caleb przytaknął i zaczął się wyczołgiwać, gdy wtem zatrzymał się i złapał za stołek Katherine. Przechylił go, zajrzał pod spód i na jego twarzy wykwitł szeroki uśmiech.

– Tutaj! – wykrzyknął.

Phillipe wstał i odwrócił stołek do góry nogami. Pokazał palcem spód siedziska.

– Można by tu przybić kawałek płótna.

Caleb spojrzał na leżące na stole narzędzia.

– Panie mają dłuta i młotki, to żaden problem, żeby poluzować gwoździk, schować kamienie, a potem przybić go z powrotem.

– Jeśli przy wszystkich stołkach zamocujemy płótno, to nawet jeśli ktoś je zauważy, nie wzbudzi to od razu jego podejrzeń.

Caleb pokiwał głową i spojrzał na Katherine.

– Proszę zostawić to nam – powiedziała. – Zdobędziemy materiał i przygotujemy skrytki.

Gwałtowny tupot stóp na schodkach oznajmił przybycie dwóch brudnych urwisów. Przepychając się przez drzwi, wpadli do baraku i zawołali z szerokim uśmiechem:

– Gotowi na inspekcję, panno Katherine!

Katherine też się do nich uśmiechnęła. Zawsze starała się obdarzać dzieci pełnym otuchy uśmiechem – czasami nie było to łatwe, ale dziś… Dzięki Calebowi i jego pomysłom atmosfera w obozie zupełnie się zmieniła. Dlatego jej pogodny wyraz twarzy, gdy odkładała narzędzia, był całkowicie szczery.

– W takim razie chodźmy rzucić okiem.

Annie odsunęła stołek i wstała; zwykle pomagała Katherine przeglądać stertę odrzutów.

– Należy mi się przerwa. – Harriet odłożyła narzędzia i przeciągnęła się. – Pójdę z wami.

– Ja też – powiedziała Gemma, uśmiechając się do dzieci. – Mówią, że im więcej rąk, tym lżejsza praca.

Widząc, że Annie, Harriet i Gemma kierują się do wyjścia, dzieci odwróciły się i pierwsze wybiegły z baraku.

Caleb podszedł szybko, żeby przytrzymać paniom drzwi. A kiedy na progu znalazła się Katherine, zapytał:

– Możemy iść z wami? Próbujemy poznać cały proces produkcji.

– Oczywiście. Mężczyźni niekiedy zaglądają do dzieci, żeby je rozweselić. Dorosłym zdarza się zapominać, że

najmłodsi są bardzo wrażliwi. Zwykle się do tego nie przyznają, ale często czują się niepewnie. Staramy się podnosić ich na duchu.

Caleb pokiwał głową.

– Umiem obchodzić się z dziećmi.

Katherine powątpiewała w jego słowa – doświadczenie nauczyło ją, że większość mężczyzn nie ma pojęcia, jak postępować z najmłodszymi – ale okazało się, że Caleb zachowywał się tak, jakby sam dopiero niedawno wyrósł z krótkich spodenek. A może po prostu zostały mu w pamięci wspomnienia szczęśliwego, beztroskiego dzieciństwa.

Przy tylu rękach do pracy i doświadczonych oczach przejrzenie sterty odrzutów nie trwało długo. Na prośbę Caleba kilka dziewcząt zademonstrowało, jak rozpoznać bryłki zawierające diament.

Zaintrygowani Caleb i Phillipe sami spróbowali swych sił w sortowaniu, wywołując wśród dzieci salwy śmiechu – Katherine nigdy wcześniej nie widziała najmłodszych jeńców tak rozluźnionych.

Gdy rozbawieni przyjaciele oddali dziewczynkom narzędzia i wstali, jeden z chłopców, którzy właśnie przynieśli urobek z kopalni, ośmielony wbił wzrok w Caleba i spytał:

– A co z drugim korytarzem? Wystarczy kamieni, żebyśmy doczekali – rozejrzał się, ale wartowników nigdzie nie było widać – aż po nas przyjdą?

Frobisher ukucnął, by jego twarz znalazła się na wysokości twarzy chłopca, i spojrzał mu w oczy.

– Tego nie będziemy wiedzieć na pewno, dopóki kapitan Dixon nie zbada dokładnie drugiego złoża. Jesteśmy tutaj – wskazał głową na Lascelle'a – tylko dlatego, że zrobiliśmy już wszystko, co na dzisiaj zaplanowano: umocowaliśmy wszystkie belki i teraz stolarze przygotowują kolejną partię. A to oznacza, że prace postępują szybciej, niż się spodziewaliśmy.

Zwinnie wstał i położył uspokajająco rękę na ramieniu chłopca.

– Jak na razie wszystko idzie dobrze, a ty i cała reszta możecie być pewni, że nawet jeśli pojawi się jakiś drobny problem, razem doprowadzimy sprawy do szczęśliwego końca.

Chłopiec przez chwilę uważnie wpatrywał się w Caleba, po czym pokiwał głową.

– Słyszałem – pisnął inny chłopiec – że pan jest kapitanem i on też. – Wskazał głową Lascelle'a. – A poza tym jest jeszcze kapitan Dixon. To który z was jest najważniejszy?

Caleb z uśmiechem pokiwał głową, jakby pytanie było szczególnie trafne.

– W wojsku jest wprawdzie tylko jeden wódz naczelny, ale poza tym mamy też generałów, pułkowników czy majorów. Wojnę wygrywa ta armia, w której wszyscy dowódcy ze sobą współpracują. W naszym wypadku mamy czterech kapitanów, bo pan Hillsythe to też ktoś w rodzaju kapitana, i kilku poruczników. – Spojrzał na Katherine i jej

towarzyszki. – Poza tym oczywiście są panie. Dysponujemy więc siłami połączonymi i sporą grupą dowódców – wystarczającą, żeby wszystko szło gładko. W dodatku, jak w każdej zwycięskiej armii, na naszą korzyść przemawia fakt, że wszyscy współdziałamy – każdy robi swoje, ale na rzecz wspólnego celu.

Katherine spojrzała na dzieci. Sprawiały wrażenie uspokojonych i przekonanych. Jakby poczuły się bezpieczniej, a w każdym razie jakby uwierzyły, że uda im się przetrwać.

Nadszedł Jed Mathers w towarzystwie dwóch mężczyzn. Odłączywszy się od kompanów, z rozpromienioną twarzą podszedł do swojej wybranki.

Annie powitała go ciepłym uśmiechem. Pomachała ręką uradowanym przyjaciółkom i oddaliła się z Jedem.

– A teraz – Gemma zakrzątnęła się szybko i dwa puste kosze, w których dzieci przyniosły urobek z kopalni, postawiła obok małej kupki odłamków wyszukanych przez kobiety – musimy to zanieść do oczyszczalni.

Kilka dziewcząt pospieszyło z pomocą i raz-dwa napełniły oba kosze.

– Panie pozwolą. – Lascelle złapał jeden, a Frobisher drugi.

Katherine i Gemmie nie pozostało nic innego, jak przypomnieć dzieciom, by oczyściły narzędzia, i ogłosić koniec pracy.

Widząc pytanie w oczach Caleba, Katherine powiedziała:

– Nie mogą pracować dłużej, bo zaczynają popełniać błędy. Dubois wie, że ich praca ma sens tylko w ciągu dnia, dopóki dobrze sobie radzą. Jeśli będzie za bardzo naciskał, skończy się to tym, że my, kobiety, będziemy musiały jeszcze raz sortować urobek, zamiast zajmować się oczyszczaniem kamieni.

Pokiwał głową i razem z Lascelle'em i resztą pań ruszyli z powrotem do oczyszczalni. Gdy dotarli na miejsce, Harriet poleciła im, by postawili kosze na końcu stołu. Sama usiadła na stołku i rzekła do Katherine, wskazując ręką drzwi:

– Z wyjątkiem tej krótkiej przerwy siedziałaś tu dziś cały dzień. Idź się przejść, teraz twoja kolej. Same poradzimy sobie z tymi odrzutami.

Pozostałe kobiety też zaczęły ją do tego zachęcać. Katherine nie szczędziła starań, żeby uzyskać zgodę Dubois na ich spacery, więc starały się systematycznie z tego korzystać.

– W porządku, pójdę się przejść po obozie.

– Miłe panie. – Lascelle pożegnał się i odwrócił do drzwi.

Caleb uśmiechnął się, ukłonił i ruszył w ślad za Katherine. Widząc, że Phillipe odchodzi w stronę baraku mężczyzn, cały się rozpromienił. Zszedł po schodkach i stanął obok Katherine.

– Nie będzie pani miała nic przeciwko, jeśli dołączę?

Lekko się zarumieniła.

– Ależ skąd. – A po chwili wahania dodała: – Będzie mi bardzo miło.

– Chętnie podałbym pani ramię, ale jestem straszliwie brudny.

Rozejrzał się i ze zdumieniem zobaczył, że po terenie obozu spaceruje już kilka innych grupek. Mężczyźni po dwóch lub trzech, a także Jed i Annie, przechadzali się, gawędząc, jakby byli w parku.

– Widzę, że trafiliśmy na porę spacerów.

Katherine roześmiała się cicho.

– W którą stronę idziemy? Czy podążymy za tłumem – wszyscy poruszali się zgodnie z ruchem wskazówek zegara – czy zdobędziemy się na odwagę i wybierzemy własną ścieżkę?

Tym razem roześmiała się już głośniej.

– Czemu nie? Możemy wytyczyć nowe szlaki.

Ruszyła w kierunku wejścia do kopalni.

– Nasze przechadzki mają jeszcze inny powód – wyjaśniła. – Sprawdzamy ogrodzenie. W ten sposób udało nam się zauważyć kilka miejsc, gdzie wiązania z lian zaczynają się przecierać.

Caleb pokiwał głową.

– Rozumiem. – W pobliżu wejścia do kopalni skręcili na ścieżkę prowadzącą między paleniskiem a barakiem mężczyzn. – Ale muszę przyznać, że wciąż nie mogę się nadziwić pobłażliwości – żadne lepsze słowo nie przychodzi mi na myśl – Dubois. – Spojrzał jej w oczy. – Czy on rzeczywiście wierzy, że dorośli potrzebują przerw, żeby zachować siły do pracy?

– Nasze zdrowie to tylko wymówka. Na wypadek gdyby ktoś zapytał.

– A prawdziwy powód?

– Robi wszystko, żebyśmy wzmacniali łączące nas więzi przyjaźni czy miłości, jak w przypadku Annie i Jeda. Wie pan, że kilka dni temu ogłosili zaręczyny? Dla Dubois to kolejna słabość, którą może wykorzystać.

– Ach tak. – Twarz Caleba stężała. – Tego już prędzej mógłbym się po nim spodziewać. Ukryte motywy, czysta podłość. A zatem wszelkie uczucia między więźniami Dubois traktuje jak amunicję, środek do sprawowania kontroli.

Schyliła głowę na znak potwierdzenia.

Powolnym krokiem minęli bramę i strażników, po czym skręcili w stronę baraku kobiet i dzieci. Gdy znaleźli się poza zasięgiem słuchu wartowników, Caleb zdobył się na odwagę i ze wzrokiem wbitym w ziemię zapytał:

– Czy wolałaby pani, żebym się trzymał z daleka?

Poczuł na sobie jej zdumiony wzrok, więc odwrócił głowę i spojrzał na jej twarz.

– Nie będę ukrywał swojego zainteresowania. Mam nadzieję, że z czasem je pani odwzajemni. Ale może w ten sposób narażam panią na niebezpieczeństwo? – Zatopił spojrzenie w jej orzechowych oczach. – Na przykład takie jak wczoraj?

Przez chwilę przypatrywała mu się badawczym wzrokiem, po czym w milczeniu ruszyła w stronę kuchni i wielkiego magazynu na jej tyłach.

Katherine nigdy jeszcze nie przeżywała tak gwałtownych emocji. Nie mogła wątpić w szczerość, którą dostrzegła, którą pozwolił jej wyczytać ze swojej twarzy. Jego zainteresowanie było prawdziwe. Gdy zdała sobie z tego sprawę, serce zaczęło bić jej szybciej. Trudno jej było oddychać – jakby ktoś za mocno ściągnął jej gorset.

Z wysiłkiem powstrzymała odruch, żeby bezwstydnie zapewnić Caleba, że odwzajemnia jego zainteresowanie.

Wreszcie, kiedy w bezpiecznej odległości mijali wieżę strażniczą, powiedziała:

– Nie sposób przewidzieć przyszłości.

Zerknęła z ukosa i zobaczyła, że idzie obok z pochyloną głową i rękami założonymi za plecy. Wyczuła, że słucha jej z uwagą.

– Zwłaszcza my tu nie wiemy, ile czasu nam zostało. Dlatego choć zdaję sobie sprawę z pobudek Dubois i rozumiem, że wszelkie uczucia i związki uważa za słabość, z doświadczenia wiem, że to właśnie one są tym, co pozwala przetrwać. – Uniosła wysoko brodę. – Moim zdaniem więzi nie sprawiają, że stajemy się słabsi. Owszem, mogą sprawić, że będziemy bardziej podatni na zranienie. Ale z drugiej strony, z perspektywy wspólnego celu, dają nam dużo więcej. – Nagle znalazła właściwe słowa. – Dają nam powód, żeby żyć. Dają nam przyszłość, o którą warto walczyć.

– To prawda. – Kątem oka dostrzegła, że Caleb kiwa ciemną głową. – Zgadzam się z panią – powiedział z przekonaniem. – Więzi tworzą w ludziach coś na kształt

zbroi. Zapewniają siłę, hart ducha i odwagę. Nieograniczoną, nieskrępowaną odwagę. Jak słusznie to pani ujęła, dają przyszłość, o którą warto walczyć.

Podniósł wzrok i napotkał jej zdumione spojrzenie.

Znów nie mogła złapać tchu. Jak to możliwe, że to się dzieje naprawdę? I w dodatku tak szybko? Nie była na tyle głupia, by udawać, że nie wie, czym owo „to" jest. Zamiast długich, pełnych kurtuazji zalotów, wymiany spojrzeń w salonie podczas spotkań towarzyskich, zamiast trwających w nieskończoność podchodów byli tu i rozmawiali o uczuciach. O związkach.

Nic dziwnego, że kręciło jej się w głowie.

– Wierzę – powiedziała, odkrywając ze zdumieniem, że te słowa tak łatwo jej przychodzą – że gdy los raczy nam łaskawie zaoferować coś, czego byśmy pragnęli, lepiej to przyjąć, niż czekać w nadziei, że okazja się powtórzy. Nigdy nie można być pewnym, że los uśmiechnie się po raz drugi. Dlatego uważam, że powinniśmy korzystać z okazji bez względu na konsekwencje. Co pan na to?

Uśmiech, który wypłynął mu na twarz, rozświetlił błękitne oczy.

– Każdy, kto mnie zna, zaświadczy, że jestem ostatnią osobą, która oglądałaby się na konsekwencje.

Katherine wiedziała, że to prawda, ale mimo to uniosła brwi.

– Nawet w takiej sytuacji? Wielu mężczyzn nie zgodziłoby się na coś podobnego.

– Zwłaszcza w takiej sytuacji. – Zacisnął zęby. – A poza tym ja nie jestem taki jak inni.

To z pewnością była prawda. Serdeczność Caleba Frobishera, jego gotowość, by wszystko, co niesie życie, przyjmować z szerokim uśmiechem, wreszcie pewność, że się uda, choćby nie wiadomo co, były zupełnie wyjątkowe.

Dlatego pomimo niesprzyjających okoliczności i mroku skrywającego ich przyszłość Kate – Katherine – zdecydowała się przyjąć wyzwanie. Nie zważając na pył pokrywający ubranie Caleba, wsunęła rękę pod jego ramię i poczuła, jak stalowe mięśnie napinają się pod jej dotykiem.

– A więc – odsunęła kosmyk włosów, który opadł jej na twarz – proszę mi powiedzieć, kim jest Caleb Frobisher.

Przez chwilę przyglądał się jej uważnie, po czym przykrył ręką jej dłoń.

– Nie wiem, czy wspominałem, że jestem najmłodszy z czterech braci?

– Dużo młodszy? Czym się pańscy bracia zajmują?

I gdy ruszyli przed siebie, po raz drugi okrążając teren obozu, zaczął odpowiadać na jej pytania.

Dwanaście

Przez następne trzy dni w obozie nie zdarzyło się nic nowego. Mężczyźni pracowali w kopalni. Ci, którzy wydobywali diamenty, utrzymywali dotychczasowe tempo, tłumacząc się ograniczoną liczbą kilofów i szpadli. Caleb, Phillipe i ich drużyna razem ze stolarzami poszerzali i szalowali drugi korytarz, mimo że ich pracę również spowalniał niedobór narzędzi.

Co więcej, już następnego dnia wieczorem ci, którzy pracowali przy drugim tunelu, nie mogli posuwać się dalej, bo zabrakło belek do budowy konstrukcji nośnej. Zajęli się więc umacnianiem pierwszych metrów chodnika.

Dixon, z pomocą Hillsythe'a, Fanshawe'a i Hopkinsa, sporządził krótką listę działań, które najlepiej mogłyby przysłużyć się ich sprawie. Zgodnie z sugestią Caleba dni, które pozostały do powrotu Arsene'a, wykorzystali, by poczynić wszelkie niezbędne przygotowania.

Wysoką pozycję na liście zajmował pomysł uszczuplenia zapasów oleju. Potrzebowali jednak miejsca – poza zasięgiem wzroku strażników – na zmagazynowanie oleju. Najlepszym rozwiązaniem wydawał się ciemny koniec pierwszego korytarza, gdzie nie wydobywano już diamentów. Ci, którzy pracowali szpadlami i ładowali urobek do koszyków, wślizgiwali się tam co jakiś czas i kopali schowek. A gdy uznali, że jama jest dość duża,

zamaskowali ją luźnym głazem. Gdy rankiem trzeciego dnia przywódcy obozowej społeczności przeprowadzili inspekcję i pogratulowali górnikom dzieła, wszyscy poczuli, że są gotowi na nadchodzące wyzwania. Sam fakt, że podjęli konkretne działania, wystarczył, by pozytywnie wpłynąć na morale jeńców.

Caleb, Phillipe, Jed i dwóch mężczyzn, którzy w czasach młodości praktykowali w kuźni, w wolnych chwilach zaglądali do oczyszczalni i starali się na rozmaite sposoby psuć narzędzia, którymi pracowały kobiety. Musieli tylko uważać, żeby uszkodzenia nie pojawiały się zbyt szybko i nie na wszystkich dłutach i młotkach jednocześnie.

Caleb, Phillipe, Hillsythe, Fanshawe, Hopkins i Dixon doszli do wniosku, że koniec końców niezbędne może się okazać wywołanie czegoś na kształt katastrofy, by spowolnić produkcję. Może trzeba będzie naruszyć konstrukcję drugiego tunelu i spowodować zawał, był to jednak pomysł bardzo niebezpieczny, dlatego postanowili go wykorzystać tylko w ostateczności.

– Problem w tym – mówił Caleb, przechadzając się u boku Katherine późnym popołudniem – że Dixon mógł się zorientować, że diamenty w drugim złożu są upakowane gęściej, a w dodatku są większe i tym samym cenniejsze.

Katherine, która trzymała go pod ramię, zmarszczyła brwi.

– To chyba dobrze, prawda? To znaczy dla nas.

– Do pewnego stopnia. Ktokolwiek stoi za tym przedsięwzięciem, zależy mu, czy też im, na pieniądzach.

Tajemniczy mocodawcy Dubois to ludzie chciwi, a wygląda na to, że drugi tunel zapewni im prawdziwe bogactwo. Dlatego otwarcie go i pokazanie, że kryje w sobie nieprzebrane skarby, z pewnością najskuteczniej przekona ich, że nie warto zamykać kopalni. Jeśli się nie mylimy i uda nam się zwiększyć produkcję, będą się domagać, żebyśmy pozostali przy życiu.

– Żeby nadal wydobywać diamenty.

– Otóż to. Dubois może i jest bezlitosnym mordercą, ale zarazem człowiekiem niezwykle pragmatycznym. Dopóki będziemy mu potrzebni, zrobi wszystko, żeby utrzymać nas w jak najlepszej formie. – Zamilkł na chwilę. – Prawdę mówiąc, fakt, że nie szuka szybkiego zysku, tylko woli zaczekać na większy zarobek, sprawia, że wydaje się tym niebezpieczniejszy. To pewnie dzięki umiejętności chłodnej kalkulacji już tyle czasu prowadzi swój odrażający proceder, a jego ludzie słuchają go bez mrugnięcia okiem.

– Co za ironia losu, prawda? Gdyby nie Dubois, nie byłoby nas tutaj. Ale teraz, gdy już tu jesteśmy, to on zapewnia nam bezpieczeństwo.

Caleb parsknął.

Przez chwilę szli w milczeniu. Wreszcie Katherine spytała:

– Mówiłeś, że bogactwo diamentów w drugim korytarzu może stanowić problem. Jakim cudem?

Caleb skrzywił się lekko.

– Dixon niepokoi się o wielkość złoża. Na razie nie wie, jak daleko sięga i ile kamieni może zawierać, tymczasem to

właśnie ma zasadnicze znaczenie dla tego, jak długo będziemy mogli je eksploatować. Według Dixona szanse na to, że odkryje nowe pokłady, są właściwie równe zeru. W dodatku kiedy Arsene wróci z zapasem narzędzi i drewnem, praca w kopalni przyspieszy i pierwsze złoże wkrótce całkowicie się wyczerpie. Choć oczywiście mamy nadzieję, że do tego czasu uda nam się w pełni uruchomić drugi korytarz.

– Wtedy też będziemy już wiedzieć, czy uda nam się przetrwać do września, czy konieczne będą opóźnienia. Może się zdarzyć, że pokłady okażą się tak mizerne, że nie uda nam się utrzymać długo produkcji, albo diamentów będzie dość, ale ze względu na dużą koncentrację zbyt szybko je wydobędziemy. Oba te scenariusze będą wymagały od nas dodatkowych działań – spowolnienia eksploatacji pod jakimś wiarygodnym pozorem albo ukrycia części urobku.

– Ale może się też zdarzyć, że złoże okaże się tak bogate i rozległe, że wystarczy do czasu, aż nadejdzie ratunek.

– To prawda. Tylko że to najlepszy możliwy scenariusz.

Katherine zerknęła na niego.

– A ty niezbyt chętnie wierzysz w najlepsze możliwe scenariusze?

Skrzywił się.

– Powiedzmy, że wolę mieć plan na każdą okoliczność.

Uśmiechnęła się, ale na myśl o pozostałych scenariuszach cała jej beztroska gdzieś uleciała.

– Dopóki mocodawcy Dubois będą zadowoleni z działalności kopalni, on sam nie będzie miał powodu do narzekań. Co oznacza, że jeśli strumień diamentów będzie nadal płynął wartko, chwilowe przestoje nie powinny go zbytnio zaniepokoić.

Caleb pokiwał głową, a po kilku krokach dodał:

– Jestem pewien, że Dubois zdaje sobie sprawę – albo w każdym razie podejrzewa – że coś knujemy. Ale dopóki nie próbujemy uciec, tylko wciąż pracujemy i dostarczamy dość diamentów, by zadowolić jego mocodawców, nasze spiski nic go nie obchodzą. Jego ludzie sprawują całkowitą kontrolę nad obozem, nie musi się więc martwić tym, co nam chodzi po głowie. Z jego perspektywy nie stanowimy i nigdy nie będziemy stanowić żadnego zagrożenia. Ma rację. Naszą jedyną szansą jest atak z zewnątrz, choć i w tym przypadku Dubois jest przekonany, że zakładnicy zapewnią mu przewagę.

– Mimo to – szepnęła Katherine – nawet gdyby się zdarzyło, że będziemy musieli sabotować produkcję, nie może powziąć nawet cienia podejrzeń.

– Że nim manipulujemy? – Caleb uśmiechnął się szeroko. – Nie. Nie wolno nam zostawić żadnych śladów. Może coś podejrzewać, ale dopóki nie będzie miał niezbitych dowodów, nic nie zrobi. Przecież potrzebuje nas w kopalni. Dopóki z niczym się nie zdradzimy i nie zmusimy go do konfrontacji, zostawi nas w spokoju.

– Ale jeśli coś znajdzie… – Zadrżała.

Caleb otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Spojrzał jej w oczy.

– Nie ma powodu do zmartwień. Wszyscy znamy cenę i wie my, że musimy zachować jak największą ostrożność.

Katherine oparła ręce na jego piersi – ten niewinny gest sprawił, że przebiegł go dreszcz – i przez chwilę przyglądała mu się badawczo. Wreszcie widząc, że ogarnia ich nie najlepszy nastrój, zdecydowała się zmienić temat.

– Opowiedz mi o swoim domu. Cała twoja rodzina mieszka w Aberdeen?

Uśmiechnął się szeroko.

– Nie. Prowadzimy interesy gdzie indziej, a nasz dom, rodowa siedziba, znajduje się w Banchory-Devenick. To jakieś trzy kilometry na zachód... – Umilkł, widząc jej rozszerzone oczy i uniesione brwi. – Co takiego?

– Znam to miejsce. To znaczy nie dom, tylko wioskę. Urodziłam się niedaleko.

– Naprawdę? Gdzie?

– W Fortescue Halle. To na obrzeżach Stonehaven, jakieś dwadzieścia pięć kilometrów na południe od Aberdeen.

Oczy mu rozbłysły.

– Jesteś moją krajanką!

– Urodziłam się w Fortescue Hall, ale ponieważ ojciec miał starszego brata, zamieszkaliśmy w mieście, w Arbuthnott Place. Po jego śmierci razem z matką przeprowadziłyśmy się do domku przy Mary Street.

Caleb Frobisher w jednej chwili zrozumiał.

– Twój ojciec zostawił długi?

Pokiwała głową.

– Matka zerwała stosunki ze swoją rodziną, kiedy postanowiła go poślubić, a choć moja babka, matka ojca, była gotowa nam pomóc, matka nie chciała żyć na cudzym garnuszku. Była utalentowaną hafciarką, zaczęła więc zarabiać na życie szyciem. Wyspecjalizowała się w eleganckim hafcie, dostawała zlecenia głównie od miejscowej socjety. – Co oznaczało, że ona, córka szwaczki, została na zawsze wykluczona z kręgów, do których z racji urodzenia należała.

Odetchnęła głęboko i uniosła wysoko głowę.

– Gdy mama zmarła, mogłam zamieszkać u kogoś z rodziny jako uboga krewna. Ale jestem do niej zbyt podobna. – Uśmiechnęła się gorzko do swoich wspomnień i spojrzała mu w oczy. – Zobaczyłam ogłoszenie w „Timesie”, rodzina z Freetown szukała guwernantki. Pojechałam więc do Londynu, zgłosiłam się i w ten sposób trafiłam do kolonii. Dubois doszedł do wniosku, że będzie potrzebował kogoś do pilnowania dzieci, zlecił więc Kale’owi, żeby uprowadził guwernantkę.

– Wolałbym, żeby Kale wybrał kogoś innego – Caleb wpatrywał się w nią swymi niebieskimi oczami – ale gdyby tak się stało, nigdy bym cię nie spotkał.

A ja ciebie, pomyślała.

– Prawdę mówiąc, wcale nie żałuję, że tu trafiłam. Kilka razy zdarzyło mi się nawet cieszyć, że tu jestem – dla dzieci.

– Na przykład dla Diccona.

Pokiwała głową.

– Wprawdzie nie mam rodzeństwa, ale dorastałam wśród całej gromady kuzynów. Dlatego zdecydowałam się zostać guwernantką. Lubię dzieci i potrafię się nimi zajmować.

Opuściła wzrok i spojrzała na ręce, które wciąż trzymała na piersi Caleba. Przez płótno koszuli czuła pod palcami ciepło jego ciała. Drażniło jej zmysły. Gdyby byli w jakimś innym, bardziej normalnym miejscu, czułaby się w obowiązku przerwać ten kontakt, wyswobodzić z jego uścisku, uwolnić od rąk, które delikatnie, choć pewnie spoczywały na jej talii.

Ale byli tu i teraz, dlatego podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy.

– Opowiedz mi o swoich braciach.

Caleb uśmiechnął się i zaczął ją zabawiać dawno zapomnianymi opowieściami o wyczynach czterech Frobisherów.

– Oczywiście Royd zawsze nami dowodził. W dodatku często było nas więcej.

Gadał jak najęty, starając się wywołać na jej twarzy uśmiech, nerwy miał jednak napięte jak nigdy dotąd – czuł, że jakaś niewidzialna sieć oplata ich i nie chce puścić.

Jakby zostali uwięzieni w tej jednej chwili – z dala od domu, od krzepiącej obecności rodziny. I było między nimi jakieś intuicyjne porozumienie, poczucie, że są dla siebie stworzeni…

Tu i teraz. Razem w tym miejscu.

Gdy wreszcie ostatnia opowieść dobiegła końca, Caleb poczuł, że oto nadszedł moment, który wymagał działania.

Pochylił głowę…

Katherine oparła się mocniej na jego piersi, wyprostowała…

Ich usta wreszcie się spotkały. Pocałunek wydawał się delikatny, niewinny, niemal nieśmiały, ale gdy Caleb wpił się w wargi Katherine, a ona mu odpowiedziała, poczuł, że świat zawirował.

W ostatniej chwili przypomniał sobie, że to za szybko, nie powinien posuwać się tak daleko – nie wolno mu zdobywać tej kobiety, brać jej w posiadanie.

Nawet jeśli jej niewprawna zachęta, pełna czułości, budzi w nim barbarzyńcę.

Musi przyjąć z pokorą fakt, że Katherine i los jakby zmówili się, by obdarzyć go czymś nieopisanie cennym.

Tu, w sercu zachodnioafrykańskiej dżungli. W niewoli u okrutnych ludzi. W obliczu niepewnej przyszłości…

Los jednak nie byłby sobą, gdyby jego uśmiech zawsze miał słodki smak.

Katherine czuła, że kręci jej się w głowie. Nie była pewna, czy w ogóle jeszcze oddycha, nic jej to jednak nie obchodziło teraz, kiedy jej oszalałe zmysły próbowały zapamiętać każdy najdrobniejszy szczegół ich pierwszego pocałunku.

Jakby ten pocałunek był właśnie tym, czego potrzebowała. Jakby dla niej – i dla niego – był niezbędnym krokiem naprzód.

To śmieszne, odezwała się dawno pogrzebana zachowawcza i ostrożna część jej natury. Jak mogła być

tego pewna, skoro spotkała go zaledwie kilka dni temu?

A mimo to była.

Doświadczenie nauczyło ją ufać własnym sądom. Polegać na samej sobie i swojej intuicji.

Dlatego poddała się uściskom Caleba, przesuwając dłońmi po jego twardej piersi, umięśnionych ramionach. Delikatnymi jak piórko palcami musnęła kark, a na koniec zanurzyła je w czarnych jedwabistych lokach.

Ich dotyk był jak pieszczota – sprawił, że Katherine zadrżała.

Pojawiło się w niej coś nowego – płomień pożądania.

Caleb zauważył to i zaskoczona poczuła, że przeszedł go dreszcz.

Jego pocałunek stał się bardziej naglący.

Nie wahając się ani chwili, odpowiedziała ochoczo.

Jednak niemal natychmiast poczuła, że Caleb zamarł, i bardzo wyraźnie odzyskując panowanie nad sytuacją, pozwolił, by płomień między nimi przygasł.

Ich usta się rozłączyły.

Spojrzeli na siebie spod wpółprzymkniętych powiek.

Gdy jej serce zwolniło, Caleb szepnął:

– Wystarczy.

Nie spuściła wzroku.

– Na razie.

* * *

Pochód, który następnego dnia zjawił się w obozie, robił wrażenie.

Najpierw przemaszerował przez bramę długi sznur miejscowych tragarzy niosących naręcza z grubsza ciosanych belek. Za nimi podążali następni, dźwigając na ramionach palety pełne materiałów potrzebnych w kopalni, a na końcu Arsene i jego ludzie z ciężkimi pakami, bez wątpienia pełnymi gwoździ i rolek metalowej taśmy służącej do montowania wzmocnień.

Caleb razem z resztą mężczyzn stali w zalanym popołudniowym światłem wejściu do kopalni i patrzyli, jak tragarze zrzucają ładunek na ziemię.

– Mnóstwo tego – powiedział Dixon.

– Dubois najwyraźniej postanowił zadbać, żeby niczego nam nie zabrakło – mruknął Fanshawe.

I właśnie wtedy komendant wyłonił się z koszar. Zatrzymał się na galerii, by objąć wzrokiem całą scenę, po czym zszedł na dół, żeby rozmówić się z Arsene’em i zapłacić tragarzom.

Potem cała grupa – co najmniej dwudziestu silnych mężczyzn – ze wzrokiem wbitym przed siebie ruszyła w stronę bramy. Dopiero gdy ją minęli, kilku tragarzy odważyło się ukradkiem obrzucić więźniów smutnym spojrzeniem. Zaraz jednak odwrócili się i zniknęli w dżungli.

– Dixon! – zawołał Arsene. – Weź ludzi i zanieście to do magazynu!

Podążając za Dixonem, Caleb szepnął do idącego obok Hillsythe’a:

– Dubois wyraźnie chce, żebyśmy zobaczyli, że sprowadził dość materiałów, by pracować bez przeszkód.

Hillsythe pokiwał głową.

– I w związku z tym koniec z wymówkami, mamy zacząć eksploatować drugie złoże.

Dixon wyznaczył grupę, która pod kierownictwem Fanshawe’a i Hopkinsa miała przenieść drewno na teren między bramą a barakiem mężczyzn, a sam razem z pozostałymi zabrał się za rozpakowywanie reszty materiałów.

Układając paczki długich gwoździ na prymitywnej półce, Caleb rozglądał się po magazynie. Był tu tylko raz, żeby odnieść lampę, i nie miał okazji przyjrzeć się, jakie możliwości w sobie kryje.

Na drugim końcu baraku Jed Mathers razem z kilkoma innymi mężczyznami rozpakowywali kilofy i łopaty. Nagle Jed zaczął uważnie przyglądać się szpadlowi o krótkiej rączce.

– Niech mnie diabli, jeśli to nie nówka sztuka. – Podniósł głowę i spojrzał na Dixona. – Czy nasze stare nie były przypadkiem używane? Ze składu z narzędziami z drugiej ręki?

Wręczył szpadel Dixonowi.

– Proszę, niech pan popatrzy.

Podszedł do sterty narzędzi – kilofów, oskardów, łopat i najrozmaitszych łomów – i zaczął je oglądać.

– Wszystkie wyglądają na nowe. Musiały kosztować majątek.

Mars na czole inżyniera jeszcze się pogłębił. Odwrócił szpadel, spojrzał na trzonek i zaklął.

– Co takiego? – spytał Hillsythe.

– Już wcześniej widziałem wojskowe oznaczenia na większości narzędzi, ale były używane, więc uznałem, że po prostu pochodzą z jakiegoś składu z towarami z drugiej ręki. W końcu w mieście takim jak Freetown fort jest głównym źródłem tego typu zaopatrzenia. Tylko że te też mają oznaczenia wojskowe – Dixon podał szpadel Phillipe'owi, który stał najbliżej – i tak jak powiedział Jed, wszystkie są nowe. Nie rozumiem, dlaczego Fort Thornton miałby zamawiać takie ilości tych narzędzi tylko po to, żeby zaraz się ich pozbywać. Major Winton nigdy by nie popełnił takiego błędu, zwłaszcza w przypadku towarów, które trzeba sprowadzać statkami.

– Zaraz, zaraz, Winton? – Caleb zmarszczył brwi. – Major Winton jest intendentem w forcie, prawda?

Dixon pokiwał głową.

– Moja przyszła bratowa słyszała, że dostawami do kopalni zawiaduje ktoś nazwiskiem Winter, ale miała wtedy na głowie płócienny worek.

– Myśli pan, że się przesłyszała i w rzeczywistości chodzi o Wintona? – spytał wstrząśnięty Hillsythe.

– Na pewno nie majora Wintona – stwierdził stanowczo Dixon. – To oficer starej daty i uczciwszego człowieka ze świecą szukać. Major ma jednak bratanka, niejakiego Williama Wintona. To człowiek bez kręgosłupa, chciwy i łatwo mogę sobie wyobrazić, że również dwulicowy. A co

ważniejsze, pracuje z majorem. – Dixon rozejrzał się po zgromadzonych. – William Winton jest w forcie zastępcą intendenta.

Hillsythe przysiadł na stercie pudeł.

– A zatem mamy Wintona w forcie i Muldoona w biurze marynarki.

– I wciąż niezidentyfikowaną osobę w biurze gubernatora. – Caleb zerknął na Arsene'a i strażników stojących przed wejściem do magazynu. – Musimy wracać do pracy. Omówimy to później.

Później, w drodze do kopalni, temat Williama Wintona oraz dostaw prosto z intendentury powrócił. Dixon wyjaśnił, że aby sprowadzić do kopalni potrzebne materiały, Winton musiał złożyć dodatkowe zamówienie.

– Co oznacza, że umiejętnie mydli oczy swojemu wujowi. A ponieważ to major umieścił go na tym stanowisku, będzie to dla niego prawdziwy cios.

– Ładnie mu się bratanek odpłaca – mruknął Phillipe.

Gdy dotarli do kopalni, zatrzymali się zaraz przy wejściu, żeby się naradzić.

– Ponieważ pierwsze złoże jest na wyczerpaniu, a nasze zapasy szybko się kończą, nie możemy dłużej opóźniać budowy drugiego korytarza – powiedział Dixon. – Zresztą przy tej ilości drewna i tak nie mamy żadnej wiarygodnej wymówki.

Hillsythe z ponurą miną pokiwał głową.

– Tylko że Dubois będzie oczekiwał, że gdy ukończymy nowy korytarz, będziemy mieli dość narzędzi i materiałów,

żeby zwiększyć produkcję.

Dixon milczał przez chwilę, najwyraźniej coś w myślach obliczając, po czym powiedział:

– Możemy zwiększyć wydobycie, ale tylko odrobinę. Dopóki nie oszacuję nowego złoża, głupotą byłoby eksploatować je bez ograniczeń.

Caleb spojrzał Hillsythe’owi w oczy.

– Wygląda na to, że całkiem szybko trzeba się będzie wykazać inwencją.

* * *

Po tym, jak wszyscy więźniowie spotkali się przy kolacji i wymienili najnowszymi wieściami, Caleb i Katherine wybrali się na przechadzkę dookoła obozu, z dala od patrolujących teren strażników. Wieczorne spacery należały do tradycji, którą zapoczątkowali Dixon i Harriet. Również Annie i Jed często korzystali z chłodniejszej pory, by spędzić razem kilka chwil i podzielić się spostrzeżeniami, a nade wszystko podnieść się wzajemnie na duchu.

Kwestia pochodzenia materiałów dostarczonych do kopalni została omówiona przy ognisku tylko pokrótce. Caleb opowiedział więc teraz szczegółowo Katherine, dlaczego uważają, że „Winter” to w istocie „Winton”, młody pracownik intendentury fortu.

Katherine przez chwilę nad tym rozmyślała.

– Biorąc pod uwagę rozmiary dzisiejszej dostawy, jakie szanse powodzenia ma nasza strategia przedłużania pracy kopalni do czasu, aż nadejdzie ratunek?

Caleb się skrzywił.

– Wciąż nie jesteśmy w stanie stwierdzić. – Spojrzał jej w oczy. – Tak jak słyszałaś, nie mamy wyboru. Przez najbliższe trzy dni musimy udawać, że zwiększamy wydajność. – Tyle zdołali ustalić przy ognisku. – Niestety, pierwsze złoże jest na wyczerpaniu, więc nawet niewielki wzrost produkcji, niezbędny wobec zwiększenia liczebności brygady, niemal do cna wyczerpie nasze zapasy. Za trzy dni drugi korytarz będzie gotowy. W tej chwili zakończyliśmy prace przygotowawcze, oszalowaliśmy wejście i pierwszy odcinek. Gdy tylko będzie to bezpieczne, wpuścimy tam ludzi. Ich głównym zadaniem będzie uzupełnienie zapasów. Do tego czasu Dixon powinien wiedzieć, na czym stoimy.

– Jeszcze nie byłam w tym nowym korytarzu. Gdzie się zaczyna?

– Jakieś dziesięć metrów od wylotu pierwszego. Odbija w prawo mniej więcej o dziewięćdziesiąt stopni i biegnie równolegle do grzbietu wzgórza.

– Czy to znaczy, że wejście do drugiego korytarza znajduje się przed pierwszym złożem?

– Tak. Na razie nowy tunel nie jest jeszcze zbyt długi, ma może dwanaście metrów. Gdy go skończymy, będzie miał pewnie ze trzydzieści pięć. Dopiero wtedy Dixon stwierdzi, ile diamentów uda się z niego wydobyć. Podejrzewa, że będziemy musieli zejść w dół, żeby się dostać do pokładów na niższym poziomie, ale skoro nowe złoże ma być większe i bogatsze, może nie będzie to konieczne. – Spojrzał na nią i wyszczerzył zęby w uśmiechu. – W najlepszym razie, nawet jeśli wszyscy mężczyźni będą pracowali dłużej

i zwiększymy wydobycie, ten odcinek wystarczy, żeby kopalnia działała co najmniej do siódmego września.

– Czyli dowiemy się wszystkiego w ciągu trzech dni.

– Tak. – Ściszył głos. – A jeśli ten scenariusz nie wypali, ustalimy, kiedy i jak spowolnić produkcję. Dubois nie zadbał o zapasy oleju, więc wciąż możemy wykorzystać tę opcję.

Katherine pokiwała głową. Caleb szedł obok niej swobodnym, pewnym siebie krokiem i jego fizyczna bliskość w połączeniu z niespożytym optymizmem sprawiała, że czuła się podniesiona na duchu.

Na tyle, że mogła myśleć o przyszłości – o domu. O Stonehaven. O Banchory-Devenick. O Aberdeen.

Poczuła jego wzrok na swojej twarzy.

– Dam grosik za twoje myśli – powiedział. A gdy na niego spojrzała, uśmiechnął się żałośnie. – Choć byłby to pewnie grosik na kredyt, bo w tej chwili mam puste kieszenie.

Znaleźli się na tyłach oczyszczalni, poza zasięgiem wzroku wartowników na wieży. Strażnicy patrolujący teren minęli ich kilka minut wcześniej. Katherine zatrzymała się w głębokim cieniu, wysunęła rękę spod ramienia Caleba i stanęła przed nim.

– Myślałam o domu. – „I o tobie”, tego jednak nie powiedziała na głos.

– I? – Wpatrywał się w jej twarz, choć w ciemnościach nie mógł niczego zobaczyć.

Czy to szaleństwo mieć nadzieję? Tak od razu? Wybiegać myślą tak daleko naprzód? Ale przecież życie jest po to, żeby je przeżyć. Uniosła leciutko brodę.

– Skoro mieszkamy tak blisko, to kiedy wrócimy do domu – nie „jeśli”, tylko „kiedy”, bo Caleb zaraził ją swoim optymizmem – będziemy się pewnie widywać. Chociażby w Aberdeen.

Wpatrywał się w nią przez chwilę, po czym rzekł bardziej gardłowym głosem:

– Miałem nadzieję na coś innego. – A gdy milczała, dodał: – Miałem nadzieję, że będziemy się widywać na przykład w twoim domu. Albo może w Fortescue Hall, o ile twoja babka wciąż żyje. No i oczywiście w Frobisher Manor, bo moi rodzice na pewno zechcą cię poznać.

Katherine zamrugała. Mówił to, co chciała usłyszeć... Spojrzała mu w oczy.

– Nie będziemy o tym rozmawiać. Nie teraz.

Zacisnął usta i pokiwał głową.

– Masz rację, po co kusić los.

Co za szczęście, że ją rozumiał. Przyglądała mu się jeszcze przez moment, po czym wychyliła się w jego stronę.

W tej samej chwili on pochylił się nad nią.

Ich usta się spotkały – tym razem nie z wahaniem, ale pewnie, ze świadomością, że czekały na ten pocałunek.

Caleb objął ją mocniej w talii i przyciągnął do siebie. Katherine puściła fałdy sukni, przesunęła dłońmi po jego piersi i chwyciła go za szyję. Rozchyliła usta i przywarła do niego z całych sił.

Jej zmysły oszalały.

Miała wrażenie, że oto znaleźli się w innym wymiarze, w miejscu, gdzie istnieli tylko oni – połączeni w ciemności.

Była nowicjuszką, ale każde trwające w nieskończoność spotkanie ich ust miało znaczenie. Każdy pocałunek, każda powolna pieszczota były niczym wyprawa badawcza. Jego usta, jędrne i twarde, sprawiały wrażenie chłodnych, jej wargi z kolei wydawały się gorące, jakby obrzmiałe. A gdy zdała sobie z tego sprawę, poczuła, jak fala ciepła rozchodzi się po całym jej ciele, ogarnia piersi i spływa w dół, aż po palce stóp.

Czuła, że żyje. Czuła, że płonie, unosi ją przypływ pragnienia.

Śmiertelnie niebezpieczna siła kryjąca się w wysokim, szczupłym ciele Caleba i jego stalowych mięśniach powinna była wzbudzić w niej lęk. Bliskość każdego innego mężczyzny tak właśnie by na nią podziałała – żadnemu nie dałaby się zamknąć w uścisku.

Żadnemu innemu nie pozwoliłaby przyprawić się o rumieniec.

I nigdy by nie zadrżała, czując, jak jej piersi napierają na jego klatkę. Nigdy twarda i nabrzmiała męskość nie przyprawiłaby jej o podobną radość i dumę.

Chociaż była dziewicą, przy żadnym innym mężczyźnie nie czuła się równie bezwstydna. Nigdy dotąd nie chciała, by czyjeś dłonie pieściły każdy skrawek jej ciała.

I to wszystko sprawił zwykły pocałunek.

Uderzający do głowy, pożądliwy, zachłanny, lubieżny i niewiarygodnie gorący.

Caleb rozpalił w jej wnętrzu ogień, którego nie mógł – nie powinien, nie tu, nie w tej chwili – ugasić.

Był tego świadom – wiedział, że Katherine należy do niego, a on zawsze będzie należał do niej. Miał w życiu więcej kobiet, niż potrafił zliczyć – jego swobodne obejście i fizyczna atrakcyjność zawsze przyciągały płeć piękną – tym razem jednak było inaczej.

Miał wrażenie, jakby wypuszczał się w podróż w nieznane – podróż, która miała zdecydować o jego przyszłości – bez żadnego kompasu.

Przez moment bał się, że ulegnie temu pragnieniu, które w nim wzbudzała, że żądza przejmie nad nim kontrolę. Nagle jednak zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa i klnąc w duchu, powściągnął swoją żądzę.

Nie teraz. A już na pewno nie tutaj.

Ile czasu trwał ich pocałunek?

Za długo.

To zbyt niebezpieczne.

Ta myśl dodała mu sił, by się wycofać i uwolnić oboje z tego zniewalającego zespolenia. Jej usta były słodkie i kuszące, musiał się więc bardzo starać, żeby wyrzec się ich rozkosznego, upajającego smaku.

Smaku, który tak do niego przemawiał.

Który brał go w posiadanie.

Nieodwołalnie czynił z niego niewolnika.

Minęła kolejna minuta.

Wreszcie Caleb podniósł głowę – ich usta rozłączyły się niechętnie, z ociąganiem.

Oddychając z trudem, spojrzeli sobie w oczy. Jakby mimo mroku byli w stanie zajrzeć w swoje dusze.

– Chcę, żebyś wiedziała – wyszeptał – że moje zainteresowanie tobą... nie ma nic wspólnego z tym, że jesteśmy tutaj, pod przymusem. W tym, co do ciebie czuję, nie ma nic przygodnego, przypadkowego. Gdziekolwiek bym cię zobaczył, na balu czy w salonie, rezultat byłby taki sam. Szukałbym twojego towarzystwa.

Wpatrując się w niego, odparła:

– Ja też. Choć jestem tu od miesięcy, nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby chcieć kogoś pocałować. Ale ty... Od pierwszej chwili wiedziałam, że z tobą jest inaczej. – Zamilkła. – Nie mam pojęcia, dokąd to nas zaprowadzi, ale wiem, że chcę się dowiedzieć. Razem z tobą.

Przyglądał się jej przez chwilę, po czym wyciągnął rękę, a ona położyła na niej swoją dłoń.

Ze splecionymi w uścisku palcami ruszyli przed siebie w noc.

Trzynaście

Trzy dni później już wiedzieli, że jeśli chcą dotrwać do września, będą musieli w jakiś sposób spowolnić produkcję.

– Musicie przyznać – powiedział Dixon, gdy więźniowie siedzieli wieczorem przy ognisku – że gdyby nie okoliczności… Cóż, to naprawdę wspaniały widok.

Wszyscy, którzy byli w drugim korytarzu – a do tej pory odwiedziła go już większość jeńców – musieli się z nim zgodzić. Mimo że wiedzieli, jak wygląda skała pełna surowych diamentów, drugie złoże robiło wrażenie. Były ich tam setki, jeśli nie tysiące, a w dodatku wiele widocznych gołym okiem – wręcz prosiły się, by je brać.

Eksploatacja była zbyt łatwa.

Dixon idealnie wytyczył korytarz – szedł skrajem biegnącego w dół złoża, dzięki czemu zyskali dostęp do jego długiego odcinka. Gdyby wszyscy mężczyźni pracowali przy wydobyciu w zwiększonym wymiarze godzin – tak jak się obawiali, Dubois nie zgodził się na skrócenie z powrotem dnia pracy – wyczerpaliby złoże zaledwie w ciągu dwóch tygodni.

A wówczas Dubois zacząłby zabijać mężczyzn i dzieci.

Jed popatrzył na Annie.

– Nie sądzicie, że zaczeka, aż wszyscy skończą, zanim zacznie nas… zabijać?

Ponieważ nikt się nie odzywał, Caleb powiedział cicho:

– Żaden myślący dowódca nie chciałby, żeby grupa bezczynnych mężczyzn plątała mu się po obozie w oczekiwaniu na egzekucję. To prosta droga do buntu, a z tego, co wiemy, Dubois jest na to za sprytny. Panie zachowa przy życiu do końca, ale mężczyźni i dzieci? Zacznie się nas pozbywać, gdy tylko staniemy się niepotrzebni.

Wszyscy rozważali jego słowa w milczeniu.

– Wprawdzie nie będziemy w stanie oczyszczać kamieni w dotychczasowym tempie – przerwała ciszę Katherine – ale to nie powstrzyma Dubois ani jego mocodawców przed...

– Stopniowym robieniem porządków – dokończył Caleb. – Nie będzie go już obchodziło, co myślą niedobitki. Gdy tylko dojdzie do wniosku, że nas nie potrzebuje, zacznie wszystkich kolejno usuwać.

– Bo wbrew pozorom samo nasze istnienie jest dla niego zagrożeniem – odezwał się Phillipe. – Byłby głupcem, gdyby sądził inaczej.

– Nie zapominajcie – wtrącił Dixon – że nie udało mi się jeszcze zbadać złoża na niższym poziomie. Całkiem możliwe, że jeśli zejdziemy z korytarzem w dół, będziemy mogli je eksploatować dłużej...

– Wystarczająco długo? – spytał Hillsythe.

Inżynier powoli pokręcił głową.

– Wątpię. Z doświadczenia wiem, że ta część, do której mamy dostęp, jest pewnie bogatsza. Udałoby się nam może

przedłużyć działalność kopalni o tydzień, a to wciąż za mało.

– A zatem, tak jak planowaliśmy, zaczniemy spowalniać produkcję – podsumował Caleb. – Od zaraz. Nie ma sensu zwlekać. Diamenty jak najdłużej powinny zostać tam, gdzie są.

Hillsythe pokiwał głową.

– Ciężko pracowaliśmy, żeby zadowolić Dubois, więc nie sądzę, żeby podejrzewał nas o celowe opóźnienia.

Zewsząd rozległ się pomruk aprobaty.

– A więc od czego zaczynamy? – spytał Fanshawe. – Od oleju?

Przywódcy ich małej społeczności – Dixon, Hillsythe, Caleb, Lascelle, Fanshawe i Hopkins – spojrzeli po sobie pytająco.

Caleb poruszył się i popatrzył na Katherine.

– Najlepiej byłoby zacząć od czegoś niezwiązanego z kopalnią. Może od problemów z narzędziami w oczyszczalni? Kiepsko oczyszczone diamenty zajmują więcej miejsca i są cięższe, więc trudniej je przetransportować na statek. – Spojrzał na Hillsythe’a. – A ponieważ Dubois skupi się na problemach związanych z ostatnim etapem produkcji, nie będzie zbyt uważnie nadzorować wydobycia. Dzięki temu my będziemy mogli udawać, że wciąż pracujemy w tym samym tempie, a równocześnie tak gospodarować urobkiem, żeby jak najwięcej odłożyć.

– I zrobić zapasy na czarną godzinę. – Hillsythe pokiwał głową. – W ten sposób zyskamy przynajmniej kilka dni.

Caleb uniósł brwi i powiódł wzrokiem po zgromadzonych, zachęcając ich, by zabrali głos, ale najwyraźniej wszyscy się z nim zgadzali.

– Zatem postanowione – stwierdził. – I tak jak już wspominaliśmy, to musi wyglądać wiarygodnie. Dubois nie może niczego podejrzewać.

– Możemy zacząć jutro późnym rankiem – zaproponowała Katherine. – To wystarczy?

– Myślę, że wszyscy się ze mną zgodzą, jeśli powiem: nie spieszcie się. To musi wyglądać tak naturalnie, żeby Dubois dał się nabrać.

Dużo później, gdy odprowadzał ją do baraku sypialnego, ścisnęła go za palce i szepnęła:

– Mam nadzieję, że się uda i wszystko pójdzie zgodnie z planem.

Odwzajemnił jej uścisk, a następnie podniósł dłoń do ust i ucałował.

– Odwagi, moja miła. Wierzę w ciebie.

* * *

Następnego ranka Katherine wzięła od Harriet młotek, który miał już tak poluzowaną główkę, że obracała się wokół trzonka, a od Mary i Ellen stępione i wyszczerbione dłuta, zebrała się na odwagę i przywołując na twarz wyraz zatroskania, zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę koszar.

Powtarzając w myślach jak mantrę słowa otuchy, które poprzedniego wieczoru usłyszała od Caleba, wdrapała się po schodkach na galerię i skierowała do biura Dubois.

Siedział za biurkiem. Gdy zapukała we framugę, uniósł wzrok i gestem zaprosił ją do środka.

– O co chodzi?

Starając się odegrać rozdrażnienie – jakby zirytowało ją coś nieoczekiwanego – podeszła do biurka i położyła narzędzia.

– O to. Używałyśmy ich, dopóki się dało, ale teraz nie nadają się już właściwie do niczego. – Popatrzyła mu w oczy. – Nie możemy czymś takim obrabiać diamentów. Prosiłyśmy Dixona, żeby dał nam nowe, ale powiedział, że w magazynie nic nie ma.

Skrzyżowała ramiona na piersi i obrzuciła Dubois gniewnym spojrzeniem.

– Co pana zdaniem mamy zrobić w tej sytuacji?

Opuścił wzrok na narzędzia i lekko się skrzywił. Wziął do ręki młotek.

– Oczywiście możemy dalej pracować narzędziami, które nam zostały, ale nie w tym tempie. Poza tym tamte też są już zużyte, choć nie do tego stopnia.

Dubois obejrzał dokładnie poluzowaną główkę młotka, po czym spojrzał na dłuta.

– Dobrze by było, gdyby ktoś poinformował mnie o tym wcześniej.

– Kiedy wcześniej? Nikt nas o nic nie pytał. Przecież byśmy powiedziały.

Ze wzrokiem wciąż wbitym w narzędzia Dubois mruknął coś pod nosem. Odłożył młotek i odsunął krzesło.

– Chcę to obejrzeć.

Katherine odwróciła się na pięcie i ruszyła do oczyszczalni. Weszła do budynku i obrzuciła wnętrze szybkim spojrzeniem. Cztery kobiety pracowały sumiennie, używając narzędzi, które pozostały, Harriet zaś siedziała bezczynnie i tylko się przyglądała. Katherine wymieniła z nią spojrzenia, po czym odsunęła się i wpuściła Dubois.

Natychmiast podszedł do stołu Annie i rozkazującym gestem wyciągnął rękę. Gdy podała mu swoje narzędzia, obejrzał je uważnie, a następnie rzucił na blat i podszedł do Gemmy. Obszedł tak dokoła cały stół z rosnącą wściekłością. Kilka razy burknął coś pod nosem, ale poza tym zachowywał niepokojące milczenie.

Sprawdziwszy w ten sposób wszystkie narzędzia, podszedł do Katherine. Popatrzył jej w oczy, a następnie obejrzał się na kobiety – wszystkie podniosły wzrok i spoglądały na niego wyczekująco. Odchrząknął.

– Dostaniecie nowe narzędzia. A tymczasem musicie radzić sobie z tym, co macie.

Z tymi słowami wyszedł.

Katherine spojrzała na swoje towarzyski z nadzieją i zamknęła drzwi. Zanim jednak zdążyły się zatrzasnąć, usłyszały, jak Dubois woła:

– Arsene!

Wszystkie uśmiechnęły się szeroko.

* * *

Musieli zaczekać do popołudnia, żeby sprawdzić, czy ich plan zadziałał.

Kobiety opowiedziały o reakcji Dubois podczas krótkiej przerwy w południe. Później, gdy Caleb wybrał się do magazynu po gwoździe, zauważył, że kilku najemników, którzy towarzyszyli Arsene'owi w wyprawie do kolonii, siedziało na galerii i sprawdzało broń, a obok nich leżały plecaki przygotowane do drogi. Zaniósł gwoździe do kopalni i postanowił zrobić sobie kolejną przerwę.

Najpierw wybrał się do oczyszczalni i poprosił Katherine, żeby do niego dołączyła.

Widok ich dwojga spacerujących po obozie nikogo już nie dziwił. Tym razem, wykorzystując nieobecność strażników, zapuścili się w pobliże koszar. Zatrzymali się po wschodniej stronie budynku, nieopodal okna w biurze Dubois.

Oparci o ścianę słyszeli, jak Arsene mówi:

– A może same uszkodziły narzędzia?

– Nie sądzę. – W głosie Dubois słychać było zniecierpliwienie. – Dotąd kobiety nie sprawiały nam żadnych kłopotów, a poza tym sam obejrzałem ich narzędzia. Gdyby zniszczyły je celowo, uszkodzenia byłyby takie same.

Caleb i Katherine popatrzyli po sobie z zadowoleniem. Włożyli wiele pracy w to, by zniszczenia wyglądały naturalnie.

– Co więcej – ciągnął Dubois – poczciwa panna Fortescue nie próbowała wcale sugerować, że to uniemożliwi im pracę. Przyszła, żeby mi powiedzieć, że nie uda im się

utrzymać dotychczasowego tempa. Zważywszy na ogromną ilość diamentów w drugim korytarzu, słusznie zrobiła, zwracając uwagę na coś, co wkrótce spowodowałoby zator i ograniczyło transport. – Zamilkł na chwilę. – Jeśli się nad tym zastanowić, zrobiła dokładnie to, co powinna. Przecież gdyby wszystkie kobiety pracowały coraz wolniej, dopóki narzędzia nie rozpadłyby im się w rękach, naraziłyby nas na przestój.

Arsene mruknął coś, zgadzając się z nim niechętnie.

– Zdarzały się już uszkodzenia kilofów i szpadli. To całkiem możliwe, że narzędzia w oczyszczalni, z których przecież kobiety korzystają bez przerwy, też w końcu uległy zniszczeniu.

– Właśnie. Dlatego uważam, że nie mamy co szukać dziury w całym. Zastanówmy się lepiej, czy nie uda się obrócić wyprawy do kolonii na naszą korzyść. Zrób podwójne zapasy wszystkich narzędzi, których potrzebują kobiety. I wezwij do mnie Dixona.

Caleb i Katherine natychmiast odsunęli się od ściany – Arsene lub ktoś inny wysłany po inżyniera mógł ich przecież zobaczyć – i ruszyli w stronę dziewczynek sortujących urobek pod markizą.

Kątem oka obserwowali strażnika, który chwilę potem minął ich w drodze do kopalni. Czekając, aż razem z inżynierem wyłoni się z tunelu, Katherine przykucnęła, żeby pogawędzić z dziewczętami.

Caleb stał obok z rękami w kieszeniach. Udawał, że słucha, ale w rzeczywistości rozmyślał o wizycie, którą

poprzedniego dnia Dubois złożył w kopalni. Komendant i jego przyboczni rzadko zapuszczali się do środka. Tylko jeden ze strażników raz, czasem dwa razy dziennie zaglądał niezapowiedziany i patrolował korytarze. Najwyraźniej Dubois uznał, że obchodzi go tylko to, co opuszcza wnętrze góry, nie zaś to, co dzieje się w środku.

Wczoraj jednak Cripps, potem Arsene, a wreszcie Dubois, niewątpliwie powodowani ciekawością, jaką wzbudził raport Dixona, postanowili przekonać się na własne oczy, jak wygląda drugie złoże.

Dixon, odgrywając rolę podekscytowanego odkrywcy, z dumą pokazywał im diamenty. Pozostali więźniowie przerwali pracę i stanęli po drugiej stronie korytarza. Caleb, tak samo jak większość mężczyzn, poczuł, że chętnie chwyciłby kilof i raz na zawsze rozwiązał problem, jednak obecność kilku strażników z muszkietami w korytarzu i z pewnością znacznie większego oddziału na zewnątrz skutecznie go przed tym powstrzymała.

Obserwując jednak bacznie komendanta, dostrzegł krople potu na jego czole. Zauważył też, że Dubois zaciskał pięści, a jego twarz stawała się coraz bledsza.

Zerknął na Phillipe’a – przyjaciel spostrzegł to samo i zdumiony popatrzył na niego.

Stojący w głębi korytarza Hillsythe również przyglądał się Dubois z lekko zmarszczonym czołem. Czując na sobie wzrok obu kapitanów, niemal niedostrzegalnie kiwnął głową.

Gdy później omawiali tę sprawę, uznali za wielce prawdopodobne, że Dubois cierpi na lęk przed zamkniętą przestrzenią lub inną podobną przypadłość, która sprawiała, że źle się czuł w kopalni. Być może jego przyboczni również byli nią dotknięci, co by tłumaczyło, dlaczego tak rzadko odwiedzali górników.

Nie wiedzieli jeszcze, w jaki sposób ta wiedza mogłaby się okazać użyteczna, z pewnością jednak odkryli słaby punkt Dubois.

Caleb usłyszał odgłos kroków i zobaczył Dixona zmierzającego do koszar w towarzystwie strażnika.

Katherine wstała i patrzyła za nimi, dopóki nie zniknęli w budynku.

– Z tamtej strony obozu wciąż nie ma strażników, może znów uda się nam coś usłyszeć?

I rzeczywiście usłyszeli, jak Dubois każe Dixonowi sporządzić dla Arsene’a listę wszystkiego – gwoździ, drewna, narzędzi – co mogłoby być potrzebne przy pracy w drugim korytarzu.

– Ponieważ Arsene musi wrócić do kolonii i skontaktować się z naszym dostawcą, chcę, żeby jego wysiłek się opłacił. – W głosie Dubois pojawił się złowieszczy ton. – Nie życzę sobie żadnych dalszych braków w zaopatrzeniu.

Caleb i Katherine słyszeli jeszcze, jak Dixon z wyraźnym entuzjazmem zaczyna zamawiać podwójną ilość wszystkich potrzebnych rzeczy. Dubois musiał go odprawić, bo podekscytowany głos inżyniera i burknięcia Arsene’a powoli cichły.

Caleb ścisnął mocniej dłoń Katherine.

– Okrążymy koszary i wrócimy do oczyszczalni.

Caleb odprowadził Katherine do baraku, w którym pracowały kobiety, a sam ruszył do kopalni. Dotarł do wejścia równocześnie z Dixonem.

Pozostali przywódcy obozowej społeczności i kilku innych mężczyzn stali u wlotu do drugiego tunelu.

– I jak? – spytał Hillsythe.

– Poszło całkiem gładko. – Inżynier wskazał głową w kierunku koszar.

Arsene i jego ludzie właśnie zarzucili plecaki na ramiona, wzięli muszkiety i ruszyli w stronę bramy.

Caleb spoglądał za nimi, dopóki nie zniknęli w dżungli.

– Słyszeliśmy z Katherine, że Dubois kupił naszą historyjkę o tym, że narzędzia po prostu się zużyły. Arsene miał wątpliwości, ale Dubois go przekonał.

– Ile czasu im to zajmie? Jak długo nasze panie będą mogły opóźniać produkcję? – spytał Fanshawe.

– Biorąc pod uwagę listę, którą ode mnie dostali – powiedział Dubois – pewnie jak zwykle pięć dni.

– To dobrze. – Hillsythe rozejrzał się po zgromadzonych. – Powinniśmy więc teraz zgodnie z planem udawać, że pracujemy, i odłożyć na czarną godzinę jak najwięcej diamentów.

Wszyscy mężczyźni pokiwali głowami.

– I tak jak ustaliliśmy – dodał inżynier – pójdę wieczorem do Dubois i powiem mu, że nie ma sensu, żeby mężczyźni pracowali tak długo, skoro kobiety nie są w stanie na

bieżąco obrabiać kamieni. Zasugeruję, żebyśmy zrównali tempo wydobycia z tempem pracy oczyszczalni.

– Myśli pan, że się zgodzi? – Phillipe oderwał się od ściany i wyprostował plecy. – Ja na jego miejscu bym na to nie poszedł.

– Zawsze warto spróbować. Nie miałoby to wpływu na ogólną wydajność kopalni, a dotąd głównie o to się troszczył.

– Jest jeszcze jedna ważna rzecz – wtrącił Caleb. – Słyszeliśmy, że kazał Arsene'owi sprowadzić zapasowe narzędzia dla pań. Czy to możliwe, że przeniesie starsze dziewczynki do oczyszczalni albo każe kobietom pracować dłużej, tak jak nam?

Hillsythe, Dixon, Fanshawe i Hopkins pokręcili przecząco głowami.

– Już raz próbował ze starszymi dziewczynkami, ale bez powodzenia – powiedział Fanshawe.

– Wprawdzie diamentu nie można zarysować – dodał Dixon – ale jeśli się trafi na wewnętrzne pęknięcie, można go ukruszyć. Kopalnia ma dostarczać surowe diamenty w stanie nienaruszonym i w dodatku jak największe, żeby mogli się nimi zająć zawodowi szlifierzy.

– Gdy panie są zmęczone, nietrudno o błąd – powiedział Hillsythe – dlatego Dubois nie może ich przeciążać. Poza tym potrzebują naturalnego oświetlenia. Lampy są dla nich niewystarczające.

Caleb i Phillipe pokiwali głowami ze zrozumieniem.

– Czyli na razie – Caleb uniósł kilof – pracujemy tak jak dotąd, starając się odłożyć jak najwięcej urobku, z nadzieją, że Dubois pozwoli nam zwolnić.

* * *

Niestety, tym razem Dubois nie chciał słuchać argumentów Dixona.

Był zdecydowany wydobyć wszystkie diamenty najszybciej, jak się da. Upierał się, żeby mężczyźni nie zwalniali tempa fedrowania, ładowania urobku czy też umacniania kolejnego odcinka nowego korytarza. Mieli pracować w kopalni od śniadania aż do północy.

Caleb zachęcał Dixona, żeby jak najlepiej wykorzystał tę sytuację. W rezultacie inżynier wysłał czterech starszych chłopców, którzy pracowali z mężczyznami, by wyczyścili z kamieni najdalsze zakątki pierwszego złoża. Młodsze dzieci wygarniały urobek spod nóg górników, szukając po omacku odłamków na nierównym podłożu. Wypełnione kosze niosły w miejsce, gdzie kilku mężczyzn w pośpiechu odkładało część grudek zawierających diamenty, resztę zaś taszczyły na stertę odłamków do posortowania, gdzie razem z dziewczętami siedziały teraz pozbawione narzędzi kobiety.

Pod koniec pierwszego dnia dla wszystkich stało się jasne, że Dubois chce jak najszybciej wydobyć wszystkie kamienie i zakończyć działalność kopalni.

Tego wieczoru przy ognisku panowała ponura atmosfera.

– A zatem – Hillsythe postanowił podsumować sytuację – udało nam się stworzyć zator, który wkrótce doprowadzi do

tego, że powstanie góra diamentów czekających na oczyszczenie. Mimo to Dubois nie zgodził się, żebyśmy spowolnili tempo eksploatacji.

– Próbowałem go przekonać – dodał Dixon – że góra diamentów na zewnątrz to zwykłe kuszenie losu, ale on tylko spojrzał na mnie i powiedział, że ufa swoim ludziom i wie, że udaremnią każdą próbę rabunku. – Inżynier westchnął, podniósł wzrok i powiódł nim po zgromadzonych. – Oto, jaki skutek przyniosły nasze ostatnie działania. Stanowczo zalecałbym, żebyśmy przynajmniej przez kilka dni powstrzymali się przed czymś nowym.

Słysząc te słowa, Caleb się skrzywił i powiedział:

– Może i nie udało nam się osiągnąć tego, co zamierzaliśmy, ale przynajmniej nie stoimy w miejscu.

Hillsythe, Fanshawe i inni spojrzeli na niego pytająco.

– I tak musielibyśmy wydobywać kamienie w takim tempie jak teraz, możemy za to odkładać część urobku na czarną godzinę. – Wzruszył ramionami. – Nasza sytuacja wcale się nie pogorszyła. Przeciwnie, z każdym dniem i każdym kamykiem schowanym na później ulega poprawie. – Popatrzył na twarze aż nazbyt cichych dzieci, kobiet i mężczyzn. – Nie udało nam się uzyskać tego, co zamierzaliśmy, ale za kilka dni spróbujemy nowej strategii, żeby zmniejszyć wydobycie.

Katherine złapała go za ramię i ścisnęła, by dodać mu otuchy. On jednak najwyraźniej wcale tego nie potrzebował.

Twarz siedzącego po drugiej stronie ogniska Hillsythe’a odrobinę się rozjaśniła. Leciutko skinął głową Calebowi.

– Poza tym – powiedział – teraz już wiemy, że działania niezwiązane bezpośrednio z wydobyciem nie mają większego sensu. Dlatego od tej pory będziemy spowalniać eksploatację diamentów.

* * *

Później, kiedy Caleb przyszedł, by zabrać ją z maleńkiego ganku przed barakiem kobiet, gdzie zwykle na niego czekała, zanim wybrali się na wieczorną przechadzkę, Katherine nie czuła potrzeby, by omawiać sprawy związane z kopalnią.

Strategia Dubois była dla niej całkowicie jasna – chciał jak najszybciej wydobyć wszystkie diamenty i zabić mężczyzn, którzy stanowili dla niego największe zagrożenie. Więcej nie potrzebowała wiedzieć.

Musieli znaleźć jakiś sposób, żeby skutecznie spowolnić pracę kopalni.

To jednak był problem na jutro. Dziś potrzebowała czegoś innego. Chciała się znaleźć w miejscu, gdzie mogła być tylko z Calebem.

Przyszedł po nią i wyciągnął rękę. Wstała ze stołka, ujęła jego dłoń i pozwoliła, by sprowadził ją po schodkach. Na dole przyciągnął ją bliżej i wsunął sobie jej rękę pod ramię.

Tego wieczoru nie było ciemno. Teren obozu zalewała księżycowa poświata i oboje byli dobrze widoczni dla wartowników na wieży.

Gdy spacerowali między barakami w ciągu dnia, zwykła obozowa krzątanina zagłuszała ich słowa, ale teraz

panowała głucha cisza. Dlatego gdy okrążali opustoszałą kuchnię, Katherine odważyła się ledwie na szept.

– Umiesz nakłonić ludzi, żeby spoglądali w przyszłość, zamiast zadręczać się chwilowymi porażkami.

Ta jego cecha ujawniała się nieustannie – wciąż udawało mu się podnosić na duchu całą obozową społeczność.

Szedł ze wzrokiem wbitym w ziemię.

– Podejrzewam, że taka już rola kapitana. – Wzruszył ramionami.

Mogłaby mu powiedzieć, że to nieprawda, że jest tylu dowódców, którym brakuje jego niespożytego optymizmu, gotowości, by brać się za bary z życiem i nie ustępować ani na krok. I że tę jego niezłomność widać jak na dłoni.

Najwyraźniej uważał, że jego wpływ na innych jest czymś niewartym uwagi. Ona jednak wiedziała lepiej. Mimo okoliczności, w jakich do tego doszło, w fakcie, że dołączył do nich w obozie, widziała palec Boży.

I po części dlatego, a po części z powodu niebezpieczeństwa, które nad nimi wisiało, chciała wykorzystać ten czas, jaki mieli dla siebie, żeby się dowiedzieć, co ją czeka. Żeby się przekonać, co się między nimi dzieje i jak wiele ryzykują.

Jaką wartość ma ich relacja w skali całego życia. Przetrwać – to jedno, ale przetrwać, by sięgnąć po większą nagrodę – to całkiem co innego. Katherine była absolutnie pewna, że istnienie takiej nagrody mogłoby zasadniczo wzmocnić ich wolę życia.

Wesprzeć ich w nadchodzącym okresie, który z pewnością będzie trudny.

Czytała gdzieś, że według mądrych mnichów prawdziwą drogą do szczęścia jest umiejętność życia chwilą, całkowitego skupienia się na tym, co tu i teraz, co w danych okolicznościach można osiągnąć. Postanowiła wypróbować tę filozofię, zwłaszcza że w stosunku Caleba do życia też było coś z bezgranicznego zaangażowania się w owo tu i teraz.

Zaraz obok, pomyślała, powinien być ukryty w cieniu magazyn. Światło księżyca dziś tam nie dotrze, a w dodatku nie widać go z wieży strażniczej. Gdy znaleźli się na wysokości obozowego składu, zacisnęła mocniej dłoń na ramieniu Caleba i pociągnęła go w bok.

Spojrzał na nią, ale się nie opierał.

Skryta w głębokim cieniu puściła jego ramię, oparła się o ścianę baraku, złapała za apaszkę, którą nosił zawiązaną na szyi, i bezczelnie przyciągnęła go do siebie.

Nie opierał się ani trochę. Nie chwycił jej jednak w pasie i nie objął.

Zamiast tego położył ręce na ścianie na wysokości jej głowy, pochylił się i ustami dotknął jej warg. Odpowiedział na zaproszenie, ale pozwolił, by to ona zabrała go tam, dokąd zechce. Zaczął upajać się smakiem jej ust, a ona śmiało odwzajemniła tę rozkosz.

Ich pocałunek stał się gorętszy. Bardziej namiętny. Zdecydowany.

Rozluźniła mu apaszkę i kurczowo ścisnęła poły koszuli. Ich pocałunek zamienił się w pojedynek języków.

Aż nagle coś w jej wnętrzu się poruszyło – poczuła przemożny impuls, pragnienie, by poszukać więcej tego upojnego gorąca, którym zdawał się promieniować.

By bezwstydnie się w nim skąpać.

By poddać się chwili i poczuć zmysłowy dreszcz, o który mógł ją przyprawić jego dotyk.

Tu i teraz.

Oderwała się od ściany, wspięła na palce i pocałowała go z całą tłumioną namiętnością.

Złapał ją w pasie, a potem zjechał dłońmi niżej i przycisnął ją do siebie.

Jego usta płonęły tak mocno jak jej wargi, namiętność ich pocałunku niemal paliła.

Obrócił się i oparł o ścianę, zamykając ją w żelaznym uścisku. Jego wargi oszalały, nacierały, dyktując swą wolę. A ona, dumna, rzuciła się w ten gwałtowny wir, który między nimi wzbierał.

Calebowi kręciło się w głowie. Czekał cierpliwie, żeby zobaczyć, czego Katherine chce, dokąd ich zaprowadzi, ale nigdy nie spodziewał się czegoś podobnego.

Bał się, że ten wir, który wyzwoliła, wciągnie go bez reszty. Żądza – chęć, by jej dotknąć, zrobić kolejny krok – płonęła tuż pod jego skórą.

A mimo to czegoś nie rozumiał, coś mu umykało – coś, co mogło nadać sens jej postępowaniu.

Było to dużo trudniejsze, niż się spodziewał, ale w końcu udało mu się oderwać usta – tak spragnione – od jej warg i lekko odsunąć.

Nie otwierając oczu, wyszeptał:

– Dlaczego?

Niemal wyczuwał walkę, jaką musiała stoczyć sama ze sobą, by uspokoić wzburzone zmysły. Wreszcie odpowiedziała niemal bezgłośnie:

– Bo musiałam wiedzieć.

I znów go pocałowała.

Potrzebował kilku chwil, by odzyskać panowanie nad sobą, znowu oderwać od niej usta i zapytać:

– Co wiedzieć?

– To. – Ujęła jego twarz w dłonie, pragnąc zrobić wszystko, co w jej mocy, żeby zrozumiał…

Och! Kiedy to do niego dotarło, natychmiast wyszedł jej na spotkanie, gotów odpowiedzieć na jej pragnienie – teraz całkowicie dla niego jasne i wyraźne.

Jakaś jego część wciąż instynktownie wypatrywała niebezpieczeństwa, skrywała ich jednak ciemność, a wartownicy rzadko zapuszczali się w pobliże miejsca, gdzie stali. Dopóki nie wyda wali żadnego dźwięku – dopóki ich usta były złączone – mogli czuć się bezpiecznie.

Katherine raz jeszcze naparła na niego całym ciałem, a pragnienie, jakie niósł ze sobą jej pocałunek, pozbawiło go resztek kontroli.

Przesunął dłonią w górę, leciutko muskając krągłą pierś.

Katherine zamarła – na sekundę, żeby rozkoszować się nagłym dreszczem – po czym wróciła do pocałunku, zachęcając go, by nie przestawał.

On zaś usłuchał, objął dłonią miękką pierś i zaczął ją delikatnie masować.

Jego gorącą dłoń dzieliły od jej skóry tylko cieniutka, niemal przezroczysta koszulka i lekki materiał sukni.

Poczuła nagle, jak ożywają nerwy, z których istnienia dotąd nie zdawała sobie sprawy.

Pierś nabrzmiała pod jego dotykiem, a rozpalona skóra oblała się rumieńcem.

Leniwie, z aż nazbyt wielką wprawą pieścił ją, doprowadzając na skraj szaleństwa.

Aż poczuła, że chce więcej – cokolwiek owo więcej oznaczało – i że nie boi się o to poprosić.

Tej prośby, czy raczej błagania, nie mogła jednak wyrazić słowami – musiała to zrobić inaczej, na zupełnie innej płaszczyźnie komunikacji.

Mimo zamętu panującego w jej głowie zorientowała się, że ona również może dawać tyle, ile dotąd brała. Może przejąć kontrolę nad sytuacją.

Ich pocałunek stał się jeszcze bardziej płomienny, szaleńczy, namiętny.

To było jak nauka nowego języka – szukała odpowiednich słów, by wyrazić swoje potrzeby.

Śmiało przeniosła dłonie na pierś Caleba. Natychmiast poczuła, jak napina mięśnie.

Z cichym jękiem oddała się pieszczocie, demonstrując tym samym własne pragnienia. Pod cienką materią koszuli odnalazła jego sutki i oba obrysowała palcami, czując, jak serce Caleba zaczyna walić mocniej.

Pozwalał się prowadzić, chciał, by się nim nasyciła. I dopiero wtedy odpowiedział. Ujął jej drugą pierś i zaczął pieścić obie razem, ugniatając, szarpiąc i gładząc.

Instynktownie wbiła paznokcie w jego tors. Poczuła, że gwałtownie wciągnął powietrze, i uśmiechnęła się w duchu.

Grali na swoich zmysłach jak na instrumentach. Katherine nigdy nie brała udziału w podobnym koncercie. Jakaś odległa, bardzo daleka część jej mózgu szeptała, że powinna czuć się zaszokowana. Ale się nie czuła. Była zachwycona i zbyt uczciwa, żeby się do tego nie przyznać.

Co więcej, czuła, że przepełnia ją radość.

To, co się działo, było dobre, słuszne. Tak właśnie miało być.

Wreszcie uświadomiła sobie, że Caleb powoli wycofuje się z tego szaleństwa, i niechętnie ustąpiła. Pozwoliła, by ich usta się rozłączyły.

Nie odsunął jej od siebie od razu – w spokoju zsunął dłonie na talię.

Przytrzymał ją namiętnie przytuloną i spojrzeli na siebie spod na wpół przymkniętych powiek.

Sprawiał wrażenie, jakby wcale nie patrzył jej w oczy, tylko raczej zaglądał prosto w duszę.

Wreszcie cicho wyszeptał:

– Dlaczego? Dlaczego musiałaś wiedzieć?

Ku własnemu zdumieniu Katherine wcale nie musiała się nad tym zastanawiać. Właściwe słowa pojawiły się natychmiast.

– Bo w pewnym momencie będziemy musieli walczyć i świadomość, że jeśli przeżyjemy, właśnie to może nas czekać...

Dostrzegła zrozumienie rodzące się w jego oczach.

Przyglądał się jej jeszcze przez chwilę, po czym pokiwał głową.

– Masz rację. – W jego głosie dał się słyszeć twardy ton, którego wcześnie tam nie było. – Dzięki tej świadomości dużo łatwiej będzie zrobić wszystko, co trzeba, żeby przetrwać.

Ujął ją za rękę i wyciągnął z cienia.

– Chodź, odprowadzę cię do baraku.

Ruszyła u jego boku przez noc, zadowolona, że udało jej się dowiedzieć tego, czego chciała – a nawet więcej.

Czternaście

Większą część następnego dnia mężczyźni spędzili na rąbaniu skały w drugim korytarzu. Bogactwo diamentów i łatwość, z jaką dawały się wydobyć, tylko utwierdziły ich w przekonaniu, że muszą jak najszybciej znaleźć skuteczny sposób na spowolnienie eksploatacji złoża.

Spotkania przy ognisku, zarówno to południowe, jak i wieczorne, były niezwykle ciche i coraz bardziej ponure.

Jeszcze później, pracując z Dixonem przy zejściu na niższy poziom, Caleb skaleczył sobie dłoń o wystający diament. Zaklął i odsunął się od ściany.

– Pokaż. – Phillipe obejrzał ranę i powiedział: – Nie potrzeba szwów, ale idź ją oczyścić, żeby się nie zaogniła.

Caleb odburknął coś, wiedział jednak, że przyjaciel ma rację. Uciskając ranę palcami drugiej ręki, ominął stertę urobku pozostawionego na rano dla dzieci i wyszedł z kopalni.

Spojrzał w stronę baraku kobiet i zobaczył siedzącą na ganku Katherine. Zanim zdążył się ku niej skierować, zerwała się ze stołka i pospieszyła mu na spotkanie.

– Co się stało? – spytała.

– To tylko rozcięcie. Niezbyt głębokie.

Pozwolił jej dokładnie obejrzeć ranę.

– Ale za to może się okazać groźne, zwłaszcza w tym klimacie. – Chwyciła go za rękaw jakby w obawie, że rzuci

się do ucieczki. – Chodź do baraku medycznego, ja się tym zajmę.

Z chęcią usłuchał. Poza matką dotąd żadna kobieta nie chciała opatrywać jego ran. Uznał, że to całkiem miłe.

W baraku medycznym panowała ciemność, Katherine jednak wiedziała, gdzie szukać lampy i pudełka z hubką i krzesiwem. Caleb stał w drzwiach tego samego gabinetu, do którego zaprowadziła go za pierwszym razem, czekając, aż zapali knot i zasunie szybkę.

W złotym świetle lampy wnętrze wydawało się przytulniejsze niż za dnia.

Katherine zabrała się za przetrząsanie szuflad, wskazując ręką łóżko.

– Siadaj.

Łóżko było ukryte za moskitierą zwisającą z haka w suficie – w takie same siatki chroniące przed owadami wyposażono nawet hamaki, w których spali więźniowie. Caleb podszedł do łóżka, odsunął siatkę i usiadł na brzeżku porządnie wypchanego siennika.

Katherine tymczasem nalała wody do miski i dodała odrobinę płynu z niebieskiej butelki.

Przykucnęła przed nim, ujęła zranią dłoń i delikatnie zanurzyła ją w wodzie.

Syknął i omal nie wyszarpnął ręki, Katherine jednak, przewidziawszy jego reakcję, przytrzymała go mocno.

– Przestanie szczypać za minutę.

Zacisnął zęby i nic nie powiedział; okropne pieczenie faktycznie zaczęło słabnąć.

– Co to za diabelstwo? – udało mu się w końcu wykrztusić.

– Wierz mi lub nie, ale to tynktura, którą dostaliśmy od Dubois. Dzieci wciąż się kaleczą, a kiedy w ranę jednego z chłopców wdało się zakażenie, Dubois dał nam tę butelkę. Powiedział, że to środek, którym tubylcy leczą rany. Cokolwiek to jest, okazało się bardzo skuteczne.

Burknął coś pod nosem. Spojrzał na zranienie, które delikatnie obmywała.

– Zważywszy na ból, dziwne, że mi jej nie przyżegałaś.

Z trudem stłumiła śmiech.

Obmyła ranę i wytarła ją do sucha, a potem zaczęła smarować maścią, przyprawiając go tym o dreszcze. Wzięła długi pasek gazy i zabandażowała mu dłoń.

– Proszę. – Poklepała go po ręce i wstała. – Przynajmniej miałeś dość rozumu, żeby od razu przyjść i to oczyścić. Jeśli uda ci się utrzymać to w takim stanie przez dwadzieścia cztery godziny, powinno się ładnie zagoić.

Przyglądał się, jak sprząta i odkłada medykamenty na miejsce. Chętnie zaoferowałby jej pomoc, ale nie wiedział, gdzie co leży, i podejrzewał, że tylko by przeszkadzał.

Gdy skończyła, podeszła do niego z uśmiechem. Wziął ją za rękę. Spojrzał jej w oczy i zobaczył, że unosi brwi w niemym pytaniu. Nie spuszczając wzroku, złożył na jej palcach długi, powolny pocałunek.

Tym razem ona zadrżała.

A on się uśmiechnął.

– Dziękuję.

Potem opadł na plecy i trzymając ją za rękę, pociągnął za sobą.

Oparła się łokciami na jego piersi i z odległości zaledwie kilku centymetrów zaczęła mu się wpatrywać w oczy. Czas zwolnił... Pochyliła głowę i jej ponętne usta znalazły się zaledwie milimetr od jego warg.

– Być może – wymruczała niskim, uwodzicielskim głosem – istnieje sposób, żebyś mi okazał wdzięczność.

Zanim zdążył zareagować, ich usta się spotkały.

Poczuli się niemal tak, jakby wrócili do domu. Tym razem ich pocałunek niósł otuchę i obietnicę radości, zaspokojenia głodu i szczęścia, jakie dają proste przyjemności.

Szczęścia, jakie mogła przynieść przyszłość.

Przyszłość, której pragnęli. Przyszłość, o którą byli gotowi walczyć.

Katherine, nie przerywając pocałunku, zaczęła pieścić go całym ciałem. Zachwycona poczuła, jak jego mięśnie się napinają. Z coraz większą pewnością siebie wystawiała na próbę jego opanowanie – był jak skała. Mogła mieć do niego zaufanie.

Odwzajemnił jej pieszczotę, przesuwając wielkimi dłońmi po całym ciele. Tak długo oddawał hołd jej piersiom, aż zostawił je nabrzmiałe i tkliwe. Powoli obrysował łuk jej pleców, objął dłońmi pośladki i z nieskrywaną zachłannością, która odbierała dech, przycisnął jej biodra do swoich.

Zaczął wraz z nią się kołysać, dociskając nabrzmiały członek do jej łona. Poczuła rozchodzące się po całym ciele

gwałtowne, intensywne i cudowne doznanie – przedsmak raju. W końcu jednak pogodziła się z tym, że tu i teraz nie mogą posunąć się dalej.

Odrywali się od siebie milimetr po milimetrze, aż wreszcie ich usta też się rozłączyły. Spojrzeli po sobie spod wpółprzymkniętych powiek. Oddech mieli przyspieszony, serca waliły im szaleńczo.

Chciała się podnieść, ale poczuła, że jego ramiona się napinają.

W jednej chwili zrozumiała ten komunikat bez słów. Uśmiechnęła się, poddała i położyła mu głowę na piersi. Odprężona i bezpieczna spoczęła wygodnie w jego objęciach.

W każdym innym miejscu i czasie musiałyby minąć długie miesiące, zanim to, co do niego czuła i co ponad wszelką wątpliwość istniało między nimi, pozwoliłoby im dotrzeć tak daleko. Ale w warunkach, w jakich się znajdowali, nie było czasu na subtelności. Nie było miejsca na zwykłe, stopniowe zapoznawanie się ze sobą. Na zwyczajową niepewność i wahanie.

Od chwili, kiedy się poznali, widzieli tylko to, co było w nich prawdziwe. W obozie mogli ocenić swój charakter. Brakowało natomiast czasu i miejsca na salonowe umizgi.

Wreszcie po kilku minutach ciszy Katherine się odezwała:

– Myślisz, że jesteśmy szaleni? Przecież za kilka tygodni możemy już nie żyć.

– Nie. – Mimo że odpowiedź nadeszła natychmiast, jego głos wskazywał, że była przemyślana. – To raczej świadczy

o tym, że oboje jesteśmy przy zdrowych zmysłach.

Uniosła głowę i spojrzała na niego.

Popatrzył jej w oczy.

– Oboje wiemy, że warto na to czekać. Warto o to zabiegać. Bez względu na cenę.

– Masz rację. Po prostu mam nadzieję…

Że przetrwamy. Że to, co nas łączy, nie jest skazane na zagładę.

A choć nie wypowiedziała tych słów na głos, była pewna, że zrozumiał.

Objął ją jeszcze mocniej.

– Możemy tylko iść dalej i stawiać czoło każdemu wyzwaniu, które się pojawi na naszej drodze. Dopóki będziemy pamiętać o tym, czego pragniemy, jaki jest nasz prawdziwy cel, wierz mi, damy radę.

Nie potrafiła powstrzymać uśmiechu. Caleb umiał przekonać nawet ją, że zwycięstwo jest nieuniknione.

Po chwili jej uśmiech nieco przygasł.

– A co z wydobyciem? – Przez chwilę bacznie przyglądała się jego twarzy. – Kiepsko to wygląda, prawda?

Skrzywił się. Rozluźnił uścisk, złapał ją w pasie i posadził obok.

Siedzieli jedno przy drugim na skraju łóżka. Chciał ująć jej twarz w ręce i pogładzić, ale przypomniał sobie, że jedną dłoń ma zabandażowaną.

Wziął ją więc za rękę i spletli palce.

– Muszę przyznać, że jest gorzej, niż się spodziewałem. Wystarczy wbić kilof w ścianę, a diamenty dosłownie się

sypią. Są miejsca, gdzie jest ich tyle, że je kruszymy przy wydobyciu. Odkładamy, ile się da, ale możliwości ukrycia kamieni w kopalni są ograniczone. Zwłaszcza że Dubois coraz bardziej interesuje się wielkością urobku. – Sapnął. – Ustaliliśmy, że nie będziemy nic robić, dopóki Arsene nie wróci z narzędziami. Problem w tym, że musimy ograniczyć wydobycie i nie możemy dłużej z tym zwlekać.

Katherine zmarszczyła brwi.

– A ten niższy poziom, o którym wspominał Dixon?

– To jedyne światełko w tunelu. Jeśli znajdziemy tam równie bogate pokłady i zwolnimy na pewien czas, to może uda się nam dotrwać, aż przybędzie pomoc, bez uciekania się do innych sposobów.

– Dixon wciąż nie potrafi stwierdzić, jak bogate jest to złoże?

Caleb pokręcił przecząco głową.

– Struktura skały na końcu korytarza jest taka, że dużo trudniej się przez nią przebić. Jego zdaniem nie dowiemy się tego, dopóki nie otworzymy nowej sztolni poszukiwawczej.

Pokiwała głową.

– To jaki jest nasz następny krok? Olej do lamp?

– Tak. Nie możemy sobie pozwolić na zwłokę.

Spojrzała mu w oczy i mocniej uścisnęła jego dłoń.

– Powiem o tym kobietom i dzieciom. Przed śniadaniem.

– Zrób to. – Zastanawiał się przez chwilę, po czym rzekł: – Wprawdzie nie zaczniemy od samego rana, ale lepiej, żeby wszyscy wiedzieli i zachowywali się normalnie. Dixon,

Hillsythe i ja zastanawiamy się, jak powiedzieć o tym Dubois, żeby uznał to za zwykły przypadek, a nie wynik naszych działań.

Caleb nie dodał, że jedynym skutecznym sposobem ograniczenia wydobycia byłoby zawalenie przynajmniej części chodnika. Przywódcy obozowej społeczności umieścili wprawdzie ten punkt na liście możliwych strategii, ale nikomu o tym nie powiedzieli. W przypadku podobnego przedsięwzięcia wiele rzeczy mogło pójść nie tak – chociażby to, że gdyby doszło do kompletnego zniszczenia tunelu, znaleźliby się w sytuacji, której za wszelką cenę próbowali uniknąć.

Westchnął i wstał z łóżka. Napotkawszy jej wzrok, przywołał na twarz łagodny uśmiech.

– Dziękuję za twoją troskę. Dziękuję za opiekę. – Pochylił głowę i musnął wargami jej usta. – Chodź, odprowadzę cię do baraku. Muszę wracać.

Do kopalni. Do dalszych planów.

* * *

Mężczyźni zaczekali do późnego ranka, zanim zaczęli realizować swój pomysł i odgrywać komedię, która miała przekonać Dubois, że brak oleju jest wynikiem całkiem niewinnego zbiegu okoliczności.

Caleb stał ukryty w cieniu u wejścia do kopalni i czekał z pustą lampą w ręce.

Zbiornik ukończyli tydzień temu i od tamtej pory codziennie wylewali do niego olej z lamp w kopalni. Wykorzystali też fakt, że Dubois uparł się, by mężczyźni

pracowali dłużej – w tym czasie lampy górnicze płonęły jak największym płomieniem, dzięki czemu udało im się jeszcze bardziej uszczuplić zapasy.

Pomocny był również fakt, że mieli ograniczony dostęp do paliwa – Dixon mógł napełniać tylko lampy w kopalni, barakach, oczyszczalni i baraku medycznym. Resztę – te, których używano w koszarach czy kuchni – napełniali najemnicy, kiedy przyszła im na to ochota.

Więźniowie wpadli nawet na pomysł, by po prostu siedzieć w tunelu po ciemku, ale Dubois zbyt szybko mógłby się zorientować, że produkcja uległa wstrzymaniu. Więźniowie musieliby się wówczas tłumaczyć, dlaczego nie poinformowali go zawczasu... To nie było dobre rozwiązanie.

W kalendarzu znalezionym w magazynie zobaczyli, że jest czwarty sierpnia. Do przybycia pomocy został im zatem co najmniej miesiąc. Tyle czasu kopalnia musiała działać.

Caleb usłyszał odgłos ciężkich kroków. To Dixon podszedł do niego, wycierając dłonie w spodnie.

W przeciwieństwie do Caleba, Phillipe’a czy Hillsythe’a inżynierowi odgrywanie komedii nie przychodziło łatwo. Naprawdę musiał się starać, by wypaść przekonująco. Caleb dał mu chwilę odsapnąć, po czym wyszeptał:

– Gotowy?

Dixon pokiwał głową i wyciągnął z kieszeni spodni plik papierów.

– Pójdę do magazynu. Proszę zaczekać, aż znajdę się na wysokości schodów na galerię, i wtedy mnie zawołać.

Na galerii wylegiwali się Cripps i dwóch jego ludzi.

Caleb kiwnął głową na znak, że zrozumiał.

– Powodzenia.

Dixon ominął palenisko i zdecydowanym krokiem skierował się w stronę magazynu. Głowę miał opuszczoną, wzrok wbity w kartkę, którą trzymał w ręce.

Caleb wyszedł z kopalni i z lampą w dłoni rzucił się za nim biegiem.

– Inżynierze!

Dixon zatrzymał się – na wprost schodów na galerię, tuż przed nosem Crippsa i dwóch najemników – i odwrócił. Zobaczył lampę i zmarszczył brwi.

– Jeszcze jedna?

Caleb stanął przed nim, wzruszając ramionami.

– To pewnie przez te dodatkowe godziny.

Zrezygnowany inżynier wziął od niego lampę.

– Zaraz napełnię, niech pan zaczeka.

– Zaczekam przy kopalni.

Dixon kiwnął głową, znów wbił wzrok w kartkę i ruszył do magazynu.

Caleb wolał nie ryzykować, odwrócił się więc i odszedł. Stanął oparty o belki obramowujące wejście do tunelu, przyglądając się noskom swoich butów.

Usłyszał, że coś się porusza w mroku za jego plecami. Opuścił głowę i zerknął w głąb kopalni. Zobaczył, że Hillsythe z Phillipe’em podeszli bliżej, by obserwować rozwój sytuacji. Najwyraźniej uznali, że będą nieopodal, aby w razie czego wesprzeć Dixona. Nie wiadomo jednak, w jaki

sposób mieliby to zrobić – tej części przedstawienia nie zdążyli przećwiczyć.

Kilka minut później Dixon zgodnie z planem wyszedł z magazynu z lampą, której szklany zbiornik był wypełniony tylko do połowy. Wetknął papiery do kieszeni i ze zmarszczonym czołem pomaszerował do koszar.

Wszedł na galerię, zignorował Crippsa i jego ludzi i ruszył prosto do otwartych drzwi – Dubois wyraźnie zaznaczył, że inżynier ma o wszystkim informować go bezpośrednio. Zastukał we framugę.

Jakby w odpowiedzi na pytanie, które padło ze środka, Dixon uniósł lampę.

– Właśnie ją napełniłem. – Słowa inżyniera ledwo było słychać. – Pracujemy dłużej, więc olej szybciej się zużywa, ale nie o to mi chodzi. Czy ktoś już pana poinformował, że zapasy się kończą?

Nawet z tej odległości usłyszeli wściekły ryk Dubois:

– Co takiego?!

Chwilę później Dixon się odsunął i w drzwiach pojawił się komendant. Zanim zdążył wyjść na galerię, Cripps i dwaj jego kompani zerwali się na równe nogi. Stanęli nieruchomo w pozycji, która pewnie ich zdaniem była postawą zasadniczą.

Na ich widok gniew Dubois jeszcze wzrósł. Obrzucił ponurym wzrokiem lampę w dłoni inżyniera i naskoczył na Crippsa.

– Jak, u diabła, mogłeś pozwolić, żeby się wyczerpały zapasy oliwy?! Czy naprawdę otacza mnie banda

niekompetentnych idiotów?! A w dodatku siedzą mi na karku cholerni mocodawcy! – Wściekłość sprawiała, że jego zgrzytliwy głos rozchodził się po całym obozie. – Wspominałem ci o liście, którzy przyniósł Arsene. Chcą więcej diamentów! Mamy wysyłać większe transporty! Tego domagają się od nas ludzie, którzy nam płacą, i to, pozwól, że ci przypomnę, bardzo przyzwoicie. A teraz, kiedy nareszcie moglibyśmy wysłać im diamenty zamiast wymówek… kończy się nam olej!

Zacisnął dłonie w pięści, rozluźnił je, a potem jeszcze raz zacisnął.

Dixon odchrząknął.

– Prawdę mówiąc, to nie jest niczyja wina. Zawiodła raczej logistyka. – Spojrzał na lampę, którą trzymał w dłoni, żeby nie patrzeć w twarz komendanta. Mówił spokojnym tonem eksperta wyjaśniającego pewną zawiłość laikowi. – Złożyło się na to kilka czynników: skoro więcej osób pracuje w kopalni, trzeba palić więcej lamp. Wydłużone godziny pracy sprawiają, że codziennie korzystamy z lamp o połowę dłużej. – Wzruszył ramionami. – Nic dziwnego, że olej się skończył. Trzeba było podwoić zamówienie, gdy zaczęliśmy pracować dłużej.

Caleb wyprostował się i nieśpiesznym krokiem ruszył w stronę koszar.

Dixon wprawdzie tego nie powiedział, ale zważywszy na fakt, że to Dubois wydawał zlecenia, z całej tej przemowy wynikało, że komendant powinien był przewidzieć wzrost

zapotrzebowania na olej. Jeśli kogokolwiek należało winić za obecną sytuację, to właśnie jego.

Cripps na przykład świetnie to zrozumiał i na jego twarzy – podobnie jak na twarzach jego ludzi – pojawił się wyraz ulgi.

Caleb dotarł do schodów wiodących na galerię. Spojrzał na Dixona i wskazał na lampę.

– Mogę? – Kiwnął głową w kierunku kopalni, gdzie Phillipe i Hillsythe czekali przy wejściu. – Musimy wracać do pracy.

– Proszę. – Dixon podszedł do szczytu schodów i podał mu lampę.

To pozwoliło Dubois odetchnąć – i opanować gniew. Miało mu również pokazać, że więźniowie całą uwagę skupiają na pracy i nic innego ich nie obchodzi.

Dubois przeniósł wzrok na Caleba, a potem na obu mężczyzn stojących u wejścia do kopalni. Przyglądał się im przez chwilę, po czym odwrócił się do Dixona.

– Ile oleju zostało?

Inżynier się skrzywił.

– Niewiele.

– Ile uda nam się zrobić z tą ilością, kiedy Cripps pójdzie uzupełnić zapasy?

Dixon zastanawiał się przez moment, po czym odrzekł:

– Ze względu na wydłużone godziny pracy potrzebujemy więcej oleju. Kobiety w oczyszczalni nie mogą pracować przy sztucznym świetle, dlatego możemy zabrać stamtąd dwie lampy. Sprawdzę też w innych barakach i zobaczę, co

mi się uda znaleźć, ale podejrzewam, że niewiele. – Spojrzał na Dubois. – Nie możemy ryzykować i pracować przy słabym oświetleniu, bo w ten sposób uszkodzimy mnóstwo kamieni, a tego pańscy mocodawcy przecież by nie chcieli. Nawet budowa dalszej części korytarza wymaga, żebyśmy widzieli, co robimy, bo inaczej zwalimy sobie na głowę całe wzgórze i pogrzebiemy kopalnię.

Zamilkł, jakby coś w myślach rachował.

– Możemy nadal pracować, ale w dużo wolniejszym tempie. Na pewno nie uda nam się utrzymać produkcji na pełen gwizdek, w każdym razie nie w kopalni. Ale na szczęście wydajność oczyszczalni wzrośnie, gdy tylko wróci Arsene, więc ta zwłoka nie będzie miała wpływu na końcowy rezultat. Niezależnie od tego zadbam, żebyśmy oszczędnie korzystali z oleju.

Fakt, że Dubois przyjął jego zapewnienia jedynie skinieniem głowy, świadczył o tym, jak dobrze Dixon odgrywał swoją rolę przez ostatnie miesiące. I mimo że komendantowi cała ta sytuacja się nie podobała, to jednak ją zaakceptował.

Odwrócił się do Crippsa.

– Idź do kolonii – wycedził przez zaciśnięte zęby – i przynieś olej. Dużo oleju.

– Przyda się też więcej lamp… – Zły na siebie Caleb zacisnął usta.

Dubois popatrzył na niego i uśmiechnął się niczym rekin.

– Jak słusznie zasugerował kapitan, zdobądź też więcej lamp. A także żywność.

Uważnie spojrzał na Caleba, zaczekał, aż ten uniesie wzrok.

– Dziękuję za tę sugestię, kapitanie Frobisher.

Caleb zmarszczył brwi, szczerze zaskoczony.

– Żywność?

Na twarz Dubois powrócił uśmiech rekina.

– Muszę mieć pewność, że kiedy Cripps zjawi się tu z zaopatrzeniem, pan i reszta towarzystwa będziecie w jak najlepszej formie, żeby pracować przy wydobyciu z maksymalną prędkością.

Nie powiedział tego na głos, ale ostrzeżenie „żadnych więcej wymówek” zawisło w powietrzu.

Caleb wzruszył ramionami. Z lampą w ręce odwrócił się i pomaszerował z powrotem do kopalni. Wiedział, że większa liczba lamp nie wpływie na wydobycie. W rzeczywistości dzięki temu olej szybciej się będzie zużywał. A na zapasy żywności nie ma co narzekać.

Najważniejsze jednak, że jego sztuczka się udała. Słowa, które niby to mu się wymsknęły, przekonały Dubois, że w całej tej historii nie ma nic dziwnego.

Że więźniowie nie mieli nic wspólnego z faktem, że zapasy oleju nagle się skończyły.

Zbliżając się do wejścia, przy którym czekali Phillipe i Hillsythe, Caleb sam uśmiechnął się niczym rekin.

* * *

Wieczorem, kiedy zrobiło się chłodniej, Katherine i Caleb wybrali się na przechadzkę wokół obozu – zgodnie ze swoim zwyczajem poruszali się w kierunku przeciwnym do

wskazówek zegara. Harriet i Dixon oraz Annie i Jed również zażywali ruchu, natomiast Gemma, Ellen i Mary spędzały czas w otoczeniu pięciu ludzi z drużyny Caleba i Phillipe'a.

Gdy zbliżyli się do baraku medycznego, zauważyli dwóch strażników patrolujących teren wokół stert odrzutów.

– Czy Dixon zdołał już oszacować, jak bardzo uda się nam zwolnić? – szepnęła Katherine. – Czy dostatecznie długo przeciągniemy działalność kopalni?

Pokręcił głową.

– Całe popołudnie próbowaliśmy wymyślić jakąś historyjkę, dzięki której Dubois uwierzyłby, że kopalnia pracuje tak szybko, jak to możliwe. Postanowiliśmy, że tą resztką paliwa, która nam została, oświetlimy jeden odcinek korytarza, ten najbliżej wylotu, dobrze widoczny dla strażników, i tam będziemy pracować. Taką właśnie propozycję nasz inżynier przedstawi komendantowi. Równocześnie jednak, o czym Dubois nie będzie wiedział, wyślemy grupę ludzi w głąb pierwszego chodnika. Nie ma tam wprawdzie diamentów, ale jest ruda, którą wymieszamy z urobkiem z drugiego złoża. Zamierzamy odłożyć jak najwięcej diamentów, a równocześnie wciąż wypuszczać z kopalni dość kamieni, żeby ani Dubois, ani nikt inny nie poczuł się zaniepokojony.

Pokiwała głową.

– Rozumiem, ale czy to wystarczy?

– Pewnie nie, Dixon jednak ma nadzieję, że gdy zejdziemy niżej, zyskamy dostęp do równie bogatych pokładów, które pozwolą nam doczekać przybycia pomocy. – Widząc jej

niepewną minę, dodał: – Tylko ograniczona liczba osób może pracować przy wydobyciu kamieni w drugim korytarzu. Kiedy Cripps wróci i produkcja znów ruszy pełną parą, zaledwie połowa mężczyzn znajdzie zatrudnienie. Teraz, gdy pierwsze złoże zostało właściwie wyczerpane, spora grupa będzie bezczynna. Jeśli zyskamy dostęp do dalszej części nowych pokładów...

– Dubois każe pracować wszystkim naraz. – Pokiwała głową. – Dlatego musicie opóźnić dalszą budowę, dopóki odcinek na wyższym poziomie nie zostanie w dużej części wyeksploatowany.

– Albo dopóki nie upewnimy się, że na obu poziomach jest dość kamieni, żeby wystarczyło nam do września. – Skrzywił się. – Na razie jednak korytarz na niższym poziomie nie jest gotów na tyle, żeby Dixon mógł tam zejść i oszacować złoże. Kiedy to zrobi, będziemy wiedzieć, na czym stoimy, i mam nadzieję, że zyskamy powód, żeby czuć się bezpiecznie.

Westchnęła i spojrzała przed siebie.

– To będzie wielka ulga móc się nareszcie poczuć bezpiecznie.

– Masz rację.

Minęli oczyszczalnię. Strażnicy, którzy okrążali sterty odrzutów, poszli dalej. Caleb rozejrzał się, ale nikogo więcej nie było widać. Znajdowali się poza zasięgiem wzroku wartowników na wieży. Skręcił w stronę schodków prowadzących do baraku.

Katherine uniosła skraj sukni i wdrapała się za nim na górę.

Zastanawiając się, czy przypadkiem któraś inna para nie wpadła na ten sam pomysł, Caleb otworzył drzwi i obrzucił wzrokiem wnętrze oczyszczalni. W świetle księżyca wpadającym przez okna w dachu zobaczył, że jest puste. Pchnął szerzej drzwi, wciągnął Katherine do środka i zamknął je za sobą na zasuwkę.

Odwrócił się, a ona otoczyła go w pasie rękoma i wspięła się na palce. Gdy instynktownie pochylił głowę i złapał ją w talii, podała mu usta.

Kilka dni. Znali się zaledwie kilka dni, a mimo to dotyk jej warg, smak pocałunku wydawały się tak znajome. Jakby stanowiły część jego samego – naturalne dopełnienie jego potrzeb i pragnień.

Podejmując się tej misji, nie spodziewał się, że spotka go coś takiego. Miał zaledwie dwadzieścia osiem lat – mnóstwo czasu, żeby się ustatkować. Declan wprawdzie ożenił się w wieku trzydziestu jeden lat, rok starszy zaś od Caleba Robert, sądząc po jego dzienniku, zamierzał wkrótce pójść w jego ślady, ale Royd, trzydziestoczteroletni, wciąż pozostawał kawalerem, dlaczego więc on miałby się śpieszyć?

Dlatego że ona była tu, w jego ramionach.

Dlatego że gdy całowała jego, a on ją, była tylko ta chwila – nic więcej się nie liczyło. Tylko ona, on i to, co się między nimi rodziło.

A także dlatego że człowiek nie może uciec przed swym losem, Caleb zaś wiedział, że właśnie Katherine była jego przeznaczeniem.

Wiedział to od samego początku i dlatego zdecydował się z tym nie walczyć, tylko płynąć z prądem.

Teraz zaś ona i ów prąd porywały go ze sobą.

I wiodły prosto na morze namiętności.

Zaspokajając pragnienie, jakiego nigdy wcześniej nie czuła, Katherine rozchyliła usta i przyjęła jego pocałunek; rozkoszowała się własną śmiałością – i jego zuchwalstwem, gdy brał to, co mu dawała.

Z ramionami na szyi Caleba zaczęła się cofać, pociągając go za sobą na środek pomieszczenia, aż jej plecy natrafiły na krawędź stołu.

Nie przerwali pocałunku, który pochłaniał ich bez reszty, ale poczuła, jak jego ręka łapie ją mocniej w pasie i unosi do góry. Przywarła do Caleba kurczowo, nie pozwalając, by ich wargi się rozłączyły.

Chwilę później zarzucił jej spódnicę na kolana i rozsunął uda, żeby móc między nimi stanąć. Przysunął się bliżej.

Oddech uwiązł jej w piersi. Nagły powiew chłodniejszego powietrza na nagich nogach połaskotał jej skórę, pobudził zmysły. Ujęła w dłonie jego twarz i przytrzymała, całując go z żarem, jakiego się u siebie nie spodziewała.

Caleb odpowiedział na jej żar jękiem rozkoszy. Przez kilka chwil pozwolił jej się bawić, cieszyć, kierować nim, potem jednak jego usta stwardniały i to on przejął kontrolę.

Puścił jej talię, przesunął ręce w górę i zamknął na jej piersiach.

Katherine przestała myśleć, jej umysłem całkowicie owładnęło uniesienie.

Być może była bezwstydna, witając z taką radością jego ręce – gładzące, pieszczące i biorące w posiadanie jej ciało – ale ich dotyk sprawił, że w jej żyłach zaczął krążyć ogień namiętności. A gdy poczuła jego palce na sutkach, przeszedł ją cudowny dreszcz i całe podbrzusze ogarnęła fala ciepła.

Caleb dał się porwać chwili, zatonął w tej cudownej wyprawie w rejony nieziemskiej błogości. Nareszcie mogli się cieszyć sobą i na krótki moment uciec z tego świata.

Z dala od tego, co niosła rzeczywistość. Z dala od tego, czego nie mogli przewidzieć ani kontrolować, ale czemu oboje mieli nadzieję stawić czoło.

Żeby przeżyć – po to by iść dalej.

Pieścił jej ciało i cieszył się z ognia, jaki w niej rozpalał. Jego pocałunki stały się natarczywe, zaborcze, a jej gwałtowna reakcja zdumiała go i zachwyciła. Zanim zdążył pomyśleć, odnalazł sznurówkę jej sukni. Kilka szybkich ruchów wystarczyło, by rozluźnić stanik i ściągnąć go w dół. To samo zrobił z cienką koszulką i po chwili mógł wsunąć całą rękę, by objąć nagą pierś.

Oboje zamarli, porażeni intensywnością doznań.

Pochylił się, by ją pocałować, a ona wyszła mu na spotkanie. Wplotła palce w jego włosy i ponaglając, przyciągnęła go do siebie.

Nie potrzebował ponaglenia.

Zmysły Katherine oszalały, pijane z rozkoszy. Czuła, że jej ciało jest rozpalone, a piersi nabrzmiałe od pieszczot. Mój Boże! Bała się, że tego nie zniesie, że jej nerwy nie poradzą sobie z tyloma doznaniami, a jednak krew tętniąca w żyłach pchała ją dalej.

Tak łatwo mogłaby się w tym zatracić wraz z nim. Jakaś odległa część jej mózgu wydawała się nieco zdziwiona, że Katherine nie czuje wstydu ani zażenowania. Ta bliskość i wspólnota były dla niej po prostu czymś nowym i przez to atrakcyjnym. Owszem, czuła się niepewnie, ale tylko dlatego, że nie wiedziała, co będzie dalej i co jest właściwe. Musiała polegać na swoim instynkcie. Nade wszystko jednak owa bliskość i wspólnota z Calebem były czymś słusznym.

Tu, razem z nim, była na swoim miejscu.

Połączony z nią w pocałunku Caleb zorientował się, w którą stronę zmierza, i z radością podążył za nią. Usłuchał. Jej skóra, tak jedwabista i ciepła pod jego stwardniałymi dłońmi, niosła obietnicę rozkoszy, cudownego spełnienia.

Oderwał wargi od ust Katherine i począł nimi wędrować w dół wysmukłej szyi. Wycisnął pocałunek w miejscu, gdzie mocno pulsowała krew, i ruszył dalej w kierunku spęczniałej piersi. Tam gdzie jego palce drażniły nabrzmiały sutek.

Końcem języka obrysował go i delikatnie polizał – słyszał, jak oddech więźnie jej w gardle, i poczuł palce wbijające

mu się w głowę.

Uśmiechnął się zadowolony. Nietrudno było zaspokajać jej pragnienia – komunikowała je wyraźnie naciskiem palców we włosach i cichym jękiem.

Ten dźwięk prowokował jego zmysły, wzbudzał pragnienia i rodził potrzeby. Jednak mimo jej żarliwości, mimo jawnej zachęty, pamiętał, że znali się dopiero kilka dni i że to za mało, by ją uwieść.

Mężnie odsunął od siebie wszystkie podszepty pragnienia, uniósł głowę, odnalazł jej usta i zatracił się w pocałunku. Jego ręce wróciły do pieszczenia jej piersi. Na razie tyle musiało wystarczyć.

Nie spodziewał się, że będzie protestowała. Przysunęła się bliżej, rozsuwając szerzej uda. Wyjęła dłonie z jego włosów i sięgnęła po koszulę.

Zanim zdążył zareagować, uniosła ją i wsunęła pod spód dłonie, wodząc spragnionymi, zachłannymi palcami po jego ciele.

Jej dotyk palił go, pobudzał, porażał – przenosił na inny poziom namiętności. Kto tu kogo uwodził?

Nagle jej dłonie powędrowały w dół. Przywarły do jego brzucha. Ich dotyk był przedziwnie niewinny, nieśmiały, a jednak stanowczy. Z lubieżną powolnością zaczęły przesuwać się jeszcze niżej.

Nie przerywając pocałunku, złapał te ruchliwe ręce i uwięził w uścisku.

Pochylił głowę i pocałował ją – gorąco jak nigdy dotąd.

I właśnie wtedy zrozumiał, że to los przywiódł go tutaj – do niej i do tego, co się zdarzyło.

Do tej chwili przebudzenia.

Oto nareszcie widział, co to znaczy pożądać, pragnąć, potrzebować jednej kobiety.

Pojął, że jego przeznaczenie jest nierozerwalnie związane właśnie z nią.

I że nie istnieje nic, czego by nie zrobił, czego by nie oddał, żeby ją chronić. Aby ostatecznie oboje mogli się upomnieć o to, co było im pisane.

Oderwał się od jej ust.

Oddech miał płytki, urywany.

Jej wargi były opuchnięte, czerwone i błyszczące.

Uniosła powieki i spojrzała na niego wielkimi, pełnymi żaru oczami.

Jęknął, zamknął oczy i oparł czoło o jej czoło.

– Kate.

– Caleb?

Cierpiał, a mimo to... Kosztowało go to niemało wysiłku, w końcu jednak udało mu się znaleźć w sobie dość siły, by powiedzieć:

– Nie tutaj. Nie teraz.

Znów podniosła na niego wzrok.

Odpowiedział jej zdecydowanym spojrzeniem.

– Później. Pragnę cię. Po tym wszystkim, kiedy będziemy już wolni, chcę cię poprosić – i zrobię to – żebyś została moją żoną. Ale nie tutaj, nie teraz.

Kate. Tylko on ją tak nazwał – tylko on jeden dostrzegł, co kryło się w jej wnętrzu. Kiedyś tak właśnie o sobie myślała: Kate. Tak miała na imię kobieta, którą chciała zostać. Wszyscy inni jednak zwracali się do niej „Katherine”. Nigdy ich nie poprawiała. A odkąd zmarła jej matka, sama tak o sobie myślała. Katherine – oficjalnie i poprawnie.

„Chcę cię poprosić – i z robię to – żebyś została moją żoną”.

Spojrzała mu w oczy i zobaczyła, że za tymi słowami kryje się prawdziwe zobowiązanie. Mógł ją wykorzystać, a ona zgodziłaby się na to z radością. Ale oczywiście tego nie zrobił. Nie on.

Nie człowiek, w którym Kate zdążyła się zakochać.

– Tak. – Nie spuszczając wzroku, wypowiedziała tylko to jedno słowo.

Na jego twarz wypłynął zuchwały uśmiech – taki sam jak wtedy, kiedy spotkali się pierwszy raz.

– I masz rację – szepnęła, a on rozluźnił uścisk, uwalniając jej palce.

Cofnął się, pozwalając, by ześlizgnęła się ze stołu.

Poprawiła suknię i szybko zawiązała sznurówkę, on zaś schował z powrotem koszulę w spodnie. Uśmiechnęła się, wspięła na palce i musnęła wargami jego usta.

– Po tym wszystkim. – Spojrzała mu w oczy. – Dokończymy to, kiedy odzyskamy wolność.

Piętnaście

Arsene wrócił z nowymi narzędziami dla kobiet po zaledwie czterech dniach. Gdy tylko przekroczył bramę obozu, Cripps wraz z czterema najemnikami wyruszył po zapasy oleju do lamp i inne sprawunki.

Kate – znów tak właśnie o sobie myślała – wcale nie poczuła się zdziwiona, kiedy Dubois osobiście zjawił się w oczyszczalni z nowymi narzędziami. Położył je na stole i powiódł zimnym wzrokiem po twarzach kobiet, spoglądając każdej w oczy. Na koniec wbił wzrok w twarz Kate.

– Będziecie pracować od świtu do zmierzchu przez cały czas, kiedy jest światło. Tylko pani i… – Zerknął na Annie.

– Panna Mellows – podpowiedziała Kate.

– Tylko wy dwie będziecie mogły codziennie wyjść na godzinę, żeby sprawdzić pracę dzieci. Zaraz potem wrócicie do oczyszczalni. Koniec ze spacerami w ciągu dnia, dopóki światło jest dobre do pracy. Jasno się wyraziłem?

Żadna się nie odezwała, wszystkie tylko pokiwały głowami.

Kate zaczekała, aż na nią spojrzy, i również przytaknęła.

– Całkiem jasno.

Wprawdzie nie było jej jeszcze w obozie, gdy Dubois pozwolił swoim ludziom tak straszliwie potraktować tamtą młodą dziewczynę, dostrzegła jednak cień w oczach

Harriet. Ani ona, ani żadna inna kobieta nie zamierzały z własnej woli prowokować Dubois, wszystkie zaś słyszały o liście, który niedawno dostał od swoich tajemniczych mocodawców.

Dubois spoglądał na nią wymownie przez chwilę, po czym, jakby przyjmując jej zapewnienie za dobrą monetę, pokiwał głową.

– Znakomicie. Będziecie pracowały tak długo i szybko, jak to możliwe, dopóki nie skończą się zapasy kamieni do oczyszczenia.

Kobiety zaczekały, aż wyjdzie, po czym Gemma podeszła do otwartych drzwi, wyjrzała na zewnątrz i potwierdziła, że komendant rzeczywiście wrócił do koszar, a w pobliżu nie ma żadnych wartowników.

Dopiero wtedy usiadły na stołkach. Miny miały nietęgie, niektóre mruczały coś pod nosem. Zrezygnowana Kate wzięła nowe narzędzia, posortowała je i rozdała pozostałym.

Przycupnięta po drugiej stronie stołu Harriet spojrzała jej w oczy.

– Co teraz zrobimy?

Katherine uniosła brwi. Sięgnęła do stojącego obok koszyka, wyjęła sporą bryłkę i zaczęła obracać ją w palcach, szukając miejsca, gdzie konkrecja stykała się z diamentem. Po chwili powiedziała ściszonym głosem:

– Będziemy pracowały, tak jak nam kazał Dubois. W takim samym tempie jak zawsze i w ustalonym przez niego czasie.

Ja zaś porozmawiam z Frobisherem i Lascelle’em na temat ich pomysłu.

– Masz na myśli schowki z płótna? – spytała przyjaciółka. Twarz jej pojaśniała.

Kate pokiwała głową.

– Póki Dubois lub jego ludzie nie zaczną liczyć kamieni trafiających do oczyszczalni, skąd mieliby wiedzieć, ile diamentów ją opuszcza.

* * *

– Dopóki Cripps nie wróci z zapasem oleju – powiedział Caleb – pracujemy na krótszych zmianach, więc możemy przyjść z Phillipe’em i zobaczyć, co się da zrobić w sprawie skrytek pod stołkami.

Razem z Kate – bo tak ją teraz nazywał, zresztą to imię lepiej pasowało do jego kobiety niż Katherine – siedzieli przy ognisku w otoczeniu reszty więźniów. Właśnie skończyli mizerny posiłek, na który składał się kawałek mięsa i to, co w tej części świata uchodziło za chleb. Przynajmniej wody mieli pod dostatkiem.

– Całe szczęście, że możemy pracować tylko przy dziennym świetle.

– To prawda. Ale musicie wyraźnie zmniejszyć tę stertę przed oczyszczalnią. – Caleb przez chwilę obracał kubek w dłoniach, po czym powiedział: – Lepiej, jeśli zapełnicie tę skrzynkę nieco szybciej niż wcześniej, zanim powstały zaległości.

– Masz rację. Nowe narzędzia na pewno nam w tym pomogą. – Kate spojrzała mu w oczy. – Ale właśnie ze

względu na wielkość tej sterty możemy przyspieszyć produkcję, tak jak tego oczekuje Dubois, i równocześnie odłożyć całkiem przyzwoity zapas kamieni na czarną godzinę.

Dixon, który siedział obok Harriet i przysłuchiwał się ich rozmowie, nachylił się bliżej.

– Harriet wspomniała, że zamierzacie zrobić schowki z płótna. W magazynie są upchnięte stare żagle. Jeśli powiecie, czego wam trzeba, mogę przygotować kilka kawałków. Łatwiej wynieść pocięte płótno niż cały żagiel.

Caleb zawołał Phillipe’a i razem z kobietami oszacowali rozmiary kieszonek, które chcieli umocować pod stołkami.

Inżynier pokiwał głową.

– Postaram się wygospodarować jutro rano trochę czasu i wszystko przyszykuję.

Caleb zerknął na Kate.

– Wpadniemy do was w południe razem z Phillipe’em i je zamocujemy. Zajmie to pewnie góra dziesięć minut.

– Może lepiej przyjdźcie wtedy, kiedy razem z Annie pójdziemy do dzieci. – Spojrzała Calebowi w oczy. – Mniejsza szansa, że któremuś ze strażników wpadnie do głowy sprawdzić, co robicie.

– I tak będziemy się pilnować – powiedziała Harriet. – Ale zgadzam się z Katherine. Lepiej, jeśli się zjawicie, kiedy jej i Annie nie będzie.

Caleb pokiwał głową. Powinni zrobić wszystko, by Dubois nie nabrał podejrzeń, zwłaszcza gdyby miały one dotyczyć Kate.

Kiedy już to uzgodnili, zaczęli omawiać kwestię pracy w kopalni. Wszyscy chcieli wiedzieć, ile czasu minie, zanim Dixonowi uda się zejść na niższy poziom i potwierdzić to, na co mieli nadzieję – że pokłady diamentów są tam równie bogate jak wyżej i że kopalnia będzie mogła działać bez przeszkód, dopóki nie przybędzie ratunek.

Dla nich wszystkich.

Odkąd padła data siódmego września, Kate odliczała dni. Dziś był piąty sierpnia, potrzebowali więc czterech tygodni – czterech tygodni spokojnej, niczym niezakłóconej pracy.

Zdaniem Dixona, Caleba i pozostałych mężczyzn jutro w ciągu dnia powinno im się udać na tyle podeprzeć wydrążony tunel, że inżynier będzie się mógł tam wczołgać i ocenić jakość pokładów.

Do wieczora będą zatem wiedzieć, na czym stoją.

Będą wiedzieć, czy są bezpieczni i uda im się dotrwać, aż przybędzie pomoc, czy też ich życie wciąż będzie wisiało na włosku.

Kate modliła się, żeby im się udało, i była pewna, że nie jest jedyną osobą, która zanosi o to modły do Wszechmocnego.

Wreszcie nadszedł czas powrotu do kopalni i Dixon zaczął ich zaganiać do roboty. A choć reszta odburkiwała coś na jego ponaglenia i krzywo patrzyła, wszystko to było na pokaz.

Kiedy Caleb się podniósł, Kate również wstała.

Spojrzał na nią, zawahał się, po czym wsunął jej kosmyk włosów za ucho.

– Lepiej będzie, jeśli spróbujesz złapać jak najwięcej snu. Od tej pory będziecie pracować pod większą presją, a my też chcemy zrobić jak najwięcej, żeby móc w końcu podeprzeć dolny korytarz.

Zmarszczyła brwi.

– Nie będziecie musieli przerwać pracy z powodu braku oleju?

Dubois kazał Dixonowi wprowadzić system racjonowania paliwa, żeby ci, którzy wydobywali kamienie, mogli utrzymać szybkie tempo produkcji. Rozkazał też Arsene’owi, by nadzorował wydzielanie dziennych racji, żeby robotnicy, których praca miała zdaniem komendanta mniejsze znaczenie, mieli ograniczony dostęp do światła.

Caleb się skrzywił.

– To prawda, ale i tak będziemy pracować tak długo, jak się da.

Wprawdzie przez ostatnich kilka dni spacerowali wieczorami, zanim się udali na spoczynek, ale po tym, co zaszło między nimi ostatniej nocy, może lepiej będzie, jeśli się nie spotkają. Spojrzała mu w oczy i pokiwała głową.

– W porządku. – Dotknęła jego ramienia. – Do zobaczenia rano.

Skinął jej głową, odwrócił się i dołączył do pozostałych mężczyzn, którzy ponaglani przez inżyniera wracali grupkami do kopalni.

Patrzyła za nim, dopóki nie zniknął w głębi tunelu, po czym dołączyła do Harriet i pozostałych kobiet siedzących przy ognisku. Gawędziły i pilnowały dzieci, które

rozmawiały w grupkach. Kate nie wiedziała, ile zrozumiały młodsze, jednak po twarzach starszych można było poznać, że aż za dobrze orientowały się, co się dzieje.

Przyszedł Diccon i usiadł, oparty plecami o jej nogi. Kate uśmiechnęła się do chłopca, choć w ciemnościach nie mógł tego zobaczyć, i zaczęła delikatnie gładzić go po płowej czuprynie.

Po godzinie dzieci bez szemrania zgodziły się iść spać. Rzadko kiedy się sprzeciwiały. Praca, którą wykonywały, była żmudna, męcząca i nudna. Sen był dla nich ucieczką w marzenia, z pewnością lepsze od rzeczywistości.

Katherine razem z pozostałymi kobietami zaprowadziły je do baraku i pomogły im się ułożyć w hamakach. Każdy owinęły cienką moskitierą i po chwili większość dzieci już spała, oddychając równo, one zaś czuwały nad ich bezpieczeństwem.

Wreszcie kobiety również wyciągnęły się w hamakach. W baraku powoli zapadała cisza, której towarzyszył delikatny szmer oddechów trzydziestu osób, od czasu do czasu przerywany nawoływaniem jakiegoś nocnego zwierzęcia polującego poza granicami obozu.

Kate leżała w ciemnościach, jej myśli podążały ścieżkami, które porzuciła ponad trzy lata temu. Kiedy matka zachorowała, Kate wycofała się z życia towarzyskiego, by się nią opiekować. Właśnie wtedy ostatecznie i – jak sądziła – w sposób przemyślany zrezygnowała z myśli o małżeństwie. W rzeczywistości jednak jej stosunek do tej

instytucji zmienił się w dniu, kiedy jej lekkomyślny ojciec zmarł, zostawiając je z matką po uszy w długach.

Były samotne, a świat wrogi.

Jednej rzeczy nigdy nie potrafiła zrozumieć: uczucia, jakim jej matka darzyła tego utracjusza. Uczucia, którego nic nie było w stanie zmienić.

Jej matka kochała ojca, on zaś, mimo wszystkich swoich wad, też kochał ją szczerze. Pod tym względem nigdy nie był niestały.

Był po prostu sobą – człowiekiem, dla którego proza życia stanowiła trudność nie do pokonania.

A potem je zostawił.

W głębi serca Kate nigdy mu tego nie wybaczyła.

Wciąż obwiniała go o przedwczesną śmierć matki.

Uważała, że wszyscy mężczyźni są do niego podobni – uroczy, ale zupełnie nie można na nich polegać.

Dziewiętnaście dni temu poznała Caleba.

I zaczęła rozumieć, skąd się wzięło ogromne przywiązanie, jakim matka darzyła ojca. Teraz już wiedziała, co to znaczy kochać mężczyznę.

Gdzieś w głębi duszy jednak cichy głos dopytywał się wciąż, jak to możliwe, że aż tak się zakochała w ciągu zaledwie kilku tygodni. Czy to faktycznie miłość, i to taka, która będzie trwała, bez względu na to, co zrobi jej ukochany? A jeśli tak, to czy Kate rzeczywiście tego chce?

Czy w ogóle miała wybór?

Czy też tak jak jej biedna matka była skazana na to, że przystojna twarz i uroczy uśmiech zawrócą jej w głowie?

Do jakiego stopnia to ich sytuacja była odpowiedzialna za jej zauroczenie? A choć na te pytania nie znała odpowiedzi, wiedziała, że nie przypomina swojej matki. I że mimo nieufności do mężczyzn ma absolutną pewność, że Caleb nie jest taki jak jej ojciec.

Calebowi mogła wierzyć. Mogła na nim polegać.

Czy była gotowa zaufać mu na zawsze? Powierzyć mu swoją przyszłość, życie, samą siebie?

Wszystkie te kwestie sprawiały, że czuła się niespokojna i podenerwowana. Była pewna, że nie uda jej się szybko zasnąć.

Dlatego wstała z hamaka, wyplątała się z moskitiery i cichutko ominęła śpiące dzieci, kierując się w stronę przymkniętych drzwi. Nigdy nie zamykały ich do końca, żeby dzieci, jeśli obudzą się w nocy, widziały nikłe światło gwiazd i nie musiały się bać.

Wyślizgnęła się na zewnątrz i usiadła na maleńkim ganku.

Pozwoliła, by wszystkie pytania odpłynęły, opuściły jej umysł. Spojrzała w górę, na gwiazdy, które niczym diamenty lśniły na aksamitnym niebie. Odległe, przedwieczne konstelacje przypominały, jak nieistotne i ulotne jest porównaniu z nimi ludzkie życie.

Jej umysł błądził, próbując sobie przypomnieć nocne niebo nad Aberdeen, gdy wtem dobiegły ją męskie głosy. Ostatnia zmiana opuszczała właśnie kopalnię. Mężczyźni wracali do swojego baraku. Nie dostrzegła między nimi Caleba.

Ani Dixona i Lascelle’a.

Gdy ostatni górnicy dowlekli się do chaty i w obozie znów zaległa cisza, dostrzegła daleki błysk lampy – docierał z wnętrza kopalni.

Czekała.

Blask lampy stopniowo przygasał.

Po chwili zauważyła grupkę mężczyzn wyłaniających się z tunelu. Nieśli ostatnią latarnię, prawie całkiem już wyczerpaną. Byli wśród nich Caleb, Dixon i Lascelle.

Skierowali się w stronę swojego baraku. A choć Katherine nie poruszyła się ani nie zrobiła nic, by przyciągnąć ich uwagę, Caleb podniósł wzrok, spojrzał na drugi koniec obozu i ją dostrzegł.

Powiedział coś do Dixona i Lascelle’a, a potem ruszył w jej kierunku. Spotkali się u podnóża schodów.

Z kamiennym wyrazem twarzy złapał ją za rękę i nie zatrzymując się, pociągnął za sobą w głęboki cień.

Tam zatrzymał się, obrócił ją plecami do ściany, pochylił głowę i zmiażdżył ustami jej wargi.

Jego pocałunek był niczym eksplozja żaru i namiętności.

Natychmiast, w mgnieniu oka odwzajemniła mu się tym samym.

Chwyciła jego głowę, uwięziła ją w dłoniach i wszystko to, co w niej wzbudzał, wlała w swój pocałunek – jakby to była kwestia życia i śmierci.

I ów pocałunek niczym iskra wzniecił istną pożogę namiętności, rozpaczliwego pożądania.

Caleb jęknął, objął ją z całych sił i przycisnął do siebie.

Poczuła, jak ogarniają ją płomienie.

Puściła jego twarz i zarzuciła mu ręce na szyję. Przytuliła się do niego i razem zaczęli się unosić na fali niemal desperackiego pożądania.

Kate zrozumiała, że na tym wzburzonym morzu jest jego kotwicą. Jakiś kataklizm sprawił, że zgubił kurs, i potrzebował jej, żeby go odzyskać.

Uspokoiła się.

Powoli sztorm zaczął cichnąć.

Wciąż nie miała pojęcia, co tak wzburzyło Caleba.

Złapała go za ramiona i przyjrzała się badawczo jego twarzy.

– Caleb? Co się stało?

Nie otwierając oczu, przytknął czoło do jej czoła i wyszeptał:

– Jest źle, Kate. – Zaczerpnął powietrza. – Spuściliśmy Dixona na niższy poziom. Korytarz nie jest tam jeszcze oszalowany i to było niebezpieczne jak diabli, ale się uparł, żeby sprawdzić i... No cóż, mówi, że nie ma pewności, ale podejrzewam, że po prostu nie chce uwierzyć w to, co widział.

– Aż tak źle?

Wyprostował się i otworzył oczy.

– Jeszcze nie wiemy, ale sądząc po reakcji Dixona, pokłady na dole wyglądają zupełnie inaczej, niż się spodziewał. I niż tego potrzebujemy. Jutro będziemy mieć pewność. Musimy lepiej podstemplować korytarz, żeby porządnie zbadał całość.

– To znaczy, że mógł coś przeoczyć.

– Owszem, ale to mało prawdopodobne. W sprawach związanych z górnictwem nasz inżynier wie, co robi. Nie popełniłby takiego błędu.

Pierwszy raz widziała, żeby był tak przybity.

– Wymyślimy coś, przecież wiesz. – Zawahała się. – Zwykle to ty podnosisz innych na duchu.

Jeśli znowu tego nie zrobi, wszyscy jeńcy pogrążą się w rozpaczy.

Jego usta wykrzywiły się w ironicznym uśmiechu.

– Nie martw się. Do jutra wezmę się w garść i jak zwykle będę tryskał optymizmem.

Teraz jednak u niej szukał pociechy i wsparcia.

Poczuła, że ściska jej się serce. Chwyciła jego dłonie.

– Uda się nam.

Westchnął.

– Wiem, najmilsza. Wiem. – Po czym dodał ciszej: – Ale czasami nawet ja pytam losu, za jaką cenę.

* * *

Złe wieści zaczęły się rozchodzić wśród jeńców późnym popołudniem.

Podczas przerwy na obiad brakowało Dixona, Caleba, Phillipe’a, Hillsythe’a, Fanshawe’a i Hopkinsa, a także stolarzy i kilku innych mężczyzn, którzy pomagali przy budowie dalszej odnogi tunelu. Gdy Kate przyszła z Annie sprawdzić pracę dzieci, zaczepiła ją jedna z dziewcząt, Heather.

– Wie pani, czy to prawda?

Kate nie mogła nie odpowiedzieć.

– Nie jestem pewna. Jeszcze nic nie słyszałam. Dopóki kapitan Dixon nie powie nam, co odkrył, nikt tak naprawdę nie może mieć pewności. – Udało jej się nawet uśmiechnąć. – Najlepiej nie martwić się na zapas.

Odizolowane od reszty obozu kobiety aż do tej pory nic nie słyszały. Kate spostrzegła, że Caleb z Phillipe'em idą do oczyszczalni – mimo trudnej sytuacji w kopalni najwyraźniej nie zapomnieli o tym, że mieli przyszykować schowki pod stołkami.

Później, kiedy wracały do swojego baraku, Annie szepnęła:

– To była dobra rada, żeby się nie martwić na zapas. – Zerknęła w stronę kopalni. – Mam tylko nadzieję, że powiedzą nam wszystko szczerze i nie będą nic ukrywać.

Kate mogła jedynie przytaknąć.

Wieczorem, kiedy więźniowie zgromadzili się przy palenisku, panowała atmosfera przygnębienia. I to jeszcze zanim Dixon poinformował o swoich odkryciach. Rzut oka na twarze mężczyzn – ponure i napięte – wystarczył, by wszyscy domyślili się, że sprawy przybrały zły obrót.

Po kolacji, gdy naczynia zostały już odniesione, zmyte, odstawione na miejsce i jeńcy znowu zgromadzili się przy ogniu, to nie Dixon, tylko Caleb powiedział:

– Udało nam się podstemplować dalszą część drugiego korytarza i kapitan Dixon razem z kilkoma innymi osobami przeprowadzili inspekcję pokładów na niższym poziomie. To w zasadzie dalszy ciąg złoża, które już eksploatujemy.

Mówił spokojnie, rzeczowo. W jego głosie nie było słychać cienia niepokoju czy tym bardziej rozpaczy.

– Jak wiecie, w górnej warstwie złoże jest bardzo bogate i aż gęsto w nim od diamentów. Mieliśmy nadzieję, że podobnie będzie wyglądała dolna warstwa. – Powiódł wzrokiem po twarzach towarzyszy niedoli. – Niestety, ze względu na niewyjaśnione zjawiska geologiczne diamenty zostały wypchnięte w górę. Dlatego ogólny zasób kamieni w drugim złożu jest podobny do tego w pierwszym, przy czym niemal wszystkie znajdują się w tej części, którą odsłoniliśmy na początku.

Zamilkł, czekając, aż jego słowa dotrą do wszystkich.

– Co oznacza, że na niższym poziomie diamentów jest niewiele.

Kate, która tego wieczoru siedziała razem z pozostałymi kobietami po drugiej stronie ogniska, popatrzyła mu w oczy.

Przez chwilę wpatrywał się w nią, zaraz jednak przeniósł spojrzenie gdzie indziej.

– Najważniejszą, właściwie zasadniczą sprawą w tej sytuacji jest to, że tylko my wiemy, jak wygląda dalsza część złoża. Dubois i jego ludzie nie mają o tym pojęcia.

– Dlatego nie możemy się poddać, porzucić nadziei – kontynuował. – Jeszcze nie. Wciąż może się nam udać. I uda się. Musimy tylko pamiętać, że nie wolno nam sprowadzić Dubois do kopalni.

Znów na chwilę zamilkł.

– Komendant przeprowadził inspekcję drugiego korytarza sześć dni temu. Jeśli nadal będzie postępował zgodnie ze

swoim zwyczajem, nie powinien zjawić się wcześniej niż za sześć dni. W tym czasie opracujemy plan działania. Na razie nasze zapasy diamentów rosną z każdym dniem, poczyniliśmy też odpowiednie kroki, by gromadzić je w oczyszczalni. – Popatrzył na dzieci. – Jutro pan Hillsythe, porucznik Hopkins i panna Katherine przyjdą do was, żeby porozmawiać, jak ukryć pewną część urobku wśród odrzutów. Będziecie musiały być bardzo ostrożne, ale wasza pomoc jest niezbędna. Wszyscy mamy do odegrania swoją rolę – i jeśli będziemy działać wspólnie, uda nam się dotrwać aż do przybycia pomocy.

Zamilkł, a kiedy się odezwał, mówił jeszcze ciszej i spokojniej:

– To jest nasz cel i każdy musi o tym pamiętać. – Rozejrzał się, spoglądając po kolei wszystkim w oczy. – Damy radę. Uda nam się. Nie wolno wam o tym zapominać.

Kate czuła, że nastrój przy ognisku się zmienił. Pojawiła się duma i coś jeszcze – wykorzystując swój talent, Caleb sprawił, że miejsce rozpaczy zajęła może jeszcze nie nadzieja, ale na pewno zdecydowanie.

Dał im to, czego potrzebowali.

Stopniowo więźniowie zaczęli się dzielić na zwyczajowe grupki. Rozległy się przyciszone głosy rozmów. Wreszcie kobiety wstały, zebrały dzieci i zaprowadziły je do baraku.

Kate została. Okrążyła palenisko i stanęła obok Caleba, który rozmawiał z Hillsythe’em. Położyła mu rękę na ramieniu. Nie podnosząc wzroku, przykrył jej dłoń swoją i przytrzymał.

Kiedy mężczyźni skończyli i Hillsythe odwrócił się do Fanshawe’a, Caleb wstał.

Spojrzała mu w oczy.

– Dziękuję ci w imieniu nas wszystkich.

Na jego twarzy znów pojawił się ironiczny uśmiech.

– Nie ma za co. Na tym polega moja rola. Tym właśnie się zajmuję.

– Nie. Tym właśnie jesteś.

Bez niego oni wszyscy – więźniowie Dubois – załamaliby się. Gdyby się nie pojawił, gdyby nie został pojmany, co by się z nimi stało?

Mężczyźni wokół zaczęli się podnosić i kierować w stronę kopalni – szli na nocną zmianę. Zerknął na nich.

– Muszę iść.

– Wiem. – Nie pozwoliła mu odwrócić wzroku. – Przyjdź do mnie później. Będę czekała.

Twarz rozjaśnił mu ujmujący uśmiech. Uniósł jej dłoń do ust i pocałował.

– Dobrze.

Kiwnięciem głowy wskazała kopalnię.

– Idź już.

Puścił jej rękę i poszedł.

Kate ruszyła powoli przez ciemny obóz w stronę baraku kobiet.

* * *

O północy Caleb wyszedł z kopalni razem z resztą mężczyzn, którzy pracowali na ostatniej zmianie – jedna

grupa wydobywała diamenty z nowego korytarza, druga zaś fedrowała rudę na dalekim końcu drugiego tunelu.

Nie poszedł tak jak inni do baraku mężczyzn, tylko w stronę szczupłej postaci siedzącej na ganku przed barakiem kobiet.

Wstała i tak jak poprzedniej nocy spotkali się u podnóża schodów.

Dziś jednak otwarcie wtuliła mu się w ramiona, ich pocałunek zaś był dużo bardziej czuły i delikatny.

Wsunęła mu rękę pod ramię i bez słowa ruszyła na przechadzkę, tak jak to mieli w zwyczaju.

Zaskoczony pokręcił głową. Skąd wiedziała, że tego właśnie potrzebował? Zwykłego przypomnienia, że oto jest i na niego czeka. Obietnicy nadziei i pomocy.

Jej milczącego towarzystwa, wsparcia i ukojenia.

Czyżby go kochała?

Myślał, że tak. Na pewno miał na to nadzieję, bo sam darzył ją wielką miłością.

To wszystko jednak trzeba było odłożyć na później, tak jak uzgodnili. A teraz...

Westchnął i powiedział miękko:

– Muszę wracać.

Nawet na niego nie spojrzała.

– Do kopalni?

– Tak. Potrzebujemy planu.

Okrążyli koszary i znaleźli się na wysokości wejścia do kopalni. Zerknęła w tamtą stronę, ale nie dostrzegła światła.

– Zgasiliśmy lampy. Reszta ma na mnie czekać w głębi.

Chciała wysunąć rękę spod jego ramienia, on jednak przycisnął ją mocniej i przytrzymał.

– Odprowadzę cię do baraku.

Usłyszał rozbawienie w jej głosie, gdy zapytała:

– Czy to przejaw galanterii, czy nie chcesz, żeby strażnicy pomyśleli, że pozwalasz mi się włóczyć samej?

Zastanawiał się przez chwilę, po czym powiedział:

– A może jedno i drugie?

Roześmiała się.

Ten dźwięk rozbrzmiewał w jego głowie, gdy odprowadził ją na spoczynek, a potem przekradł się do kopalni.

Tuż przy wejściu natknął się na Jeda Mathersa i jeszcze jednego z więźniów.

– Stoimy na warcie – szepnął Jed. – Na wszelki wypadek, gdyby strażnikom strzeliło coś do łba i zechcieli się tu kręcić.

Caleb pokiwał głową. Klepnął Jeda w ramię i poszedł dalej, ostrożnie stawiając kroki w ciemnościach.

Brzemię dowództwa nie było dla niego niczym niezwykłym, nigdy jednak nie dźwigał aż takiego ciężaru. Przywykł brać odpowiedzialność za mężczyzn, jednak opieka nad kobietami i dziećmi to było zupełnie co innego.

Hillsythe uparł się, żeby to on, Caleb, wygłosił dzisiejszego wieczoru przemówienie do jeńców, a Dixon i reszta, w tym także Phillipe, który przecież znał go najlepiej, natychmiast się na to zgodzili.

Caleb jednak wiedział, że aby podnieść więźniów na duchu i porwać ich za sobą, musiał im obiecać, że nadejdą lepsze czasy.

Ludzie są w stanie wiele znieść, dopóki widzą światełko w tunelu. Teraz to on musiał znaleźć w tym tunelu drogę i wyprowadzić ich na zewnątrz.

Dotarł do pozostałych, którzy zatrzymali się jakieś pięć metrów za wlotem do drugiego korytarza. Lampa stojąca na ziemi była tak przykręcona, że zapewniała tylko leciutką poświatę. Stali w grupce, oparci o chropowate ściany, a blady płomyk oświetlał ich twarze od dołu, zmieniając je w wymizerowane maski.

– Rzuciliśmy jeszcze raz okiem na pokłady na niższym poziomie, zanim wyłączyliśmy lampy – szepnął Hillsythe.

– Zważywszy na to, że na tym odcinku kamienie praktycznie wypadają ze ściany – dodał Dixon – podejrzewam, że został nam tylko tydzień pracy. Może dziesięć dni, jeśli uda nam się przeciągnąć sprawę.

– Co w najlepszym razie oznacza połowę sierpnia – zakończył beznamiętnie Hillsythe.

Caleb spojrzał na Phillipe’a. Twarz przyjaciela nie zdradzała żadnych uczuć, ale kiedy popatrzył mu w oczy, wyczuł napięcie kryjące się pod maską opanowania. Obaj z Phillipe’em nieraz stawiali czoło trudnościom, niekiedy nawet śmiertelnemu niebezpieczeństwu. W obecnej sytuacji Francuz dostrzegał zagrożenie, wiedział jednak, że wciąż nie są pozbawieni możliwości działania.

Fanshawe, który stał za Phillipe’em, sprawiał wrażenie niemal pokonanego – jakby już ponieśli klęskę i nie widział żadnej drogi wyjścia. Wyglądający zza niego Hopkins trzymał się lepiej. To dlatego, że był młody i nie tak łatwo porzucał nadzieję.

Caleb przeniósł wzrok na Dixona i stwierdził, że inżynier trzyma się lepiej, niż się spodziewał. Całe szczęście, bo jego umiejętności odgrywały zasadniczą rolę w całym planie.

Co się zaś tyczyło Hillsythe’a… był człowiekiem Wolverstone’a i to Calebowi wystarczyło. Wiedział, że może na nim polegać – Hillsythe zrobi wszystko, co trzeba, sprawnie i skutecznie.

– Musimy – powiedział wreszcie – zabrać się do tego krok po kroku.

W tym gronie, choć nie wiadomo, kiedy to się stało, zaczęli traktować go jako przywódcę.

– Tak jak mówiłem, w tej chwili główne niebezpieczeństwo wiąże się z tym, że Dubois przeprowadzi inspekcję niższego poziomu albo w inny sposób dowie się, że praktycznie nie ma tam diamentów. Na razie widział to – machnął ręką w kierunku ściany najeżonej kamieniami – i dlatego musieliśmy zwiększyć produkcję. Jeśli zobaczy, jak wygląda sytuacja na dole, każe wszystkim mężczyznom pracować na tym odcinku, a wtedy w żaden sposób nie uda nam się spowolnić wydobycia tak, żeby się w tym nie połapał. Na to nie możemy sobie pozwolić. Jeżeli jednak zablokujemy niższy poziom, zanim Dubois lub któryś z jego przybocznych go zobaczy, wtedy pan, panie inżynierze,

będzie mógł go przekonać, że złoże na dole jest równie bogate jak to, co tu widać. – Caleb popatrzył Dixonowi w oczy. – Przecież tak właśnie pan myślał. I tego też spodziewa się Dubois, zważywszy na wszystkie sygnały, jakie musiał pan wcześniej wysyłać. Jeżeli korytarz na dole się zawali, a pan będzie twierdził, że tamtejsze pokłady są pełne diamentów, dlaczego miałby w to nie uwierzyć?

– Pytanie tylko – powiedział Hillsythe – co wtedy zrobi?

– Każe nam eksploatować złoże na tym poziomie, o ile wciąż będzie dostępne. – Dixon najwyraźniej już się nad tym zastanawiał.

– Ale – odezwał się Hopkins – jeśli będzie przekonany, że niżej jest jeszcze więcej diamentów, każe ludziom pracować przy ponownym otwarciu tunelu.

– A ponieważ będziemy kopać w miejscu, gdzie doszło do katastrofy – dodał Caleb – będziemy musieli zachowywać wyjątkową ostrożność, czyli posuwać się naprzód w żółwim tempie.

– Cóż – odparł Dixon – pewnie nigdy nie uda nam się na nowo otworzyć niższego korytarza, ale to prawda, że po zawale łatwo będzie uzasadnić dodatkowe środki ostrożności.

– Jest jeszcze jeden powód, który przemawia za tym rozwiązaniem – wtrącił się Phillipe. – Najemnicy bywają przesądni. Jeśli korytarz się zawali, wielu nie zechce zaglądać do kopalni, a już na pewno zapuszczać się głębiej, i to bez względu na rozkazy.

– Ani Dubois, ani Arsene czy Cripps nie będą chcieli nas odwiedzać, a rutynowe inspekcje staną się dla nich koszmarem – zauważył Hopkins.

– Co da nam wolną rękę w obrębie kopalni. – Hillsythe pokiwał głową. – Już samo to byłoby ogromną korzyścią.

Caleb spojrzał w mrok zalegający w dolnym korytarzu, po czym przeniósł wzrok na Dixona.

– A więc... jak się do tego zabierzemy?

Inżynier westchnął ciężko.

– Da się to zrobić, ale to niebezpieczne jak diabli.

– Proszę nam to wyjaśnić. – Caleb przykucnął, opierając się plecami o ścianę.

Reszta poszła za jego przykładem.

– Będziemy musieli osłabić stemple przy zejściu na niższy poziom. Konstrukcja całego oszalowania w dolnej części korytarza jest, by tak rzec, zakotwiczona w ramie u wlotu. Jeśli naruszymy tę ramę, reszta prawie na pewno się zawali. To spowoduje, że trzeba będzie na nowo wykopać tunel prowadzący na niższy poziom, a ponieważ skała będzie świeżo po zawale, warunki będą trudne. Będziemy musieli zachować szczególną ostrożność i pracować bardzo, bardzo wolno. Jeśli doprowadzimy do zawału w ciągu najbliższych kilku dni, na pewno nie uda nam się otworzyć na nowo tej części korytarza do połowy września.

Caleb uśmiechnął się promiennie.

– Tego właśnie nam trzeba.

– No tak – powiedział Dixon – to jednak była dobra wiadomość. Zła natomiast jest taka, że chociaż pokłady na

niższym poziomie są dalszą częścią złoża, do którego mamy dostęp na poziomie wyższym, a złoże to sięga daleko w głąb góry, oba korytarze do siebie przylegają. Jeśli zawalimy niższy poziom, naruszając oszalowanie w miejscu, gdzie się stykają, nieuchronnie zasypiemy też część górnego tunelu. – Inżynier spojrzał Calebowi w oczy. – Nie potrafię powiedzieć, ile korytarza stracimy. Metr? Trzy? Czy może dużo więcej?

Hillsythe wciągnął powietrze ze świstem.

– Nie możemy ryzykować, że stracimy cały górny korytarz. Gdyby tak się stało, mocodawcy Dubois, o ile nie on sam, będą chcieli jak najszybciej zatrzeć ślady i zamknąć kopalnię.

Caleb skrzywił się i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w lampę. Wreszcie podniósł wzrok i spojrzał na Dixona.

– Możemy się oprzeć tylko na pańskich szacunkach. Czy jesteśmy w stanie zasypać taką część dolnego chodnika, żeby nie można było do niego zajrzeć, nie pozbawiając się przy tym więcej niż, powiedzmy, jednej trzeciej górnego korytarza?

Dixon przez chwilę przyglądał się ścianie nad ich głowami, po czym zrobił głęboki wdech i pokiwał głową.

– Tak myślę. – Spojrzał na Caleba. – Najlepiej byłoby to zrobić już teraz, kiedy korytarz na dolnym poziomie jest tak niski, że można się w nim tylko czołgać. Musimy jedynie wziąć pod uwagę fakt, że kiedy stemple się zawalą, całą tę pustą przestrzeń wypełni to, co jest powyżej. A zmiana położenia takiej masy skał sprawi, że wzgórze straci

stabilność. Być może niestabilność dotknie tylko rejonu zawału, ale to zależy od budowy całej formacji. Nie sposób przewidzieć, co się wydarzy.

Trawili te informacje w milczeniu.

Wreszcie Fanshawe zapytał:

– A więc mówi pan, że zasypując niższy korytarz, działamy po omacku. Nie będziemy wiedzieli, jak duża część wzgórza się zapadnie, dopóki do tego nie dojdzie?

Dixon ponuro pokiwał głową.

– Moim zdaniem musimy podjąć to ryzyko – powiedział z przekonaniem Caleb. – Musimy zamknąć dostęp na niższy poziom, zanim Dubois albo któryś z jego ludzi zdążą go zobaczyć. Od tego zależy wszystko. Jeśli nie zaryzykujemy, nie ma dla nas nadziei.

Dał pozostałym chwilę, żeby przyjęli ten fakt do wiadomości, po czym dodał:

– Z tego, co widzę, nie mamy wyboru.

Phillipe, Hillsythe i Hopkins w pełni go popierali. Dixon i Fanshawe byli niechętni, ale oni też nie widzieli innego wyjścia.

W końcu inżynier zapytał:

– Powiemy pozostałym?

Zaczęli się nad tym zastanawiać. Natychmiast uznali, że mężczyzn trzeba poinformować – wszyscy pracowali w kopalni i w ten czy inny sposób będą zaangażowani w całe przedsięwzięcie.

Zgodzili się też, że dzieciom lepiej nic nie mówić. Choć niektóre z nich biegały w tę i z powrotem po górnym

korytarzu, a także pomagały przy potajemnym fedrowaniu rudy w końcu pierwszego tunelu, przywykły, że Dixon razem z grupką mężczyzn pracują przy wejściu do chodnika prowadzącego na niższy poziom, więc to nie powinno wzbudzić ich ciekawości. Gdyby jednak poinformowano je o planach, mogłoby się zdarzyć, że bałyby się wchodzić do kopalni.

A ludzie Dubois na pewno by to spostrzegli.

– Dopóki nie zainicjujemy zawału – powiedział Dixon – nikomu w kopalni nie będzie groziło większe niebezpieczeństwo niż zwykle.

Caleb z Phillipe'em wymienili rozbawione spojrzenia. Dixon ze znacznie większym entuzjazmem planował zasypanie niższego korytarza niż jego otwarcie. Nic dziwnego, że cieszył się tak znakomitą reputacją w swoim korpusie.

Następnie zajęli się kwestią wtajemniczenia kobiet w swoje zamiary.

Caleb był za, cała reszta przeciw. Właściwie byli wręcz zdumieni samym tym pomysłem.

Z tego, co mówili, Caleb zorientował się, że choć rzeczywistość temu przeczyła, postrzegali wszystkie panie jako istoty słabsze, stworzenia, które należy chronić i osłaniać przed niebezpieczeństwem. Mógł to zrozumieć, ale trudno mu było zgodzić się na rozmyślne trzymanie kobiet w niewiedzy. Nie miał wątpliwości, jak zareagowałaby na coś takiego jego matka – uznałaby to za brak zaufania. A jego bratowa Edwina i pewnie też przyszła

bratowa Aileen byłyby wściekłe. Ciekawe, że Will Hopkins także bardzo stanowczo się upierał, by nie informować pań – najwyraźniej niezbyt dobrze znał własną siostrę.

Caleb zasugerował, żeby zawołali Jeda i zapytali go o zdanie.

Jed zmarszczył brwi i długo się zastanawiał, w końcu jednak stwierdził, że wolałby nie martwić Annie.

Caleb westchnął.

– Wciąż stanowczo uważam, że źle robimy, ukrywając to przed kobietami.

Phillipe popatrzył przyjacielowi w oczy.

– Naprawdę chcesz, żeby Katherine cały czas się zamartwiała, czy korytarz się nie zawali, grzebiąc ciebie, dzieciaki i resztę?

Caleb zmarszczył brwi i poprawił go z roztargnieniem:

– Kate.

Phillipe spojrzał na niego z irytacją.

– No właśnie. Tylko pomyśl! Będzie wzburzona, a to nie ujdzie uwagi Dubois. Nam się może wydawać, że on nas nie obserwuje, ale to nieprawda. Dobrze wie, że coś knujemy, i śmieje się z naszej bezradności. Pamiętaj, że wystarczyła drobna zmiana w jej zachowaniu, żeby uznał, że powinien ją śledzić. Przecież w ten sposób udało mu się nas schwytać! Tymczasem teraz zarówno ona, jak i pozostałe kobiety będą jeszcze bardziej zdenerwowane. To wystarczy, żeby zwrócić jego uwagę. I kiedy korytarz się zawali, już będzie wiedział, co o tym sądzić.

– A na to nie możemy pozwolić – stwierdził stanowczo Fanshawe.

– W tej chwili – dodał Hillsythe – dzięki temu, że nasze zadanie jest tak cholernie niebezpieczne, powinno się nam udać oszukać Dubois. To, co chcemy zrobić, jest z jego perspektywy – bo przecież nie ma pojęcia o nadciągającym ratunku – najbardziej szalonym, desperackim, lekkomyślnym i bezsensownym krokiem, na jaki możemy się zdobyć. – Rozłożył ręce. – Dlaczego mielibyśmy chcieć zwalić sobie wzgórze na głowę? Dla niego taki pomysł jest zupełnie bez sensu. Nigdy nie przyjdzie mu do głowy, że zrobiliśmy to celowo, o ile coś go na to nie naprowadzi. – Hillsythe spojrzał Calebowi w oczy. – Nie możemy powiedzieć o tym naszym paniom.

– Nie możemy ryzykować, że doda dwa do dwóch, bo się zemści – zauważył Phillipe. Zamilkł na moment, wbijając wzrok w Caleba, i dodał nieco ciszej: – A wiesz, kto będzie pierwszy w kolejce.

Nie ty. Kate.

Caleb jeszcze przez chwilę się zastanawiał. Wreszcie pokiwał głową.

– W porządku. Niech będzie. Powiemy tylko mężczyznom.

Postanowili, że prześpią się kilka godzin, zanim swój plan – cholernie niebezpieczny, szalony, desperacki, lekkomyślny, a zarazem gruntownie przemyślany – wcielą w życie.

Szesnaście

Pierwszą rzeczą, jaką następnego ranka zrobili Caleb, Phillipe, Hillsythe, Dixon, Fanshawe i Hopkins, było poinformowanie o planach mężczyzn, z którymi zwykle pracowali. Mimo że ich towarzysze początkowo przyjęli ten pomysł z ponurymi minami, fakt, że w ogóle był plan, i to taki, który zdaniem przywódców obozowej społeczności mógł zadziałać, sprawił, że w ciągu dnia atmosfera uległa zmianie.

Mężczyźni zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa, ale też w pełni rozumieli konieczność podjęcia działań, toteż jeden po drugim, każdy na swój sposób, włączali się w przedsięwzięcie.

Caleb z Dixonem i trzema stolarzami przez cały dzień najpierw badali szalunek przy zejściu na niższy poziom, a potem omawiali kolejne sposoby osłabienia stempli.

– Najważniejsze – powtórzył Caleb po raz trzeci – żeby udało się nam wszystko przygotować, nie zwalając sobie wzgórza na głowę. Nie będziemy mogli przeprowadzić prób. Musi się nam udać za pierwszym razem.

Dixon spojrzał na niego z irytacją, ale trudno było się nie zgodzić.

Nie pomagał im zbytnio fakt, że mieli do dyspozycji tylko jedną lampę.

Gdy w końcu znaleźli odpowiednie miejsce, Caleb powiedział:

– Tymczasowy szalunek musi być tak zamocowany, żeby najlepiej jedna, góra dwie osoby mogły zainicjować zawał i wydostać się z kopalni.

Dixon skrzywił się, ale pokiwał głową. Dokładnie zbadał stemple, które zamierzali osłabić.

– Ustaliliśmy, przy których podporach będziemy pracować, ale biorąc pod uwagę brak światła, nie ma sensu zaczynać już teraz. To precyzyjna robota i, jak sam pan powiedział, musi się udać za pierwszym razem. Nie będziemy mieli okazji wprowadzić poprawek, a jeden nieostrożny ruch, na przykład zbyt głębokie cięcie, wystarczy, żebyśmy zawalili tunel na miejscu.

Caleb zacisnął zęby i pokiwał głową. Wolałby, żeby zaczęli już dziś, ale inżynier miał rację. Nie mogli sobie pozwolić na pośpiech, a wydawało się mało prawdopodobne, że Dubois tak od razu przyśle kogoś na inspekcję. Nie poinformowali go jeszcze, że do korytarza na dolnym poziomie można się już wczołgać, ale nawet gdyby to zrobili, żaden z najemników pewnie by się nie spieszył, żeby go obejrzeć, zwłaszcza zaś sam Dubois.

W tych okolicznościach zbytni pośpiech byłby głupotą.

Zamiast tego zapytał więc:

– Jak panowie myślą, kiedy wróci Cripps?

Jeden ze stolarzy, który był więźniem niemal tak długo jak Dixon, odparł:

– Jeśli się będą spieszyć, to pewnie obrócą w ciągu trzech dni. Arsene chodzi po materiały do kopalni i dlatego trwa to zwykle aż pięć.

Dixon pokiwał głową.

– Trzy dni, czyli jutro. – Spojrzał Calebowi w oczy. – Prawdę mówiąc, wolałbym tu nic nawet nie zaznaczać bez lepszego oświetlenia. A biorąc po uwagę, jak skąpo Arsene wydziela nam olej, gdybyśmy chcieli tu ściągnąć co najmniej dwie lampy i podkręcić je tak, żeby świeciły z całą mocą, zabrakłoby światła przy wydobyciu.

– Poza tym co by było, gdyby któryś z chłopaków Dubois wetknął tu głowę i zobaczył nas z tyloma lampami – dodał Jed.

Caleb westchnął i spojrzał na belki podtrzymujące strop. Do połowy były ukryte w cieniu.

– Czyli najlepiej wstrzymać się, aż wróci Cripps i będziemy mogli pracować w pełnym świetle – powiedział raczej do siebie niż do pozostałych.

– Możemy jednak – w głosie Dixona zabrzmiał entuzjazm – wykorzystać ten czas, żeby opracować sposób, jak nie dopuścić do przedwczesnego zawału i sprawić, żeby ten, kto go zainicjuje, zdołał uciec.

– Dobry pomysł – zgodził się Caleb. – Rozumiem, że możemy to zrobić na zewnątrz, przy dziennym świetle?

– Możemy sporządzić plan i pracować na nim – odarł Dixon.

– Jeśli chodzi o tę drugą sprawę, to myślę, że powinniśmy skorzystać z pomocy Lascelle’a. I Hillsythe’a w sumie też.

Mogą mieć stosowne doświadczenie. Może niekoniecznie w zasypywaniu kopalni, ale w podobnych sytuacjach.

Dixon, który musiał mieć pewne podejrzenia co do Hillsythe'a, pokiwał głową.

– Znakomity pomysł. – Wskazał ręką wyjście. – Idziemy?

* * *

Caleb przyłapał się na tym, że czuje osobliwą wdzięczność wobec Dubois. Dzięki temu, że komendant uparł się, by utrzymali dłuższe godziny pracy dla połowy szychty, mógł zostać w kopalni do późna i w ten sposób uniknąć dłuższego spotkania z Kate.

Choć bowiem w końcu uznał, że mężczyźni mieli rację i lepiej nie wtajemniczać kobiet w ich plany, wciąż czuł się z tym… niezręcznie.

Mimo to, kiedy wyszedł z kopalni koło północy i zobaczył, że Kate czeka na niego na ganku, bez namysłu skierował kroki w jej stronę.

Przywitała go pocałunkiem – słodkim, pełnym obietnic – zaraz jednak się odsunęła i popatrzyła mu w oczy.

– Nie mogę iść dzisiaj z tobą na przechadzkę. Dzieci są tak podniecone pomysłem stworzenia własnych zapasów, że nie potrafią się uspokoić. – Skrzywiła się. – Reszta kobiet już śpi, ale ponieważ najmłodsze kręcą się i wiercą, nie powinnam ich zostawiać.

Jego pocieszający uśmiech naprawdę był szczery.

– To posiedźmy tu przez chwilę. – Pomógł jej usadowić się na stołku, a sam przysiadł na ganku, oparty plecami o jej

nogi. Poczuł, jak delikatnie dotyka jego niesfornej czupryny. – Powiedz mi, co uradziliście w sprawie dzieci.

Jasnym, łagodnym głosem opowiedziała mu, jak razem z Hillsythe'em i Hopkinsem ustalili, że pośród stert odrzutów ukryją jedną z diamentami.

– Bo chociaż w drugim korytarzu jest mnóstwo diamentów, dzięki odłamkom z końca pierwszego tunelu wciąż mamy całkiem sporo bezwartościowego śmiecia. Powiemy dzieciom, żeby na każde cztery bryłki z diamentami trzy odkładały na stertę do oczyszczalni, a jedną na specjalną kupkę. Do czterech wszystkie potrafią liczyć.

Nie widział jej twarzy, ale czuł, że jest zadowolona.

– Ta specjalna kupka pozostanie tam, gdzie jest, to znaczy ukryta między dwiema stertami odpadów.

– Hm. – Odchylił się do tyłu, rozkoszując się dotykiem jej palców we włosach. – W dodatku skoro Dubois pozwolił, żeby przed drzwiami oczyszczalni powstała taka ogromna góra diamentów, nikt nie zauważy, że będzie na nią trafiało teraz mniej kamieni.

– Biorąc pod uwagę zapasy w kopalni, stertę, którą ukryjemy między odrzutami, i kamienie schowane w oczyszczalni… Myślisz, że to wystarczy?

Złapał ją za rękę, podniósł się i pochylając się, spojrzał jej w oczy.

– Powiedziałem, że damy radę, i tak będzie. – Udało mu się nawet przywołać na twarz łobuzerski uśmiech. – Pamiętaj o tym. Musisz w to wierzyć.

Odpowiedziała mu uśmiechem.

Zbliżył usta do jej warg i złożył na nich długi, pełen ufności pocałunek.

– Wracaj do środka i idź spać – powiedział. – Zobaczymy, co przyniesie jutro.

Zasalutował jej i patrzył, póki nie zniknęła w drzwiach. Wreszcie odwrócił się i pomaszerował do swojego baraku.

Nie wiedział, dlaczego tak się działo, ale za każdym razem, kiedy starał się tchnąć w nią otuchę, sam czuł się pokrzepiony.

* * *

Tym, co przyniosło jutro, był Cripps, nowe zapasy oleju, spora ilość suszonego mięsa, warzyw korzeniowych i mąki, do tego mnóstwo dodatkowych materiałów do kopalni... i całkiem niespodziewany gość.

– Nie do wiary! To cholerny Muldoon!

Hopkins zmrużył oczy, wpatrując się w elegancką postać attaché morskiego.

– Wygląda na to, że moja siostra i brat Frobishera mieli rację. Muldoon faktycznie jest w to zamieszany.

– Interesujące – stwierdził lakonicznie Hillsythe. – Ciekawe, co go tu przyniosło.

– Spójrzcie na to wszystko – prychnął Dixon. – Zupełnie jakby wyczyścili całą fortową intendenturę!

– Albo – powiedział Caleb, zastanawiając się, jaki wypływ będą miały te zapasy na ich plany i oczekiwania Dubois – Muldoon z kumplami też robili zapasy i uznali, że nadszedł czas na opróżnienie magazynu.

Przywódcy obozowej społeczności stali u wejścia do kopalni i spoglądali na długi pochód tubylców, którzy maszerowali objuczeni wszelkimi dobrami.

Nagle Phillipe trącił Caleba w ramię. A gdy przyjaciel na niego spojrzał, wskazał głową na koszary.

– Wygląda na to, że nasze panie próbują uzyskać informacje.

Caleb podążył za jego wzrokiem i zobaczył Harriet i Kate zmierzające w stronę budynku. Widząc pochód tragarzy, zatrzymały się na rogu. Z ramionami skrzyżowanymi na piersi przyglądały się przybyłym z na pozór niewinną ciekawością.

Z budynku wyłonił się Dubois i zatrzymał na galerii. Wyglądało na to, że nie dostrzegł obu kobiet. Wzrok miał wbity w attaché morskiego.

– Co pan tu robi?

Kate uważnie przyglądała się mężczyźnie, do którego Dubois skierował to niezbyt miłe powitanie. Średniego wzrostu Europejczyk, prawdopodobnie Irlandczyk, jeśli czarne włosy, blada twarz i regularne, dość ostre, a mimo to przystojne rysy twarzy mogły być jakąkolwiek wskazówką. Jedną torbę miał przewieszoną przez ramię, drugą zaś, solidnie wypchaną, ściskał w ręce.

– Wiesz, kto to? – szepnęła Harriet.

– Nie, ale wydaje mi się, że widziałam go w kolonii.

Mężczyzna wszedł po schodkach na galerię.

Zatrzymał się przed Dubois.

– Uznaliśmy, że czas, abym opuścił Freetown. – Odwrócił się i obrzucił wzrokiem teren obozu. – Wygląda dużo lepiej, niż kiedy go ostatni raz widziałem. Niemal jak przyczółek cywilizacji.

– Cieszę się, że się panu podoba – odparł zimno Dubois. – Czy coś się stało?

– I tak, i nie. W każdym razie nic, czym musiałby się pan martwić. Po prostu po powrocie Deckera do portu sprawy się trochę skomplikowały. Gdy otrzymaliśmy od pana informacje na temat spodziewanego zwiększenia produkcji, postanowiliśmy we trzech, że opuszczę kolonię i dalsze działania będę prowadził stąd.

Dubois przeniósł wzrok na górę pudeł i drewna, które tragarze kładli właśnie przed magazynem.

– Skąd ta nagła hojność?

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Winton robił zapasy od dnia, kiedy kopalnia ruszyła pełną parą. Uznaliśmy, że będą bezpieczniejsze tutaj niż w walącym się magazynie. Niewykluczone, że sam do nas wkrótce dołączy. Zakładam, że znajdzie się dla nas stosowne zakwaterowanie.

– Na pewno możemy powiesić panu hamak – prychnął Dubois i kiwnął głową w kierunku koszar. – Tu, wśród moich ludzi. – Spojrzał na drugi koniec obozu, gdzie mężczyźni gromadzili się przy wejściu do kopalni. – Doradzałbym, żeby pan nawet nie rozważał innej możliwości.

– Rozumiem – mruknął nowo przybyły.

– A co z naszym przyjacielem w biurze gubernatora? Czy on też zamierza się tu zjawić?

– Na razie tego nie planowaliśmy. Jego pozycja zawsze była dużo bezpieczniejsza niż Wintona czy moja, a poza tym tam, gdzie jest, wydaje się bardziej użyteczny. Ani Holbrook, ani nikt inny nie będzie go podejrzewał.

Dubois chrząknął.

– A więc lepiej niech pan wejdzie.

Kate i Harriet przemknęły pod oknem w gabinecie Dubois i wróciły do oczyszczalni.

* * *

Tego wieczoru powtórzyły wszystko, co słyszały, milczącej publiczności zgromadzonej przy palenisku. Kiedy skończyły, Hill sythe ponuro pokiwał głową.

– A zatem to Muldoon, Winton, prawdopodobnie bratanek, ale zyskamy pewność, dopiero kiedy tu się zjawi, i ktoś z biura gubernatora. – Zmrużył oczy i dodał ściszonym głosem: – Ciekawe kto.

– Żadnych podejrzeń? – spytał Caleb.

– W biurze Holbrooka pracują trzy osoby. Uprowadzono mnie, zanim miałem okazję którąkolwiek poznać. Z tego, co mówili pańscy bracia i co właśnie usłyszeliśmy, to może być każda z nich. – Głos Hillsythe’a stwardniał. – Każda mogła poznać prawdziwy powód, dla którego zostałem przysłany do Freetown.

– Zapomnijmy o tym – powiedział Dixon – i skupmy się na sprawie wydłużenia pracy kopalni. Przy takiej ilości

zapasów, w tym także oleju, który przyniósł Cripps, nie uda nam się bardziej spowolnić produkcji z powodu niedoborów.

– Ma pan rację, ale to już nie będzie miało znaczenia. Żadnego. – Caleb uniósł brwi. – W sumie może się okazać, że jeszcze nam się przydadzą.

Mężczyźni wbili w niego zdumione spojrzenia.

– Na miłość boską – powiedział Fanshawe – jakim cudem?

Na twarzy Caleba pojawił się uśmiech. Zaraz jednak zniknął – Caleb zorientował się, że nie może wyjaśnić, o co mu chodzi, nie zdradzając przy tym szczegółów ich najnowszego planu – tego, o którym miały nie wiedzieć kobiety i dzieci. Coś jednak musiał powiedzieć.

– To ma związek z tym, o czym wspominałem wcześniej. Naszym głównym celem jest, żeby Dubois, a teraz także Muldoon nie dowiedzieli się, jak wygląda złoże na niższym poziomie.

Caleb spojrzał na Kate, która siedziała obok, a potem na Harriet i pozostałe kobiety, jakby to właśnie była odpowiedź na pytanie Fanshawe’a.

– Całkiem niewykluczone, że Muldoon zechce zajrzeć najpierw do oczyszczalni i obejrzeć surowe diamenty. Gdyby się tak stało, dobrze byłoby zatrzymać go tam jak najdłużej, zademonstrować mu, jak się oczyszcza kamienie, i tym podobne rzeczy. Możecie też przeciągnąć jego wizytę, pokazując mu, jak pracują dzieci. – Spojrzał na najmłodszych. – Wszystkie musicie mieć oczy otwarte, na wypadek gdyby Muldoon zaczął się kręcić po obozie.

Bądźcie czujne. Jeśli znajdzie się w pobliżu, nie zanoście nic na dodatkową kupkę. Musimy ją utrzymać w tajemnicy.

Dzieci pokiwały głowami.

Zaskoczony Fanshawe otworzył usta, ale widząc gniewny wzrok Caleba, nic nie powiedział.

– Ponieważ korytarz na dole jest tak wąski, że można się tam tylko wczołgać, to nawet jeśli Muldoon zjawi się w kopalni, pewnie nie będzie się upierał, żeby tam zaglądać – ciągnął Frobisher.

– Jeśli zjawi się w kopalni – powiedział Fanshawe gniewnym tonem – to…

– Tylko spojrzymy na niego z niechęcią – przerwał mu Caleb – bo inaczej Dubois mógłby nabrać podejrzeń. Z całą pewnością włos mu z głowy nie spadnie. Później dołożymy wszelkich starań, żeby wymierzono mu sprawiedliwość, teraz jednak zemsta nie leży w naszym interesie. – I dużo ciszej dodał: – Proszę, pamiętajcie o tym. Bez względu na wszelkie pokusy nie traćcie z oczu naszego celu.

Hillsythe przyszedł mu z pomocą i zaczął zadawać pytania dzieciom, dzięki czemu rozmowa zboczyła na inne tory. Wreszcie Caleb wstał, by wrócić do kopalni – teraz, gdy mieli tyle oleju, że można go było palić na okrągło, Dubois rozkazał, by napełniono wszystkie lampy i na górnym poziomie non stop pracowało jak najwięcej mężczyzn.

Wcześniej jednak przykucnął obok Kate.

– Nie zobaczymy się później. Zastanawiamy się, co zrobić z dolnym korytarzem, a w związku z przybyciem Muldoona

ta sprawa stała się bardzo pilna.

Pokiwała głową.

– Tak, oczywiście. – Przez chwilę wpatrywała mu się w oczy, po czym uniosła dłoń i dotknęła jego zarośniętej szczęki. – Spotkamy się rano.

Złapał ją za rękę i wycisnął na niej gwałtowny pocałunek, a potem wstał i poszedł.

Przy wejściu do drugiego korytarza ominął mężczyzn z kilofami i szpadlami i przepchnął się na koniec, gdzie Hillsythe i Phillipe naradzali się z Dixonem. W jasnym świetle lamp trzech stolarzy dyskutowało i rysowało kredą znaki na belkach wyznaczających zejście na niższy poziom.

Inżynier odwrócił się do niego z kartką papieru w dłoni.

– Sądzę, że udało im się wymyślić to, czego potrzebujemy.

I cała trójka zaczęła tłumaczyć Calebowi, jak z rozmaitych wag, belek i zawiasów można by zbudować coś na kształt mechanizmu, który zapewniłby odpowiednie opóźnienie.

– O jakim opóźnieniu mówimy?

– Najprawdopodobniej kwadrans, może nawet pół godziny.

Caleb uśmiechnął się szeroko.

– Znakomicie. – Spojrzał na stolarzy. – Uda nam się to załatwić jutro podczas południowej przerwy?

Wszyscy trzej popatrzyli na niego i bąknęli coś pod nosem.

– Zobaczmy.

Jed wyciągnął rękę po rysunek, który trzymał Dixon, a następnie zaczął go uważnie studiować; dwaj pozostali zaglądali mu przez ramię. W końcu oddał kartkę inżynierowi i spojrzał na Caleba.

– Do południa nie zdążymy. Ale przy odrobinie szczęścia wszystko powinno być gotowe na wieczór.

Caleb skrzywił się, lecz pokiwał głową.

– Zatem ustalone. Pewnie nie muszę wam tego mówić, ale fakt, że Muldoon nie bał się tu pokazać, potwierdza nasze przypuszczenia, że pomysłodawcy całego tego przedsięwzięcia zamierzają na koniec pozbyć się nas wszystkich.

– Gdybyśmy mieli co do tego jakiekolwiek wątpliwości, widok Muldoona na pewno by je rozwiał – prychnął Hillsythe.

– Nie możemy zakładać, że Muldoon też boi się zamkniętych przestrzeni – powiedział Phillipe.

– Właśnie. Nie rozmawiałem z Fanshawe’em i Hopkinsem, ale podejrzewam, że dojdą do podobnych wniosków. Czyli zgadzamy się, że kiedy ci trzej panowie – Caleb wskazał głową stolarzy – osłabią belki i zainstalują mechanizm wyzwalający, my natychmiast puścimy machinę w ruch?

Pokiwali głowami równie ponurzy jak on.

– Im szybciej, tym lepiej – stwierdził Dixon.

– A zatem jutro wieczorem – zdecydował Caleb.

Aż do końca szychty wszyscy czterej zostali na miejscu, by pomagać stolarzom. Wreszcie wybiła północ i opuścili kopalnię, modląc się, żeby zabezpieczenia osłabionego

belkowania wytrzymały i pozwoliły im dokończyć pracę następnego dnia.

– Ostatnia rzecz, jakiej byśmy chcieli – mruknął Caleb do Hillsythe’a i Phillipe’a, spoglądając ostatni raz w czarną gardziel kopalni – to obudzić się jutro i odkryć, że doszło do częściowego zawału, zbyt ograniczonego jak na nasze potrzeby.

* * *

Ich modlitwy zostały wysłuchane. Następnego dnia rano zastali wszystko w takim stanie, jak zostawili.

Dixon przyjrzał się belkom i głośno wypuścił powietrze z płuc.

– Dzięki Bogu.

Caleb z pomocą Phillipe’a i Hillsythe’a zebrali wszystkich mężczyzn i poinformowali o tym, co zaplanowali. Kiedy więc zjawiły się dzieci, by załadować do koszyków urobek z zeszłej nocy, zamiast kuć dalej, mężczyźni odsunęli się, żeby mogły wyzbierać odłamki z ziemi. Dopiero gdy jeden z urwisów stojących na straży u wejścia do kopalni przybiegł w te pędy i zasyczał: „Wartownicy idą!”, złapali za narzędzia i wrócili do pracy.

Tymczasem Fanshawe i Hopkins doglądali wydobycia, pilnując, by wszystko było zgodne z oczekiwaniami komendanta i nie wzbudzało żadnych podejrzeń. Na górnym poziomie mężczyźni udawali, że pracują pełną parą, podczas gdy reszta fedrowała w głębi pierwszego korytarza i mieszała bryłki niezawierające kamieni z bogatszą produkcją z drugiego.

Dodatkowo kilku mężczyzn razem z dziećmi uzupełniało zapasy w schowku.

Caleb, Hillsythe i Phillipe przez cały dzień pomagali Dixonowi i stolarzom. A ponieważ mieli pracować przy otwarciu dolnej części korytarza, nikogo nie zdziwiło, gdy Caleb w towarzystwie czterech swoich ludzi i Dixona wybrał się do magazynu po drewno, gwoździe i inne materiały niezbędne do budowy mechanizmu wyzwalającego.

Być może z powodu obecności Muldoona strażnicy zwiększyli częstotliwość patroli w kopalni, jak zwykle jednak kontrolowali pracę górników tylko pobieżnie. Widząc grupkę mężczyzn przy zejściu na niższy poziom, nie wykazali nawet cienia zainteresowania ich poczynaniami.

– Wydawałoby się, że nie ma wielkiej różnicy między instalowaniem podpór a ich demontażem – żołądkował się Jed.

Dixon był znakomitym inżynierem – szalunek wokół zejścia na niższy poziom okazał się tak solidny, że osłabienie obudowy tunelu nastręczało trudności. Zwłaszcza że nie mieli jak sprawdzić swoich obliczeń.

Choć byli pewni, że odpowiednio osłabili belki dokoła i kiedy obramowanie wokół zejścia runie, one też padną, Dixon co chwila chwytał się za głowę, a trzej stolarze mruczeli coś pod nosem, próbując obmyślić sposób, by zawaliła się cała dolna część korytarza, tak jak tego potrzebowali.

Caleb, Hillsythe i Phillipe niecierpliwili się – najchętniej popędziliby całą czwórkę i przypomnieli im, że Muldoon może się zjawić w każdej chwili. Jednak w tak zasadniczej sprawie, wymagającej żmudnych działań i precyzji, nie mogli sobie pozwolić na to, by popełnić błąd.

Wreszcie późnym rankiem Dixon i trzej stolarze uznali, że już wiedzą, jak zainicjować zawał, i zabrali się za budowanie mechanizmu wyzwalającego.

Skomplikowany system dźwigni, bloków, zawiasów, wag i przeciwwag był niemal gotowy, zanim ogłoszono południową przerwę.

Caleb odebrał swoją porcję chleba i twardego sera i podszedł do Kate.

Uniosła wzrok, gdy usiadł między nią a Gemmą, i spytała:

– Zdecydowaliście już, co zrobić w sprawie niższego poziomu?

– Pracujemy nad tym. Był u was Muldoon?

Przytaknęła.

– Ale najpierw przez większą część ranka Dubois oprowadzał go po wszystkich budynkach.

– Biorąc pod uwagę pytania, jakie zadawał, można by pomyśleć, że ten obóz to coś na kształt sanatorium – parsknęła Harriet. – Ale wygląda na to, że jest zadowolony z rozwiązań, które wprowadził Dubois.

– Chociaż zaproponował, żeby go razem z Wintonem umieścić w baraku medycznym. – Kate uśmiechnęła się złośliwie. – Omal nie zaczęłam klaskać, słysząc odpowiedź Dubois. Powiedział, że jeśli Muldoon jest gotów wziąć

odpowiedzialność za swoje bezpieczeństwo, nie widzi żadnych przeszkód, bo on ma do patrolowania cały teren i nie może sobie pozwolić na wystawienie dodatkowej straży przed barakiem. Muldoon uznał zatem, że choć koszary są prymitywne, na razie muszą mu wystarczyć.

– I tak jak zwykle – wtrąciła Gemma – ani Dubois, ani Muldoon w ogóle się nie przejmowali, że wszystko słyszymy.

Kate spojrzała na twarze wokół. Wszyscy rozumieli, co to oznacza.

– A co się stało, kiedy Muldoon w końcu dotarł do oczyszczalni? – spytał Caleb.

– Zjawił się niedługo przed przerwą. Sądząc po roziskrzonym wzroku, jest zafascynowany naszą pracą. I oczywiście diamentami.

– To dobrze. – Caleb wymienił znaczące spojrzenie z Dixonem i Hillsythe'em. – Myślisz, że uda się wam zatrzymać go na całe popołudnie w oczyszczalni i potem z dziećmi?

– Możemy spróbować – odparła. – Poprosił, żebyśmy mu zademonstrowały, w jaki sposób oczyszczamy kamienie.

– Może damy radę to przeciągnąć – wtrąciła Harriet. – Wystarczy wybrać jakieś bryłki szczególnie trudne do obróbki. To go powinno zająć.

– Zaproponuję mu, żeby sam spróbował. Jakiś mniejszy kamyk z dużą ilością agregatu mógłby się okazać stosownym wyzwaniem i zabrać mu sporo czasu.

Gemma pokiwała głową.

– Widziałam w koszyku bryłkę, która idealnie się nada. Wyjmę ją, jak wrócimy, i odłożę na bok.

– Jeśli uda się nam zatrzymać go w oczyszczalni dość długo, pójdziemy do dzieci później niż zwykle i zabierzemy go ze sobą. – Kate spojrzała na Caleba. – Przy odrobinie szczęścia będzie miał zajęcie aż do kolacji.

– Gdyby tak się stało, ogromnie by to nam pomogło – powiedział Hillsythe. – Chcielibyśmy utrzymać go z dala od kopalni przez resztę dnia.

– A czy mogłybyście zawczasu umówić się z którymś dzieckiem, żeby przybiegło nas ostrzec, gdyby Muldoon chciał do nas przyjść? – spytał Caleb.

– Oczywiście. – Kate popatrzyła po kolei na mężczyzn. – Czy to naprawdę aż tak ważne, żeby nie zaglądał do kopalni?

– Jeśli chcemy ukryć prawdę o niższym poziomie, to tak.

Nie mieli czasu na dalsze pogawędki. Skończyli obiad, a poruszenie na galerii oznaczało, że Muldoon i Dubois właśnie wyszli z koszar.

Caleb dogonił Phillipe’a i kilku swoich ludzi w drodze do kopalni. Gdy skręcali w drugi korytarz, zerknął na przyjaciela.

– Musimy to zrobić dziś.

– Nie będę protestował. Muldoon… sprawia, że świerzbi mnie ręka. Gdyby kazał kogoś z nas stracić, Dubois by go posłuchał.

Caleb kiwnął głową.

– Bez mrugnięcia okiem.

Ludzie rozeszli się do swoich brygad, a Caleb i Phillipe skierowali się na tyły korytarza, gdzie pracowała mała grupka tych, na których barkach spoczywała teraz przyszłość wszystkich więźniów.

Po półtorej godziny udało im się ukończyć mechanizm wyzwalający. Wypróbowali go na sucho, bez przymocowywania do belki, którą miał wypchnąć, i odetchnęli nieco, gdy mechanizm czasowy zadziałał, dając blisko dwudziestominutowe opóźnienie. Hillsythe, Caleb i Phillipe uśmiechnęli się do siebie z zadowoleniem.

Teraz jednak czekało ich naprawdę trudne zadanie: musieli podciąć belki, ostatecznie naruszając stabilność obramowania przy zejściu na niższy poziom.

To była najniebezpieczniejsza część całego przedsięwzięcia – stojąc pod tonami skał, musieli sprawnie usunąć utrzymujące je na miejscu stemple. Każdą naruszoną belkę trzeba było podeprzeć – najpierw własnym ciałem, a potem tymczasowymi wspornikami. Musieli wezwać Quilleya, Ducasse’a i jeszcze kilku innych wysokich, silnych mężczyzn, by pomogli im podtrzymać strop, podczas gdy Dixon ze stolarzami wbijali prowizoryczne kliny, zastrzały i stemple.

Skały nad ich głowami zaczęły nagle wydawać głuche trzaski.

Najchętniej rzuciliby się do ucieczki, ale pokładali wiarę w umiejętnościach Dixona, a poza tym teraz nie mogli sobie pozwolić na panikę.

Gdy po południu dwóch strażników zajrzało do kopalni, Hopkins, roztaczając urok osobisty, zatrzymał ich przy wejściu do drugiego korytarza.

Widać było stamtąd, że mężczyźni na końcu chodnika nad czymś pracują.

Strażnicy stali, żartując z Hopkinsem.

Wtem rozległ się długi, głęboki pomruk.

– Co to takiego? – spytał jeden ze strażników wystraszonym głosem.

Górnicy nie zareagowali. Hopkins sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Och, ma pan na myśli ten dźwięk?

– Właśnie.

– To nic niezwykłego. – Hopkins wzruszył ramionami. – Zdarza się od czasu do czasu. – Bez pośpiechu spojrzał w górę i uśmiechnął się szeroko. – Może to bóstwo wzgórza daje wyraz swojemu niezadowoleniu.

Jak łatwo się domyślić, strażnicy, rzuciwszy przerażone spojrzenie w głąb tunelu, uciekli z kopalni, jakby się paliło.

– Zaraz wypaplają wszystko kumplom – zachichotał Phillipe. – Przy odrobinie szczęścia nie będą nam więcej przeszkadzać.

Okazało się, że miał rację. I dobrze się stało, bo aby dokończyć przygotowania, trzeba było wspólnego wysiłku wszystkich mężczyzn. Wreszcie podłączyli mechanizm wyzwalający, zanim rozległo się wezwanie na wieczorny posiłek.

Na koniec Dixon odwrócił się i spojrzał na belki podtrzymujące strop górnego korytarza.

– Musimy to zrobić, prawda? – zapytał.

– Nie mamy wyboru. Trzeba zaryzykować – odpowiedział jasno i wyraźnie Caleb.

Jeśli doprowadzą do zawalenia się wzgórza, wpadną z deszczu pod rynnę. Ale ponieważ i tak groził im potop, musieli zaufać doświadczeniu Dixona i zdać się na los. Caleb kiwnął głową na resztę. Hillsythe i Phillipe ruszyli do wyjścia, zamykając pochód górników. Trzej stolarze rzucili ostatni raz okiem na obramowanie i poszli za nimi.

Gdy ucichły ich kroki, inżynier spojrzał na Caleba i wskazał ręką dźwignię.

– To pański plan.

– Ale pański korytarz.

Dixon roześmiał się nerwowo.

– W porządku. Niech pan idzie.

– Nie. Zaczekam.

Dixon pokręcił głową. Zawahał się, po czym wytarł ręce w zakurzone spodnie i uruchomił mechanizm.

Obaj wstrzymali oddech.

Wahadło zaczęło się kołysać. Dokładnie tak, jak to zostało zaplanowane.

Rozległ się cichy trzask, ale nic się nie zaczęło walić.

Caleb chciał powiedzieć: „Chodźmy”, ale głos uwiązł mu w gardle. Dlatego tylko klepnął inżyniera w ramię, a gdy ten się obejrzał, wskazał wyjście.

Odwrócili się i ramię w ramię niespiesznym krokiem opuścili kopalnię.

Siedemnaście

Caleb razem z Dixonem dołączyli do zgromadzonych przy palenisku więźniów. Wielu mężczyzn spoglądało w ich stronę, gdy odbierali talerze i siadali obok swoich dam, jednak w ich wzroku nie było nic, co mogłoby zaalarmować resztę więźniów.

Caleb zajął miejsce między Kate a Harriet i podziękował obu paniom za to, że udało im się zatrzymać Muldoona przez całe popołudnie. Spytał też, jakie wrażenie zrobił na nich attaché.

– Jest niewiarygodnie płytki – stwierdziła zgryźliwie Kate.

– Obchodziły go wyłącznie diamenty. – Harriet zaczęła grzebać w kawałkach mięsa na talerzu. – Nic więcej do niego nie docierało.

– Pochodzę z ubogiej rodziny – odezwała się Annie – więc rozumiem, że diamenty dużo dla niego znaczą. Ale nigdy nie sądziłam, że chciwość może aż do tego stopnia oślepić. W ogóle nie zwrócił uwagi na to, że dzieci są wyczerpane. Sprawiał wrażenie, jakby ich niewolnicza praca ani trochę mu nie przeszkadzała.

Caleb rozejrzał się i z uznaniem stwierdził, że mężczyźni starają się sprawiać wrażenie obojętnych i niczego nieświadomych, jakby nie czekali z napięciem na to, co się wydarzy.

Znali swoją rolę i zamierzali trzymać się scenariusza. Gdy w kopalni dojdzie do zawału, dopilnują, by bez względu na wszystko kobiety i dzieci pozostały bezpieczne. Nawet gdyby oznaczało to konieczność zaciągnięcia ich na drugą stronę obozu. Nikt nie wiedział, jak wielka część wzgórza się zapadnie, dlatego przygotowali plan także na najgorszą ewentualność.

Caleb zerknął na Dixona akurat w chwili, gdy ten wyciągnął zegarek. A ponieważ to do inżyniera należało pilnowanie wszystkich przerw, był jedną z niewielu osób, które miały czasomierz. Według szacunków Caleba od chwili, gdy Dixon wprawił w ruch mechanizm wyzwalający, minęło już ponad dziesięć minut.

Lekko skrzywiony inżynier schował z powrotem zegarek do kieszonki i spojrzał na Hillsythe’a.

Caleb skończył gulasz, wytarł resztkę rzadkiego sosu piętką chleba i postawił talerz na ziemi u swych stóp. Siedział w grupie znajdującej się najbliżej kopalni, mniej więcej na wprost wejścia do tunelu. Wyraźnie widział stąd galerię przed koszarami. Stał na niej Dubois oparty o słupek, plecami do ogniska, i rozmawiał z Muldoonem, który rozsiadł się wygodnie na krześle wyniesionym pewnie specjalnie dla niego. Łajdak raczył się kieliszkiem brandy po kolacji.

Caleb rzadko myślał o wymierzaniu sprawiedliwości – zwykle zostawiał tę kwestię tym, do których należała – jednak w przypadku Muldoona, Wintona i ich wspólnika w biurze gubernatora był gotów uczynić wyjątek. Bardzo

łatwo przychodziło mu wyobrazić sobie długą, powolną i wyjątkowo bolesną śmierć wszystkich trzech.

Jego wzrok przyciągnęła mała jasnowłosa dziewczyneczka, która okrążała ognisko i podchodziła kolejno do każdego z więźniów. Nie nauczył się jeszcze imion wszystkich dzieci, tak samo zresztą jak imion mężczyzn, ale na Amy zwrócił uwagę. Była jedną z najmniejszych, najzwinniejszych istotek uprzątających w kopalni urobek spod nóg górników. Miała około siedmiu lat i była niezwykle bystra. Mimo panujących w obozie warunków zawsze szczebiotała wesoło, wywołując uśmiech na twarzach jeńców.

Patrzył, jak Amy zatrzymuje się po kolei przy grupkach dzieci, najwyraźniej o coś pyta i idzie dalej.

Zauważył, że Kate wstała.

Gdy na nią spojrzał, uśmiechnęła się uspokajająco i położyła mu dłoń na ramieniu.

– Chcę tylko sprawdzić, o co chodzi Amy.

Caleb odpowiedział jej uśmiechem, złapał ją za rękę i lekko ścisnął.

Hopkins zapytał go o swoją siostrę. Pytanie pośrednio dotyczyło Roberta, brata Caleba, i jego rodziny, dlatego dał się wciągnąć w rozmowę, na chwilę zapominając o kopalni.

A potem zauważył, że Kate nie wróciła na miejsce.

Podniósł wzrok, rozejrzał się po kręgu… Nigdzie nie było jej widać.

Zimny dreszcz przeszedł mu po plecach.

Obejrzał się i zobaczył, że zbliża się do kopalni. W ciemnym tunelu właśnie znikało słabe światełko.

Wstał powoli i ruszył w jej stronę.

Dziesięć kroków przed wejściem złapał ją za ramię.

– Czy to Amy poszła do kopalni? – zapytał.

Kate musiała usłyszeć grozę w jego głosie, bo z rozszerzonymi oczami wyjąkała:

– T-tak. Szuka wstążki do włosów. To ostatnia rzecz, która jej została, i myśli, że zgubiła ją u wejścia do drugiego korytarza.

Caleb spojrzał w głąb ciemnej gardzieli.

Nie miał pojęcia, za ile minut mechanizm czasowy uruchomi zawał chodnika.

– Chcę, żebyś wróciła do ogniska i usiadła, jak gdyby nigdy nic. – Spojrzał jej w oczy. – Proszę, zaufaj mi. Idź tam. Usiądź. A ja wydostanę Amy.

Przez ułamek sekundy wpatrywała się w niego, po czym przełknęła ślinę i pokiwała głową.

– Dobrze.

Wypuścił jej rękę.

– Idź już. Proszę.

Nie obejrzał się, żeby sprawdzić, czy go posłuchała, tylko ruszył przed siebie, nie przyspieszając kroku.

Gdy otoczyła go ciemność, pognał głównym korytarzem w kierunku drugiego tunelu.

Dziewczynka rzeczywiście tam była. Oświetlając lampą stertę gruzu, pochyliła się i wyciągnęła spośród odłamków czerwoną wstążkę.

Odwróciła się i machając znaleziskiem, rozpromieniona zawołała:

– Już ją mam! Znalazłam!

Mechanizm wyzwalający działał. Belka, która miała zapoczątkować zawał, lekko się pochyliła, a pozostałe, cztery metry dalej, powoli zaczynały się osuwać.

Caleb chwycił Amy na ręce. Lampa poleciała w bok, ale nie zgasła.

Przyciskając głowę dziewczynki do piersi i osłaniając ją własnym ciałem, rzucił się z powrotem do wyjścia.

Miał wrażenie, jakby poruszał się pod wodą.

Powietrze zafalowało, skała wokół nich zadrżała.

Rozległ się straszliwy, długi jęk udręczonej ziemi, a potem przenikliwy wizg.

Poczuli gwałtowny pęd powietrza, a uszy wypełnił im ryk, gdy strop korytarza zaczął się walić za ich plecami.

Zapadły egipskie ciemności.

Wszędzie wokół zaczęły latać kawałki skały. Uderzały Caleba w nogi, ramiona, biodra i plecy. Nie widząc nic przed sobą, zwolnił. Nie miał pojęcia, jak daleko jest jeszcze do końca drugiego korytarza. Potknął się, ale odzyskał równowagę. Przycisnął przerażoną Amy jedną ręką, drugą zaś wyciągnął przed siebie, próbując posuwać się naprzód.

Pierwotny zawał objął zejście na niższy poziom.

Teraz zaczął się zapadać strop górnego korytarza.

Posypały się na nich kawałki skał. Caleb instynktownie skulił się, by osłonić Amy.

Waląca się belka uderzyła go w plecy i poczuł, że pada. A potem coś łupnęło go w głowę i stracił przytomność. Otoczyła go ciemność.

* * *

Kate dotarła do paleniska akurat w chwili, gdy z kopalni wydobył się straszliwy jęk. Obróciła się gwałtownie i zobaczyła unoszący się u wejścia pył.

Wtem ogłuszający ryk wstrząsnął całym obozem i z czarnej gardzieli buchnął ogromny tuman kurzu.

Zamarła w bezruchu. Razem z resztą więźniów po prostu patrzyła.

I nagle dotarła do niej straszliwa prawda.

– Nie! Caleb! – Uniosła suknię i popędziła w stronę wejścia. – Amy!

W chmurze pyłu nic nie widziała. Z trudem mogła oddychać. Musiała się zatrzymać.

Zaczęła się krztusić i kaszleć.

Wtem obok niej zjawił się Phillipe.

Złapał ją za ramię i pociągnął do tyłu.

– Caleb jest w środku? – zapytał naglącym tonem.

– Tak! Tak! Kazał mi wrócić do ogniska, a sam poszedł po Amy... – Napad kaszlu sprawił, że zgięła się wpół.

– Proszę. – Lascelle wepchnął jej do ręki apaszkę. – Niech pani nie oddycha głęboko.

Zakryła chustką nos i usta. W przypływie paniki nie potrafiła uspokoić przyspieszonego oddechu. Chciała biec dalej, ale Lascelle jej nie pozwolił.

– Stop! – zawołał.

Przeklęty Francuz równie chętnie wydawał rozkazy jak Caleb. Jej Caleb, który był gdzieś tam w środku.

Z drugiej strony zjawił się nagle Hillsythe. Apaszka, którą zawiązał wokół nosa i ust, wyglądała jak maska.

– Zaczekajmy chwilę, może wyjdzie.

Chmura pyłu była tak gęsta, że z trudem widzieli czarną gardziel.

Po chwili dołączyli do nich Dixon i pozostali mężczyźni, a za nimi kobiety i większość dzieci. Wszyscy stanęli zbici w grupę jakieś dziesięć metrów od wejścia i czekali, aż pył nieco opadnie.

Aż pomruki góry, głuche odgłosy walącej się skały i trzask drewna ucichną.

Wszyscy wpatrywali się w głąb tunelu, nikt jednak nie wyłonił się z mroku.

Zaciskając zęby, Kate próbowała wyrwać się z rąk Lascelle’a.

– Proszę mnie puścić!

– Wzgórze może być niestabilne. – Dixon czuł, że to właśnie powinien powiedzieć, choć wcale nie chciał.

Kate spojrzała na niego, wyszarpnęła się Francuzowi i rzuciła do wejścia.

Lascelle i Hillsythe natychmiast otoczyli ją z obu stron.

– Musimy być ostrożni – ostrzegł ją Phillipe. – Znajdziemy go, ale nieroztropnie byłoby przy okazji zwalić sobie całe wzgórze na głowę.

Dixon najwyraźniej musiał ruszyć za nimi, kiedy bowiem zbliżyli się do czarnej gardzieli i zwolnili, Kate usłyszała, jak

mówi:

– Lampy! Henry, ty i pozostali idźcie i przynieście, ile znajdziecie. Reszta niech się ustawi jeden za drugim. Będziemy musieli usunąć gruz i wynieść wszystkie większe kawałki drewna. Fanshawe, Hopkins, zajmijcie się tym.

Umierając z niecierpliwości, Kate czekała tuż przy wejściu. Powstrzymywała ją tylko gęsta ciemność. Wreszcie pierwsze lampy dotarły do Lascelle'a i Hillsythe'a. Z ponurymi minami unieśli je wysoko.

Kate poczuła, że serce jej się ściska. Oddałaby wszystko, byle zobaczyć Caleba wychodzącego – choćby na chwiejnych nogach – z Amy w ramionach, tymczasem nie było po nich śladu. Pomimo unoszącego się wciąż w powietrzu pyłu widać było, że pierwszy odcinek tunelu – jakieś dziesięć metrów przed wlotem do drugiego korytarza – pozostał nienaruszony.

– Caleb! – krzyknęła. – Amy?!

Jedynym dźwiękiem, jaki dotarł do ich uszu, były pomruki wciąż osiadającej skały.

Dixon podszedł bliżej. W świetle lampy obejrzał belki podtrzymujące strop, a potem ściany i wyboisty grunt.

Z drugiego korytarza wypadło kilka odłamków. Inżynier oświetlał je przez chwilę, po czym oznajmił:

– Ten odcinek wygląda na nienaruszony. Nie widać żadnych zniszczeń. Moim zdaniem jesteśmy tu równie bezpieczni jak wcześniej.

Gdy tylko wypowiedział te słowa, Kate, Lascelle i Hillsythe rzucili się naprzód. Reszta podążyła za nimi.

Obawa o to, co znajdą, sprawiła, że nikt się nie odzywał.

Dixon zawołał cicho:

– Jed?!

– Tak?

– Weź kilku ludzi i lampy i zobaczcie, jak wygląda reszta pierwszego korytarza. Sprawdźcie łączenia stempli przy stropie. Jeśli nic się tam nie poluzowało, nie ma się co obawiać dalszego zawału.

Ominąwszy kilka głazów, Kate i jej towarzysze dotarli do wlotu drugiego chodnika.

Tu wciąż było gęsto od wiszącego w powietrzu pyłu.

I dużo bardziej niebezpiecznie.

Rumowisko sięgało aż do ich stóp. Po lewej nabijane rozłupanymi diamentami lico skały lśniło w świetle lampy.

Z każdym metrem w głąb korytarza widać było coraz więcej gruzu. Gdzieś w jednej czwartej długości zaczęły się pojawiać kawałki szalunku. Mężczyźni skierowali światło na belki podtrzymujące strop, próbując ocenić, jak daleko sięgnął zawał. Wyglądało na to, że co najmniej do połowy długości tunelu sufit trzymał się całkiem nieźle.

Ponure pomruki ustały, zapadła upiorna cisza.

Wszyscy zdawali się wstrzymywać oddech.

– Wygląda na to, że straciliśmy jedną trzecią górnego korytarza – roześmiał się z niedowierzaniem Dixon. – Dokładnie tak, jak planowaliśmy. Dalej sufit jest zwalony, ale aż do tego miejsca trzyma się całkiem dobrze.

Skierował światło lampy na odłamki i drewniane podpory, które siła wybuchu wyrzuciła i poprzewracała niczym

bierki. Tarasowały korytarz. Zator powstał dużo bliżej niż miejsce zawału.

– Wszystko to zostało wypchnięte – powiedział. – Leży luzem, ale jeśli będziemy pracować powoli i ostrożnie, powinniśmy bezpiecznie odkopać całą tę część. Caleb i Amy...

Zamilkł.

Tuż za pierwszą przechyloną podporą, nieco w jej cieniu, widać było głowę i ramiona grubo pokryte pyłem. A obok plątaninę jasnych włosów osłoniętych chudziutką rączką.

Zanim Lascelle i Hillsythe zdążyli się ruszyć, Kate wdrapała się na rumowisko. Była lżejsza i pewnie jeszcze bardziej zdesperowana. Dotarła do przechylonych wsporników i zanurkowała pod nie.

– Zaczekajcie!

Caleb i Amy leżeli w czymś na kształt groty. Trzy cięższe belki – ta, pod którą kucała, i jeszcze dwie inne – z jednej strony opierały się o ścianę korytarza, zaklinowane mniej więcej w połowie jego wysokości, z drugiej zaś ginęły w gruzie. Od góry pokrywały je potrzaskane kawałki drewna, na które zwaliły się różnej wielkości odłamki skały.

– Proszę mi dać lampę.

Serce waliło jej jak oszalałe, gdy skierowała snop światła na spoczywające obok siebie ciała. Caleb obejmował Amy ręką, dziewczynka zaś miała policzek przyciśnięty do jego ramienia. Żadne się nie poruszało, Kate jednak miała wrażenie, że ich plecy unoszą się i opadają w rytm oddechu.

– Caleb?

Żadnej reakcji.

Amy się jednak poruszyła. A potem jęknęła.

Kate oddała lampę Lascelle’owi i opadła na kolana. Nie zważając na ostre krawędzie skał, zaczęła przeciskać się pod grubą belką. Wreszcie znalazła się w ciasnej grocie.

Caleb i Amy leżeli na luźnej warstwie małych i większych odłamków. Nie sposób było stwierdzić, jakie obrażenia odnieśli.

Kate wyciągnęła rękę i pogłaskała zakurzoną głowę Caleba.

– Nie widzę żadnych ran.

– Proszę sprawdzić puls – wychrypiał Lascelle.

Kate sięgnęła po rękę, którą Caleb obejmował Amy, ale w ciasnej przestrzeni nie mogła jej wyswobodzić. Spróbowała dotknąć jego szyi.

– Nie dam rady – sapnęła.

Zajęła się więc dziewczynką. Odsunęła delikatne włosy i przyłożyła palce u nasady chudziutkiej szyjki. Poczuła zaskakująco mocne pulsowanie.

Amy znów jęknęła i poruszyła ręką.

– Cichutko, kochanie. – Kate pochyliła się nad dzieckiem. – Wyciągniemy cię stąd.

Podniosła kamień, który unieruchamiał nogi dziewczynki, i już miała go rzucić w głąb jamy, gdy Lascelle gwałtownie zaprotestował:

– Nie! Proszę usuwać kamienie na zewnątrz. Chyba nie chce pani, żeby coś się poruszyło. – Z ponurą miną wskazał

prowizoryczny strop, który podtrzymywał tonę gruzu nad plecami Caleba.

Najszybciej, jak się dało, odgrzebała tułów, ramiona i nogi dziewczynki. Amy kilka razy jęknęła.

– Zanim ją ruszymy – powiedział Lascelle, odbierając od Kate ostatni kawałek gruzu – proszę spróbować ją ocucić i zapytać, czy może poruszać palcami u rąk i nóg.

Kate nachyliła się nad dziewczynką i zaczęła ją cucić. Gdy Amy wreszcie otworzyła wielkie niebieskie oczy, Kate poprosiła:

– Powiedz mi, gdzie cię boli, kochanie.

Dolna warga dziecka zadrżała, ale widać było, że dziewczynka próbuje się skupić.

– Mam obtarte kolana – powiedziała w końcu.

Kate pokiwała głową.

– Dobrze. A możesz poruszać palcami u nóg?

– Tak. A dlaczego pani pyta?

Kate poczuła tak wielką ulgę, że udało jej się nawet przywołać uśmiech na twarz.

– Nieważne. A palcami u rąk?

– Też. – Amy oparła się na łokciu, próbując wydostać się spod ramienia Caleba. – Ciężki. – Zerknęła niego. – Przyszedł po mnie. Uratował mnie, kiedy się zawalił strop. – Jej głosik przeszedł w szept. – Nic mu nie jest?

– Mam nadzieję, ale żeby do niego podejść i sprawdzić, czy jest ranny, muszę cię stąd wydostać. – Spojrzała na Caleba. – Być może uderzył się w głowę.

– Pamiętam, że spadła na niego belka, a potem upadliśmy. – Amy rozejrzała się i dostrzegła zastrzał leżący pod dźwigarem wśród odłamków. – Chyba tamta. – Podniosła rękę, w której ściskała brudną tasiemkę. – Ale mam swoją wstążkę, widzi pani?

Kate się uśmiechnęła.

– Tak, kochanie, widzę. Trzymaj ją, a my cię stąd wyciągniemy, żeby Annie i Harriet mogły obejrzeć twoje otarcia. Potem spróbujemy wydostać kapitana Caleba.

Lascelle, Hillsythe i reszta pracowicie usuwali z drogi odłamki skały i kawałki drewna, przekazując je do rąk pomocników. Na szczęście Mary i Gemma zorientowały się, że wśród gruzu jest wiele bryłek z diamentami, i wspólnie ze starszymi dziewczętami utworzyły przy wyjściu z drugiego korytarza punkt kontrolny, by mieć pieczę nad tym, co opuszcza kopalnię. Kate mgliście zdała sobie sprawę, że Hillsythe i Dixon ustalają szeptem, aby wszystkie kamienie umieścić w skrytce bezpiecznie ulokowanej w głębi pierwszego chodnika.

Zwróciła też uwagę na słowa inżyniera – „Martwiłem się, że w wyniku zawału stracimy zapasy, ale przynajmniej tu bogowie się do nas uśmiechnęli” – postanowiła jednak później się nad nimi zastanowić.

Wkrótce część gruzu została usunięta i można było wyciągnąć Amy.

Lascelle wziął dziewczynkę w ramiona i odwrócił się do wyjścia.

– Amy jest wolna!

Rozległy się radosne okrzyki, a Kate uświadomiła sobie, że w kopalni jest pełno ludzi, którzy robią wszystko, by uwolnić uwięzionych pod gruzami.

Gdy tylko wypuściła dziecko z rąk, podpełzła do Caleba i zajrzała mu w twarz.

– Caleb?

Czyżby drgnął? Nie miała pewności.

Ostrożnie położyła mu palce u nasady szyi. Wydawało jej się, jakby wszystko – jej rozum i zmysły, cały świat – zamarło w oczekiwaniu.

A potem poczuła ciepło – i mocne, wyraźne uderzenia.

Świat znów ruszył z kopyta.

Wyjrzała z groty, napotykając wzrok Lascelle’a.

Na jego przystojnej twarzy nie widziała żadnych emocji, ale Francuz sprawiał wrażenie kogoś, kto je tłumi.

– Żyje! – powiedziała rozpromieniona.

Lascelle’owi nie udało się powstrzymać uśmiechu.

– Zawsze miał cholerne szczęście.

Odwrócił się, aby przekazać wiadomość dalej. Okrzyki radości, jeszcze donośniejsze, wprawiły tunel w drżenie.

– Nie tak głośno! – zawołał Dixon.

Wszyscy umilkli, nasłuchując, nie było jednak słychać charakterystycznych trzasków i jęków ziemi. Wyglądało na to, że wzgórze osiadło na tyle, na ile miało – przynajmniej na razie.

Kate z powrotem przeniosła wzrok na Caleba. Przykucnięta – bo miejsca było dość tylko na taką pozycję – przekręciła się, żeby obejrzeć całe ciało. Plecy, biodra i nogi

miał przysypane odłamkami. Nie widziała jego stóp – zakrywała je kolejna belka. Wciąż nie dostrzegła żadnych ran, nigdzie nie było też widać krwi.

Lascelle znów zajrzał w głąb jamy.

– Nawet gdyby był cały i zdrów, niełatwo będzie go stąd wydostać. Musimy usunąć więcej odłamków, żeby zabrać pierwszą belkę. Dopiero wtedy zobaczymy, czy damy radę go wyciągnąć. – Spojrzał na zwały gruzu nad jej głową. – To trochę potrwa.

– Zostanę z nim.

– Proszę więc zawołać, gdyby chciała się pani wydostać.

Kate słyszała, jak przekazuje jej decyzję pozostałym. A zanim ci zdążyli zaprotestować, zaczął omawiać z Hillsythe’em i Dixonem sposób, w jaki najlepiej byłoby przeprowadzić skomplikowaną operację.

Zostawiła ich z tym problemem.

Kręcąc się, znalazła sobie w końcu na wpół siedzącą, wpół leżącą pozycję, która pozwoliła jej bardzo delikatnie wsunąć palce w gęste włosy Caleba. Za prawym uchem wymacała guza wielkości gęsiego jajka.

Sprawdzała właśnie ostrożnie, czy nie ma przeciętej skóry, kiedy się poruszył. Zakasłał, a potem potwornie się skrzywił.

– Głowa mnie boli – mruknął.

Zabrała rękę i pochyliła się nad nim.

– Caleb?

Powieki mu zadrżały, a potem z trudem się uniosły.

– Jak Amy?

– Cała i zdrowa. Wydostaliśmy ją. Ma poobcierane kolana i łokcie. – Kate zajrzała w jego jasnoniebieskie oczy i zobaczyła, że spogląda na nią przytomnie. – Dzięki Bogu – westchnęła z ulgą. – A ty jak się masz? Wszystko w porządku?

– Zależy, co przez to rozumiesz.

Napiął mięśnie, jakby chciał się odepchnąć od ziemi.

– Nie. – Przytrzymała go za ramię. – Jeszcze nie możesz wstać.

Spojrzał na Kate, a potem przekręcił głowę to w jedną, to w drugą stronę, jakby próbował zrozumieć…

– Ach, już widzę. – Znów położył się spokojnie.

Lascelle musiał usłyszeć ich głosy. Przykucnął u wlotu groty i zajrzał do środka.

– Ocknął się – powiedziała rozpromieniona Kate.

Francuz chrząknął i spojrzał Calebowi w oczy.

– Jakieś obrażenia?

– Czuję aż za dobrze wszystkie części ciała. Coś mi leży na stopach. Ale zdaje się, że wszystko działa.

– To dobrze. W takim razie leż spokojnie i pozwól, żebyśmy najpierw zdjęli to. – Kiwnął głową w kierunku stropu.

– Może pan przysłać kogoś, żebym usunęła z niego ten gruz? – spytała Kate. – Będzie mógł się ruszyć.

– Przyślę któregoś ze starszych chłopców z koszykiem.

– A tymczasem zawołaj Dixona – powiedział Caleb. – Skoro już muszę tu leżeć unieruchomiony, niech mi przynajmniej powie, czy się nam udało.

Phillipe odburknął coś i wstał.

Caleb patrzył, jak znika. Spojrzał na Kate i pomyślał, że po odzyskaniu przytomności właśnie ją powinien był znaleźć u swego boku. Odszukał ręką jej dłoń i ścisnął.

Minutę później przyszedł Dixon i przykucnął. Caleb z ulgą spostrzegł, że inżynier się uśmiecha.

– Prawdę mówiąc, jest lepiej, niż się spodziewaliśmy – powiedział. – Z tego, co widziałem, dolny poziom jest całkowicie odcięty. Na górnym straciliśmy dostęp do jednej trzeciej złoża. – Obejrzał się przez ramię. – Możemy też przeciągnąć odgruzowywanie na co najmniej cały jutrzejszy dzień.

Caleb nie bardzo wiedział, co oznacza utrata dostępu do jednej trzeciej złoża. Opóźnienie czy?...

Dixon poruszył się niecierpliwie.

– Muszę wracać, żeby przypilnować usunięcia tego zwału nad panem. Proszę odpoczywać. Swoje już pan zrobił.

Wycofał się, a jego miejsce zajął Gerry, jeden ze starszych chłopców.

Kate zaczęła mu podawać odłamki przygniatające plecy Caleba. Pracowała niestrudzenie, odsłaniając coraz większą część ciała, a Gerry dzielnie jej sekundował. Wreszcie powiedział, chwytając za rączkę koszyka:

– Muszę to wysypać. Zaraz wracam.

– A możesz po drodze poprosić Hillsythe’a, żeby do mnie zajrzał? – spytał Caleb.

– Tak jest, panie kapitanie. – Gerry wyszczerzył zęby i zasalutował, po czym zniknął.

Chwilę później obok groty przykucnął Hillsythe.

– Jak się pan czuje?

– Poobijany i nieco posiniaczony, ale bywało gorzej. – Caleb wpatrywał się w twarz Hillsythe’a. – Co z Dubois i strażnikami?

Hillsythe uśmiechnął się szeroko.

– Są na zewnątrz. I nie sprawiają wrażenia, jakby chcieli wejść. Nawet po to, żeby zobaczyć, jak się sprawy mają. – Zaraz jednak spoważniał. – Ale proszę się przygotować na pytania, kiedy już pana stąd wyciągniemy. Dubois widział, że poszedł pan za Amy.

– A Muldoon?

– Dla niego liczy się tylko, jak to się odbije na wydobyciu. – Hillsythe skrzywił się z niesmakiem. – Dixon powiedział Muldoonowi i Dubois, że nie będziemy tego wiedzieć, dopóki nie oczyścimy całego korytarza, czyli najpewniej do końca jutrzejszego dnia.

– A mechanizm opóźniający?

Na twarzy Hillsythe’a znów pojawił się uśmiech.

– Pogrzebany głęboko, a do tego pewnie całkowicie zmiażdżony. Ale ponieważ to my będziemy go odkopywać, przypilnujemy, żeby Dubois, Muldoon ani strażnicy nigdy go nie zobaczyli.

Kate zdążyła się już zorientować, że mężczyźni sami, w tajemnicy, zaplanowali katastrofę – uwaga o mechanizmie opóźniającym była potwierdzeniem jej przypuszczeń. Nie wspomniała jednak o tym ani słowem i kiedy Hillsythe się wycofał, a jego miejsce zajął Gerry, wróciła do przerwanej

pracy. Na razie musieli wydostać Caleba ze strefy zawału. Czas na pretensje przyjdzie później. Wciąż jednak nie mogła pozbyć się natrętnych myśli.

Dlaczego mężczyźni nie powiedzieli kobietom?

Dlaczego Caleb nie powiedział jej?

Usunąwszy ostatni większy odłamek, uśmiechnęła się i machnięciem ręki dała znać Gerry'emu, że może iść.

– Na razie wystarczy. Już pewnie późno. Wszystkie dzieci powinny być w łóżkach.

Chłopiec wyszczerzył zęby.

– Panna Harriet i panna Annie właśnie nas zaganiają. – Spojrzał na Caleba i spoważniał. – Ale chcieliśmy wiedzieć, czy panu kapitanowi naprawdę nic się nie stało.

– Jestem poobijany i posiniaczony, ale poza tym nietknięty – roześmiał się Caleb. – Bardzo dziękuję za pomoc tobie i całej reszcie, teraz jednak lepiej będzie, jeśli już pójdziesz, bo inaczej panna Annie zjawi się tu i cię odholuje.

Gerry zasalutował.

– Tak jest, panie kapitanie. – Wstał i zabrał koszyk.

Caleb oparł głowę na przedramieniu. W tej pozycji mógł odwrócić ją na tyle, żeby popatrzeć na Kate.

– Możesz poruszać stopami? – zapytała.

Belka nad jego plecami była za nisko, żeby mógł się przekręcić na bok i podciągnąć nogi. Próbował na różne sposoby, strząsając przy tym resztki gruzu, w końcu jednak się poddał.

– Będą musieli usunąć wszystkie belki. – Chciał obejrzeć się przez ramię, ale nie dał rady. – Ile ich tam jest?

– Co najmniej trzy duże i kilka mniejszych. Ale myślę, że chcą zdjąć tylko pierwszą, a potem spróbują cię wyciągnąć.

Spojrzał jej w oczy.

– Pewnie jesteś wyczerpana. Nie musisz tu zostawać.

Nie spuszczając wzroku, powiedziała:

– Oczywiście, że muszę. – A na wypadek, gdyby zamierzał się spierać, dodała stanowczo: – A co więcej, zostanę.

Caleb wziął ją za rękę. Na jego ustach pojawił się ten sam co zwykle uroczy uśmiech.

Kolejne pół godziny zajęło mężczyznom usunięcie gruzu na tyle, by można było bezpiecznie wyjąć pierwszą belkę. Uwięziony pod pozostałymi Caleb wciąż nie mógł się ruszyć – nie był w stanie nawet się wyczołgać – więc miejsce Kate zajął Fanshawe, który złapał go za ręce i powoli wyciągnął.

Nareszcie! Cale podziękował mężczyznom i sam podciągnął się na tyle, żeby usiąść. Ugiął nogi w kolanach i oparł się plecami o ścianę. To wystarczyło, by głowa zaczęła pękać mu z bólu, a świat zawirował przed oczami. Dobrze, że Kate przytrzymała go za ramię.

W korytarzu było pełno ludzi, którzy poczęli wznosić okrzyki radości. Calebowi nie udało się uśmiechnąć, zdołał jedynie unieść rękę w geście podziękowania.

Zjawił się Dixon, który przelotnie dotknął jego ramienia, a potem przemówił do zgromadzonych:

– Teraz, kiedy udało nam się go wyciągnąć, resztę zostawimy na jutro. Nie ma sensu ryzykować, że uwięzi nas tu jakiś kolejny zawał.

Nikt się nie sprzeciwił i mężczyźni powoli zaczęli opuszczać korytarz.

Phillipe ukucnął przed Calebem i zajrzał mu w oczy.

– Jak się czujesz?

Caleb chciał się uśmiechnąć, teraz jednak, gdy siedział i krew zaczęła dopływać do kończyn, był boleśnie świadomy każdego siniaka i zadrapania.

– Zdaje mi się, że nie krwawię – zdołał z siebie wydusić.

Phillipe pokazał mu kilka palców.

– Ile widzisz?

Caleb był prawie pewien, że odpowiedź brzmi „dwa”.

– Zgadujesz – burknął przyjaciel. – Masz wstrząs mózgu. Nie wolno ci teraz zasnąć.

– Prawdę mówiąc – wtrącił Hillsythe, który stanął za Phillipe’em i przyglądał się uważnie Calebowi – na pana miejscu nie starałbym się wyglądać zbyt radośnie. Na zewnątrz czeka Dubois. Sama bladość jest dość przekonująca, ale w tym wypadku lepiej nie zgrywać chojraka.

– Rozumiem, do czego pan zmierza. – Caleb zamierzał pokiwać głową, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Sięgnął za siebie i odepchnął się od ściany.

Phillipe zerwał się i chwycił go pod ramię. Hillsythe zajął miejsce po drugiej stronie Caleba i we dwóch podciągnęli go do góry.

Caleb zamknął oczy, czując, że się chwieje.

– Cholerny łeb.

– Na szczęście wciąż jeszcze ma go pan na karku – zauważył sucho Hillsythe. – Będziemy go potrzebować, żeby dociągnąć do września.

Caleb coś odburknął, gdy jednak Hillsythe i Phillipe odwrócili się, żeby wyprowadzić go z kopalni, otworzył oczy, by odnaleźć twarz Kate.

Uśmiechnęła się, choć patrzyła na niego z niepokojem.

– Zabierzcie go do baraku medycznego – powiedziała. – Trzeba zająć się jego obrażeniami i zmyć ten brud. Przyda się też coś przeciwbólowego.

Caleb uznał, że ten plan całkiem mu odpowiada.

– A co z Amy? Naprawdę nic jej nie jest?

Kate zapewniła go, że dziewczynka ma się dużo lepiej niż on, a co więcej, udało jej się odnaleźć wstążkę, dzięki czemu wrócił jej pogodny nastrój.

Podtrzymywany przez Phillipe'a i Hillsythe'a Caleb wyszedł chwiejnym krokiem na otwartą przestrzeń. Tam czekali na niego Dubois i Muldoon w otoczeniu strażników z muszkietami w dłoniach. Instynktownie spróbował się wyprostować i natychmiast się potknął.

Obaj towarzyszący mu mężczyźni burknęli coś i podciągnęli go do góry.

Zniżając głos do szeptu, Hillsythe mruknął:

– Nie ma po co odgrywać komedii.

– To nie było na pokaz – sapnął.

Kate wcale nie była pewna, czy to prawda. Zresztą to bez znaczenia. Musiała się zająć jego obrażeniami i nie mogła pozwolić mu zasnąć. Puściła jego rękę.

– Zabierzcie go prosto do baraku medycznego.

Dubois oczywiście zastąpił im drogę.

Przyjrzał się Calebowi z zimną obojętnością.

– Kapitan Dixon poinformował mnie, że zawał był najprawdopodobniej wynikiem niewielkiego trzęsienia ziemi. Podobno zniszczeniu uległo zejście na niższy poziom.

Caleb mężnie walczył, żeby unieść głowę i nią pokiwać, niezupełnie jednak mu się to udało.

– Nie jestem specjalistą, ale wygląda na to, że ma rację. Ziemia... faktycznie się zatrzęsła. I rzeczywiście gdzieś z tyłu, niedaleko zejścia, korytarz zaczął się walić. – Naprawdę nie miał ochoty przeżywać na nowo tego straszliwego momentu, zanim zawalił się strop, kiedy pomyślał, że w końcu przeciągnął strunę i los się od niego odwrócił. A jeśli tę niechęć było słychać w jego głosie, to trudno – nie miał siły się tym przejmować.

Dubois nie odzywał się przez kilka chwil, Caleb jednak nie czuł gwałtownej potrzeby, by przerwać tę ciszę.

Kate za to nie wytrzymała.

– Ja byłam najbliżej kopalni i chwilę przed zawałem poczułam, jak się trzęsie ziemia – powiedziała.

– Tak się składa, że strażnicy na wieży też poczuli wstrząs – Dubois spojrzał na Caleba – dlatego uważam, że do katastrofy doszło z przyczyn naturalnych. – Uśmiech, który pojawił się na jego twarzy, był tak samo zimny jak głos, gdy powiedział: – To dla pana dobra wiadomość, kapitanie Frobisher. Bo inaczej mógłbym uznać, że posłał pan

dziecko, ponieważ chciał pan mieć pretekst, żeby się znaleźć w miejscu, w którym nie powinno pana być.

Caleb uniósł głowę na tyle, by spojrzeć Dubois w oczy.

– Naprawdę pan myśli, że byłbym tak głupi, żeby zwalić sobie na głowę kopalnię? Zwłaszcza że była tam też Amy?

Dubois wpatrywał się w niego beznamiętnie.

– Czy sądzę, że byłby pan dość lekkomyślny, żeby zorganizować takie przedsięwzięcie i z powodu błędnej oceny dać się złapać w pułapkę? Tak, kapitanie Frobisher, właśnie tak sądzę.

Caleb zmarszczył brwi.

– No cóż, to nie moje dzieło. – Przynajmniej tym razem jego plan stanowczo nie był lekkomyślny i z całą pewnością nie zakładał wykorzystania Amy jako pretekstu. – Tylko trzęsienia ziemi.

– Ponieważ kapitan Dixon i moi ludzie potwierdzają pańskie słowa, przyjmuję to do wiadomości. – Dubois skinął wzgardliwie głową i odsunął się, robiąc im miejsce. Reszta najemników poszła za jego przykładem. – Powiedziano mi – dodał jeszcze – że pańskie obrażenia nie są aż tak poważne, żeby nie mógł pan wrócić do pracy.

– Ma wstrząs mózgu i to chyba wszystko – odezwała się Kate. – W ciągu dwudziestu czterech godzin powinien dojść do siebie.

– Znakomicie. – Dubois z zimnym uśmiechem machnął ręką, żeby szli. – Według kapitana Dixona tyle czasu trzeba, żeby usunąć gruz. Spodziewam się zobaczyć pana

w kopalni, kiedy jutro po południu wybierzemy się z panem Muldoonem na inspekcję.

Caleb nawet nie próbował nic odpowiedzieć. Kiedy Kate z wysoko podniesioną głową minęła najemników, pozwolił, by Hillsythe i Phillipe poprowadzili go jej śladem. W głowie aż mu huczało od pytań dotyczących stanu kopalni i spodziewanej inspekcji, najpierw jednak musiał się wdrapać po schodkach prowadzących do baraku medycznego.

Kate stała na górze, trzymając otwarte drzwi.

Odetchnął głęboko i ruszył w jej stronę.

Dzwonienie w uszach nagle przybrało na sile – zakręciło mu się w głowie i poczuł, że odpływa w cudowną, pozbawioną doznań ciemność.

* * *

Gdy odzyskał przytomność, zorientował się, że leży w łóżku osłoniętym moskitierą. Pomieszczenie oświetlała stojąca niedaleko lampa.

Zamrugał.

Minęło kilka sekund, zanim się zorientował, że jest nagi.

I czysty.

Ktoś zmył z niego cały pył. Oczyścił wszystkie rany i siniaki…

Nie poruszając głową, rozejrzał się i zobaczył Kate, która przyciskała do piersi wielką misę.

Znowu zamrugał. To niemożliwe.

Wiedział, że jego mózg nie funkcjonuje najlepiej, kiedy więc odwróciła się do niego plecami, podniósł prześcieradło

i zerknął w dół.

Tak, był nagi.

I czysty.

Ktoś umył go od stóp do głów.

Osiemnaście

Opuścił prześcieradło w chwili, gdy Kate się odwróciła.

– Coś się stało?

– Jest tu ktoś jeszcze?

Ciekawe, kiedy zniknęli Phillipe i Hillsythe.

Zmarszczyła brwi.

– Nie sądzę. – Z maścią w ręce podeszła do drzwi i wyjrzała na korytarz. – Nie. Nikogo nie ma. – Zamknęła drzwi na zasuwkę. – To na wypadek, gdyby kogoś przyniosło.

– Która godzina? – Jak długo był nieprzytomny?

– Już pewnie północ. – Podeszła do łóżka.

Patrząc na nią, powtarzał sobie, że powinien zachować stosowny dystans... A może nie? Tego też nie był pewien. Gdy podniosła moskitierę, weszła pod nią i usiadła na łóżku obok, chrząknął i zapytał:

– Jak się tu znalazłem?

I w dodatku w takim stanie?

Otwierała właśnie słoik. Podniosła na niego wzrok i spojrzała mu w oczy.

– Hillsythe i Lascelle cię tu położyli. Hillsythe musiał wracać, więc Lascelle pomógł mi cię rozebrać i umyć. – Opuściła oczy, powstrzymując uśmiech. – Jeśli to chciałeś wiedzieć.

Nie był pewien, co o tym myśleć. Czy powinien być zachwycony, czy przerażony. Ale…

– Sam mogę opatrzyć swoje zranienia.

– Prawdę mówiąc, nie możesz. – Spojrzała mu w oczy i dostrzegł w nich stanowczość, jakiej nigdy wcześniej nie widział.

Zanim zdążył się zorientować, co to oznacza, dodała:

– Większość otarć masz na plecach i nie uda ci się ich ani zobaczyć, ani tym bardziej dosięgnąć. A teraz odwróć się – machnęła ręką – żebym mogła cię tym posmarować. Wiesz, że nie możemy ryzykować, że wda się zakażenie.

Doszedł do wniosku, że nie ma sensu się spierać. Owinął się prześcieradłem, przekręcił na bok, po czym ostrożnie położył się na brzuchu.

Oczywiście natychmiast ściągnęła z niego przykrycie, ale tylko do wysokości bioder.

A potem poczuł nieznośnie delikatny dotyk, gdy koniuszkami palców nałożyła maść na otarcie na łopatce i zaczęła ją wcierać.

Kiedy w ten sam sposób potraktowała kilka innych zranień, Caleb zorientował się, że odpływa, odprężony i przedziwnie zadowolony.

Na koniec wstała, okrążyła łóżko i usiadła z drugiej strony, by zająć się pozostałymi otarciami. Nakładała maść, a potem wcierała. Czuł, że przygląda się jego twarzy, ale nie uniósł ciężkich powiek.

– Nie powinieneś zasypiać – powiedziała miękkim, niskim głosem. – A w każdym razie ja nie powinnam ci pozwolić

spać za długo.

– Hm.

– Może więc mi powiesz, dlaczego postanowiliście nie informować kobiet o swoim planie?

Mimo że nie otworzył oczu, w jednej chwili całkowicie się rozbudził. I, o dziwo, zorientował się, że powinien mieć się na baczności.

– Chciałem ci powiedzieć – i innym kobietom też – ale reszta odwiodła mnie od tego pomysłu.

– To samo powiedział Lascelle. Mówił, że pozostali mężczyźni przedstawili niezbite argumenty, żeby utrzymać wasz plan w tajemnicy.

Caleb zanotował sobie w pamięci, żeby stosownie podziękować przyjacielowi za pomoc. Najpierw zgodził się, żeby Kate razem z nim rozebrała i umyła Caleba, a potem powiedział jej akurat tyle, żeby teraz musiał sam wyjaśnić jej kwestię, do której, o czym dobrze wiedział, kobiety nie odnosiły się ze szczególnym entuzjazmem.

– Phillipe to prawdziwy przyjaciel.

– Rzeczywiście. W interesie nas wszystkich jednak dobrze by było, gdybyś mi wyjaśnił, co to za niezbite argumenty.

Caleb westchnął.

– Przekonali mnie, że kiedy korytarz się zawali, wasza reakcja – szok i niedowierzanie – sprawi, że Dubois nie będzie was podejrzewać, a poza tym utwierdzi go w przekonaniu, że katastrofa nie jest naszym dziełem.

Zamilkł. Wiedział, że to, co teraz powie, będzie miało zasadnicze znaczenie – dla niego i dla niej.

– Nie mogliśmy ryzykować, że będzie nas podejrzewać, bo zacząłby się mścić. – Spojrzał jej w oczy. – A pierwszą osobą, którą by za to obwiniał, byłbym ja. Co oznacza, że… ty byłabyś pierwszą ofiarą.

Kate poczuła, że tonie w pełnych życia niebieskich oczach Caleba, że to jego niezłomne, niezachwiane oddanie chwyta ją za serce. Czuła, że dla niej byłby gotów skoczyć nawet w ogień. Widziała to na własne oczy.

Nigdy w niego nie zwątpi, nigdy nie będzie kwestionować jego zaangażowania w sprawę, którą Caleb uzna za własną.

Będą dzielili życie.

On nigdy z tego nie zrezygnuje.

A ona po dzisiejszej nocy wiedziała, że bez względu na wątpliwości, jakie podsuwał jej rozum, jej dusza już zdecydowała. Postanowiła, że jemu powierzy swój los.

Dzisiejszej nocy Kate zrozumiała, co znaczy zapomnieć o sobie.

Wciąż wpatrzona w jego oczy przechyliła głowę.

– Więc postanowiłeś trzymać mnie w niewiedzy, żeby mnie chronić?

– Tak. Gdybym miał decydować drugi raz, postąpiłbym tak samo.

Odwróciła wzrok, choć wiedziała, że dostrzeże jej uśmiech. Nie potrafiła jednak jeszcze wyjaśnić, dlaczego mimo wcześniejszego poirytowania teraz, kiedy poznała jego pobudki, wydało jej się to… ujmujące.

Jeśli tak miałoby wyglądać ich wspólne życie, była gotowa się do tego przyzwyczaić.

Wzięła głęboki wdech i posmarowała maścią następne zadrapanie na jego boku.

Przekręcił głowę, żeby spojrzeć w jej twarz.

– No i? – spytał w końcu.

Wciąż nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– No cóż... skoro miałeś oczywiste i bezsporne powody... w takim razie w porządku.

Zerknęła na niego i zobaczyła, że wpatruje się w nią, jakby była jakąś niepojętą zagadką. Uśmiechnęła się i odwróciła wzrok.

– Przynajmniej wam się powiodło. Kiedy doszło do zawału, zaczęłam krzyczeć i rzuciłam się do wejścia. Lascelle musiał mnie złapać i zatrzymać siłą. Niemożliwe, żeby Dubois uznał, że udawałam. Tak samo jak reszta kobiet i dzieci. – Przelotnie spojrzała mu w oczy. – Masz rację, szok i niedowierzanie są wyjątkowo przekonujące. Wy, mężczyźni, kiedy dzieje się coś strasznego, zwykle zachowujecie kamienną twarz. Trudno powiedzieć, co naprawdę czujecie, a tym bardziej dlaczego. Tak rzadko ujawniacie emocje.

Lekko pokiwał głową.

– Zwłaszcza przed wrogiem. To jedna z reguł sztuki walki.

Uśmiechnęła się szeroko i poklepała go po boku.

– Z tyłu na nogach masz jeszcze kilka paskudnych otarć. Zajmę się nimi, a ty po prostu leż spokojnie. Jak tam twoja głowa? – spytała, zaczynając od długiego zadrapania na łydce.

– Nie tak źle, jak sądziłem.

– Hillsythe i Lascelle powiedzieli, że powinieneś leżeć na wznak przynajmniej do rana, a tak naprawdę im dłużej, tym lepiej.

Wydał nieokreślony dźwięk, który uznała za znak zgody.

Troskliwie zajęła się resztą jego obrażeń. Kiedy skończyła, wstała i przyjrzała się swojemu dziełu. Cienkie prześcieradło zasłaniało niewiele więcej niż jego pośladki.

– Lascelle miał rację, mówiąc, że masz cholerne szczęście. Dodał też, że bogowie czuwają nad takimi ludźmi jak jego przyjaciel.

Caleb prychnął.

– A on to niby co? Sam widziałem, jak z najgorszej kabały wychodził bez jednego draśnięcia. – Podniósł głowę i spróbował spojrzeć przez ramię na swoje plecy i nogi. – Ja przynajmniej mam kilka zadrapań.

– Zadrapań, otarć, głębokich skaleczeń i siniaków. Bo zawał omal cię nie pogrzebał żywcem. – Wydostała się spod moskitiery, podeszła do szafki i schowała maść. – Nawiasem mówiąc, masz też kilka siniaków z przodu, ale nimi zajęłam się wcześniej.

Posmarowała je, zanim się obudził. Wiedziała, że z nimi nie poszłoby tak łatwo jak z otarciami na plecach. Uśmiechnęła się do siebie, ale się nie obejrzała. Potrafiła sobie wyobrazić wyraz jego twarzy. Mimo pewności siebie i bezczelności wciąż miał aż nazbyt wiele z dżentelmena.

Usłyszała szelest. Kiedy się odwróciła, znów leżał na plecach przykryty prześcieradłem, ze wzrokiem wbitym w siatkę nad głową.

– Byłoby dużo gorzej, gdyby te belki się tak nie zaklinowały – odezwał się poważnym głosem.

– To prawda.

Gdy zobaczyła go o włos od śmierci i zdała sobie sprawę, co ta strata by dla niej znaczyła, zrozumiała, że istnieje tylko jedna droga wiodąca do przyszłości, jakiej pragnęła.

O jaką była gotowa zabiegać.

Powoli podeszła do łóżka.

I zaczęła rozwiązywać sznurówkę ściągającą jej burą nietwarzową suknię.

Zamrugał.

– Kate? Co ty robisz?

Zamiast odpowiedzieć, wyswobodziła ramiona ze stanika i pozwoliła sukni zsunąć się na podłogę. Uznała, że słowa są zbyteczne, że to, co robi, jest wystarczająco zrozumiałe.

Pod paskudną suknią miała cienką batystową koszulkę, jej własną, tę, którą nosiła, kiedy ją uprowadzono.

Myślała, że będzie skrępowana, tymczasem zrzuciwszy znienawidzoną szatę, poczuła się bardziej sobą.

A zdumiony, ale wyraźnie pałający wzrok Caleba sprawił, że miała wrażenie, jakby…

Jakby była dla niego najwyższą nagrodą.

Nie wahając się, dała nura pod moskitierę i uklękła na łóżku.

Pochyliła się, a on instynktownie podniósł ręce i chwycił ją w objęcia. Zmrużyła oczy, żeby nie uronić nic z cudownego dreszczu, który ją przeszedł. Przez cieniutki materiał koszuli jego gorący dotyk niemal parzył.

Usłyszała, że Caleb bierze głęboki wdech, i poczuła, jak jego pierś gwałtownie unosi się, a potem opada. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, pochyliła głowę i zamknęła mu usta pocałunkiem.

Tym razem to ona całowała, ona ujęła jego twarz w ręce i wzięła w posiadanie jego usta.

A on na to przystał. Rozchylił wargi i pozwolił, by nim kierowała – podążał jej śladem, z radością odwzajemniając każdą pieszczotę. Odpowiadając jej z werwą i entuzjazmem.

Tak jak tego chciała. Tak jak pragnęła.

A pragnęła właśnie jego. Pragnęła przyszłości, którą dla niej wyczarował. Którą jej obiecał – słowem i czynem. Wcześniej bała się zaufać własnym uczuciom, działać pod wpływem impulsu.

Dzisiejszej nocy to się zmieniło.

Jego plan, by zawalić korytarz, ofiarność, z jaką rzucił się w pogoń za Amy, rozwiały wszystkie wątpliwości, zdusiły wszelką niepewność.

Na co czekała?

To pytanie pojawiło się w jej myślach, kiedy omal go nie straciła, i od tej pory nie znikało.

Nie było sensu się powstrzymywać. Nie było sensu zaprzeczać.

Temu głodowi, temu pożądaniu. Pragnęła go i chciała, żeby on też jej pragnął.

Przesunęła ręką w dół potężnej szyi, złapała za materiał i pociągnęła, a potem zaczęła go pieścić. Całowała coraz namiętniej, zapuszczając się na nieznane dotąd obszary.

Objął jej piersi. Silne dłonie zaczęły przesuwać delikatny batyst po wrażliwej skórze. Palce odnalazły sutki i zaczęły je pieścić, aż jęknęła.

Oderwała od niego usta i uniosła głowę, jakby chciała zaczerpnąć powietrza. I zorientowała się, że siedzi mu okrakiem na brzuchu.

Pochyliła się nieco i niechętnie przeniosła ręce z cudownie szerokiej piersi na stalowe mięśnie przedramion, a potem w górę, aż do dłoni, które pieściły jej biust. Położyła na nich ręce i przez chwilę upajała się rozkoszą, jaką jej dawał.

Spod opuszczonych rzęs spojrzała mu w oczy. Widziała, jak się jej przygląda, widziała, jak napawa się jej upojeniem.

Wiedziała, że nie poprosi o więcej i sam niczego nie zrobi. To do niej należał kolejny krok.

Złapała za koszulkę, jednym płynnym ruchem ściągnęła ją przez głowę i odrzuciła na bok. Spodziewała się, że jego ręce zaraz powrócą na jej nagą skórę, nastawiła się nawet na wstrząs, ten jednak nie nastąpił.

Spojrzała na jego twarz i dostrzegła w niej coś na kształt uwielbienia, gdy jego wzrok przesuwał się po jej ciele, poczynając od nagich ramion, przez nabrzmiałe, zaczerwienione piersi, wąską talię, delikatny brzuch i biodra, aż po ciemny trójkąt włosów.

Położył jej ręce na kolanach i potężnymi dłońmi przesunął wzdłuż ud. Chwycił ją za pośladki i zaczął je pieścić.

Zamknęła oczy i głowa opadła jej w tył, gdy poczuła ogień pożądania, miłości i namiętności.

To doznanie było tak silne, że z trudem mogła oddychać.

Caleb nie spuszczał z niej wzroku. Nigdy w życiu nie widział nic równie wspaniałego. Równie czarującego.

I równie podniecającego.

Był gotów. Twardy jak skała i spragniony.

Chciał jednak w pełni nacieszyć się tym, co mu dawała, i podążyć za nią tam, dokąd go prowadziła.

Należał do niej – wiedział to od pierwszej chwili, kiedy zobaczył ją w dżungli, jak zbierała owoce z Dicconem.

A ona od tamtej chwili należała do niego – nawet jeśli tego nie wiedziała.

Był ciekaw, czy teraz ma tego świadomość – i czy się na to zgadza. Czy właśnie to chciała mu w ten sposób powiedzieć?

Ze swoich licznych kontaktów z kobietami wyniósł jedną ważną lekcję – rzadko kiedy wiedział, co myślały.

A to, co się teraz działo i co się miało stać w przyszłości, było zbyt ważne, by ryzykować nieporozumienie.

Gdy odzyskała oddech i popatrzyła na niego, spojrzał jej w oczy i zapytał:

– Co chcesz zrobić? I dlaczego?

Wcale go nie zdziwiło, że nie musiała się zastanawiać, że miała odpowiedź na końcu języka. Oboje właśnie otarli się o śmieć, przeżyli wstrząs. Dobrze wiedział, co takie doświadczenia robią z ludźmi – potrafią sprawić, że umysł koncentruje się na sprawach najważniejszych. Oblizała usta i jednym tchem powiedziała:

– Życie jest po to, by żyć. A ponieważ jest krótkie, powinniśmy chwytać każdą chwilę i starać się przeżyć ją do końca.

Nie spuszczając z niej oczu, przechylił głowę.

– To moja filozofia.

– Teraz też moja. – Położyła mu ręce na piersi, nie spuszczając z niego wzroku. – Powiedziałeś mi, czego chcesz, co masz do zaoferowania. Nie miałeś wątpliwości, a ja... nie byłam do końca pewna, w każdy razie mój umysł, bo serce wiedziało lepiej. Dlatego wtedy ci nie odpowiedziałam. Robię to teraz. – Jej orzechowe oczy pociemniały. – To moja odpowiedź. W ten sposób łączę swoje życie z twoim – nieodwołalnie i na zawsze. Bo chcę, żebyśmy, ty i ja, my oboje, mieli wszelkie powody, żeby walczyć o to, co może nas czekać. Żebyśmy walczyli i przeżyli. Bo tak samo jak ty wierzę, że wspólna przyszłość jest tego warta.

Nie zamierzał się spierać.

Pochyliła się niżej – jej twarz zawisła tuż nad jego twarzą – i spojrzała mu głęboko w oczy.

– Dlatego przyjmuję twoją filozofię za swoją. I przyjmuję ciebie. Całym sercem i całą duszą. Bo już się nie boję. Bo się nauczyłam, że są rzeczy dużo straszniejsze niż miłość. Teraz, kiedy już wiem, że potrafię spojrzeć śmierci w oczy i nadal walczyć, wiem też, że mogę przyjąć ciebie i twoją miłość. Że mogę was wziąć w posiadanie. – Pochyliła się jeszcze niżej; ich usta, gorące i spragnione, dzieliło już tylko kilka centymetrów. – I że mogę oddać ci siebie.

Nie czekał na więcej. Uniósł głowę i dotknął wargami jej ust.

Powitała go z radością, zachęcając, by brał jeszcze, staczając z nim pojedynek na języki. Zawisła nad nim, kołysząc się kusząco, a dotyk jej bujnych piersi i rozgrzanej jedwabistej skóry sprawił, że krew w jego żyłach zapłonęła.

Każde muśnięcie wzniecało pożar. Nie mógł się nacieszyć dotykiem jej gładkiego ciała. Ręce błądziły po jej plecach, chciwie badając łagodne zagłębienia. Przycisnęła do niego biodra i ogień w obojgu wybuchł ze zdwojoną siłą.

Zalała ich fala namiętności.

Jej ręce okazały się równie zachłanne i ciekawe jego ciała. On zaś odnalazł miękkość między jej udami i zagłębił się w niej. Jęknęła, naciskając na jego rękę. Szybko odnalazła swój rytm, jej ciało poruszało się w niezwykle sugestywnym tańcu. I poprzez pocałunek, napięcie ciała, nacisk ud na jego biodra bez słów błagała o więcej.

Domagała się więcej. Sięgnęła w dół i zamknęła drobną dłoń na jego męskości, ściskając ją i gładząc.

Caleb odpłynął.

Złapał ją za biodra i na wpół unosząc, ułożył pod sobą. Uniósł się, opierając dłonie na poduszce po obu stronach jej głowy, i spojrzał w twarz – twarz madonny, która się zatraciła w pragnieniu.

Uniosła powieki i w jej orzechowych oczach zapłonęło pożądanie. Przyciągnęła go do siebie, zapraszając do środka – do miękkiego, ciepłego wnętrza.

Żeby – tak jak powiedziała – wziąć go w posiadanie.

Przez ułamek sekundy unosił się nad nią, napawając się tym widokiem. Zachwycony, oczarowany i boleśnie świadom, że oto stoją na progu wspólnej przyszłości. Oddychał tak samo ciężko i rozpaczliwie jak ona. Czuł jej gorące zapraszające wnętrze i marzył tylko o tym, by zanurzyć się w nim, poczuć się jak w domu, mimo to musiał zapytać:

– Naprawdę jesteś pewna? – Zamknął oczy i z trudem wycedził: – Proszę, powiedz: tak.

– Tak. Pragnę cię. Teraz.

Tylko tyle chciał usłyszeć. Zamknął oczy i powoli – tak wolno, że miał wrażenie, że oszaleje – wsunął się w jej ciasne wnętrze.

Zamarł w bezruchu i czekał, czekał… póki nie poczuł, że ból mija i Kate się rozluźnia, póki nie wyczuł powracającej fali pożądania.

Po chwili kołysała się wraz z nim.

A po kilku następnych to ona nadawała rytm, ponaglając go, nie dając wytchnienia, wyznaczając tempo.

Kate zatopiła palce w jego muskularnych ramionach i ścisnęła, rozpaczliwie próbując uchwycić się czegoś, gdy wciągał ją wir namiętności. Gdy znalazła się w świecie, o jakim nigdy wcześniej nie śniła, gdzie każdy dotyk Caleba budził w niej burzę.

Jej ciało za tym właśnie tęskniło – za bliskością i intymnością. Teraz to zrozumiała. Nareszcie w pełni pojęła, dokąd mogą prowadzić pożądanie i namiętność – na zupełnie inny poziom wspólnego bycia.

Złapała go wpół i jeszcze mocniej przyciągnęła do siebie.

Stęknął i usłuchał, nie gubiąc rytmu, który w tej chwili obojgu wydawał się najważniejszy.

Niezdolna oprzeć się pragnieniu, ujęła w dłonie jego twarz i zamknęła mu usta jeszcze gorętszym pocałunkiem.

Nagle fala intensywnych doznań porwała ją i uniosła.

Wysoko, coraz wyżej. Aż przestało do niej docierać cokolwiek poza rozkoszą – która rosła i rosła…

Leżała, unosząc się w wypełnionej ekstazą otchłani.

Wkrótce do niej dołączył z niskim, gardłowym jękiem. Opadł na nią, przygniatając ją do łóżka.

A ona wciąż się unosiła.

Wyciągnęła rękę i pogładziła go po włosach na karku, a potem delikatnie dotknęła jego policzka.

Ten jej dotyk, bezgłośne błogosławieństwo, przeniknął go aż do kości.

Spojrzał na jej twarz.

Wciąż wyglądała jak madonna, choć teraz w pełni zaspokojona.

Uniosła powieki, a on nagle ujrzał w orzechowych oczach blask, którego nie sposób z niczym pomylić. Zatonął w nim bez reszty.

– Właśnie tego chciałam – szepnęła. – Tego potrzebowałam. – W jej głosie było słychać błogi zachwyt.

Ostatni raz pogładziła go po policzku i powiedziała tak cicho, że ledwie usłyszał:

– Musiałam, chciałam podzielić się tym cudem, tą radością i szczęściem z tobą.

A potem zaspokojona i nasycona zasnęła.

Osunął się w jej ramiona i pozwolił, by zagarnął go sen.

* * *

Tej nocy kochali się jeszcze kilka razy.

Gdy zaś wreszcie wyszli z baraku, słysząc wołanie na południowy posiłek, Caleb – choć nie spał wiele – szedł pewnym krokiem, wzrok miał bystry, a umysł jasny.

Kate zaś czuła, że podczas tych gorących nocnych godzin stała się dojrzałą kobietą.

Zdecydowała się na nieodwołalny krok. Zawierzyła miłości i zaufała Calebowi.

Od tej chwili aż do śmierci razem będą stawiać czoło życiu.

Będą razem walczyć: najpierw o to, by przetrwać, a potem, by cieszyć się swym szczęściem – przyszłością, teraz może jeszcze bardziej wyczekiwaną.

Dziewiętnaście

Po tym, jak Kate i Caleb dołączyli do reszty więźniów przy palenisku, krótka przerwa obiadowa upłynęła pod znakiem pytań o zdrowie rekonwalescenta, przeplatanych żarcikami i docinkami, które przyprawiały Kate o rumieniec. Ogólnie jednak dawało się wyczuć nową nadzieję, która rozkwitła na fali odrodzonego poczucia wspólnoty.

Szalony pomysł mężczyzn okazał się skuteczny i teraz wszyscy bardzo liczyli na to, że uda im się przeciągnąć pracę kopalni do września.

Gdy przerwa dobiegła końca, Caleb poszedł zmienić koszulę i zajrzał do oczyszczalni. Panie siedziały przy stole, udając, że pracują, ale sądząc po ich błyszczących oczach i rumieńcu na policzkach Kate, najwyraźniej plotkowały. Zapytał o Muldoona i Dubois, a gdy otrzymał zapewnienie, że żaden z nich dziś się tu nie pojawił, pospiesznie zrejterował.

Zatrzymał się, by porozmawiać z dziećmi. Ze względu na ilość gruzu wyniesionego z kopalni miały mnóstwo pracy, wyczuł jednak, że z jakiegoś powodu są zadowolone. Gdy ukucnął obok i spojrzał zachęcająco, jedna ze starszych dziewczynek szepnęła, że większość bryłek z kamieniami udało im się ukryć w tajnej kupce, a tylko niewielką część skierować do oczyszczalni.

– Nasze zapasy są już prawie tak samo duże jak te w kopalni – oznajmił z dumą jeden z chłopców.

– Znakomicie. – Twarz Caleba pojaśniała. – Tak trzymać. Tylko pamiętajcie, żeby nie zauważył was żaden strażnik.

Spostrzegł Amy, która z grupką dzieci wynosiła właśnie w koszyku urobek z kopalni. Włosy miała mocno związane czerwoną wstążką.

Na widok Caleba dziewczynka uśmiechnęła się radośnie, rzuciła koszyk i do niego podbiegła. Złapała go za ręce, ścisnęła i spojrzała poważnie.

– Nic panu nie jest, kapitanie Caleb? Pewnie wciąż boli pana głowa.

Caleb zapewnił ją, że ma się już prawie całkiem dobrze, wyszczerzył zęby w uśmiechu i pociągnął za wstążkę. Słysząc, jak piszczy zachwycona, roześmiał się i wszedł do kopalni.

Stojący w grupkach mężczyźni oddawali się lenistwu. Kilofy i szpadle leżały nieopodal, nikt jednak nawet nie udawał, że pracuje.

– Strażnicy za bardzo się boją, żeby tu zaglądać – poinformował go Quilley. – Korytarz jest już całkiem odgruzowany, a dzieciaki kręcą się w tę i z powrotem, robiąc dużo zamieszania, więc możemy spokojnie czekać, aż jego wysokość Dubois zechce przyjść na inspekcję.

Caleb mgliście pamiętał, że komendant wspominał coś o wizycie w kopalni późnym popołudniem. Kiwnął głową, poszedł dalej i skręcił w drugi korytarz.

Tu jeszcze więcej osób podpierało ściany. Caleb pozdrowił górników uśmiechem i skinieniem głowy i ruszył tam, gdzie teraz był koniec korytarza. Spostrzegł Dixona, Hillsythe'a, Fanshawe'a, Hopkinsa i Phillipe'a – stali zbici w grupkę w pewnym oddaleniu od reszty.

Przyjrzał się ich twarzom. Spodziewał się dostrzec na nich satysfakcję, a może nawet radość, tymczasem ich miny wskazywały na to, że sprawy przybrały zły obrót.

– Co się stało? – zapytał.

Mężczyźni spojrzeli po sobie, po czym przenieśli wzrok na Dixona.

Inżynier westchnął.

– Spodziewaliśmy się, że porządki na górnym poziomie będą trwały dłużej, tymczasem…

– Kiedy pana wynieśliśmy – powiedział Hillsythe – okazało się, że reszta gruzu nie jest tak zbita, jak byśmy chcieli. Wciąż musimy odkopać i na nowo podeprzeć ostatnią część, ale to potrwa góra kilka dni. A co ważniejsze, nie będzie przeszkadzało w wydobyciu.

Caleb lekko wzruszył ramionami.

– Przynajmniej dolny poziom jest zablokowany, a przecież taki był nasz pierwotny cel. Cała reszta to tylko dodatkowy zysk.

– Niestety, ten dodatkowy zysk okazał się nowym, potencjalnie gorszym problemem – prychnął Dixon. – Proszę tylko spojrzeć.

Wchodząc w drugi korytarz, Caleb miał wrażenie, że wygląda jakoś inaczej. Może dlatego, że w wyniku zawału

i późniejszego odgruzowywania zmieniło się również podłoże?

Przyjrzał się uważnie licu skały. Wydawało mu się, że jest w nim dużo więcej rozłupanych diamentów. Czy to źle? Przeniósł wzrok na Dixona.

– Musi mi pan wyjaśnić, o co chodzi. Wciąż jeszcze nie myślę jasno.

Dixon wziął głęboki wdech i położył dłoń na chropowatej ścianie.

– Zawał odłupał fragment lica. Razem z odłamkami wynieśliśmy z tego korytarza dziesiątki kamieni. Owszem, większość udało nam się ukryć, ale wciąż... – Twarz mu stężała. – Poważnie się obawiam, że o wiele za szybko wyczerpiemy to złoże. Po odłupaniu wierzchniej warstwy możemy uznać, że dotarliśmy już poza połowę jego głębokości. – Spojrzał w oczy Calebowi. – Wiem, że zgromadziliśmy zapasy, które pozwolą nam przetrwać pewien czas, ale tu nie chodzi tylko o moje zastrzeżenia co do tego, czy uda nam się przeciągnąć działalność kopalni. Rzecz w tym, by Dubois uwierzył, że wciąż wydobywamy kamienie.

Caleb miał rację, twierdząc, że jego umysł nie jest jeszcze w pełni sprawny, gdyż trudno mu było przyjąć do wiadomości słowa inżyniera.

Zerknął na pozostałych i zrozumiał, dlaczego sprawiali wrażenie przybitych, niemal załamanych.

Zanim jednak zdążył się zastanowić nad tym, jaką taktykę powinni przyjąć, mężczyźni stojący w pobliżu głównego

wejścia chwycili za kilofy i szpadle i zaczęli pozorować pracę.

– Cholera – zaklął Hillsythe. – Mieliśmy nadzieję, że Dubois mimo wszystko będzie trzymał się z dala od kopalni jeszcze choć jeden dzień. – Zerknął na ścianę. – Mielibyśmy czas zdecydować, co dalej.

Okazało się, że razem z Dubois przybyli Muldoon i czterej uzbrojeni i spoceni strażnicy.

– Wynocha! – krzyknął Dubois w stronę górników.

Ale gdy grupka mężczyzn zgromadzonych na końcu korytarza także ruszyła w kierunku wyjścia, komendant machnął ręką w ich stronę.

– Nie wy.

Na jego twarzy widać było napięcie, ale najwyraźniej zdecydował się pokonać chorobliwy lęk przed przebywaniem w ciasnym pomieszczeniu, w którym niedawno doszło do zawału.

Gdy górnicy opuścili korytarz, do środka wszedł Muldoon – jego kroki niosły się w tunelu głośnym echem.

To była pierwsza wizyta attaché morskiego w kopalni. Z szeroko otwartymi oczami i wyrazem fascynacji na twarzy rozglądał się, napawając się widokiem chodnika i belek podtrzymujących strop. Wreszcie, nie zwracając się do nikogo konkretnego, powiedział:

– Zawsze sądziłem, że tunele w kopalni są strasznie ciasne.

Dubois spojrzał na Dixona. Inżynier podszedł i stanął obok gościa.

– To dlatego, że wydobywamy tu diamenty – wyjaśnił. – Górnicy muszą mieć dużo miejsca, żeby nie tylko zamachnąć się i uderzyć z odpowiednią siłą, ale też dokładnie wycelować. Inaczej łatwo można je rozłupać.

– Aha. – Ze wzrokiem wbitym w lico skały Muldoon pokiwał głową. – Rozumiem. – Nagle jakby zdał sobie sprawę, na co patrzy. – Mój Boże! – krzyknął przejęty nabożną czcią. – Przecież to... – Wyciągnął rękę i pogładził połyskujące kamienie. Przełknął ślinę i spojrzał na Dixona, a potem na Dubois. – Czy to diamenty?

Dubois pokiwał głową.

– Tak, to surowe kamienie – potwierdził inżynier.

Muldoon otworzył usta i cofnął się, żeby ogarnąć wzrokiem całe lico skały.

– Ależ... to jest warte krocie! Do diabła, to istny skarbiec!

– Zawał odłupał wierzchnią warstwę i dlatego widać aż tyle kamieni – pospieszył z wyjaśnieniami Dixon.

– To znakomicie! – Z oczami błyszczącymi chciwością Muldoon odwrócił się do Dubois. – Los najwyraźniej się do nas uśmiechnął. Jak rozumiem, nie ma już żadnych przeszkód, żeby wydobyć te kamienie i wysłać je jak najszybciej do Amsterdamu i naszych mocodawców. Prawda?

– Tak sądzę. A co z niższym poziomem? – zapytał komendant.

– Proszę o nim zapomnieć. Tutaj jest tego dość, mówię panu. A czasu mamy niewiele.

To ostatnie zdanie sprawiło, że Caleb – pewnie tak samo jak reszta – poczuł ciarki na plecach.

– Mówił pan – wtrącił szybko, zwracając się do Dixona – że musimy solidnie podeprzeć koniec korytarza, bo inaczej wydobycie w ostatnim odcinku będzie groziło kolejnym zawałem.

– Tak, ma pan rację – podchwycił Dixon i odwrócił się do Dubois.

Ten zaś chłodno stwierdził:

– Dzięki nowej dostawie materiałów górniczych i drewna mamy wszystkiego w bród, więc nie powinien pan napotkać żadnych przeszkód. Proszę bezzwłocznie oszalować tę część na nowo. – Przeniósł wzrok na Muldoona. – Pomijając tę jedną kwestię, wydobycie powinno postępować całkiem żwawo.

– Znakomicie! – Muldoon znów spojrzał na diamenty, które błyszczały niczym gwiazdy uwięzione w czarnej skale. – Muszę stwierdzić – mruknął, wyciągając rękę, żeby ponownie je pogładzić – że ten widok to prawdziwa ulga. Jak pan wie, nasi mocodawcy zaczęli się niepokoić. Coraz głośniej powtarzają, że potrzebują namacalnego dowodu, że ryzyko, które ponoszą, zostanie tak sowicie wynagrodzone, jak im obiecaliśmy.

Uśmiechnął się i popatrzył na Dubois.

– Nieprzerwany strumień skrzynek pełnych diamentów powinien ich uspokoić, a co więcej, uciszyć. Na ludzi interesu takich jak nasi mocodawcy nic nie działa równie przekonująco jak solidne zyski z inwestycji.

A gdy złoże zostanie wyczerpane?

Muldoon zdawał się nie zważać na to, co się stanie wówczas z jeńcami.

Dubois jednak najwyraźniej o tym pomyślał.

– A co dalej, kiedy wydobędziemy diamenty z tego poziomu? Czy pańscy mocodawcy zechcą znów otworzyć niższy korytarz?

Muldoon zmarszczył brwi. Zerknął na gruz i skały blokujące zejście.

– Naprawdę trudno mi powiedzieć. Podejrzewam, że to będzie zależało od ich sytuacji. – Po namyśle dodał: – Ale zważywszy na ich niestałość…

Odwrócił się i ruszył do wyjścia. Przechodząc obok Dubois, uśmiechnął się promiennie.

– W każdym razie w tej chwili wszystko wygląda naprawdę znakomicie.

* * *

– Jak dla kogo – burknął Fanshawe trzy godziny później. – Może dla niego i jego mocodawców, ale na pewno nie dla nas.

Słońce zaszło i więźniowie zgromadzili się przy palenisku na wieczorny posiłek. W ciągu ostatnich kilku godzin ich sytuacja jeszcze się pogorszyła.

Kate i Harriet poinformowały, że po wizycie w kopalni Muldoon natychmiast skierował swe kroki do baraku, w którym pracowały, i zaczął studiować diamenty przygotowane do transportu. Pod koniec ich dnia pracy uparł się, że weźmie kasetkę ze sobą do koszar –

najwyraźniej zamierzał dokładniej obejrzeć wszystkie kamienie.

– Jeśli planuje nadal to robić – stwierdziła Harriet – będziemy musiały codziennie dostarczać odpowiednio dużo oczyszczonych kamieni, żeby nie wzbudzać jego podejrzeń. Nie będziemy mogły odkładać tyle co dotąd.

Co gorsza, podsłuchały, że Muldoon chce, by Dubois zdobył więcej kasetek i za każdym razem wyprawiał statkiem dwie albo trzy.

– Mamy z nim jeszcze inny problem. – Phillipe spojrzał w oczy Calebowi. – Nie boi się przebywać w kopalni nawet po zawale. Będzie do nas zaglądał i sprawdzał, jak postępują prace, co oznacza, że musimy wydobywać kamienie w odpowiednim tempie. A w dodatku zauważy, że złoże się wyczerpuje.

– Rzecz w tym – wtrącił Fanshawe – że dotąd wszystko mogliśmy przeciągać, bo strażnicy bali się zapuszczać w głąb kopalni. Zaglądali tam tylko wtedy, kiedy musieli. Gdyby nie to, żadna z naszych sztuczek by się nie udała.

– Teraz jednak – kontynuował Phillipe – gdy Muldoon będzie nadzorował postępy wydobycia i pracę oczyszczalni, zauważy, jeśli będziemy próbowali cokolwiek opóźniać.

Ostateczny cios spadł na nich, gdy do zgromadzenia dołączyli Dixon, Hillsythe i Hopkins. Wcześniej spotkali się ze stolarzami, żeby zastanowić się, jakiego drewna będą potrzebowali do wzmocnienia ostatniej części korytarza. Przy okazji poszli też sprawdzić, na jak długo starczą im zgromadzone zapasy.

Rzut oka na twarze ludzi przy ognisku wystarczył, by się zorientować, że wszyscy spodziewają się złych wieści. Dobry nastrój, który zapanował po udanej operacji zasypania dolnego korytarza, prysł.

Caleb wiedział, że nikt inny się na to nie zdobędzie, zapytał więc bez ogródek:

– Ile mamy czasu?

Hillsythe spojrzał mu w oczy.

– Policzyliśmy, tak jak się dało, kamienie, które wciąż jeszcze trzeba wydobyć, te, które odłożyliśmy w kopalni, bryłki schowane wśród odrzutów i w stercie przed oczyszczalnią, a także zapasy w środku. Jeśli wziąć pod uwagę fakt, że Muldoon będzie nas pilnował… w najlepszym razie dziesięć, może piętnaście dni.

Był dziesiąty sierpnia.

Caleb pokiwał głową. Dziesięć, a nawet piętnaście dni nie wystarczy – w ten sposób nie dotrwają do września. Chciał coś powiedzieć – w jakiś sposób podnieść więźniów na duchu – nie potrafił jednak niczego wymyślić.

Poczuł, że siedząca obok Kate kładzie mu dłoń na udzie i lekko ściska. Żeby przypomnieć, że jest i że cokolwiek się zdarzy, stawią temu czoło razem.

I że nigdy się nie poddadzą.

Uniósł głowę i rozejrzał się wokół.

– To oczywiście nie najlepsza wiadomość. Wszystko to, co się dziś wydarzyło, wydaje się stawiać nas w beznadziejnej sytuacji. Mimo to chciałbym wam przypomnieć, że wciąż jeszcze żyjemy.

Zignorował ciche parsknięcia i przelotne uśmiechy i mówił dalej:

– Wiem, że łatwiej powiedzieć, niż zrobić, ale musimy mieć nadzieję. Jej jednej nie wolno nam stracić. Jest wśród nas całkiem spora grupa osób, które pływają ze mną już ponad dziesięć lat. Mogą zaświadczyć, że nieraz znajdowaliśmy się w znacznie gorszych opałach. Mimo to zawsze wychodziliśmy cało, zawsze udawało nam się przetrwać. Bo nigdy nie porzuciliśmy nadziei. Wierzyliśmy, że nawet w najczarniejszej godzinie pojawi się światełko, które skieruje nasz okręt do bezpiecznej przystani.

Rozejrzał się i spostrzegł wpatrzone w siebie oczy.

– Wciąż żyjemy i wciąż mamy nadzieję. Ona jest naszą jedyną drogą.

* * *

Wieczorem jedenastego sierpnia lord Peter Ross-Courtney zaprosił pięciu dżentelmenów, których pozyskał do swojego ostatniego przedsięwzięcia, do prywatnej sali w klubie Albion, ulubionym miejscu spotkań najbliższych współpracowników króla. Jako Kawaler Królewskiej Alkowy i powiernik monarchy z pewnością zaliczał się do tego znakomitego grona.

Ku jego zaskoczeniu pierwszy zjawił się Frederick Neill, dżentelmen stojący kilka stopni niżej w arystokratycznej hierarchii. Neill przehandlował dobre urodzenie, dwukrotnie żeniąc się dla pieniędzy. Dzięki majątkowi miał znaczące wpływy polityczne i lord Peter właśnie w ten sposób do niego dotarł. Zdaniem Ross-Courtneya o ile

pieniądze zawsze można zdobyć, o tyle kapitału politycznego nigdy dość.

Pięćdziesięciopięcioletni Neill, trzy lata młodszy od gospodarza, był krępym mężczyzną, niezbyt skłonnym do towarzyskich pogaduszek. Wziął szklaneczką brandy, opadł na jeden ze skórzanych foteli i zapytał:

– Jakieś wieści?

Lord Peter tylko się uśmiechnął.

– Zaczekajmy na resztę. Są nowiny, ale łatwiej będzie przekazać je od razu wszystkim.

Ten właśnie moment wybrał lord Hugh Deveny, żeby wkroczyć do sali.

Lord Peter serdecznie się z nim przywitał. Lord Hugh, jeszcze jeden potomek starego rodu, ustosunkowany i ponoć bogaty, w pewnych kręgach uchodził za hazardzistę i wiele osób podejrzewało, że tkwi po uszy w długach. Co oczywiście nie oznaczało, że nie miał dostępu do znaczących sum w gotówce.

Po lordzie Hugh przybył markiz Risdale, powszechnie uchodzący za człowieka, dla którego liczyło się tylko to, co akurat było w modzie, i który był za to gotów zapłacić każde pieniądze; Risdale nadał słowu „rozrzutność” zupełnie nowe znaczenie. On również należał do grona zaufanych króla i z tego powodu święcie wierzył, że wszystko, czego zapragnie, powinno należeć do niego.

W obecności lorda Hugh i markiza Risdale’a lord Peter czuł się swobodniej. Mimo że obaj byli od niego kilka lat

młodsi, należeli do osób, które Ross-Courtney dobrze rozumiał.

I które – w przeciwieństwie do dwóch ostatnich gości – potrafił kontrolować. Frederick Clunes-Forsythe był szarą eminencją. Człowiekiem niezwykle zamożnym, znakomicie urodzonym i całkowicie amoralnym. A choć jako taki idealnie nadawał się do tego przedsięwzięcia, lord Peter świetnie zdawał sobie sprawę, że nie można mu ufać. Zwłaszcza zaś w sytuacji, gdyby jego pozycja lub interesy znalazły się w niebezpieczeństwie.

Dlatego lord Peter poczynił odpowiednie kroki, by nigdy do tego nie doszło.

Ostatni mężczyzna, który do nich dołączył, był bezceremonialnym, na pozór serdecznym cholerykiem o potężnej posturze. Sir Reginald Cummins, bliski znajomy Neilla, pod wieloma względami przypominał swojego przyjaciela – pochodził z arystokratycznej rodziny, zgromadził pokaźny majątek i mimo pozorów poczciwości był tak samo szczwanym lisem.

Szczwanym i bezwzględnym – lord Peter uważał to połączenie za zaletę.

Gdy już wszyscy rozsiedli się w fotelach z drinkami w dłoni, lord Peter odprawił stojącego z boku kelnera. A kiedy za mężczyzną zamknęły się drzwi, obrzucił współspiskowców bacznym spojrzeniem.

– Mam dla panów nowiny. Po części dobre, a po części… potencjalnie niepokojące. – Upił łyk ze szklaneczki i kontynuował: – Najpierw dobre wieści. Otrzymaliśmy

najświeższy raport od naszego człowieka w Amsterdamie. – Sięgnął do kieszonki na piersi, wyciągnął złożoną kartkę i wręczył ją Neillowi. – Podaje w nim ceny, jakie uzyskaliśmy za ostatnie dostawy, i wygląda na to, że suma zysków kształtuje się całkiem ładnie, tak ładnie, jak moglibyśmy się spodziewać.

Neill przejrzał dane, chrząknął, podał kartkę Cumminsowi i spojrzał na lorda Petera.

– Wszyscy wiemy, że zwrot finansowy jest funkcją dwóch czynników: kwoty i czasu. Kwota przedstawia się całkiem dobrze, ale czas? Wydawało mi się, że zgadzamy się co do tego, że sprawy należy przyspieszyć.

– To prawda. – Lord Peter lekko pochylił głowę. – Wysłaliśmy w tej sprawie kilka listów. – Zamilkł i zaczekał, aż Cummins wręczy kartkę Clunes-Forsythe'owi. – Od początku też jasno stawialiśmy sprawę, że całe przedsięwzięcie ma ograniczone ramy czasowe i tylko przez pewien okres jesteśmy gotowi się w nie angażować.

– Tymczasem minęło już osiem miesięcy, odkąd wyłożyliśmy pieniądze. – Clunes-Forsythe wręczył list Risdale'owi, po czym spojrzał lordowi Peterowi w oczy. – Od czterech miesięcy dostajemy wprawdzie dywidendy via Amsterdam, ale w takim tempie, że tylko zaostrzają apetyt. I cały czas słyszymy jedynie obietnice wzrostu produkcji.

– Przypomnieliśmy naszym ludziom w kolonii, że to się musi zmienić, i to wkrótce. Jak jednak mogą się panowie przekonać – lord Peter wskazał na kartkę, którą Risdale przekazywał właśnie lordowi Hugh – Herr Grendel pisze

w postscriptum, że trzy transporty, których spodziewa się w krótkich odstępach czasu, wskazują na to, że nastąpił wzrost produkcji. Jeszcze bardziej pokrzepiająca jest wiadomość, że znacznie polepszyła się jakość kamieni. Do tego stopnia, że Herr Grendel spogląda w przyszłość z entuzjazmem.

– Z pana słów wynika – lord Hugh wręczył list z powrotem lordowi Peterowi – że jesteśmy na właściwej drodze, skoro zarówno częstotliwość dostaw, jak i jakość kamieni się poprawiła. Co oznacza, że nie powinniśmy jeszcze zwijać interesu.

– Trafne podsumowanie. – Lord Peter złożył papier i schował do kieszeni.

– Mówił pan, że są też niepokojące wieści. – Neill uniósł brwi. – Jakie?

Lord Peter zmarszczył czoło.

– Potencjalnie niepokojące. Nie mam pewności, czy w ogóle jest się czym przejmować. Ale w imię pełnej otwartości między nami powiem, że jeden z kapitanów przewożących kamienie z Freetown do Amsterdamu doniósł nam, że jego statek został przeszukany na zlecenie Macauleya i Babingtona.

– Szukali diamentów? – Risdale otworzył szeroko oczy.

– Nie. Z tego, co zrozumiałem, szukali po prostu towarów, które miałyby trafić do Anglii. Macauley i Babington mają licencję na wyłączność w obrocie handlowym między Anglią a Afryką Zachodnią i stąd ich zainteresowanie.

– Czyli to nie była żadna szczególna kontrola? – dopytywał Neill. – Tylko rutynowe działania?

– Najwyraźniej tego typu kontrole zdarzają się od czasu do czasu, ale kapitan doniósł, że Babington osobiście pojawił się na nabrzeżu, co się zwykle nie zdarza. Sam kapitan nie był pewien, jak wielką wagę należy do tego przywiązywać, uznał jednak, że powinien nas o tym poinformować.

– Nie znaleźli żadnych diamentów, prawda? – spytał Cummins.

– Nie. – Lord Peter uśmiechnął się zadowolony z siebie. – Nasi ludzie mają dość rozumu, żeby diamenty zabierać dopiero po opuszczeniu portu.

– A więc – Neill obrócił szklaneczkę w dłoni – tak wyglądają owe, jak je pan trafnie nazwał, potencjalnie niepokojące okoliczności. To zdarzenie może nie znaczyć zupełnie nic, a może być też zapowiedzią dużo poważniejszych kłopotów.

Clunes-Forsythe pokiwał głową.

– Z jednej strony nareszcie mamy dowód, że zyski, na jakie liczyliśmy, dołączając do przedsięwzięcia, są realne i na wyciągnięcie ręki. – Skłonił głowę w kierunku Neilla. – A zatem spełniają zarówno kryterium kwoty, jak i czasu. Z drugiej jednak strony jest ten potencjalnie niepokojący raport, który dotyczy czegoś, co może mieć związek z naszym przedsięwzięciem, ale wcale nie musi. – Clunes-Forsythe rozejrzał się po twarzach zebranych. – Chcieliśmy znaleźć prawdziwy skarb i oto po raz pierwszy wydaje się,

że mamy na to szansę. Musimy jednak brać pod uwagę niebezpieczeństwo, że nasz udział w tej sprawie wyjdzie na jaw. – Spojrzał na Neilla. – Mówiliśmy o zwrocie z inwestycji. To jeden z aspektów całej sprawy. Drugim jest ryzyko: nie dla naszego wkładu, tylko dla nas samych. Żadnemu z panów nie muszę przypominać, że wszyscy stoimy tak wysoko, że w naszym wypadku upadek oznacza po prostu… koniec.

Neill prychnął.

– Pomijając kwestię niewolniczej pracy poddanych jego królewskiej mości i fakt, że złamaliśmy mnóstwo innych praw, zarówno Korona, jak i rząd wyjątkowo nieprzychylnym okiem będą spoglądać na zyski, które się przed nimi ukrywa.

– Owszem, może się tak zdarzyć – sapnął Risdale. – Ale raport nerwowego kapitana na temat czegoś, co wcale nie musi mieć związku z naszym przedsięwzięciem, nie wydaje się wystarczającym powodem, żeby zwinąć manatki, zanim główna część owego zysku znajdzie się w naszych rękach.

– Poza tym – wtrącił lord Hugh – jeśli się teraz wycofamy, nie uzyskamy zwrotu poniesionych nakładów.

– Słuszna uwaga. – Lord Peter wyprostował skrzyżowane nogi i poprawił się w fotelu. – Panowie, uważam, że znaleźliśmy się w takim punkcie, że aby chronić nasze interesy zarówno finansowe, jak i osobiste, potrzebujemy bardziej wiarygodnych informacji. Takich, które można zdobyć wyłącznie na miejscu.

– Co więc pan sugeruje? – spytał Cummins.

– Uważam, że powinienem wybrać się do Freetown i osobiście odwiedzić kopalnię. – Uśmiechnął się. – Chętnie odpocznę od Londynu, a przy okazji będę mógł sprawdzić, jak wygląda sytuacja naszych ludzi w kolonii. Chciałbym zauważyć, że od początku braliśmy za dobrą monetę to, co mówili o swoich możliwościach. A choć do tej pory ze wszystkich zadań wywiązywali się zadowalająco, warto zweryfikować ich deklaracje. Przede wszystkim jednak sądzę, że sama kopalnia i jej potencjał wymagają wiarygodnej oceny, zważywszy na to, że całe przedsięwzięcie tak się przedłuża. Zwłaszcza gdyby miały się pojawić jakieś zagrożenia. W końcu chodzi o nasze żywotne interesy.

Choć początkowo jego propozycja spotkała się ze zdziwieniem, wyglądało na to, że nikt nie zamierza się sprzeciwiać.

Lord Peter gratulował sobie właśnie w duchu, że tak gładko udało mu się przeprowadzić swój plan, gdy Neill odstawił szklaneczkę i zapytał:

– Mogę coś zasugerować?

Głowy wszystkich zwróciły się w jego stronę.

– Co dwie pary oczu, to nie jedna. Dlatego, drogi lordzie, jeśli się pan zgodzi, proponuję, żebyśmy się wybrali do Freetown, a stamtąd do kopalni, we dwóch.

Lord Peter podziękował w duchu Stwórcy, że pobłogosławił go umiejętnością zachowania kamiennej twarzy. Jego mózg pracował jak oszalały.

Na pozostałych nie mógł liczyć. Cummins i Clunes-Forsythe całym sercem byli za dołączeniem Neilla – najwyraźniej wyczuwali zbieżność interesów – Risdale zaś i lord Hugh nie mieli powodu się sprzeciwiać.

Dlatego lord Peter uśmiechnął się i pochylił głowę w stronę Neilla.

– Będę zachwycony. – Uniósł szklaneczkę i rozejrzał się. – Za Freetown. Za kopalnię.

– Za diamenty – dodał Neill i wypił brandy do dna.

* * *

W obozie przybywało złych wieści. Tak samo zresztą jak diamentów – wystarczyło stuknąć, a same wypadały ze ściany.

– Cała jest roztrzaskana. – Dixon cofnął się, obejrzawszy złoże przez lupę jubilerską, którą pożyczył od samego Muldoona. – Tak jakby siła ścinająca sproszkowała rudę, jakby wstrząs sprawił, że rozpadła się na kawałeczki. Zamiast skały, która utrzymywałaby diamenty, mamy diamenty, które utrzymują na miejscu skałę.

W obliczu takiej katastrofy bardzo trudno było nie porzucać nadziei. Trudno było ją w ogóle znaleźć.

Dlatego wieczorem więźniowie siedzący przy ognisku byli cisi i przygaszeni. Ktoś zaczął liczyć dni. Caleb słyszał, jak kilka osób wyszeptało: „Jest dwunasty”.

Rozejrzał się po twarzach i kiedy napotkał wzrok Kate, dostrzegł w jej oczach pewność, którą sam czuł – zarówno w życiu, jak i w miłości. Dobrze wiedział, że z tej

fundamentalnej siły – będącej czymś na kształt pierwotnej wiary, która sięga poza logikę – powinni czerpać wszyscy.

Cały dzień wytężał umysł, wciąż jednak nie udało mu się nic wymyślić.

Mógł tylko mieć nadzieję, że w końcu coś wpadnie mu do głowy.

Właśnie, znowu nadzieja. Nie wolno im było jej porzucać.

Wszyscy jedli w ciszy, gdy nagle na galerii przed koszarami rozległ się tupot stóp.

Unieśli wzrok i zobaczyli Muldoona zmierzającego w ich stronę szybkim krokiem. Za nim nieśpiesznie podążał zdziwiony Dubois, pochód zaś zamykali Arsene i Cripps.

Muldoon… był w euforii. Z jaśniejącą twarzą podszedł prosto do Kate.

– Skąd jest ten kamień? – zapytał i wyciągnął rękę.

Zamrugała, patrząc na surowy diament na jego dłoni, i zaskoczona uniosła wzrok.

– Z pierwszego korytarza czy z drugiego?

Zmarszczyła brwi i sięgnęła po kamień. Muldoon zesztywniał i przez ułamek sekundy wydawało się, że nie pozwoli go jej dotknąć, szybko jednak się opanował.

Kate obróciła diament w dłoni.

– Harriet, to chyba jeden z twoich. – Wszystkie kobiety miały własne techniki oczyszczania, Harriet zaś była leworęczna, więc jej pracę najłatwiej było rozpoznać.

Harriet niepewnie zerknęła na Muldoona. Gdy szorstko skinął głową, wzięła kamień z rąk Kate i przyjrzała mu się uważnie.

– Tak, to z dzisiejszej partii.

– Z pierwszego czy z drugiego korytarza? – chciał koniecznie wiedzieć.

– Skoro został oczyszczony dziś – powiedziała Kate – to prawie na pewno z drugiego. Bo ze względu na wcześniejsze zaległości dopiero zaczęłyśmy obrabiać kamienie stamtąd.

Na twarzy Muldoona pojawił się wyraz błogiego rozanielenia. Zabrał kamień z rąk Harriet, obrócił się na pięcie i wyciągnął dłoń w stronę Dubois.

– Proszę spojrzeć.

Zaskoczony komendant wziął kamień z jego ręki i przyjrzał mu się uważnie.

– Oczyszczony surowy diament.

– Niezwykły surowy diament. To, mój przyjacielu, jest niebieski diament. – Muldoon niemal wyrwał mu kamień z ręki. Obrócił go w palcach i wskazał: – Proszę spojrzeć tutaj. Widać kolor. Niebieski.

Dubois przyjrzał się i chrząknął.

– Odrobinę niebieski. Co to za różnica?

– Dziesięciokrotna – poinformował go Muldoon, po czym, jakby próbując powściągnąć entuzjazm, odetchnął głęboko i już spokojniejszym tonem dodał: – Podczas ostatniej przepustki byłem w Amsterdamie u jubilerów, do których trafiają nasze kamienie. Od nich dowiedziałem się, że istnieją różne klasy diamentów. Niebieskich mieli zaledwie kilka maleńkich odłamków. Ich zdaniem każdy kolekcjoner na świecie dałby sobie rękę uciąć za przyzwoitej wielkości

diament w tym kolorze. – Jego twarz wyglądała wręcz nieludzko, gdy machnął kamieniem przed nosem Dubois. – To, mój przyjacielu, nawet po oszlifowaniu będzie miało ponad karat. Sam jeden ten kamień wart jest małą fortunę. – Wskazał ręką na kopalnię. – A my mamy tego całą ścianę!

Kate odchrząknęła, chcąc coś powiedzieć, Dixon jednak był szybszy.

– Słyszałem o niebieskich diamentach. To mało prawdopodobne, żeby w drugim złożu wszystkie kamienie były w tym kolorze.

Muldoon obrzucił inżyniera twardym spojrzeniem.

– Ale będzie ich więcej?

– Tak sądzę, choć trudno powiedzieć ile... Żeby się tego dowiedzieć, po prostu trzeba patrzeć i szukać.

Muldoon pokiwał głową.

– Tak właśnie przypuszczałem. Tylko wśród tego, co było dziś w kasetce, znalazłem dwa takie diamenty. – Zwrócił się w stronę kobiet. – Przyjdę jutro do oczyszczalni i nauczę panie, jak ich szukać. A potem wy będziecie mogły nauczyć smarkaczy. Jeśli uda im się odróżnić je już przy sortowaniu, odłożycie białe na potem i skoncentrujecie się na niebieskich.

– Jeśli zaś chodzi o pana – Muldoon odwrócił się do Dubois i zaczął wymachiwać mu palcem przed nosem – proszę zapomnieć o zamknięciu kopalni. Dopóki będzie istniała choćby najmniejsza szansa, że znajdziemy tu niebieski kamień, będziemy kontynuować eksploatację. A mężczyźni muszą przestać walić w ścianę tymi

cholernymi kilofami! Tylko dłuta i małe młotki, takie same, jakich używają kobiety. W drugim korytarzu nie może pozostać ani jeden diament. Kiedy nasi mocodawcy dowiedzą się, że są tu niebieskie kamienie, sama myśl o tym, że któryś mógłby zostać roztrzaskany, będzie dla nich nie do zniesienia, mogę pana o tym zapewnić. I proszę mi wierzyć, że nie będę musiał im tłumaczyć, jaką wartość mają takie kamienie.

Dubois wpatrywał się w jego palec.

Caleb mógłby się założyć, że komendant zupełnie poważnie zastanawia się, czy mu go nie złamać.

Po chwili jednak przeniósł wzrok na twarz Muldoona i wzruszył ramionami.

– Nam jest wszystko jedno. Dostaliśmy zaliczkę, więc dopóki spływają cotygodniowe należności, będziemy utrzymywać działalność kopalni.

– Znakomicie! – Muldoon schował kamień do kieszeni i zatarł ręce z radości. Rozejrzał się po twarzach więźniów siedzących wokół ogniska. – To prawdziwie wiekopomne znalezisko.

Odwrócił się i ruszył z powrotem do koszar.

Dubois spoglądał za nim przez chwilę, po czym popatrzył na swoich przybocznych.

– Niebieskie diamenty – powiedział Arsene. – Ciekawe, czy rzeczywiście są dziesięć razy więcej warte niż białe.

– Pewnie tak, pewnie Muldoon ma rację... – Komendant jeszcze raz wzruszył ramionami i podążył za attaché

morskim. – Muszę stwierdzić, że w tej sytuacji jestem skłonny spoglądać na jego wizytę przychylniejszym okiem.

Arsene zachichotał i razem z Crippsem ruszyli w ślad za Dubois.

Więźniowie popatrzyli po sobie. Zdumieni, jakby bali się uwierzyć w to, co się właśnie wydarzyło, siedzieli w ciszy, dopóki najemnicy nie dotarli do koszar.

Dopiero wtedy wszyscy zaczęli mówić naraz.

Hillsythe złowił spojrzenie Caleba i podniósł głos, żeby przekrzyczeć wrzawę:

– To się dzieje naprawdę?! Nasza egzekucja została wstrzymana?!

Caleb, promieniejąc z radości, pokiwał głową i zawołał:

– Dzięki Muldoonowi!

– To dowodzi – powiedział Lascelle – że nigdy nie wiadomo, z której strony może nadejść pomoc. Niezbadane są wyroki losu.

– Całe szczęście, że nie zabiłem łajdaka, kiedy się tylko zjawił – parsknął Fanshawe.

Pozostali wybuchnęli śmiechem i zaczęli poklepywać go po plecach.

Część dzieci, nie mogąc usiedzieć na miejscu, zaczęła tańczyć i po chwili dołączyli do nich inni – mężczyźni i kobiety.

Co z tego, że strażnicy zobaczą ich radość? Przecież nie mają pojęcia, że ratunek jest już w drodze.

Caleb odwrócił się i popatrzył Kate w oczy. Uśmiechnęła się, pozwalając, by w tym uśmiechu znalazły się wszystkie

wzbierające w niej emocje. Przyłożyła mu dłoń do policzka.

– Możesz powiedzieć: „A nie mówiłem?”.

Rozpromienił się jeszcze bardziej.

– O nie, nigdy bym tego nie zrobił. – Objął ją w pasie i przyciągnął do siebie. A potem wyszeptał do ucha: – Los jest kobietą, a z kobietami nigdy nic nie wiadomo.

Jej perlisty śmiech był muzyką dla jego uszu. Spojrzał na nią – na swoją przyszłą żonę – a potem wstał, pociągnął ją za rękę i dołączyli do grona tańczących.

Kiedy zapadła ciemność, wszyscy wciąż jeszcze byli przy ognisku, nawet najmłodsze dzieci. Spokój malujący się na twarzach jeńców świadczył o odradzającej się nadziei, o tym, że zrzucili z ramion przygniatającą ich troskę, uwolnili się od napięcia, które trzymało ich w okrutnym uścisku.

Wyraźnie było widać, że umocniło się w nich poczucie wspólnoty – wiara w to, że razem uda im się przetrwać.

– Nadal jesteśmy więźniami – przerwał ciszę Caleb. – Gdy nadejdzie pora, będziemy musieli walczyć, żeby pokonać Dubois i jego ludzi i odzyskać wolność. Teraz jednak mamy nadzieję. Los się do nas uśmiechnął. Mówiłem wam, że tak się stanie. Nieważne, jakie przeszkody nas czekają, jeśli będziemy wierzyć, jeśli wciąż będziemy mieć nadzieję, znajdziemy sposób, żeby je pokonać i być tutaj, gdy nadejdzie pomoc.

W jego głosie brzmiała niezachwiana pewność.

– Będziemy tu, kiedy nastanie wrzesień.

Nie wznieśli okrzyków – nie ośmielili się.

Zamiast ogłuszającego wrzasku rozległ się chór zgodnych potakiwań.

* * *

„Książę” przybił do nabrzeża w Southampton o jedenastej rano. Porucznik Frederick Fitzpatrick, przyjaciel Caleba jeszcze z czasów szkolnych, płynął pod pełnymi żaglami, a mimo to zawinął do portu dopiero trzynastego sierpnia. Nie zamierzał zwlekać ani chwili dłużej – dokumenty, które Caleb przekazał Hornby’emu, powinny były natychmiast trafić w ręce Frobisherów. Fitz musiał jednak zostać w Southampton, żeby się odmeldować i wyjaśnić Higginsonowi, dlaczego to nie Caleb stoi w jego biurze.

Stąd właśnie Hornby w swym najlepszym ubraniu czekał przy relingu z torbą w objęciach.

Gdy tylko burta żaglowca dotknęła nabrzeża, midszypmen otworzył barierkę. Mimo swojego wieku nie czekał na trap. Zeskoczył na brzeg, lądując w mistrzowskim przysiadzie, i dosłownie wypadł na ulicę, pędząc w stronę zajazdu, z którego usług kompania często korzystała.

– Z Bogiem! – zawołał za nim Fitz.

Nie zwalniając kroku, Hornby zasalutował i pognał dalej.

* * *

O trzeciej po południu Robert Frobisher przebywał w bibliotece swojego brata Declana. Declan siedział za ogromnym biurkiem i udawał, że czyta gazetę. Robert się poddał – „Times” leżał porzucony na krześle obok. Ani on, ani Declan nigdy nie potrafili cierpliwie czekać – w tym wypadku wyglądali wieści dotyczących misji zleconej ich

najmłodszemu bratu. Caleb nie dawał znaku życia od tygodni, nastroje mieli więc minorowe.

Nie podnosząc wzroku znad gazety, Declan mruknął:

– Co ja bym dał, żeby coś się wydarzyło.

Ledwie wypowiedział te słowa, rozległo się walenie w drzwi frontowe. Obaj bracia zerwali się na równe nogi.

Robert pierwszy wpadł do holu, akurat w chwili, gdy Humphrey, kamerdyner Declana, spieszył otworzyć drzwi.

W progu stał dobrze im znany marynarz.

– Hornby? – Declan przepchnął się przed brata.

Na ich widok marynarz najwyraźniej poczuł ogromną ulgę.

– Gdzie Caleb? – spytał Robert.

Hornby zasalutował i ściągnął z ramienia ciężką torbę.

– Kapitan Caleb został przypilnować kopalni w dżungli. Na wypadek gdyby coś się miało stać tym biedakom uwięzionym w obozie, zanim przybędziecie pomoc.

– Znalazł obóz? – spytał Declan, Robert zaś otworzył torbę.

– Tak jest.

Hornby spojrzał ponad ramionami mężczyzn i skłonił głowę. W holu pojawiły się Aileen Hopkins, przyszła żona Roberta, i Edwina, żona Declana. Ponieważ obie brały udział w misjach i znały Caleba, też nie mogły się doczekać wieści.

– Na miłość boską, cofnijże się! – Edwina chwyciła Declana za ramię. – I pozwól biednemu Hornby’emu – bo to Hornby, prawda? – wejść do środka.

Declan usłuchał, nie spuszczając jednak wzroku z Roberta, który wyciągał właśnie papiery z torby.

– Co przysłał?

– Mój cholerny dziennik. – Robert zamachał cienkim kajetem, po czym wręczył go Aileen. – Wygląda na to, że miał dość rozumu, żeby sporządzić mapy.

Declan zostawił brata z dokumentami, a sam podszedł do marynarza i powtórzył pytanie.

– Kiedy już zajęliśmy obóz Kale'a – powiedział midszypmen – reszta okazała się dziecinnie prosta.

Robert uniósł wzrok.

– Zajęliście obóz Kale'a?

Hornby wzruszył ramionami.

– Paskudna robota była z tym Kale'em, ale kapitan Caleb dał mu radę.

Robert i Declan oniemieli, Aileen zaś uśmiechnęła się zachęcająco.

– Rozumiem, że Kale nie żyje.

– O, za przeproszeniem łaskawej pani, tego łajdaka dawno już jedzą robaki.

– Wcale nie musi mnie pan przepraszać. – Aileen cała się rozpromieniła. – To była ostatnia szumowina i cieszę się, że Caleb się z nim rozprawił.

– Skąd się pan tu wziął? – zapytała Edwina.

Hornby posłusznie opowiedział, jak wszedł w posiadanie torby.

Declan i Robert ledwo na niego zerkali – byli zajęci wertowaniem papierów przysłanych przez Caleba.

Edwina uśmiechnęła się do Hornby’ego i kazała Humphreyowi, żeby się nim zajął.

– Zdaje się, że powinienem wracać na „Księcia”, proszę pani – zaoponował stary marynarz. – Porucznik Fitzpatrick będzie chciał wiedzieć, czy informacje dotarły.

– Wyślemy mu wiadomość. – Edwina chwyciła Hornby’ego za rękaw i wciągnęła go w głąb holu. – Nie możemy pozwolić, żeby pan wrócił na statek, bo ci dwaj – machnęła ręką w kierunku Declana i Roberta – a pewnie też reszta, będą mieli do pana mnóstwo pytań.

Nie zważając na protesty marynarza, przekazała go pod opiekę Humphreyowi, mówiąc:

– Nie martw się drzwiami, ja się tym zajmę.

I ruszyła, żeby je zamknąć, akurat w chwili, kiedy przed ich dom zajechał powóz zaprzężony w czwórkę spienionych koni.

– Kto to, na Boga? – Obejrzała się na Declana. – Spodziewamy się kogoś?

Declan i Robert podeszli do drzwi i zatrzymali się w progu.

Edwina skrzywiła się i przepchnęła do przodu, by wyjrzeć, Aileen zaś, stojąc na palcach, spoglądała ponad ramieniem Roberta.

Drzwi powozu się otworzyły i wysiadł z niego mężczyzna.

Był wysoki – może nawet kilka centymetrów wyższy od Roberta i Declana – i miał czarne jak smoła włosy. Rysy twarzy, choć przypominające braci, wydawały się ostrzejsze, może nieco bardziej wyraziste.

Ubrany był modnie, ale nosił się z pewną nonszalancją, jakby strój nie miał dla niego znaczenia. Był szczupły, a przy tym mocno umięśniony – uda opięte spodniami z koźlej skórki zdradzały wytrawnego jeźdźca.

– To Royd – poinformował ściszonym głosem Robert.

Zupełnie niepotrzebnie. Aileen pomyślała, że wszystko, co dotąd słyszała o najstarszym z braci, było absolutną prawdą.

Royd z wdziękiem i elegancją odwrócił się i podał rękę wysiadającej z powozu damie.

Jeśli przybycie brata sprawiło, że Robert – a pewnie również Declan – zesztywniał, to na widok damy obaj zamienili się w słupy soli.

Aileen musiała przyznać, że towarzyszka Royda wyglądała olśniewająco. Była wysoka i poruszała się z taką samą gracją jak on. Czarne jak heban włosy, kręcone, bujne i lśniące, spływały jej na plecy. Miała na sobie prostą suknię podróżną, ale jej kształtna figura nie potrzebowała dodatkowej oprawy. Royd odwrócił się, by wydać rozkazy woźnicy.

Dama, uwolniwszy dłoń, wskazała forysiowi pudło zamocowane na dachu.

– Wolverstone mówił, że napisał do Royda, żeby poinformować go o misji Caleba i poprosić, aby podjął się ostatniej części zadania – rzekł wreszcie Declan.

Zdumiona Edwina wyszeptała:

– Rozumiem, ale kim jest ta kobieta?

Declan z nieodgadnionym wyrazem twarzy zerknął na stojącego obok brata.

Ten, ze wzrokiem wbitym w damę, nawet nie drgnął.

– Kto to? – powtórzyła pytanie Edwina.

Odpowiedział półgłosem:

– Kłopoty. Kłopoty przez wielkie K.

* * *

Tytuł oryginału:
The Daredevil Snared

Pierwsze wydanie:
MIRA Books, 2016

Opracowanie graficzne okładki:
Madgrafik

Redaktor prowadzący:
Małgorzata Pogoda

Opracowanie redakcyjne:
Sylwia Sandowska-Dobija

Korekta:
Jolanta Rososińska

© 2016 by Savdek Management Proprietary Limited
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa, 2017

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A.

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieł w jakiejkolwiek formie.
Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiekolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins Polska jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A. Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

ISBN 978-83-276-2960-9

Konwersja do formatu EPUB:
Legimi Sp. z o.o.